

Zbigniew
Safjan

Do krwi ostatniej





Zbigniew Safjan

Do krwi

ostatniej

Nie widział nic oprócz nieba i Chmur; gdzieś w dole była Rosja i wyobrażał sobie nieskończoną równinę pokrytą śniegiem, lasy i skute lodem rzeki, a ponieważ lecieli już kilka godzin, przerażała go rozległość tego kraju, o którym od wielu dni myślał z niepokojem i ciekawością.

Chmury płynące pod samolotem zmieniły nagle barwę, ciemne dotąd i nieprzeniknione stały się białe i puszyste, wiatr rozpędzał je i rozdzierał, a Radwan mógł zobaczyć przez chwilę ziemię. Przelatywali nad jakimś miastem, było ciemnoszare, kominy fabryczne wyglądały jak lufy dział skierowanych ku niebu. Potem chmury otoczyły samolot, rozpędzone wirowały za okienkami i w Douglasie stało się jeszcze ciemniej.

Twarz naczelnego wodza zobaczył nieco z profilu; Sikorski siedział w przodzie samolotu, pochylony, z dłońmi opartymi na kolanach. Mimo ciasnoty Douglasa wydawało się, że siedzi oddzielnie. Nie opodal – doktor Retinger, którego Radwan, podobnie jak jego koledzy z gabinetu naczelnego wodza, serdecznie nie lubił, sprawiał wrażenie śpiącego.

Klimecki i Cazalet zajęci rozmową niemal od początku podróży (Radwan pomyślał, że ton tej rozmowie nadaje z pewnością Anglik) zerkali od czasu do czasu w stronę generała, jakby w nadziei, że przerwie wreszcie milczenie. Te milczenia Sikorskiego, Radwan znał je dobrze, bywały niekiedy długie i męczące, szczególnie ostatnio. Czasami, po wejściu do gabinetu generała, zastawało się go stojącego przy oknie i miało parę minut, zanim dostrzegł czekającego oficera, którego sam wezwał.

Pułkownik Kietlicz mawiał, że to poza; porucznik Radwan twierdził, że po prostu zmęczenie, i dodawał natychmiast: ciężar odpowiedzialności. Teraz, w samolocie zbliżającym się do Kujbyszewa, milczenie Sikorskiego wydawało się najzupełniej zrozumiałe, stanowiąc jakby niezbędną celebrację wydarzenia, którego wpływ na losy Polski mógł być decydujący.

Słowo „mógł” znowu przypomniało Radwanowi Kietlicza; stary pułkownik, którego osadzono w Londynie przy sztabowym biurku i kazano wertować papierki sporządzane, jak mawiał, dla „pozorowanych konieczności”, przy każdej okazji dawał wyraz różnym wątpliwościom, a w dziejach wojny widział głównie nie zrealizowane (z głupoty, braku konsekwencji lub z powodu zwykłego pecha) możliwości. Ten pesymizm Kietlicza często drażnił Radwana, ale odwiedzał pułkownika regularnie w jego małym pokoiku, wypijali po szklance herbaty (Kietlicz nie używał alkoholu i to na pewno nie pomagało mu w karierze) i toczyli rozmowy, które niekiedy przypominały

porucznikowi rozmowy prowadzone w domu jego matki we Lwowie w ostatnich przedwojennych latach. Ojczym, podobnie jak Kietlicz, lubił rozpatrywać nie wykorzystane szanse („mój Boże, gdyby komendant miał wiosną jeszcze dwadzieścia dywizji”) i wyrażać niepokój o przyszłość, „bo brak nam wielkiego człowieka, który mógłby...” Matka uśmiechała się wówczas i mówiła „Sikorski”. Ojczym i Kietlicz milkli. Obaj byli lojalni wobec wspomnień matki i obaj znali generała z czasów, które dla Radwana były tylko historią, ale wierzyli, że komendant miał rację odstawiając dawnego dowódcę piątej armii na boczny tor, choć przecie i oni nie znaleźli się w głównym nurcie. Kietlicz pracował przed wojną w dowództwie okręgu korpusu; stracił nadzieję na awans, gdy przeniesiono go do Lwowa ze stanowiska oficera do prac w Generalnym Inspektoracie Sił Zbrojnych przy inspektoracie toruńskim. Ojczym po wyjściu z wojska pełnił

niezbyt eksponowane funkcje w urzędzie wojewódzkim. Obaj przyjaźnili się niegdyś z majorem Radwanem, ojcem Stefana, i wraz z nim służyli pod Sikorskim. Major Radwan zginął podczas natarcia na węzeł Mozyrz-Kalenkowicze w dwudziestym roku. Stefan nie pamiętał ojca, znał go tylko z portretu i wspomnień matki; wydawał się bardzo młody na tym portrecie wiszącym w salonie, młodszy niż on, gdy 28 sierpnia 1939 roku żegnał się z matką, zapewniając, że niedługo pokaże się znowu. Gdy w domu mówiono o ojcu, zawsze padało nazwisko Sikorskiego; „był jego ulubionym oficerem” – powtarzała matka. W pamięci Stefana pozostał obraz Sikorskiego siedzącego w skórzanym fotelu w ich salonie, podchodził

do niego w ułańskim czako na głowie i z blaszanym pałaszem w dłoni. „Podobny?” – pytała matka. Generał sadzał go na kolanie. Widział ogromną dłoń ciężko spoczywającą na jego ramieniu. Przed majem, gdy Sikorski dowodził jeszcze okręgiem korpusu we Lwowie, odwiedził parokrotnie matkę, potem tylko o nim mówiono.

Syn majora Radwana poszedł do podchorążówki zawodowej, nazwisko ułatwiało, nawet nie przypuszczał, że ojciec miał tylu przyjaciół. O generale w dyspozycji pamiętać w wojsku nie chciano; dla Radwana jednak każda myśl o ojcu wiązała się z myślą o Sikorskim.

„Nigdy – mówiła matka – nie zobaczysz grobu ojca”. W szkolnym atlasie był Mozyrz, ale nie znalazł Kalenkowicz. „Generał powiedział – powtarzała – że ojciec nacierał na Kalenkowicze, więc pewno tam go pochowano. Kto woziłby zmarłych z Rosji? Generał

powiedział, że zapłakał, gdy mu zameldowali o śmierci ojca”. Zapłakał! Jako kilkunastoletni chłopak rozmaicie wyobrażał sobie ostatnią rozmowę ojca z Sikorskim. „Wysyłam cię na straconą pozycję, nasi dziadowie i ojcowie... Teraz musimy wziąć te Kalenkowicze, musimy je mieć”.

Przez okienko samolotu widział ciągle niebo i chmury. Wtedy, w dwudziestym roku, zaczynało się już lato, może więc rosyjskie przestrzenie nie były tak groźne jak teraz?

Sikorski ściągnął, go do siebie z Coëtquidan. Nie wiedział, kto poinformował generała: o jego obecności w polskim obozie; może po prostu wódz naczelny znalazł nazwisko Radwana na jakiejś liście oficerów? „Pan podporucznik zamelduje się u generała Sikorskiego”. Było to podczas pierwszej wizyty Sikorskiego w Coëtquidan. Wszedł do jego gabinetu i gdy wykrzyczał meldunek, zapadło milczenie, a potem usłyszał: „Jesteś jednak bardzo podobny do ojca, dlaczego nie zameldowałeś się u mnie od razu?” Po chwili, nie czekając na odpowiedź, naczelny wódz jakby

niechętnie i z wahaniem odrzucił to zbyt poufale „ty” i oświadczył: „Przenoszę pana porucznika do służby w moim gabinecie”.

Później, w dniach upadku Francji i podczas pierwszych londyńskich miesięcy, a także wówczas, gdy towarzyszył naczelnemu wodzowi w podróży do Stanów Zjednoczonych, odczuwał w stosunku Sikorskiego do siebie pewną rezerwę, jakby zakłopotanie. Może jego stała w pobliżu generała obecność przypominała mu coś, o czym nie chciał pamiętać? Może sądził, że nie dopełnił jakichś obowiązków wobec syna dawnego podkomendnego i przyjaciela? Bywał oficjalnie oschły, a niekiedy niespodziewanie zdobywał się na serdeczny i ciepły ton, znowu mówił „ty” i wypytywał Radwana o wrześniowe przeżycia. Interesowały go szczególnie uczucia piechura podczas pierwszego spotkania z pancerną bronią przeciwnika. Co myślał Radwan, gdy leżąc wraz ze swym plutonem w płytkich rowach strzeleckich zobaczył niemieckie czołgi po raz pierwszy? Oczywiście – jak je zatrzymać, oczywiście – gniew, że brak środków bojowych. A jak z wytrzymałością psychiczną? Ze strachem? „Śmigłemu – powiedział kiedyś Sikorski – brakowało wyobraźni, zawsze mu w gruncie rzeczy brakowało wyobraźni... A wódz, kierując wielkimi masami wojska, musi jednocześnie wiedzieć, jak jest w pojedynczym okopie...” Dopiero po dwóch czy trzech miesiącach Radwan usłyszał od generała, że we wrześniu, kiedy przejeżdżał przez Lwów, widział jego matkę. Dlaczego nie wspomniał o tym wcześniej? „Było to po dziesiątym września – opowiadał generał. – Musisz mi wybaczyć –

dodał, a jego serdeczność, podobnie jak nadmierna niekiedy oschłość (o którą często go oskarżano), sprawiała wrażenie jak najszczerzej i najzupełniej spontanicznej. – Miałem wtedy tyle spotkań i byłem bardzo przybity; wiedziałem, że Sowieci wejdą do Lwowa. A gdy pan porucznik zameldował się u mnie, pamiętałem, że miałem mu coś do powiedzenia i, widać, wyleciało z głowy...”

Była to ostatnia wiadomość, jaką otrzymał z domu. Ojczyzna powołano do wojska, matka, jak powiedział generał, trzymała się dzielnie. Każdy bardziej osobisty ton, każde „ty” Sikorskiego sprawiało Radwanowi autentyczną przyjemność. W jego stosunku do generała sporo było synowskiego podziwu (nigdy nie podziwiał ojczyzna, tylko go lubił), chłopięcego zakochania wykluczającego wszelki krytycyzm. Dlatego tak mocno, a często boleśnie odczuwał zmiany w nastrojach Sikorskiego. Że czasem naczelnny wódz go nie dostrzegał, że zapominał o odwiedzinach u matki...? Cóż bardziej rozumiałego, jeśli nosi się na barkach tak wielką odpowiedzialność? Niechętnie uczestniczył w politycznych dysputach; pracując w gabinecie naczelnego wodza, musiał orientować się w rozmaitych gierkach i intryżkach, nie przyjmował ich jednak do wiadomości, istniały niejako obok jego świata, który był prosty i rozumiały. Należy postępować wedle zasad żołnierskiego honoru, wierzyć bez zastrzeżeń w zwycięstwo, jak wierzył Sikorski podczas kampanii francuskiej, i do ostatniej chwili nie rezygnować z walki. W czerwcu czterdziestego roku dwukrotnie przelatywał

wodnopłatowcem z naczelnym wodzem nad kanałem La Manche i widział, jak generał kieruje ewakuacją resztek z takim trudem odrodzonego wojska. Ile wtedy mieli nadziei? Ile było jeszcze nadziei, gdy lądowali na brytyjskim lotnisku? „Porządnie i po żołniersku musimy w razie potrzeby zakończyć naszą odyseję – powiedział wówczas Sikorski. – Prezydent i rząd mogą odjechać do Stanów Zjednoczonych, a my, wojsko polskie, obraliśmy zasadę: wszyscy albo nikt. Zostaniemy tu wszyscy, bo nie da się wszystkich wywieźć. To są przewidywania moje na najgorszy wypadek”.

A Rydz-Śmigły, myślał Radwan, opuścił kraj wbrew honorowi żołnierskiemu. Tkwił

w nim mocno ból wrzesniowy, wspominał, choć wspominać nie chciał, żołnierzy swojego plutonu: Poleszuka Aniukiewicza, który zginął pod Jaworem zmiażdżony gąsienicą czołgu; wesółka Skiwińskiego z Poznania, poległego pod Gródkiem, gdy wymacały ich samoloty; ordynansa Staszka; starego wygę sierżanta Rokowskiego; ponurawego Pawlika, tego znał

jeszcze ze Lwowa. Ostatniego dnia, gdy wiadomo już było, że stało się nieprawdopodobne, Pawlik, ranny w rękę, ze złością i goryczą powiedział: „Przełajdaczyliście”. My? „Sanacja –

winowajczynią klęski”. Cóż to właściwie znaczy? Szedł tłum generałów, ministrów, pułkowników, pozbawieni nazwisk, anonimowi, nagle zwyczajni, żadni, wygrażali pięściami historii i polskiemu losowi. Należy ich sądzić? A może raczej zapomnieć i zapomnieć o sobie, wlokącym się za nimi, a przecież w pewnej odległości, przez zaleszczycki most.

Z nikim nie rozmawiał o wrześniu; tylko niekiedy z Kietliczem. Sceptycyzm starego pułkownika raził go i drażnił, był mu jednak jakoś potrzebny; odkrywał w sobie wątpliwości, wahania, o których nie chciał myśleć, a nawet wiedzieć, że istnieją. „Jesteś młody – powtarzał

pułkownik – a we mnie tkwi cała gorycz wszystkiego, czego nie zdołałem zrealizować, i cała całkowicie zbyteczna wiedza”.

Kietlicz był jednym z kilkunastu oficerów, którzy miesiąc po francuskiej klęsce poszli do ministra Zaleskiego protestować przeciwko dymisji udzielonej przez prezydenta Raczkiewicza Sikorskiemu. Zaleski miał zostać następcą generała na stanowisku premiera.

Radwanowi nie mieściło się to w głowie: odsunąć Sikorskiego znaczyło zdradzić sprawę polską! „Nie wiem – mówił Kietlicz – co właściwie Klimecki powiedział Zaleskiemu, bo do gabinetu ministra weszli tylko we trzech. Przypuszczam, że powiedział po prostu: jeśli pan chce, żeby się wszystko rozpieprzyło... Potem oświadczone, że rozmowa przebiegała poważnie i z godnością, a Zaleski ustąpił. Zresztą – dodał Kietlicz – to *démarche* i tak zapewne nie miało większego znaczenia”. „A co zdecydowało?” – zapytał wówczas Radwan.

Kietlicz uśmiechnął się. „Ty chyba jednak nie bardzo nadajesz się do gabinetu naczelnego wodza”.

Jakby przeczuł! Dwa tygodnie przed podróżą Sikorskiego na Daleki Wschód i do Rosji Radwan dowiedział się, że pojedzie z generałem i że zostanie w ambasadzie polskiej w Kujbyszewie jako jeden z oficerów ataszatu. „To dowód szczególnego zaufania” – powiedział

kapitan N., który mu właśnie tę decyzję zakomunikował. Należało przypuszczać, a przynajmniej Radwan nie miał wątpliwości, że jego odejście z gabinetu naczelnego wodza było po myśli kapitana N. Nie lubili się bowiem niemal od samego początku. N., czego Radwan nigdy nie mógł pojąć, cieszył się szczególnym zaufaniem Sikorskiego. Starszy rangą, wprowadzał Radwana w zawiłości pracy w samym, jak mawiał, centrum władzy i decyzji, ale szybko zbytnia prostota, a nawet wręcz prowincjonalne prostactwo (powtórzono Radwanowi to określenie) zniechęciło kapitana do młodego porucznika. Jeśli bowiem nie prowadzi się (to znaczy nie prowadzi aktualnie) żadnej własnej gry,

trzeba brać pod uwagę możliwe i prawdopodobne układy, zrećcznie, ale niezbyt widocznie, torując drogę komu trzeba.

Uczciwość i oddanie są niewątpliwie niezbędne, ale na pewno nie wystarczają, jeśli człowiek chce się utrzymać w fotelu, w którym jest potrzebny ojczyźnie. Kapitan N. serdecznie i szczerze nie lubił sanacji, ale lubił paru pułkowników, którzy dzięki temu znaleźli drogę do naczelnego wodza; od niego zależało, które raporty od razu trafiają na biurko generała, a które długo i bezczynnie czekają w szufladzie. Radwan buntował się niekiedy, choćby w sprawie Woźniakowskiego. Woźniakowskiego Radwan nie znał, ale wiele o nim słyszał, także od Kietlicza, że zdolny i niepokorny sztabowiec. Wiosną czterdziestego zepchnięto go do intendencji; komuś tam się naraził w brygadzie. Przy okazji wyszło na jaw parę brzydkich intryg, usuwanie oficerów za rzekomą sanacyjność, przyklejanie tej sanacyjności bez jakichkolwiek dowodów. Nie meldując kapitanowi N., przedstawił raport Sikorskiemu.

„Nie lubię takich spraw – powiedział niechętnie generał. – Nie umieją załatwić we własnym zakresie?”

Kapitan N. nie pił. Nigdy żadnych pijackich szczerości lub tkliwych wyznań przy wódce.

„Rozumiem, dlaczego lubi cię generał, ja też bym cię lubił, gdybyś nie był taki z powiastki dla dzieci”. Radwana zabolalo; że niby taki śmieszny jest i naiwny. Może zresztą naprawdę nie nadaje się do sztabowych służb? Był jednak dumny, że pracuje blisko Sikorskiego, a myślał, że także matce sprawiłoby to radość. Kapitan N. istotnie poruszał się zrećczniej w gabinecie naczelnego wodza niż on; każdemu należy salutować inaczej, a także wiedzieć, kiedy grzecznie odmówić, kiedy trzasnąć obcasami, kiedy sprawę zawiesić, a kiedy ją popchnąć. Zapewne zawsze tak było. Bliskość źródła władzy wymaga nieustannej uwagi i ostrożności. Może istotnie brak mu tych umiejętności, ale o tym powinien decydować generał, i tylko on. Zdecydował, że Radwan będzie przydatny w Rosji. Może podszeptał to wodzowi właśnie kapitan N.? To przypuszczenie jednak bolało. Sam Sikorski przez parę dni nic na ten temat nie mówił, dopiero kiedyś wieczorem, wychodząc już z gabinetu, zatrzymał się na środku adiutantury i zapinając płaszcz powiedział: „Potrzebni mi są w Rosji ludzie, którym ufam...”

Kietlicz był szczerze zmartwiony. „Wiedziałem, że nie zagrzejesz tam miejsca...” Mówił o Sikorskim i po raz pierwszy Radwan nie przerywał; nie oznaczało to, że zgadzał się z pułkownikiem, ale akceptował możliwość takiego, jakie on uprawiał, myślenia. Jego samego zaskakiwał brak wewnętrznego oporu.

Sikorski się zmienił, twierdził Kietlicz, stał się ostry, niecierpliwy, bardziej ulegający nastrojom niż kiedykolwiek, jakby usiłował rozmaitą, może podświadomie przyjmowaną pozą przewycięzać niepokój i niepewność. Po klęsce Francji było to jeszcze bardziej widoczne, ale i przedtem... Bo jakże trudno być szefem rządu bez terytorium... I to rządu narodu posiadającego pamięć i tradycję emigracji. Trzeba więc przewycięzać kompleks emigracyjności, pozbywać się poczucia pozorności, fikcyjności własnej władzy. A ta pozorność i fikcyjność dopada szefa rządu na każdym kroku, nie oszczędzi mu upokorzeń żaden kraj, choćby najmniejszy, nie wspominając już o potężnych sojusznikach. „Przypomnij sobie, jak oczekiwano, Mo wreszcie przyśle ambasadora do Angers: Belgia? Norwegia?”

Watykan? Albo czy Polska będzie reprezentowana w Najwyższej Radzie Wojennej? Francja powiedziała po prostu: »nie«. Obojętnie i pogardliwie. Sikorski więc musiał to wszystko znosić i uwierzyć, że on, i tylko on, nie symbolicznie i pozornie, ale naprawdę reprezentuje Polskę i Polaków. Nie emigracyjną Radę Narodową czy jakieś tam emigracyjne, choćby liczne ugrupowania, ale właśnie kraj”.

Realne i prawdziwe było właściwie tylko wojsko. Obecny zespół rządzący, jak powiedział już w Anglii Seyda, można uważać „za piankę, którą rzeczywistość zdmuchnie z chwilą powrotu do kraju”, ale wojsko?! Istniało nie tylko po to, aby się bić, ale żeby być Polską niejako w zastępstwie, zamiast kraju. Dlatego Sikorski tak ciężko odczuł klęskę Francji; załamał się sojusznik, spłonęły nadzieje, ale przede wszystkim stracone zostało wojsko – główna emigracyjna rzeczywistość, podstawowa realność.

Radwan odtwarzał w myślach rozmowę z pułkownikiem tak dokładnie, jakby odbyła się wczoraj.

– Pamiętasz Sikorskiego tego wieczoru, gdy wrócił z ostatniego lotu do Libourne?

Byłem wtedy blisko niego. Wiedział już, że wszystko stracone, nie miał żadnych złudzeń, ale gdy oświadczył Pétainowi, że Polska zamierza walczyć dalej, sam nie wierzył, że walka może być jeszcze skuteczna, że ma sens.

– Ale ani na chwilę nie rezygnował – wtrącił Radwan.

– Tak, nie rezygnował – przyświadczył Kietlicz – ale właśnie wtedy zrodziło się w nim przekonanie, a może umocniło jeszcze bardziej, że sam bierze na siebie ciężar wszelkich rozstrzygnięć, że jest sam, zupełnie sam, w reprezentowaniu Polski. A potem przyszedł ten nieszczęsny zamach i kontrzamach, który może najsilniej wykazał pozorność emigracyjnego życia. Pałacowy przewrót, ale pałac istniał w próżni, pozorna okazała się władza prezydenta, fikcyjne jego uprawnienia wynikające z kwietniowej konstytucji; prezydent odwołał premiera i premier nadal urzędował, a nikt nie jest w stanie powiedzieć, czy o pozostaniu Sikorskiego zadecydowało ostatecznie stanowisko tak zwanych wielkich partii, demarche oficerów czy nacisk angielski. Sikorski uważał, że po prostu nie może być nikt inny.

– I miał rację.

– Tak, zapewne. Ale to przekonanie może być niekiedy groźne i niszczące. „Churchill może się beze mnie załamać” – powiedział podczas swej pierwszej podróży do Ameryki. Ta pewność siebie na pokaz przysłańiała niekiedy wątpliwości i chwiejność. Dobrze już, nie zaprzeczaj, nie mówię nic złego. Czy myślisz, że generał jest pewny swojej polityki rosyjskiej?

– Jest pewny.

– Wiesz, dlaczego tak bardzo zależało mu na przeforsowaniu układu? Oczywiście, chodziło mu o interesy Rzeczypospolitej, o Polaków w Rosji, ale generał poszukiwał tam, na wschodzie, autentyczności; widział setki tysięcy ludzi, którzy wiedzą tylko o nim i jego utożsamiają z Polską. Pomyśl, jaka to ogromna szansa! Dlatego pierwszą myślą Sikorskiego było objąć osobiście

dowództwo w Rosji. Nie zdecydował się na to. Zawsze mi się zdawało, a znam przecież Sikorskiego nie od wczoraj, że tkwi w nim jakaś połowiczność, że przystaje w połowie drogi, cofa się przed wielkimi decyzjami.

– Podejmuje wielkie decyzje. – Radwan pamiętał doskonale, że tak powiedział, i teraz, patrząc na generała ciągle nieruchomego na przodzie samolotu, myślał, że to właśnie on, a nie Kietlicz, miał rację. Bo ileż trzeba odwagi i zdecydowania, żeby teraz do Rosji...

– Stoi na czele państwa bez terytorium i bez granic – słyszał głos pułkownika. – Tak, bez granic, bo złudzeniem jest nasza interpretacja, że podpisując układ, Rosja potwierdziła granice ryskie. Raczkiewicz i Sosnkowski mają słuszność twierdząc, że myśmy ustąpili, ale Sikorski przeforsował umowę z Majskim, opierając się na Anglikach. Wiesz, co on naprawdę myśli? – Radwan milczał, pamiętał, że Kietlicz powtórzył raz jeszcze to pytanie. – Co naprawdę?... Że bezprzedmiotowe są rozmowy z Rosją, że nie ma sensu ich prowadzić, bo Rosja przegra, a o tym, jaki będzie pokój, i tak zadecydują Anglicy, Amerykanie, wreszcie także on sam, Sikorski, najpewniejszy i w czasach trudnych najwierniejszy sojusznik.

– Mówi o uczciwym wykonywaniu układu.

– Cóż to znaczy: uczciwie wykonywać? Wszystko zależy od rozwoju sytuacji. Stalin także to rozumie. Czy bolszewicy zatrzymają Wehrmacht? Może istotnie cokolwiek teraz się powie i postanowi, nie ma żadnego znaczenia? Może istotnie chodzi tylko o to, żeby mieć wojsko, a jeśli nie będzie innego wyjścia, to „przestać istnieć z honorem”? Odnoszę niekiedy wrażenie – powiedział Kietlicz – że Sikorski ma świadomość, iż jest ostatni. Ostatni hetman Rzeczypospolitej. Dlatego czasem te wielkie gesty, dlatego upór... dlatego pogarda dla tych, którzy w jego osądzie nie dorastają, jak Raczkiewicz czy Zaleski, do powagi chwili.

– Nie dostrzegam pogardy.

Kietlicz się uśmiechał, wydawał się smutny i zapatrzony w siebie, gdy to mówił, a zaprzeczeń Radwana jakby nie słyszał.

– Całe życie marzył o sterze, a otrzymał ster, gdy właściwie nie ma już okrętu. Może inaczej: jakby okręt został na wysokiej fali, a on z łodzi ratunkowej próbuje nim kierować.

Nić, która łączy go z okrętem, może być w każdej chwili zerwana albo nadwątlona, to go nieustannie niepokoi, gniece, zżera, dlatego jedzie do Moskwy; może w Moskwie będzie czuł

się bliżej. Ja tak to sobie wyobrażam – powiedział Kietlicz – sam bym tak czuł. Jego także nękają czasem takie myśli. A jeśli wróci się stamtąd? A jeśli będzie się maszerować do Polski tym szlakiem, który, w połowie przynajmniej zna? Przez Smoleńsk, Mozyrz czy Mińsk.

Pamiętam, pod Mozyrzem zginął twój ojciec, jest to więc niejako odwrotność tamtej drogi, jej zaprzeczenie. Więc nie przez kanał La Manche, czy, jak marzy mu się, od południa, od miękkiego podbrzusza Europy, ale tamtędy? Jak przewidzieć wynik, jak zabezpieczyć się na każdą ewentualność? Ale jeśli poszukuje się zbyt wielu zabezpieczeń, jeśli chce się mieć własnego

żołnierza na każdym froncie, czy nie straci się wszystkiego? Na coś postawić, w coś uwierzyć, podjąć ryzyko... ileż trzeba odwagi!

Radwanowi wydawało się, że teraz, patrząc w dół na chmury przysłaniające horyzont i przypominające czarą, zbyt spokojną, ale grożącą sztormowym powiewem płaszczyzną oceanu, słyszy głos starego pułkownika. Generał poruszył się i także spojrział przez okienko; natychmiast uczynił to samo Retinger, a po chwili Klimecki, jakby mogli zobaczyć cokolwiek! O czym myśli teraz Sikorski? – rozważał Radwan. O czym myśli, gdy samolot zbliża się do Kujbyszewa, za chwilę zniży lot, przebije chmury i zobaczą pokrytą śniegiem ziemię? Stara się przeniknąć przyszłość? Czy Rosjanie zatrzymają Niemców przed Moskwą?

Czy należy stawiać na to przymierze? A może myśli o nieufności, która go otacza, o kłódach, które rzucają mu pod nogi, o intrygach i szczuciach?

Generał pochylił się właśnie, szepnął coś Retingerowi. Radwan poczuł nagle ostrą ciekawość, chciałby być bliżej, wiedzieć, słyszeć. Samolot służył łagodnie w dół, ziemia ukazała się nagle, okrążyli lotnisko i zobaczyli, niby ciemną wysepkę na śniegu, ludzi, potem oddział piechoty, sztandary na wysokich masztach... Samolot kołował, stanął, czekali na pchnięcie drzwiczek... Sikorski przejechał dłonią po materii płaszcza, jakby sprawdzając po raz ostatni, czy wszystko w porządku, i ruszył w dół po schodkach.

Radwan pomyślał, że oto na jego oczach dzieje się historia, że jeszcze po wielu latach będą na ekranach filmowych oglądali tę scenę ludzie, których nie może sobie wyobrazić, i że zobaczą ci, o których nic nie wie, twarz Sikorskiego, twarze Wyszyńskiego, Kota, Andersa zbliżających się właśnie do samolotu. Usłyszał orkiestrę, pomyślał, że to dobrze, że to przecież na pewno dobrze. „Jeszcze Polska” na rosyjskiej ziemi...

Świadomość ograniczoności naszej wiedzy o dzianiu się historii bywa szczególnie bolesna, gdy jest się lub prawie jest świadkiem ważnych wydarzeń, nie będąc oczywiście żadną z postaci działających, to znaczy znajdujących się naprawdę na scenie lub choćby w jej najbliższych kuluarach. Bo cóż to niby znaczy „być świadkiem”? Widownia jest ogromna, a nawet z pierwszego rzędu nie widać nic więcej niż z dalekiego balkonu, tylko gesty są wyraźniejsze, słowa dokładniej słyszalne, a to, co stało się naprawdę, zrozumiane, pomyślane tylko lub przeczytane przez głównych aktorów, będzie wiadome znacznie później, jeśli oczywiście będzie wiadome, a nie zaginie, zamaże się, spłyci, rozplynie w rozmaitych interpretacjach i komentarzach, potrzebnych, zbyt licznych, szkodliwych, zręcznych, a najczęściej podporządkowanych jakimś aktualnym koniecznością. Decyzja podjęta na scenie, którą teraz oklaskuje widownia, może być tylko grą, posunięciem taktycznym lub początkiem czegoś, czego jeszcze nie umieją przewidzieć nawet główni aktorzy, a przecież chodzi o nasz los, o mój także, i gdy oglądam to historyczne widowisko, sam biorę w nim udział, znacząc tak mało i rozumiejąc tak niewiele.

Tak mniej więcej myślał podporucznik Andrzej Raszeński (choć nigdy nic podobnego nie napisał), będąc świadkiem – nie z pierwszego co prawda rzędu – wydarzeń związanych z podróżą Sikorskiego do Rosji. Jako korespondent tutejszej edycji „Orła Białego” (kilka jego korespondencji przedrukowała brytyjska prasa, dzięki czemu jego nazwisko nie było już nieznane) uczestniczył w powitaniu naczelnego wodza w Kujbyszewie, a także w jego podróży do Moskwy i później w

wizytacji jednostek polskich. Ambasador Kot zechciał z nim rozmawiać po konferencjach ze Stalinem, otrzymał nawet zaproszenie, co uznał za wręcz niezwykle, na wielki bankiet na Kremlu. Dotkliwie odczuwał ograniczoność posiadanej wiedzy i podobnie jak wielu jego kolegów w czasie wojny, a także i później, usiłował

dogrzebać się tego, co kryło się za gestami, słowami i formułkami... Naprawdę dokonywał się zwrot, tego był pewien i on, który spędził dwa lata w obozie internowania polskich oficerów na dalekiej północy, mocno odczuwał teraz wagę tego zwrotu, a gdy go pytano, dlaczego nie pisze o nędzach i głodach, które przeżył, odpowiadał, że chce najpierw o przyszłości i o tym, co teraz, a na rozrachunki przyjdzie czas, jeśli przyjdzie.

W wielkiej sali kremlowskiej widział Stalina wznoszącego toast za wielką, silną, mocniejszą niż przedtem Polskę i chciał wierzyć temu Gruzinowi, którego ostre spojrzenia rzucane spod krzaczastych brwi łagodził niekiedy przyjazny, może wystudiowany uśmiech.

Niemcy stali jeszcze pod Moskwą, na pokrytych śniegiem polach, pod Klinem, Dmitrowem, Jachromą, Rogaczewem, Sołnecznogorskiem, ludzie w płytkich okopach rytych w stwardniałej ziemi zatrzymywali natarcie pancernych dywizji, a tu, w jasnym świetle żyrandoli, na miękkich dywanach, przy stołach bankietowych z kieliszkiem dobrego wina w ręku, on, były jeniec, były drwal, były wróg, świętował pojednanie, które miało być trwałe i powinno otworzyć drogę do Polski. Przerazała go dalekość tej drogi... Obok Stalina stał

Sikorski, chciałby usłyszeć ich rozmowę, odczytać ich myśli.

Mógł sobie tylko wyobrazić, każde odtworzenie jest sprawą wyobraźni i Raszeński myślał, że jeśli przeżyje, spróbuje to uczynić, myślał, że choć w przyszłości jego wiedza zapewne będzie także niepełna, takie odtworzenie stanie się możliwe, a nawet konieczne, myślał o przyszłości z nadzieją, lękiem i ogromnym pragnieniem przyspieszenia czasu.

Termometry w Moskwie wskazywały trzydzieści dwa stopnie poniżej zera. Raszeński wyobrażał sobie, że to miasto pokryte śniegiem, stwardniałe w zimnie i oporze, miasto, którego Sikorski nigdy nie widział, a o którym wielokrotnie i rozmaicie myślał, musiało wywrzeć na nim ogromne wrażenie. Jechał na Kreml na pierwsze spotkanie ze Stalinem i przecież można sobie było tę jazdę wyobrazić: pusty Plac Czerwony, cerkiew Wasyla Błażennego wyglądająca jak dekoracja, krzyżujące się wysoko na niebie reflektory i jego spojrzenie błędzące po krajobrazie miasta. Zapewne milczał. Milczał także siedzący obok niego ambasador Kot. Może przed tą pierwszą rozmową z człowiekiem, który z pewnością nie był łatwym partnerem, Sikorski nie dyscyplinował wyobraźni, nie gotował zręcznych formułek, ale pozwolił, by myśli napływały bez porządku, jakby w ich dręczącym natłoku mogły pojawić się, niejako bez jego udziału, rozwiązania, których poszukiwał. „Status quo –

słyszał głos Sosnkowskiego – status quo sprzed września – oto podstawowy warunek naszych rozmów z Moskwą”. „Warunek – śmiał się Retinger. – Jeśli nie podpiszemy umowy, wylecimy na margines zdarzeń”. „A granice?” – zapytał Seyda. Churchill nas poprze, Churchill zagwarantuje, nie mam konstytucyjnego prawa dyskusowania o granicach. Siedzieli w samolocie i Retinger pochylał się ku niemu. „Sprawa o Moskwę jeszcze nie rozstrzygnięta, panie generale, trzeba okazać twardość”.

Cóż to znaczy: okazywać twardość? Anglicy mimo wielokrotnych próśb i starań, dotyczących wydzielenia zaopatrzenia armii polskiej z ogólnej puli dostaw dla Rosji, nie spełnili naszych żądań. Czy można naprawdę liczyć na poparcie Anglików? Może należało istotnie samemu objąć tutaj dowództwo? Uzależnić się od Stalina? Znowu przypomniał sobie chałupę pod Mozyrzem, gdzie mieścił się sztab piątej armii. Pamiętał wielką mapę rozłożoną na drewnianym stole, na mapie nie było oznaczonych granic Rzeczypospolitej. Wpatrywał się w nią jakby w poszukiwaniu wyraźnej linii, grubej kreski dzielącej Polskę od Rosji. Gdzie powinna przebiegać? Jeszcze dalej na wschód? Piłsudskiemu śniła się wielka federacja, ale on nigdy w tę federację nie wierzył, walczył i nie wierzył. Gdzie więc jest Polska? Zobaczył

uśmiechniętą i zawsze zbyt serdeczną (to słowo wydawało mu się najwłaściwsze: „zbyt”) twarz Roosevelta. „Nasze żądania dotyczące Prus Wschodnich są warunkiem niepodległego istnienia Polski”. Prezydent grzecznie potakiwał: „O granicach po wojnie”. Więc i tak decydować będą zwycięzcy, ale czy można założyć, że ten człowiek, który oczekuje go na Kremlu, znajdzie się wśród zwycięzców? „Tatusiu, czy można obstawić wszystkie numery w ruletce?”

Oto brama kremlowska. Warta oddaje honory. Ile kilometrów stąd do frontu? Ten Gruzin ma jednak mocne nerwy.

Stanęli naprzeciw siebie, Stalin się uśmiechał, ale uśmiech wydawał się chłodny, a spojrzenie ostre i przenikliwe. Sikorski zwracał zwykle uwagę na wygląd gabinetów, ten wydawał się nijaki, chłodny, właśnie jak oczy Stalina, i zbyt jasno oświetlony. Miał

przygotowane formuły powitalne, tłumacz przekładał szybko i zręcznie, Stalinowi chyba się spodobało, Mołotowowi także, ale dostrzegł kątem oka twarz Andersa i pomyślał, że z tych paru zdań też ukują przeciw niemu broń.

– Jestem niezmiernie rad – mówił – że mogę powitać jednego z rzeczywistych twórców współczesnej historii i powinszować panu prezydentowi bohaterstwa armii rosyjskiej w walce z Niemcami. Jako żołnierz wyrażam podziw dla mężnej obrony Moskwy.

– Dziękuję za te słowa – powiedział Stalin, ale zabrzmiało to jednak dość oschle – i rad jestem, że widzę pana w Moskwie.

Nawet gdy siedzieli przy stole, nie zaprzestali czujnej, wzajemnej obserwacji. Katalog spraw, nieporozumień, trudności wydawał się długi, ale za najpilniejsze uważał Sikorski kwestie wojskowe. Churchill wyraźnie zachęcał do ewakuacji, a w każdym razie do przygotowania ewakuacji polskich jednostek do Iranu. To samo usłyszał wódz naczelny od Andersa. Nie był jednak zdecydowany; chodziło raczej o warunki, w jakich powstawało wojsko. Myślał także o kwestiach ciągle niepokojących, których podejmowanie wydawało się wątpliwe lub wręcz przedwczesne: granice, sprawy obywatelstwa... Co myśli Stalin? Traktuje go jak marionetkę Churchilla? „Anglicy nie powinni omawiać z Rosjanami naszych spraw” –

powiedział Kot. Miał rację.

Sikorski zaczął mówić o walce narodu polskiego z Niemcami i odniósł wrażenie, że Stalin słucha

przychylnie. Opowiadał o organizacji wojskowej w kraju, o marynarce wojennej, o dywizjonach lotniczych. Jednakże, podkreślał, jedyną rezerwę młodzieży, jedyną rezerwę ludzką mamy tutaj, ale stan uzbrojenia naszych oddziałów jest niezadowalający, warunki formowania nieodpowiednie. I już ostrzej:

– Żołnierze marzną w letnich namiotach, odczuwają brak żywności, skazani są wprost na powolne wyginięcie. – I potem bardziej zdecydowanie, niż zamierzał: – Wobec tego proponuję wyprowadzenie całego wojska i całego materiału ludzkiego, który jest zdolny do służby wojskowej, na przykład do Iranu, gdzie klimat oraz zapewniona pomoc amerykańsko-brytyjska dałyby może w krótkim czasie przyjść ludziom do siebie i sformować silną armię.

Armia ta wróciłaby potem tutaj, na front, by zająć na nim własny odcinek.

Stalin wydawał się zaskoczony, odpowiedział tonem podrażnionym.

– Jestem człowiekiem doświadczonym i starym, wiem, że gdy do Iranu wyjdziecie, to już tutaj nie wrócić. Widzę, że Anglia ma dużo roboty i potrzebuje polskich żołnierzy.

Wtrącił się Anders. Sikorski był zdziwiony, że tak bardzo denerwuje go każde słowo generała. Anders niby łagodził, jakby chciał sprowadzić rozmowę na tematy bardziej konkretne: żywności, paszy, sprzętu, narzędzi, ale zakończył niespodziewanie ostro:

– To jest tylko nędzna wegetacja.

Stalin wydawał się jeszcze bardziej rozdrażniony, rozmowa stała się szybka, tłumacze nie nadążali.

– Jeśli Polacy nie chcą się bić – powiedział Stalin – to niech idą, nie możemy Polaków zatrzymywać, chcą, niech odejdą.

– Gdybyśmy się mogli sformować – odparował Sikorski – tobyśmy się już bili. Ale ileż to czasu zmarnowano nie z naszej winy? W obecnych rejonach zakwaterowania nie mamy w dalszym ciągu żadnych warunków dla wyszkolenia żołnierzy. Proszę w takim razie o inne rozwiązanie.

– Jeśli Polacy nie chcą się tu bić – powtórzył tę samą myśl Stalin – niech wprost powiedzą: tak albo nie. Mam sześćdziesiąt dwa lata i wiem, że gdzie się wojsko sformuje, tam zostanie.

– Dotknął mnie pan prezydent powiedzeniem, że nasz żołnierz nie chce się bić.

– Jestem człowiekiem prostym i chcę jasno stawiać sprawę. Zamierzacie się bić czy nie? – spytał Stalin.

– Że chcemy – powiedział Sikorski – świadczą o tym nie słowa, lecz fakty. – I uznał, że należy dokonać próby zmiany tonu.

Ciągle odnosił wrażenie, że rozmowa toczy się obok spraw najważniejszych. Przecież on w istocie nie chce, żeby wojsko wychodziło z Rosji, chodzi o warunki formowania, chodzi o wszystko, co im obu tu siedzącym utrudnia porozumienie.

– Gotów jestem – powiedział – pozostawić armię w Rosji, jeśli pan wyznaczy korzystny rejon koncentracji i da zapewnienie zaopatrzenia i rozmieszczenia.

– Możemy dać armii polskiej takie warunki, jakie dajemy Armii Czerwonej.

– W dotychczasowych warunkach nawet korpus nie powstanie – powtórzył Sikorski.

– Rozumiem, że są one złe. – Stalin mówił teraz tonem znacznie łagodniejszym. –

Nasze oddziały nie powstają w lepszych, mówię uczciwie, jesteśmy w stanie dać wam tylko to, co ma nasza armia. Jeśli koniecznie chcecie, jeden korpus, dwie, trzy dywizje – ciągnął – mogą wyjść. Jeżeli zaś chcecie, dam miejsce i środki na formowanie sześciu dywizji.

– Stwierdzam raz jeszcze chęć walczenia z wami przeciw Niemcom jako wspólnemu naszemu wrogowi.

Nastąpiła więc zmiana tonu, temperatura jakby nieco się podniosła. Sikorski uznał, że nadszedł właściwy moment, by poruszyć sprawę, którą uważał za najtrudniejszą. Sądził, że napotka niechętny opór, gdy zaczął mówić o losie Polaków w Rosji, ale Stalin wydawał się teraz przychylniejszy i bardziej skłonny do zgody na konkretne ustalenia. A więc delegaci ambasady nawet we Władywostoku, jeśli zaś chodzi o stworzenie Polakom lepszych warunków, to rząd radziecki gotów jest jak najbardziej pójść na rękę. Stalin sam podszedł do mapy i wskazał Taszkent, Ałma-Atę, południowy Kazachstan, zgodził się także na Barnaul i Nowosybirsk. Równie przychylnie załatwiono sprawę pożyczki. Mimo sprzeciwu Mołotowa Stalin zaakceptował sto milionów, których zażądał Sikorski.

Więc jednak można się z nim dogadać. Ten Gruzin – pomyślał – przypomina mi Piłsudskiego, ale jest bardziej konsekwentny. Może Kot patrzy zbyt pesymistycznie? Przecież nigdy dotąd nie łączyło Polaków i Rosjan tyle, ile łączy ich teraz.

– My, Polacy – powiedział – rozumiemy wojnę nie jako symbol, lecz jako prawdziwą walkę, dlatego jestem przekonany, że nasza armia będzie tutaj bić się razem z wami.

– Wiem, że Polacy są odważni – stwierdził Stalin.

– Jeśli są dobrze kierowani. – Generał Sikorski postanowił powiedzieć coś o Andersie, podkreślić, że mu wierzy. – Powierzyłem naszą armię w Rosji – rzekł – mojemu najlepszemu żołnierzowi, który jest dowódcą lojalnym, a osiem gwiazdek za rany świadczy o jego męstwie. Nie będzie tu prowadził żadnej polityki ani swoim podwładnym nie pozwoli.

– Najlepsza polityka to dobrze się bić. – Potem Stalin zwrócił się do Andersa i jego bezpośredniość nie była, jak pomyślał Sikorski, pozbawiona uroku. – Ile pan czasu siedział w więzieniu?

– Dwadzieścia miesięcy.

– No, trudno, taka była sytuacja – mruknął Stalin.

Należało uznać, i to stwierdził Sikorski, że sprawa wojska została w zasadzie załatwiona.

– Po obejrzeniu naszych obozów – rzekł – chciałbym wrócić do Moskwy, aby jeszcze raz zobaczyć się z panem prezydentem.

– Do usług – powiedział Stalin.

Jednak nie wrócił. Tylko raz jeszcze, podczas czterogodzinnego bankietu na Kremlu, w którym wziął udział Raszeński, Sikorski rozmawiał ze Stalinem.

– My, ludzie radzieccy – mówił Stalin – uważamy, że pomiędzy narodami polskim i radzieckim powinny istnieć jak najlepsze stosunki. Nie ma spraw, których nie moglibyśmy rozwiązać.

– To prawda – przyznał Sikorski. – Do tego jednak potrzebne jest zaufanie.

– Nie ufacie nam? – mruknął Stalin. – Przecież pierwsi uznaliśmy wasze prawo do niepodległości.

– A potem byliście pod Warszawą.

– Przedtem wy w Kijowie. Śnił wam się wówczas Żółkiewski na Kremlu.

– Później był Suworow w Warszawie.

– Więc – uśmiechnął się Stalin – para kończąć draku.

– A granice? – zapytał Sikorski.

Przez chwilę trwało milczenie.

– Powinniśmy ustalić nasze wspólne granice – powiedział wreszcie Stalin – przed konferencją pokojową, gdy tylko wojsko polskie ruszy do boju.

W Tatiszczewie Raszeński, tak jak się zresztą spodziewał, spotkał pułkownika Walickiego. Ich przyjaźń, zawiązana jeszcze w obozie, nosiła charakter szczególny; wiele lat starszy od podporucznika pułkownik traktował go z ojcowską pobłażliwością, jak syna, który niewątpliwie sprawi jeszcze wiele kłopotów. Raszeński natomiast z niepokojem i lękiem, a niekiedy z podziwem obserwował, jak Walicki znosi obozowe trudy; nikt nigdy nie usłyszał

od niego słowa skargi i nikt nie wiedział, że rubaszny pułkownik cierpi od wielu lat na wrzodową chorobę żołądka.

Tatiszczewo, miejsce postoju piątej dywizji generała Boruty-Spiechowicza, było ostatnim etapem inspekcyjnej podróży Sikorskiego do jednostek polskich w ZSRR. Trzymał

ostry mróz, wiał silny wschodni wiatr, dywizja rozstawiona na wielkim polu ćwiczebnym czekała marznąc na przegląd naczelnego wodza.

– W mojej relacji – powiedział Raszeński, gdy po defiladzie i przemówieniu Sikorskiego znaleźli się w małej klitce, którą Walicki zajmował w budynku dowództwa –

będzie oczywiście patos, będą łzy i zapewne zbyt wiele wzniosłości, bo istotnie wszystko jest patetyczne. Boruta przemawia z konia do naczelnego wodza: „Patrz, generale, piąta dywizja stoi przed tobą...” Stoją chłopcy na tym cholernym mrozie, wszyscy wiemy, co przeżyli, patrzą na Sikorskiego gadającego z trybuny: „Bóg spogląda w serce moje...”, „poprowadzę i doprowadzę...” Brniemy w śniegu, oglądamy ziemianki, cuda ziemiankowej techniki, kolosy mieszczące po dwieście dwadzieścia osób, wiemy, że drzewo nosili jednaście kilometrów...

– A nosili, nosili – przytaknął Walicki – ja także. I Boruta także. Nie ma się czym podniecać. Ani tu wzniosłość potrzebna, ani gorycz.

– Ja – szepnął Raszeński – od paru dni jestem przesycony patosem, nażarty jak miodem... W Tockoje wręczali ryngrafy i ludzie płakali...

– Może i słusznie płakali.

– W Buzułuku panie deklamowały generałowi własne wiersze: „Byłeś wciąż z nami w nadziei zamknięty i w tej więziennej o tobie piosence”. Wzruszaliśmy się wszyscy do łez, nawet Anders popłakiwał ostrożnie...

– Czemu tu się dziwić.

– Ja się nie dziwię, pułkowniku... Tylko ciągle mi się zdaje, że zajrzeć muszę pod podszewkę tego patosu.

– A nie trzeba zaglądać.

– Tych dwóch rekrutów rozstrzelanych w Buzułuku za włamanie do magazynu z konserwami też umierało patetycznie. A wokół Rosja, śnieg, głód, pociągi z rannymi, kolejki po chleb w Kujbyszewie. I słyszysz: „następnego uderzenia nie wytrzymają...”, „byleby bliżej południa, bliżej granicy”. Przeczytali moje dwa reportaże z Rosji i patrzą jak na wroga.

Walicki milczał.

– Niektórzy – ciągnął Raszeński – jak na endeka, piłsudczyka albo komunistę. A dzieje się naprawdę coś wielkiego, tylko że patos wielkości bywa chyba inny... Co naprawdę myśli Sikorski? Ty go przecież znasz, pułkowniku.

– Znałem go – powiedział Walicki. – A ty mi tu – dodał – nie wydziwiaj, pisz spokojniej. Co będzie, to będzie, a wojsko jest.

– „Weszliśmy w epokę faktów dokonanych, które budują przyszłość i które jedynie się liczą” – tak właśnie powiedział Sikorski przemawiając w świetlicy.

– No i dobrze – stwierdził Walicki.

Radwan, chociaż minęło już parę dni, nie mógł pozbyć się uczucia obcości, a jednocześnie otaczała go niezwykłość; wszystko było niezwykle: i powitanie naczelnego wodza, i jego wizytacje w Buzułuku, Tockoje, Tatiszczewie. W niczym te obozy nie przypominały ani Coëtquidan, ani Szkocji. Nie było cienia obłudy czy teatralności, tak sądził, we wzruszeniu, którego nie ukrywali szeregowcy i oficerowie witający Sikorskiego. A jednocześnie on, Radwan, w angielskim mundurze ze swoim „Poland” na ramieniu budził, tak mu się wydawało, jakąś podejrzliwość, nawet niechęć. Jakby fakt, że nie przeżył tego wszystkiego, że nie wiedział, wyłączał go z tutejszej oficerskiej społeczności. Zadawano mu pytania, na które nie bardzo umiał odpowiadać; był egzotyczny i wszystko, co widział, wydawało mu się egzotyczne. Toteż ogromnie się ucieszył, gdy wszedłszy do kasyna w Tatiszczewie zobaczył

kapitana Wicherskiego. Kasyno mieściło się w baraku – duża, nieco ciemnowa izba wypełniona gwarem i ostrym tytoniowym dymem. Dostrzegł ciekawe spojrzenia i od razu poczuł się inny, określony przez swoją londyńskość i bliskość do naczelnego wodza. Zastąpił

mu drogę niski, ruchliwy mężczyzna w okularach. Dwie gwiazdki, wycięte niezręcznie z jakiejś puszki od konserw, na naramiennikach.

– Porucznik lekarz Krzemski – przedstawił się.

– Radwan.

– Wiem, słyszałem. – I cicho, tonem konfidencyjnym: – Panie poruczniku, pan prosto z Londynu, wy macie chyba jakąś łączność z krajem?

– Nie rozumiem.

– No, macie chyba. Zostawiłem żonę z miesięczną córką na ulicy Polnej... Polna 32.

Żadnej wiadomości.

– Przykro mi.

– Wie pan, gdzie Komi?

– Nie.

– Ja też nie miałem pojęcia, jestem stamtąd. Poruczniku, może jakiś łącznik, przecież krążą, na miłość boską, łącznicy, chodzi tylko o wiadomość, jedno jedyne słowo.

I właśnie wtedy, zanim zdążył odpowiedzieć, pojawił się kapitan Wicherski. Poznał go natychmiast, chociaż wydał się postarzały, zmieniony. Jego dowódca z podchorążówki; nie tylko dowódca, także przyjaciel. Radwan wiedział, że Wicherski naprawdę go lubił i aż do września interesował się jego losem.

– Daj mu spokój, Krzemski, on też nic nie poradzi – zwrócił się do lekarza, a potem już natychmiast do Radwana: – Wiedziałem, że przyjechał pan razem z Sikorskim – rzekł.

– Proszę mi mówić ty, jak dawniej – poprosił Radwan.

– Więc dobrze – uśmiechnął się Wicherski chodź do naszego stolika.

Tyle pytań należało zadać, ale Radwan nie zdobył się na żadne. Przy stoliku, do którego zaprowadził go Wicherski, siedziało już dwóch oficerów: tęgi mężczyzna w mundurze pułkownika i chudy podporucznik o pociągłej, wąskiej twarzy i ostrym, niezbyt sympatycznym spojrzeniu.

– Walicki – mruknął pułkownik.

Nazwisko Raszeńskiego, gdy podporucznik się przedstawił, wydało się Stefanowi znajome.

– Chyba to pańskie reportaże czytałem przed odlotem w „Wiadomościach”.

– Moje – potwierdził obojętnie Raszeński.

Radwan rozglądał się po sali. Niektóre twarze wydały mu się znajome, ale nikogo nie mógł sobie przypomnieć. Pito sporo, jakiś podporucznik siedzący w głębi wstał i chwiejąc się nieco na nogach podniósł do góry szklankę. „Niech żyje naczelny wódz!” – wrzasnął.

Nikt nie podjął okrzyku.

– Więc – mruknął Walicki, zwracając się do Wicherskiego – co było dalej z tym Kierzkowskim?

Wicherski spojrzał na Radwana.

– Takich opowieści – rzekł – wysłuchasz sporo...

– Ktoś kiedyś zestawi antologię – roześmiał się Raszeński.

– Albo i nie – powiedział pułkownik – bo gusta są rozmaite.

– Więc z tej lesopiłki do Krasnojarska – ciągnął Wicherski – drogę mieli cholernie trudną, Kierzkowski był bardziej wytrzymały fizycznie, ale Bogusz słabł, piechotą brnęli kilkadziesiąt kilometrów, nocowali gdziekolwiek, ludzie na ogół serdeczni, przywykli do wszelkich dziwności, choć ta polska wędrówka, właściwie nielegalna albo półlegalna, zaskakiwała nawet najstarszych. Wicie, jak to jest... Tłumy bieżęców na dworcach, karmią się, jak kto może, transporty idą albo nie, z transportu wyrzucają, zamykają.

– Jak to? – zdziwił się Radwan.

– Tak to. Bieżęcy od frontu, Polacy ciągnący na południe, choć na lesopiłkach czy innych osiedleniach powiedzieli, że udostowierzenia nie dają im takiego prawa. Wojna przecież trwa, głód, a porządek na tyłach trzeba utrzymać. Ich zamykali dwukrotnie...

Kierzkowski dobrze zna rosyjski, bywał tu przed wojną, świetny inżynier, mówili, że talent do produkcji silników, skończył podchorążówkę artylerii jako prymus, jakoś się zawsze wybronił.

Bogusz milczał, a on gadał, do gadania z Ruskimi trzeba mieć talent. Kierzkowski miał, jakoś ich rozumiał. W jednej miejscowości, Dymianowka się ona nazywała, Bogusz zachorował, pewno by zginął, sam to teraz przyznaje, gdyby Kierzkowski nie zaprzyjaźnił się z pewnym inżynierem z Ukrainy; właśnie do Dymianowki ewakuowano fabrykę silników i ów inżynier był z tej fabryki. Wziął ich do własnej ciupki, gdzie się byle jak gnieździł, Bogusz kurował się na jedynym tam łóżku, a ci dwaj: Kierzkowski i tamten Ukrainiec czy Rosjanin, chlali nocami, skakali sobie do oczu o Stalina, o wywózki, o polskość Lwowa, diabli wiedzą o co, i zaprzyjaźnili się na amen. Trzeba wiedzieć, dla pełności obrazu, że Kierzkowski jest z kresów, z wołyńskiej szlachty i wywieziony został chyba jako potomek pomieszczyków, choć majątek już dziad przepuścił, a on tylko inżynierował, a na tej lesopiłce robił czurki. Dla nie wiedzących powiem, że ścinał brzozę i ciął ją na drobne plastry, rzecz wymagała fachowości, ale nie politechniki. Nic więc dziwnego, że pchał się do wojska, jak tylko ogłoszono amnestię, i pewno dotarłby do Buzułuku, gdyby nie ta Dymianowka. Kiedy Bogusz wyzdrowiał i mógł już wędrować dalej, Kierzkowski oświadczył: „Ja tu zostaję”. „Jak to: zostajesz?” „Pracować w fabryce silników”. „U Rosjan?” „U Rosjan”. Uznał się za cholernie potrzebnego. Dobrze mu tam było, żył się z ludźmi.

Ten sam wstawiony podporucznik z głębi sali podniósł się znowu z kieliszkiem w dłoni i zaintonował „Pierwszą Brygadę”.

– Cicho, durniu! – krzyknął głośno ktoś siedzący obok. I istotnie podporucznik umilkł.

– Tę historię – powiedział Raszeński – chętnie bym zanotował.

– I tak zbyt dużo notujesz – mruknął Walicki.

– Bo – ciągnął dziennikarz – mnóstwo jest podobnych. – I zwrócił się do Radwana: –

Widzi pan, tego w Londynie się nie rozumie. Nie ma prostych stosunków między Polakami i Ruskimi, myśmy tu przeżyli diabli wiedzą co, w rozmaitych obozach i na rozmaitych północach, ale wystarczy pogadać z ludźmi: żyją między fascynacją a nienawiścią, każdy, kto tu, był, ma przyjaciół wśród Rosjan, a są to przyjaźnie, jakie nie istnieją nigdzie indziej w Europie, skacze się do oczu, przeklina, potem mówi „jest, jak jest, wiadomo, takie życie, bo tak trzeba”. A Rosja nas fascynuje, jej kultura, jej ustrój, także choćby piosenka...

– Nie lubię, Andrzej, kiedy przesadzasz – mruknął znowu Walicki.

– Nie dostrzegasz tej bezustannej podwójności, pułkowniku? Choćby w wypadku Kierzkowskiego. Dlaczego w końcu nie poszedł do wojska? My to rozumiemy, choćbyśmy nie chcieli rozumieć, a jednocześnie ciągle nam się marzy, że otrzymamy zadośćuczynienie za nasze cierpienia. I ciąży na nas historia, na nich zresztą też. Oni, że polskie pany, my, że Ukraina, Suworow. No i politykierstwo, kombinacyjki, śmieszne układziki. A trzeba szukać nici łączącej... Żeby oni dowiedzieli się prawdy o nas, o naszych cholernych mękach, a my o nich, ale w istocie jakby nikt nie chciał się dowiadywać, w każdym razie nikt na górze...

Radwan słuchał z rosnącym zdumieniem. Właściwie wszystko dotąd wyobrażał sobie zupełnie inaczej: Sikorski podpisał układ, my zmieniamy politykę, oni zmieniają politykę.

Jeśli obie strony uczciwie... A teraz wydawało mu się, że wylądował w świecie nieznanym, w którym potwornieją nawet odległości zaznaczone na mapach. 450 kilometrów od Buzułuku do Tatiszczewa, od sztabu armii do dywizji, któż to widział? I czym podróżować: koleją, samochodem, samolotem? Jak długo trwa taka podróż, jeśli dowódca armii wezwie?

Pomyślał o Anglii, jak myśli się o przytulnym domu rodzinnym.

– Pesymistycznie – powiedział Wicherski.

– Może – ciągnął Raszeński. – Ale jak o tym piszę, to u nas podnosi się wrzawa, że nie pojmuję naszych cierpień i że zbyt pozytywnie o Sowieciech, a u nich, że za mało o przyjaźni, wspólnej walce i że bez należytego podziwu.

– Czyli – rzekł Radwan – nikomu się nie podoba.

– Właśnie.

– Sam – uśmiechnął się Wicherski – zobaczysz, jak to wygląda.

Radwan chciał zapytać: „A jak było z tobą? Co tu przeżyłeś, co myślałeś?” Ale wiedział, że nie zapyta; nie tylko dlatego, że nie są sami. Dopadło go znowu poczucie obcości, jakby mówił innym językiem niż Walicki, Raszeński, Wicherski. Gdy wyjeżdżał z Anglii, kapitan N. uprzedzał go: „Pamiętaj, że tamtejsi Polacy nienawidzą Rosji, za dużo cierpień, by patrzeć z mądrego dystansu na politykę generała” (nie bardzo rozumiał, cóż to właściwie znaczy: „mądry dystans”). Tymczasem nie dostrzegał zacierzawienia, a nawet chęci rozpamiętywania własnych cierpień. O tych lesopiłkach, wędrownikach, głodach mówili spokojnie, rzeczowo, a nawet z pewną nutą sympatii dla tych Sybiraków, czubaryków, Rosjan, których spotykali na szlaku. Może istotnie: fascynacja rosyjskością? A może Raszeński, Wicherski to wyjątki?

Zawiany porucznik w głębi sali podniósł się znowu i zaintonował: „Jeśli zawtra wajna”.

– Milcz, durniu! – przerwał mu ostry głos.

– Istnieje nie łącząca – mówił tymczasem Wicherski. – To front. Ludzie bez butów, jeszcze w szmatach, chcą iść walczyć...

– Ale jednocześnie – przerwał mu Raszeński – ile politykierstwa. – Zwracał się teraz do pułkownika, z którym był na „ty”, co nieprzyjemnie zaskoczyło Radwana. – Czy nie sądzisz, że wygląda to tak, jakby myślenie niektórych zastygło? I wcale nie tych, którzy najwięcej przeżyli. Słyszysz się bez przerwy: „Dwaj odwieczni wrogowie zjedzą się nawzajem, a my na tych gruzach...” Co myśli o tym naprawdę naczelny wódz?

Zapadło milczenie. Radwan zrozumiał, że powinien coś powiedzieć.

– Naczelny wódz – rzekł – myśli to, co mówi.

Nie wypadło to zbyt przekonywająco.

- Tak, tak, oczywiście – potwierdził Raszeński. – Ale czy nie dostrzegacie, panowie, anachronizmu?
- Jakiego anachronizmu? – zapytał pułkownik.
- Gdy słucham naszych polityków, tych głosów ze sceny londyńskiej, a także tutejszej, odnoszę wrażenie, że oni są z innej epoki, że rzeczywistość sobie, wojna sobie, a oni od grywają teatr, nie wiem: dla historii, dla siebie, wiedząc, że to tylko teatr, bo ich role są z innej sztuki, napisane w innej sytuacji...
- To niebezpieczne myśli, synu – powiedział cicho Walicki, patrząc na Radwana – pamiętaj, że nikt nigdy nie wie, z jakiego jest teatru, może ty także piszesz sobie rolę nie odpowiadającą epoce?

Raszeński jakby nie usłyszał.

- Jaki sens – podniósł głos – mają te gesty, te jagiellońskie frazesy?
- A tobie nie śnią się Jagiellonowie?

Oficer służbowy wszedł do kasyna, rozejrzał się, dostrzegł Walickiego, podbiegł.

- Wódz naczelny prosi pana pułkownika.

Walicki stanął przed gabinetem oddanym do dyspozycji naczelnego wodza i jakby się zawahał. Pomyślał, że takie stare przyjaźnie bywają niekiedy kłopotliwe dla ludzi, którzy, jak Sikorski, objęli najwyższe funkcje kierownicze. Czy generał pamięta, a raczej, czy chce pamiętać ich nocne rozmowy w willi na Mokotowie, gdy nie istniały między nimi żadne służbowe zależności? Oczywiście, starych przyjaciół włącza się do własnej ekipy, ale nie wszystkich można włączyć, nie wszyscy są przydatni lub chcą być przydatni. Zresztą, ludzie zmieniają się. On, Walicki, po tych dwóch latach w Rosji jest innym człowiekiem, a i Sikorski zapewne także...

Stanął wreszcie na progu i zaczął sakramentalną formułkę:

- Panie generale, pułkownik...

Sikorski oczywiście przerwał. W jego serdeczności nie dostrzegł Walicki żadnej pozy ani wymuszenia, może tylko to: „Siadaj, stary towarzyszu...” zabrzmiało zbyt patetycznie...

Wolałby, żeby generał jak dawniej... po imieniu. Ale ile on miał już takich spotkań! Może traktuje je jak konieczną spłatę długu zaciągniętego w odległej przeszłości?

- Wiedziałem, że cię tu spotkam. Chciałem cię odwołać do Londynu.
- Nie trzeba, generale. Póki mogę, chcę być w armii czynnej.
- Obiecywaliśmy sobie przecież – powiedział Sikorski – że popracujemy razem.

Należysz do tych, których nie darzono zaufaniem, bo rozumieli, co się dzieje. Tacy są mi potrzebni...

– I po chwili, ponieważ Walicki milczał. – Dużo przeżyłeś?

– Sporo.

– Nie chcesz o tym mówić.

– Po co?

– I dlatego ich nie lubisz?

– Kogo?

– Mówię, oczywiście, o Rosjanach. – Sikorski nieco podniósł głos.

– Nic nie rozumiesz, generale. – Walicki mówił cicho, jakby niechętnie. – Po prostu więcej o nich wiem i więcej wiem o nas.

I pomyślał nagle, że nie ma ochoty opowiadać Sikorskiemu ani o swoich obozowych przeżyciach, ani o sobie, jakby każde słowo mogło zabrzmieć fałszywie i być źle zrozumiane.

O czym chciałby właściwie porozmawiać z naczelnym wodzem? Szukał tematu, zahaczenia.

O wszystkich tutaj sprawach Sikorski jest przecież informowany, a jego, Walickiego, pogład na wielką politykę... Jeśli generał zechce...? Milczenie było niezręczne i trwało nieco zbyt długo.

– Mogę zapalić, generale? – zapytał wreszcie.

– Oczywiście.

Walicki wyciągnął z kieszeni pudełko rosyjskich papierosów i wreszcie coś sobie przypomniał.

– Bo właściwie – rzekł – mam do ciebie prośbę raczej osobistą.

– Ależ słucham uważnie.

– Chodzi nie o mnie. O młodego oficera, z którym razem siedziałem w lagrze, poetę, dziennikarza, nazywa się Raszeński.

– Słyszałem chyba to nazwisko – mruknął Sikorski.

– Żebyś go stąd zabrał, ściągnął do Londynu albo przeniósł do swojej dyspozycji.

– Dlaczego?

– Lubię go – rzekł Walicki po chwili. – Nie miałem nigdy syna, tu go zjedzą, a tobie się przyda.

– Dlaczego? – powtórzył Sikorski.

– Bo on... – Zawahał się pułkownik – nic nie rozumie. Jego reportaże z Rosji bardzo nie podobały się tutaj wódzom, a jego rozmowy z żołnierzami...

– Zbyt przychylny dla Sowietów? To teraz nie szkodzi – powiedział tonem niemal mentorskim.

Walicki jakby nie usłyszał.

– On nie zachwyca się Rosją, ale traktuje bardzo serio to porozumienie i chciałby uczciwie i o nich, i o nas. A ty przecież wiesz, ile tutaj nienawiści i co mówią o Rosji.

– Wiem. Nie należy mówić głośno.

– Właśnie – uśmiechnął się nieco ironicznie Walicki – głośno! Opowiadał ci Anders, jak Stalin skarżył się, że nawet Kot niezbyt przychylnie mówi o Rosji?

– Nie opowiadał. A cóż to znowu za historia?

– Było tak: Stalin oświadczył, że u nas część prasy i sporo Polaków obrzuca Związek błotem, na to Anders, że tylko zwykli dumie mówią źle o sprzymierzeńcach, Stalin uśmiechnął się i odpowiada: „Mnie cytowano słowa nie zwykłego durnia, ale ambasadora Kota...”

– Ładne i nieprawdziwe. Kot jest zbyt mądry, żeby powiedzieć coś niewłaściwego, co mogłoby dojść do Stalina.

– Nie wiem. Chodzi o nastroje. Wiesz, jak u nas umieją gnoić ludzi.

– Nie u mnie.

– Pomyśl jednak, generale, o Raszeńskim, może się przydać.

– Dobrze. – Sikorski wstał i podszedł do okna. Zapadał już mrok, zobaczył tylko białą płaszczyznę i las na horyzoncie. – A ty? – zapytał nagle odwracając się. – A ty – powtórzył –

co właściwie myślisz o układzie?

– Jestem tutaj dzięki niemu – powiedział Walicki. – Wszyscy jesteśmy tutaj dzięki niemu w mundurach, z bronią i mamy szansę walczyć.

– To na pewno – stwierdził Sikorski – ale w szerszym planie – powiedział nieco gwałtownie.

– Szczerze? – zapytał Walicki i znowu się uśmiechnął.

– Jak dawniej.

Pułkownik spoważniał.

– Dokonałeś, generale, wielkiego wysiłku – powiedział – który zapewne pójdzie na marne.

– Jesteś przeciwnikiem mojej polityki? Ty?

– Nie jestem. Bodajbym się mylił, ale uwierz mi, generale, takiej polityki w ten sposób prowadzić nie można.

Sikorski milczał. Sięgnął po notes leżący na biurku, trzymał go chwilę w ręku, jakby zamierzał zanotować coś lub sprawdzić, odłożył.

– Mów dalej – powiedział wreszcie.

– Bo trzeba – ciągnął Walicki – albo zdecydować się na to przymierze i wszystkie wynikające z niego konsekwencje...

– Jakie?

– Ty wiesz. Ja znam Rosjan i także wiem, jacy są. Więc granice, bo byłoby naiwnością przypuszczać...

– Dobrze. Dalej?

– Cena nie jest niska, ale może być opłacalna. Także stosunek do nich, ta podwójność nie da się utrzymać. Oni słuchają i czytają. Jeśli my zakładamy, że optymalnym rozwiązaniem jest klęska Niemiec i klęska Rosji...

– Ja nie zakładam. Ja muszę rozważać dające się wyobrazić wersje rozwoju wydarzeń.

– Oni też. Ale powiedziałem: albo przymierze, albo nieustępliwa twardość we wszystkim, bo w przeciwnym wypadku będzie można powiedzieć: ani przymierze, ani twardość.

– A ty?

– Ja głosuję za przymierzem...

– W polityce – przerwał Sikorski – nie istnieją takie wybory. Ty tego nie rozumiesz.

Myślę, że Stalin jest na ogół szczerzy w chęci zbliżenia polsko-radzieckiego. I podobnie jak ja wie, że nie wszystko można teraz rozwiązać.

Walicki nie odzywał się.

– Dlaczego milczysz?

– Widzisz... bo ty ciągle grasz... Badasz karty swoje, karty partnera, sprawdzasz, czy warto... A może tu potrzebna wielka odważna decyzja stanowiąca punkt zwrotny w historii...?

– Taką decyzję – podjąłem – rzekł niechętnie Sikorski.

– Dobrze – powiedział Walicki i dodał, choć sam przestał w to wierzyć: – Stać cię na to. Może więc chodzi o realizację? Wybacz, ale gdyby ambasadorem w Rosji był Dmowski, a nie Kot, realizowałyby, na nic nie patrząc, konsekwentną koncepcję. I dzisiaj cała radziecka prasa mówiłaby o naszych żądaniach na zachodzie...

– Czyżby cię przekonali? Ja nie wiązę żądań na zachodzie z jakimikolwiek ustępstwami na wschodzie...

– Ustąpisz – odrzekł Walicki – gdy twoje ustępstwa nie będą miały już żadnego znaczenia.

Sikorski jakby nie usłyszał.

– Ja patrzę bez złudzeń – powiedział. – Oni, oczywiście, stosują rozmaite formy nacisku, choćby więc polskich komunistów w Saratowie w przeddzień mojego przyjazdu transmitowany przez radio. Gdybym wiedział wcześniej, zaprotestowałbym u Stalina... A co do podwójności... Jestem konsekwentny w tym, co mówię i myślę. A wiesz, że atakują mnie ze wszystkich stron, nawet teraz, tutaj... Już sympatyczny Cazalet... Ty go nie znasz?

– Nie.

– W ostrożnej formie, jak mi zameldował Retinger, dał do zrozumienia, że Anglików niepokoją moje niektóre oświadczenia. Jakobym posuwał się zbyt daleko w przyjaźni do Sowietów, choćby podczas bankietu, gdy mówiłem o trwałym sojuszu. Boją się zbytniego zliżenia... A kto mnie zachęcał do szybkiego podpisania układu, kto gratulował podróży do Moskwy? Churchill, Eden...

– To chyba dobrze – rzekł nagle Walicki – że Anglicy się niepokoją, zyskujemy na wartości.

– Tak ci się wydaje? – uśmiechnął się Sikorski. – Jestem otoczony nieufnością... ciągle mnie oskarżają: o zbytnią ustępliwość lub o zbytnią twardość, a trudności piętrzą się na każdym kroku.

– Jak więc widzisz dalszy rozwój stosunków polsko-radzieckich?

Sikorski długo milczał.

– Jestem realistą. Prawdopodobnie ofensywa Niemiec, na wschodzie nie da im stuprocentowego zwycięstwa; przypuszczać raczej należy, że obaj przeciwnicy wyczerpią się i padną bezsilni na olbrzymich przestrzeniach rosyjskich, a wtedy o zwycięstwie i pokoju zadecydują mocarstwa i narody sprzymierzone.

Widocznie dostrzegł rozczarowanie Walickiego, bo postanowił skrócić rozmowę.

– Posłuchaj – rzekł po chwili – gdybyś jednak zmienił zdanie co do swego przydziału...

– Nie zmienię zdania, generale – powiedział Walicki.

Pociąg wiozący z Tatiszczewa generała Sikorskiego i jego świtę przystanął właśnie pod semaforem; za oknem była noc, biała, nie tknięta płaszczyzna śniegu ciągnęła się do odległej linii lasów na

horyzoncie.

Radwana niepokoił ten pejzaż; wydawał się obcy, a jednocześnie znany i ojczysty, podobny do pamiętanych i kochanych.

– A co pan o tym sądzi, poruczniku? – usłyszał nagle głos Wysokońskiego.

Radwan nie bardzo jeszcze wiedział, czy podoba mu się major Wysokoński, jego przyszły, a raczej już obecny przełożony. Niski, szczupły, ruchliwy sprawiał wrażenie energicznego i pewnego siebie.

– To dobrze – rzekł, gdy Radwan mu się przedstawił – że będziemy mieli w ataszacie człowieka cieszącego się pełnym zaufaniem naczelnego wodza.

Te słowa można było traktować rozmaicie. Mogły znaczyć: „Wiem, kim jesteś, po co cię tu posłano”, albo, jeśli nie brzmiały ironicznie: „Przydasz się, bo jesteś stamtąd”.

W Tatiszczewie wsiedli do tego samego przedziału, bo major tak zdecydował; on również zaprosił podporucznika Raszeńskiego. Raszeński wydawał się czujny i napięty, Wysokoński swobodny i niemal rozbawiony. Radwan nie uczestniczył w ich rozmowie, chwilami nawet nie słuchał, właściwie różnica zdań między podporucznikiem i majorem wydawała mu się dość pozorna, chodziło, tak sądził, o akcenty, a nie o istotę sprawy.

Wysokoński ciepło i łagodnie tłumaczył dziennikarzowi, że relacjonując wizytę naczelnego wodza w Rosji, a będzie to czynił w pismach nie tylko wojskowych, należy zręcznie odnaleźć najwłaściwszy ton, by nie zrażając Sowietów okazać im naszą twardość, przywiązanie do polskich tradycji i pełną odporność na komunistyczną propagandę. Jego zdaniem, ostatnie reportaże Raszeńskiego nie mogły się podobać tym, którzy w Rosji cierpieli.

Podporucznik odpowiadał, że on także cierpiał i właśnie dlatego ma moralne prawo pisania prawdy.

Wysokoński uśmiechał się kiwając głową.

– Prawdy, prawdy... Pan jest młody, poruczniku – mówił – a młodość ulega często nastrojom. Trzeba o zgodzie, ale w sposób umiarkowany.

I wtedy właśnie zapytał Radwana, co on o tym właściwie sądzi.

– Naczelnny wódz – rzekł Radwan – mówił o uczciwym wykonywaniu układu.

– Tak, tak, oczywiście – uśmiechał się znowu Wysokoński i spoglądał na obu oficerów, mrużąc oczy – ale widzicie, drodzy panowie, chodzi o zaufanie...

– Zaufanie trzeba budować – odparował Raszeński.

– Ale nie ulegać złudzeniom. Pomyślcie o historycznej ciągłości naszych i ich tradycji i o ciągłości braku zaufania.

Radwan pomyślał, że należy Wysokońskiemu jednak przyznać rację, chociaż w tonie majora było coś, co budziło sprzeciw.

– Chodzi właśnie o to – rzekł Raszeński – by dokonać zwrotu w myśleniu obu narodów.

– Piękne słowa! A czy sam naczelny wódz w swojej polityce nie nawiązuje do tradycji jagiellońskich? Jak pan sądzi, poruczniku Radwan?

– Nie wiem, nie myślałem o tym.

– No właśnie... Czy wy naprawdę sądzicie, że my zrezygnujemy z roli, jaką Polska powinna odegrać w środkowej i wschodniej Europie? Że nie przeciwstawimy Sowiecom ośrodka ładu i siły związanego z zachodem?

Raszeński milczał. Wysokoński, jakby zniechęcony, otulił się płaszczem i przymknął oczy, a Radwan wyszedł na korytarz.

Był to dziwny pociąg, wielojęzyczny, ale niezbyt gwarny, ludzie rozmawiali ze sobą ostrożnie, cicho. Na korytarzu przy oknie zobaczył Radwan majora Cazaleta, którego znał

jeszcze z Londynu, i radzieckiego generała. Rozmowa toczyła się po angielsku. Rosjanin mówił powoli, ale poprawnie.

– Jakie wrażenie, majorze, wywarły na panu polskie oddziały? – pytał.

Cazalet odpowiadał cicho, ale słowa docierały do Radwana.

– Dobrze – stwierdził – chociaż kłopoty z umundurowaniem i zaopatrzeniem są duże.

– Robimy, co możemy.

– Tak, oczywiście – przyznał Cazalet. – Polacy przydadzą się wam na froncie.

– Przydadzą się także sobie, jeśli oczywiście będą walczyć.

– Ma pan wątpliwości? – zapytał Cazalet.

Radziecki generał był ostrożny.

– Mogłoby się wydawać – powiedział – że wy macie także swoje plany dotyczące ich wykorzystania.

– Nie – mruknął Cazalet. – My natomiast nie mamy wątpliwości, że chcą walczyć...

– Ciekawa rozmowa? – usłyszał nagle Radwan.

Odwrócił się gwałtownie. Za nim stała kobieta, której nie znał. Była w prostej, ciemnej garsonce, ale wyglądała elegancko, nawet zbyt elegancko. Na pewno podobała się mężczyznom. Radwan pomyślał,

że należy do tych, o których mówi się „interesująca”.

– Proszę się przedstawić – powiedziała. – Chociaż... zostawmy te formalności, ja już znam pańskie nazwisko. Jestem Ewa Kaszelska, pracuję w ambasadzie, zajmuję się, proszę pana, prasą...

– Miło mi.

– To się dopiero okaże. Podobno nie jestem łatwa we współzyciu. Do jakiego gatunku pan należy?

– Nie rozumiem.

– Bo lubię wiedzieć, z kim mam do czynienia: gatunek młodych naiwnych, cynicznych bohaterów, twardych spryciarzy?

– Nie wiem. A pani?

– Wszystkowiedzących megier. Jestem tutaj wyjątkiem, dobrze się czuję w tym kraju.

– Dlaczego?

– Bo ja się wszędzie dobrze czuję. W ambasadzie mam Wszystkiego po trochu: i poświęcenia, i gierki, i intryzek, i głupoty, i nadziei... – Trudno było ustalić, czy mówi zupełnie serio, czy z ironią i kpina. – Zdażyłam się przyzwyczaić. Przysłali mnie z Londynu znacznie wcześniej niż pana, MSZ było szczęśliwe, że może się mnie pozbyć... Bo ja, mój drogi, jestem zasłużoną wdową po bohaterskim lotniku... – Spoglądała na niego uważnie, badawczo, w tym spojrzeniu nie było ani ironii, ani kpiny. – Pan chciał tutaj trafić?

Radwan wzruszył ramionami.

– Nie prosiłem.

– Jeszcze pan nie wie, dokąd trafił... Niech pan sobie pochodzi, choćby po tym pociągu

– mówiła ciszej – można by sformować ładny pluton agentów otaczających Sikorskiego, podpatrujących Sikorskiego...

– Mnie to nie interesuje.

– Zapatrzony w naczelnego wodza?

– Nie, proszę pani. Wykonujący swe obowiązki.

– Po co zaraz ta śmiertelna powaga? W waszym przedziale jest Raszeński, prawda? Co pan myśli o tym chłopcu?

– Nic. Za mało go znam.

– A o Wysokońskim?

– Nie wiem.

– Widzę, że będę miała ciężki orzech do zgryzienia. – Roześmiała się nagle. – Bo tu, u nas, zawsze ktoś jest z kimś przeciw komuś i tego się nie da ukryć.

– Ja – powiedział Radwan – nie zamierzam bawić się w takie gry.

– Świetnie! – Mogłoby się wydawać, że Ewa Kaszelska jest bardzo zadowolona z rozmowy. – Pozostaje pytanie: jak to się stało, że przysłano pana tutaj? Komu na tym zależało? Bo chyba nie Wysokońskiemu. Zna pan Kota?

– Widziałem go parokrotnie, pracowałem przecież w gabinecie naczelnego wodza.

– Rozumiem, tak mi też mówiono. – Spoważniała nagle. – Tu nie jest łatwo, poruczniku Radwan. – I znowu zmieniła ton. – Pański szef, Wysokoński, uważa się za najzręczniejszego gracza, a w rzeczywistości...

– Wolałbym – przerwał Radwan – sam wyrobić sobie zdanie o majorze.

– Podziwiam pana. Więc żadnych plotek?

– Żadnych.

– Zobaczymy. Pan jest żonaty?

– Nie – odpowiedział po chwili.

– To także duży plus. Zapraszam do mojego przedziału, dostanie pan kieliszek koniaku.

Kończył się pobyt Zygmunta Pawlika we frontowym szpitalu. Gdy po raz pierwszy pozwolono mu przy pomocy siostry wyjść z budynku, w którym jeszcze niedawno mieściła się dziesięciolatka, na duży dziedziniec, spojrzeć na śnieg, drzewa i wypalone domy miasteczka, wciągnął głęboko mroźne powietrze i pomyślał, że jednak z jednym płucem można oddychać, nawet całkiem nieźle.

Postrzał otrzymał drugiego grudnia, podczas kontrataku pod Jachromą. Załamał się już impet niemieckiego natarcia na Moskwę, ale stolica była jeszcze ciągle bardzo blisko i każdy żołnierz tę bliskość odczuwał, chociaż niejedyn Moskwy nigdy nie widział.

Pawlik zapamiętał ten poranek... Trwała zadymka, z okopu widzieli tylko pole przecinane rowami strzeleckimi, pokryte śniegiem; gdzieniegdzie sterczały wraki czołgów, pojazdów, samochodów. Przygotowanie artyleryjskie miało rozpocząć się lada chwila, jeszcze tylko skręcali papierosy. Boria, frontowy przyjaciel, podsunął mu swój woreczek, Pawlik wyciągnął z kieszeni gazetkę, tę właśnie, w której informowano o przyjacielskiej wizycie generała Sikorskiego. Z dziwnym uczuciem czytał tę wiadomość. „Twój generał” –

powiedział Boria. „Mój”? Sam przed sobą nie chciał się przyznać, że sprawił mu satysfakcję ten przyjazd, a przecież nie miał powodu ufać Sikorskiemu ani żadnemu z generałów i ministrów, których nazwiska znał i działalność pamiętał. Całe świadome życie poświęcił

walce z tymi ludźmi i ich rządami. Tak o sobie myślał: „poświęcił”, bo przecież naprawdę zrezygnował z wszelkiego osobistego szczęścia, chociaż teraz tę rezygnację zaczynał

traktować jak winę. „Nie mogłem inaczej, myślał. Ale czy naprawdę nie mogłem dowiedzieć się choćby tego, co dzieje się z moim synem?” Kiedy? Cztery lata w Rawiczu, potem kilka tygodni na wolności, gdy nie istniała już partia, a oczywiste było, że zbliża się najazd niemiecki, osiemnaście dni walki we wrześniu i powrót do Lwowa, w którym działała już władza radziecka. Zosia i Zbyszek mieszkali zapewne nadal pod Kaliszem. Zosia od wielu lat nie chciała go już widzieć. „Nie jestem stworzona do takiego życia” – mówiła. Ale czy naprawdę nie chciała? Czy nie należało... Pomyślał, że teraz chciałby zobaczyć swego syna, którego właściwie nie znał, i zadziwiła go ta niespodziewana tęsknota.

Udało mu się wstąpić do armii osiem dni po ewakuacji Lwowa. Był dumny, że nie posłano go do batalionów robotniczych, ciągle obawiał się, że jednak poślą; spotkało to wielu towarzyszy, którym nie ufano... A dlaczego mieliby ufać? Ludzi trzeba długo sprawdzać...

Powtarzał sobie te dwa zdania, ale nieodmiennie sprawiały ból. Był jednak nawykły do znoszenia bólu, uważał, że jest twardy, że taki właśnie być powinien.

Ania, jego młodsza siostra, która wyjechała razem z nim ze Lwowa, a od której otrzymywał teraz listy z Kujbyszewa, powiedziała kiedyś: „Czasem myślę, że to nie twardość, a nieczułość”. Chodziło wówczas o kogoś, kogo właśnie we Lwowie potraktowano niesprawiedliwie, oskarżono może bez podstaw. Może? Nie wolno ryzykować, gdy chodzi o wielką stawkę. Cóż znaczy poszczególne życie ludzkie? „Mówicie o szczęściu milionów niby o wielkości statystycznej, jakby szczęście milionów nie składało się z wielu indywidualnych jednostkowych radości”. Przypomniał sobie emerytowanego nauczyciela, który mieszkał w tej samej co on kamienicy we Lwowie. Tak właśnie mówił. Śmieszny staruszek. Wątpliwości starego inteligenta. On, Zygmunt Pawlik, nie miewał takich wątpliwości. Wówczas, pod Jachromą, kiedy w oczekiwaniu na rozkaz do natarcia palił skręconego z gazety papierosa, myślał, że wszystko rozstrzyga się właśnie tutaj i ważne jest, że on bierze w tym udział.

Ciekawe, czego wtedy przed bitwą chciał od niego komisarz batalionowy? Nigdy się już nie dowiedział. Zampolit rotę przekazał mu polecenie, by się zameldował w batalionie, po natarciu oczywiście. Pomyślał, że może jednak chcieli odesłać go do batalionów robotniczych, i jeszcze teraz, choć to zupełnie nie było ważne, ta możliwość sprawiła mu przykrość.

Niewiele już pamiętał z samego natarcia. Pamiętał dowódcę rotę, który wyskoczył z okopu, i pamiętał siebie biegnącego przez śnieg; widział tylko czarny dym snujący się nad okopami niemieckimi, a potem nagle zobaczył niebo rozprute błyskawicą wybuchu i... twarz kobiety w białym fartuchu, pochylającej się nad nim.

Gdy już zaczął wstawać, przywieźli do jego sali i położyli na sąsiednim łóżku młodego chłopca o okrągłutkiej, niemal dziecinnej twarzy. Mógł być niewiele starszy od jego syna.

Pawlik siadywał na jego łóżku, podawał mu basen, przynosił herbatę. Siergiej, bo tak się jego sąsiad nazywał, miał zadaną bagnetem ranę brzucha. Zygmunta niepokoił jego stan; lekarze przychodzili często, oglądali chłopca, brali na badania i zabiegi, ale milczeli.

– Wyzdrowieję, ojczulku? – pytał Siergiej, bo mianował Pawlika „ojczulkiem”.

– Wyzdrowiejesz, oczywiście – zapewniał Pawlik. Chłopak był ciekawy, bystry, lubił rozmawiać.

– A dlaczego ty, ojczulku, tak mało mówisz o sobie?

– Widać nic interesującego nie mam do powiedzenia.

– Sam jesteś interesujący. Polak i w naszej armii... Powiedz, jak Polacy patrzą na Rosjan?

– Rozmaicie.

– To nic nie znaczy. Ja wiem: internacjonalizm... Wspólnie walczymy z Niemcami, niby proste i zrozumiałe, ale jak nas widzą w innych krajach, co o nas myślą?

Pawlik opowiadał, czym dla niego w więzieniu i podczas walki nielegalnej był

Związek Radziecki, cytował wiersz Broniewskiego o Magnitogórsku, ale Siergiej nie wydawał się zadowolony.

– To ty, oczywiście komuniści. A inni? Chciałbym – wzdychał – zobaczyć, jak wygląda choćby Polska, jak tam ludzie żyją.

– Zobaczysz...

– Może... – I mówił o sobie, o swoim największym marzeniu: – Żeby partyjkę szachów... Bo ja – tłumaczył – odkąd pamiętam, grałem w szachy, miałem mistrzostwo Homla, gdy kończyłem ósmą klasę. W tym roku obiecywano, że będę grać w Moskwie.

Mówili, że mógłbym zostać arcymistrzem... Arcymistrzowie dużo jeżdżą po świecie.

I Pawlik, gdy tylko sił zyskał tyle, by móc wyjść z sali, ruszył na poszukiwanie szachów.

Poznawał przy tej okazji połowy szpital. Łóżka stały wszędzie: na korytarzach i w sali gimnastycznej dawnej dziesięciolatki; nosze z rannymi leżały także na podłodze. Ten ciągły widok nieszczęścia, cierpień – widać – uodparniał, bo Pawlik nie zwracał na nic uwagi i nikt także nie interesował się Pawlikiem. Szukał szachów i zwracał się do wszystkich spotkanych ludzi w białych kitlach: do zmęczonego sanitariusza, który oparty o ścianę jadł zupę z menażki, do lekarki, która skończyła właśnie badanie rannego przyniesionego na noszach i zapaliła papierosa, do młodej dziewczyny biegnącej korytarzem ze strzykawką w rękę.

– Nie wiecie przypadkiem, kto może mieć szachy?

Niektórzy nie bardzo rozumieli, o co mu chodzi. Sanitariuszka przez chwilę rozważała pytanie, potem przyjrzała się uważnie Pawlikowi.

– Szachy? – powtórzyła. – Ktoś kiedyś wyciął warcaby, ale nie wiem już kto i kiedy.

Lekarka kazała mu wracać na salę. Jakiś ranny podnosił się na łóżku i powtarzał:

„Dajcie popalić... przynieście popalić”.

Spotkał wreszcie znajomego lekarza, który od czasu do czasu zaglądał do ich sali.

– A, nasz Polak – rzekł lekarz. – Spaceruj sobie urządzać? Wejdźcie do mnie.

Weszli do maleńkiego gabinetu oddzielonego od innych pomieszczeń ścianką zmajstrowaną z dykty. Lekarz usiadł przy stoliku, Pawlikowi wskazał niewielką kanapkę.

– Będziemy niedługo was wypisywać – oświadczył.

– Wrócę do oddziału.

– Żartujecie – roześmiał się lekarz – dla was front się skończył.

– Będę walczył – powiedział Pawlik i sam się zawstydził: zabrzmiało to patetycznie i zbyt mocno.

– Wszyscy tak mówicie, a w gruncie rzeczy każdy jest szczęśliwy, że uniknął śmierci.

– Lekarz był wyraźnie zmęczony. – Mam dość tego patosu – dodał. I potem zapytał innym tonem: – Chcielibyście do polskiej armii?

– Szukam szachów – powiedział Pawlik.

Lekarz nie od razu zrozumiał.

– Ach, szachów... – odezwał się wreszcie. – Mój drogi, ja też lubiłem tę grę.

Pawlik wyjaśnił. Przypomniał lekarzowi chłopca, który leżał obok niego. Marzy o szachownicy, rysuje ją sobie palcem na kocu, rozwiązuje zadania w pamięci, a pamięć ma niezwykłą. Może istotnie zostanie kiedyś mistrzem?

– Rozumiem – mruknął lekarz. Wyszedł i po chwili wrócił, niosąc zniszczone pudełko szachów. – Mogę to wam pożyczyć, na waszą odpowiedzialność, bo to nie moje...

Przyjaciela, który nigdy nie rozstaje się z szachami. A chłopak pożyje najdłużej dwa, trzy dni...

– Coście powiedzieli?!

– Umrze – rzekł lekarz nieco zdziwiony – nic nie możemy poradzić, ropa w otrzewnej, nerki nie funkcjonują.

...Siergiej wyjmował z pudełka figurki, oglądał je, głaskał, rozstawiał na szachownicy.

– Zagramy – mówił – zagramy dwie partie, potem przypomnę sobie parę rozgrywek. I wam pokażę, ojczulku. Dla mnie to najważniejsza rzecz na świecie, każdy ma swoją najważniejszą rzecz. Jaka wy macie?

– Nienawiść – szepnął po chwili Pawlik.

Zapadał wczesny zimowy mrok, gdy Pawlik wysiadał na dworcu w Kujbyszewie. Nie znał tego miasta, ale wojenne dworce wszystkie były jednakowe: na peronach i w poczekalniach kłębił się tłum uchodźców, ewakuowanych, wojskowych czekających na pociągi, biegających z czajnikami, rozkładających się na dłuższy biwak. Pawlik szedł z trudem, tobołek zarzucił sobie na plecy, laskę wbijał mocno w zamrażający śnieg.

„Wyzdrowieję całkiem” – myślał. Oczywiście myślał też o Ani, która się go jeszcze nie spodziewa, którą widział ostatnio podczas ewakuacji Lwowa. Była sporo od niego młodsza, ale nigdy nie zwracał na nią zbyt wiele uwagi i nawet po śmierci ojca – matka umarła znacznie wcześniej – nie zainteresował się nią naprawdę. Dopiero przed wybuchem wojny... A przecież była mu bliska. I poczuł nagle, tak jak wówczas, gdy myślał o Zbyszku, ostrą niechęć do usprawiedliwień, które wydały mu się teraz niewystarczające: „Nigdy nie miałem czasu ani dla siebie, ani dla bliskich. Nie mogłem inaczej” Czy istotnie: „nie mogłem inaczej?”

Przedzierał się przez tłum zalegający perony i patrząc na tych ludzi spieszących się, czekających na pociągi, pomyślał znowu, jak wielokrotnie podczas podróży: „Co ja teraz będę robił”? Usłyszał nagle, tuż obok siebie, rozmowę prowadzoną po polsku.

– Gdzie, cholera, może być ten polski oficer służbowy, jeśli jest?

Było ich czterech: jeden w kozuchu z głową owiniętą szalem i w nasadzonej na ten szal wymiętej polskiej rogatywce, drugi był w fufajce i wyleniałej czapie futrzanej, a nogi miał owinięte szmatami, dwaj pozostali trzęśli się z zimna w cienkich szynelach. Jeden z nich, młody, wysoki, o twarzy niemal dziecięcej i zadartym nosie („Zbyszek też miał zadarty nos, to po matce”) miał podejrzenie białych policzków.

– Śniegiem – powiedział Pawlik – natrzyj śniegiem, bo odmrozisz.

– Co śniegiem? – zdziwił się tamten. Patrzył na Pawlika nie rozumiejąc.

– Twarz, nos, policzki...

– Pan także do Buzułuku? – zapytał ten w fufajce.

To „pan” zabrzmiało tak, że Pawlik z trudem powstrzymał śmiech.

Przepchali się do poczekalni, do wielkiej sali, także zatłoczonej ludźmi kocującymi na podłodze, na ławkach, ale przecież ogrzewanej.

– Do Buzułuku? – powtórzył pytanie ten w fufajce.

– Z frontu – odpowiedział Pawlik. – Teraz ze szpitala. – Wydobył woreczek z tytoniem. – Palcie...

Sięgnęli chętnie, ale spoglądali teraz podejrzliwie.

– Czerwonogwardzista! – mruknął mężczyzna w kozuchu. – Przecież Polak... Panie –

zaczął mówić szybciej – czy pan wie, jak długo my jedziemy? Dwa razy nas zamykali, raz wyrzucili z pociągu...

– Bywa – powiedział Pawlik.

– Bywa, bywa! – przedrzeźniał tamten. – A o takiej rzece: Jenisej, pan słyszał?

Łokino, „polska wieś”, niedaleko Krasnojarska.

– O Łokino nie słyszałem.

– Pan nieuczony w geografii – stwierdził mężczyzna w kozuchu.

Ten o twarzy dziecka rozglądał się niespokojnie.

– Chyba dadzą coś jeść... Mówili, że w Kujbyszewie jest na dworcu polski oficer...

– Bywa.

– A ja, panie – odezwał się nagle mężczyzna w fufajce – właściwie nie mam nawet do nich pretensji...

– Co też opowiadasz! – przerwał ten w kozuchu.

– A nie mam. Ludzie jak ludzie. Nawet serdecznie żegnali, kiedy szedłem do wojska...

– Mój ojciec tam umarł – powiedział cicho najmłodszy. – A pan też do Buzułuku? –

ponowił pytanie, na które Pawlik jeszcze nie odpowiedział.

– Nie – rzekł Zygmunt jakby z wahaniem. – Nie – powtórzył stanowczo.

– Jak to, nie?

Pawlik milczał. Nie miał ochoty im wyjaśniać. Argumenty oczywiste wydały mu się nagle kruche.

– Komunista – mruknął wówczas mężczyzna w kozuchu.

– Komunista – potwierdził Pawlik.

Chciał dodać „bez jednego płuca”, ale podniósł tylko swój tobołek, zarzucił go na plecy i ruszył ku wyjściu. Odwrócił się potem raz jeszcze. Ci czterej stali blisko obok siebie, zapewne, żeby było cieplej. Pawlik nagle wyobraził ich sobie w polskich mundurach i przyspieszył kroku, jakby chciał uciec od tego obrazu, ale natychmiast przystanął, bo zabrakło mu sił. Śnieg właśnie zaczął padać. Od dworca biegła długa, ciemna ulica. Pomyślał, że Moskiewska, przy której mieszka Ania, może być bardzo daleko, ogarnął go lęk i jednocześnie niechęć, pogarda dla własnej słabości. Znowu chwycił tobołek, ale w tej chwili pojawiła się obok niego dziewczynka, może piętnastoletnia, w cieniutkim paletku.

– Pamagu wam, towarzyszczy bojce – powiedziała. – Dajcie, ja poniosę.

Moskiewska była niedaleko śródmieścia. Rozległy wydawał się zresztą ten Kujbyszew, Zygmuntowi przypominał nieco Brześć. Obok nowych gmachów stały stare kamienice, drewniane budy, uliczki niemal wiejskie leżały nieopodal wielkomiejskich placów. Ruch natomiast był ogromny; kobiety ciągnęły saneczki z drzewem na opał, przed sklepami stały długie kolejki, jezdnią maszerowały oddziały piechoty.

Dziewczynka pokazała Pawlikowi Moskiewską i zniknęła tak szybko, że nie zdążył jej nawet podziękować. Znalazł numer szósty. Kamienica była stara, dawno nie remontowana; po ciemnych schodach wszedł z trudem na drugie piętro. Pomyślał nagle, że jest zupełnie tak, jakby wracał do domu. A czy gdziekolwiek na świecie istniał jego dom?

Zapukał, czekał długo na otwarcie drzwi. Na progu stała wreszcie sympatyczna, korpulentna niewiasta, ale zanim zdążył się przedstawić i zapytać o Anię, zobaczył siostrę w głębi długiego korytarza. Podbiegła i gdy ją całował, wydała mu się znacznie starsza niż ta, którą pamiętał sprzed paru miesięcy.

Mieszkanie było duże, ale jego dotychczasowa właścicielka Jekatierina Pawłowna zajmowała tylko kuchnię; pokoje oddała bieżącym. W kuchni Ania pomogła mu zdjąć szynel, posadziła przy długim, drewnianym stole, a Pawłowna przystąpiła natychmiast do rozlewania zupy. Wodnista zupa grzała się właśnie w garnku i nie było jej zbyt wiele.

Gospodyni zachowywała się bezpośrednio, gościnnie, serdecznie, jakby do domu wrócił ktoś oczekiwany i pamiętany. Mówiła, że Ania o nim opowiadała, że czytały jego listy, płakały, gdy został ranny, że dobrze zrobiłaby mu kąpiel, ale nie da rady, wojna, niech więc zzuje buty, niech zje gorącej zupy. Patrzyły, jak opróżnia talerz, i nagle pomyślał, że na pewno są głodne. Sięgnął po swój tobołek i wydobywał skarby, żołnierski pajok otrzymany w szpitalu, więc chleb, solidny bochen chleba, słonina starannie owinięta w szmatę, puszka mięsnej konserwy, a także cukier w kostkach.

– Boże – zachwyciła się śpiewnie Jekatierina Pawłowna – tyle dobra!

W drzwiach kuchni pojawiali się już inni mieszkańcy. Najpierw dwoje dzieci: chłopak i dziewczynka. Stały na progu i z ogromną powagą, bez słowa, przypatrywały się skarbowi leżącemu na stole. Pawlik rozbił nożem kawałki cukru; wzięły, ale nie włożyły do ust, trzymały ostrożnie na

otwartych dłoniach. Potem zjawiała się wysoka, chuda kobieta.

– Nie spotkaliście – zapytała – lejtnanta Piętrowa?

Pawlik powtórzył nazwisko, szukał w pamięci.

– Taki smagły, z czubem. Może na froncie albo w szpitalu?

– Nie, nigdzie.

Dopiero gdy znaleźli się sami w maleńkim pokoiku Ani, mogli porozmawiać swobodnie. Ania rozciągnęła na podłodze materac, Zygmunt położył się natychmiast. Tyle miał jej do powiedzenia, tyle chciałby o niej wiedzieć, tak mu się przynajmniej wydawało, gdy tu siedł, gdy siedział w kuchni, a teraz milczał, jakby wszystko było jasne i wiadome, a jednocześnie jakby o najważniejszym nie należało mówić.

– Ten lejtnant Pietrow zginął przed dwoma miesiącami – powiedziała Ania.

– Aha.

– Zmęczony? – zapytała.

– Także. Opowiedz coś o sobie.

Uśmiechnęła się.

– Pracuję, jestem potrzebna; w szpitalu jak w szpitalu, sam wiesz. Wszystkim ciężko i mnie ciężko. Widziałeś, jak żyjemy, nikt się nie skarży...

– No, a Polacy, towarzysze...?

Ania milczała chwilę.

– Jest nas tu trochę... Jest Janka, Helena, Tadeusz... Przyjeżdżała Wanda. Pracują w polskiej sekcji radiokomitetu... Mnie także proponowali, ale wolę szpital i nie mam dla nich zbyt wiele czasu... Widzisz... chodzi nie tylko o czas, jesteśmy jakby na marginesie, i to boli.

Co my tutaj powinniśmy niby robić?

– I ty zadajesz takie pytanie?! – zachnął się Pawlik.

– Są oczywiście odpowiedzi proste – szepnęła Ania – ale pomyśl... widuję czasem tych z ambasady, chodzą w polskich mundurach, jest polska armia, która będzie walczyć tutaj...

Czasami myślę, że ja także powinnam być w tej armii. Wiem, co powiesz... Byłam w KZMP i nie zmieniałam poglądów. Ale komuniści walczyli we wrześniu, ty także. Cóż z tego, że to była armia burżuazyjna?

Pawlik przymknął oczy.

– Jest zupełnie inna sytuacja – rzekł wreszcie z trudem. – Ja zresztą nie wiem, co będzie ze mną... Jeśli nie wezmą do armii, a pewno nie wezmą...

– Spij – przerwała mu Ania. W jej głosie wyczuł rozczarowanie. – Jutro pogadasz sobie z towarzyszami, znasz ich przecież...

Znał, oczywiście. Tadeusza, który od paru lat przebywał już w Związku Radzieckim, a uchodził za jednego z najzdolniejszych teoretyków partyjnych; Jankę, pełną temperamentu i optymizmu, a jeśli był to nawet, jak niektórzy twierdzili, optymizm naiwny – wzruszał i pomagał przetrwać; Helenę, ruchliwą, nerwową, zawsze wiedzącą najlepiej... W małym pokoiku przydzielonym polskiej sekcji przez radiokomitek było domowo i przytulnie. Ale właśnie ta przytulność wzbudzała w Zygmuncie niechęć; daleko od pierwszej linii, myślał, pierwszej linii frontu i jakiegokolwiek autentycznego działania.

– Rezerwa – powiedział to głośno.

Tadeusz, wysoki, łysy, wyglądający dość staro jak na swoje czterdzieści lat, oburzył się natychmiast. Drobnymi kroczkami spacerował po pokoju.

– Też poszedłbym do armii – powiedział – ale ani mnie nie wezmą z moim sercem, ani ciebie z twoimi płucami. Ty naprawdę myślisz, że my nie mamy tu nic do zrobienia? A może powstała jedyna i pierwsza możliwość przygotowania wielkiego zwrotu?... Sikorski nie jest w stanie prowadzić konsekwentnie nowej polityki.

– Chcesz stworzyć konkurencję czy alternatywę?

– Nie tak. Popieramy Sikorskiego, gdy jest konsekwentny, ale tylko my...

– Cóż to niby znaczy, my? Garstka komunistów ze Związku Radzieckiego?

– Tylko my – ciągnął nie zrażony Tadeusz – możemy stworzyć nową perspektywę.

Pomyśl: Polska powracająca na ziemie zachodnie, wyrzekająca się wielowiekowego balastu parcia na wschód...

– Nie czas o tym myśleć, gdy Niemcy stoją pod Moskwą.

– Wynik wojny może być tylko jeden – stwierdził Tadeusz – tego właśnie nie rozumie Sikorski. My już teraz musimy i powinniśmy tworzyć wizję nowej Polski, demokratycznej, związanej przyjaźnią ze Związkiem Radzieckim, takiej, w której każdy uczciwy Polak, patriota znajdzie sobie miejsce... Dzisiaj mamy dziesięć minut na antenie, a jutro może będziemy mieli pismo...

Zygmunt uśmiechnął się ironicznie.

– To bardzo ogólne hasło. Cóż to niby znaczy: miejsce dla każdego Polaka?

Nieokreślona narodowa zgoda i nieokreślone granice zachodnie. Ze niby coś wyhandlujemy w powojennym świecie? Już to gdzieś kiedyś słyszałem: najpierw niepodległość, potem socjalizm...

– Niepotrzebna ironia – szepnął Tadeusz. Przerwał swój spacer i usiadł na kanapie obok Pawlika. – My tu nie jesteśmy rezerwą. Dzisiaj Sikorski reprezentuje Polskę, ale nie tylko on będzie decydował o jej przyszłości. Może nasza wizja jest jeszcze tylko fantazją, ale jutro... I pomyśl o kraju. W kraju powstanie partia. Czy sądzisz, że wszyscy bez zastrzeżeń popierają politykę Londynu? Czy nie dostrzegają jej niekonsekwencji, słabości, niebezpieczeństw? A Polacy w Związku? Ufają tylko Sikorskiemu?

– Towarzysze radzieccy – wtrąciła nagle Ania – nam też nie zawsze ufają. Ilu polskich komunistów...
– urwała, dostrzegłszy niechętnie spojrzenie Zygmunta.

– Żale, pretensje... – Tadeusz podniósł głos. – No to co, że wielu cierpiało? No to co, że nam teraz ciężko, że boli, że szukamy własnego miejsca? Trzeba patrzeć w przyszłość. Są niesprawiedliwości, które nie przesłonią...

– O jakich to niesprawiedliwościach mówisz? – cierpko przerwał Pawlik.

– Ty wiesz także.

– Ja nie wiem. A tobie brak zaufania.

– Nie strzelaj z wielkiej armaty. – Głos Tadeusza stał się znowu o ton wyższy. – Ja mam zaufanie do przyszłości. Ludzie sporo wycierpieli; jeśli o tym zapomnimy, nikt nam nie uwierzy.

Przyszłość! Pawlik przestał słuchać. Helena mówiła o możliwościach wydawania pisma, Janka opowiadała o Wandzie, że właśnie pisze powieść o walkach na zajętych przez wroga terenach, a on myślał o swoim batalionie, który gdzieś, niezbyt daleko od Moskwy...

Kto zginął? Czy żyje jeszcze Boria, który sprzedawał lalki na placu Majakowskiego w Moskwie i ciągle opowiadał o swojej żonie Soni i córeczce Wierze, które przychodziły przed zamknięciem sklepu, by zobaczyć, jakie lalki, a znały wszystkie, zostały sprzedane... Albo Gruzin Georgij, który nie mógł nauczyć się po rosyjsku... Lonia, najstarszy z nich wszystkich, skazany przed wojną na pięć lat obozu, nigdy nie powiedział, za co... Pawlik pomyślał, że w batalionie wszystko było jasne i oczywiste i że teraz chodzi tylko o to, żeby walczyć, a przyszłość... Mój Boże, co my możemy wiedzieć o przyszłości?

– Trudno sobie wyobrazić świat powojenny – usłyszał głos Tadeusza – ale można przynajmniej przewidywać...

Notatki Tadeusza przechowane wbrew woli autora przez jego żonę, Ewę

...Samego mnie dziwi potrzeba sporządzania tych notatek. Dotąd pisałem tylko to, co miało być publikowane, co służyło partii, pisałem artykuły, teksty ulotek i przemówień, nigdy żadnych

pamiętników czy refleksji do szuflady. Niby po co? Żeby wpadły w ręce policji?

Teraz natomiast chcę porządkować myślenie, próbuję znaleźć odpowiedź na pytania, które postawione zostaną jutro; lubię zresztą rozmawiać na ten temat z Alfredem, choć nie zawsze się z nim zgadzam: jego pomysły wydają mi się zbyt śmiałe. Ewa już śpi, osłaniam żarówkę gazetą i przytulam się do piecyka, który jeszcze przed paroma godzinami sprawiał

wrażenie ciepłego.

Jutro... Jakże mało wiemy! W sercu tego ogromnego kraju możemy tylko obserwować zmagania, które zadecydują o losie świata. Jesteśmy na marginesie wydarzeń, jesteśmy możliwością, szansą, a gdy istniejemy parę minut w eterze, do kogo docierają nasze słowa? Polskę reprezentuje Sikorski. Byłem na lotnisku, gdy przyjeżdżał do Kujbyszewa. Musiałem pójść, choć wcale nie było to łatwe. Słuchałem „Mazurka Dąbrowskiego”, widziałem biało-czerwone sztandary obok czerwonych i mnie, który siedem lat przesiedział w Polsce w więzieniu, rok w Berezie, mocniej zabiło serce. Nikomu nie powiedziałem, że tam byłem... Może zresztą wiedzą. Powiedziałem Alfredowi: „Konieczne jest głębokie przeobrażenie naszego ruchu”. On się oczywiście zgadza, ale cóż to właściwie znaczy „przeobrażenie”? Jaka jest ta partia, która powstaje teraz w Polsce i o której wiemy tak mało? Rozmawiałem z Marianem przed jego odlotem do kraju. Myślę, że czuliśmy podobnie, choć żaden z nas tego nie powiedział: „Musimy przekroczyć barierę, której komunistom przed wojną przekroczyć się nie udało”. Nie mówiliśmy „Polska”. Mówiliśmy:

„klasa robotnicza”, „rewolucja”, „socjalizm”... Ginęliśmy we wrześniu, ale ci z nas, którzy znaleźli się po tej stronie Bugu, nie rozpaczali z powodu upadku burżuazyjnego państwa. Ja rozpaczałem.

Pamiętam, że mnie bolało, tym się różniłem... Gdy usłyszałem „bękart traktatu wersalskiego”, zabolalo jak przed zawałem. Wiem, że B. oskarżył mnie o nacjonalizm, jeśli się o tym dowie. Zabawne – ja i nacjonalizm! Jakże ciągle mało rozumieją niektórzy spośród nas! Wanda, której sytuacja różni się zasadniczo od mojej, bo cała pochłonięta jest działaniem: pisze, jeździ na front... jednak gdy dzień, godzinę zostaje tutaj – rozumie moją mękę. Ale inni!

Wrócił z frontu Zygmunt Pawlik, dobry, uczciwy towarzysz, i natychmiast oskarżył

nas o beczynność, a nasze myślenie (raczej próby myślenia) – o odchodzenie od pryncypiów.

Świat Zygmunta jest prosty i oczywisty. Muszę napisać: boję się takiej wizji świata. Chciałem zapytać Pawlika: „Jak ci się zdaje, kim jesteśmy dla gospodarzy? Rezerwą? Kartą do rozegrania? (Oskarżyłby mnie o polityczny cynizm). I czy nam ufają?” Dlaczegoż by mieli?

Ludziom z partii rozwiązanej przez Komintern, atakowanej jak bakteriami chorobotwórczymi przez agentów dwójki i prowokatorów...

Straszliwie ciężko pomyśleć... Już widzę oczy B., gdy ze mną rozmawia, pochyla się nad stołem, sięga po papierosa, chciałby usłyszeć to, czego mu nie powiem... I tak powiedziałem zbyt wiele... jestem na niebezpiecznym pograniczu, na krawędzi, z której droga

– donikąd, w nicość, nie chcę nawet spojrzeć w dół. Niekiedy, szczególnie nocą, gdy piecyk już wygasa, gdy drzę z zimna pod kocem i płaszczem, zamykam oczy i widzę ich twarze (nie mam odwagi pomyśleć nazwisk), twarze przyjaciół-zdrajców, towarzyszy-prowokatorów...

„Nie ufasz Jego mądrości?”

B. może oczywiście powiedzieć (donieść), że nie ufam, choćbym gorąco zaprzeczał.

Ale w istocie jest we mnie ufność głęboka, wierzę mocniej niż B., bo nie wężę nieustannie odstępstwa...

„Ty nie możesz się wyzbyć pewnych kategorii myślowych właściwych politykom burżuazyjnym”. Tego nie powiedział B. I na szczęście B. nie było, gdy mówił to Julian. „Na czym to polega?” – zapytałem.

„Nasza koncepcja stosunków polsko-rosyjskich – pouczał Julian – jest negacją, a nie kontynuacją dotychczasowej historii i tradycji. Sikorski chce stworzyć płaszczyznę porozumienia dwóch państw o odmiennych interesach. To dobrze, to pierwszy krok. My natomiast nie chcemy być po prostu konsekwentniejsi niż Sikorski, my znajdujemy zupełnie inną płaszczyznę...”

Przestałem słuchać. Oczywiście, kontynuacja i zaprzeczenie jednocześnie, ale najpierw powinienem Juliana zapytać: Czy jesteś pewien, że On chce rozmawiać z komunistami? Czy nie woli z Sikorskim, jeśli zdoła się z nim dogadać? Czy On wierzy, czy my wierzymy, że jesteśmy w stanie stworzyć masową partię, wziąć władzę? Nazwą nas agentami Moskwy. Nie, tego się nie boję. I jestem także pewien, że będziemy w stanie stworzyć wizję przyszłości.

Właśnie my.

Rozmawialiśmy wczoraj z Alfredem o Polsce przesuniętej na zachód i szukaliśmy na mapie tych granic, a potem spojrzeliśmy nagle na siebie i przykryliśmy mapę gazetą, jakbyśmy się przestraszyli obaj, jednocześnie, naszych wspólnych myśli. Czy kiedykolwiek zdołamy naprawdę wykorzystać tę szansę?

Na jutro nie ma już opału. Ewa boi się zimna bardziej niż ja. Z rozpaczą oglądam jej chude ręce; ma pomarszczoną twarz staruszki, dłonie przysuwa do piecyka i gładzi palcami metal. „Co ty właściwie piesz? Projekt audycji?”

Nawet jej nie powiem: piszę dla siebie. Wiem, czego boję się najbardziej – naszego strachu, naszej małości, naszej niewiary... Boję się oczu B., ale także Zygmunta Pawlika. A siebie? Jakim będę, gdy wybije moja godzina?

Była to dziwna ambasada. Nawet gdyby profesor Kot umiał i chciał, nie mógłby zachować dyplomatycznej pompy i przestrzegać rytuału obowiązującego w zwyczajnych poselstwach. Z

istnieniem i działaniem ambasady wiązały się nadzieje wielotysięcznej rzeszy uchodźców; przyjeżdżali tu ludzie z najdalszych krańców Związku Radzieckiego, przychodziły setki listów,

należało organizować pomoc i kierować do wojska, pamiętając nieustannie o ograniczeniach i trudnościach czasu wojny. A jednocześnie w dusznych, małych pokojach toczyły się większe i mniejsze boje personalne; wszyscy wiedzieli, że profesor podejrzewa wszędzie działanie mafii – a to sanacyjnej, a to londyńskiej, przeciwnej generałowi – że on i Anders skaczą sobie do oczu, że za plecami profesora...

Każdy krok był trudny, każda komplikacja mogła mieć brzemienne w nieprzewidziane skutki następstwa. Radwan orientował się powoli w tym ambasadzkim świątku, głównie zresztą dzięki pani Ewie, ale jego wiedza o kraju i o polskich tutejszych losach wydawała mu się ciągle zbyt wąta. Słuchał, wierzył i nie wierzył, rozumiał i nie rozumiał, ciągle, jak mawiała Kaszelska, usiłując za pomocą paru prostych dogmatów rozwiązać równania z wieloma niewiadomymi.

Był styczeń czterdziestego drugiego roku. Trzymał mocny mróz, a rankiem, jak zwykle, gromadzili się przed ambasadą i w niewielkiej jej poczekalni ludzie, z rozmaitych stron i w rozmaitym wieku, dla których widok polskiej flagi i polskiej tablicy był sam w sobie czymś niezwykłym.

Wysoki, mocno starszawy mężczyzna ubrany w coś, co było niegdyś ciemną jesionką, mówił jakby do siebie, a nie do kobiety skulonej obok i przytulającej tobołek leżący na kolanach:

– Muszą mnie wziąć, muszą... Ja już nie wrócę. Jak nie wezmą do wojska, siądę na dworcu i zamarznę.

– Nie zamarznie pan, nie zamarznie. Ja już trzy noce na dworcu nocuję, a ile dni jechałam...

– A po co pani jechała?

– Jak to? – Spojrzała na niego zdziwiona. – Męża szukam. Ktoś list dostał, że widzieli podobno sierżanta Lubisza w armii.

– To się znajdzie, zaopiekują się panią.

– Tak! Zaopiekują! – wybuchła nagle kobieta. – Wie pan, jak u nas było w Kzyl-Ordzie? Jak się opiekowali? Przyszły transporty dla Polaków, produkty, a jakże... Niby do rozdziału. I tyleśmy je widzieli. Sprzedawali na bazarze: buty, ubrania, mydło. Mydło, rozumie pani? A ja chodzę zawszona...

– Niech pani tu opowie...

– Opowiadałam – zniżyła głos – takiemu młodemu, który życia nie widział, a kiedy dodałam, że milicja aresztowała trzech z tej delegatury za pasek, skoczył na mnie z pyskiem...

– Bo nie powinni zamykać! – wybuchnął wysoki mężczyzna. – Dostyc naszych zamykali, dostyc! I za nic! Dlaczego mnie wywieźli? No, niech pani powie, dlaczego mnie wywieźli?... Przez całe życie uczyłem matematyki.

Radwan nie zatrzymał się w poczekalni, choć chętnie posłuchałby tych rozmów, które zwykle cichły, gdy zjawiał się na progu w swoim dobrze uszytym płaszczu, futrzanej czapie i napisem „Poland” na

lewym ramieniu. Przez wąski korytarzyk przeszedł do sporego pokoju, który był czymś w rodzaju sali konferencyjnej. Przy długim stole stał major Wysokoński, na podłodze leżały zalakowane paczki; jedną z nich – okazałą skrzynię – rozpakowywała właśnie niska, chuda kobieta w okularach. Twarz miała delikatną, a palce zgrubiałe, czerwone.

– Dzisiaj – rzekł Radwan – większa kolejka niż zwykle. Czekają w poczekalni i na mrozie przed ambasadą.

– Ich przyzwyczajono czekać i oni nie zapomną o swoich cierpieniach – mruknął

major Wysokoński.

Na progu stanął ambasador Kot.

– Pamięć o krzywdach – powiedział – może tylko zaszkodzić. Pierwszą przyczyną nieszczęść jest najazd niemiecki. Taki jest pogląd naczelnego wodza.

– Nie kwestionuję polityki generała – uśmiechnął się Wysokoński – mówię tylko o niekonsekwencjach.

Podszedł do biurka stojącego w rogu i rzucił na stół parę londyńskich gazet.

– Panie ministrze, proszę spojrzeć na ten artykuł: „Polityka ukraińska Piłsudskiego”. I kto jest spadkobiercą tej polityki? „Nigdy nie będzie, zgody na linię Curzona”, a obok czołobitne moskalofilskie artykuły. Kto na to pozwala, panie ministrze? Na to dwumyślenie w polityce.

– O co panu chodzi?

– Że te, łagodnie mówiąc, różnice poglądów szkodzą nam najbardziej. Trzeba wiedzieć, z kim mamy do czynienia, jak patrzeć na to Rosjanie. Pan, panie ministrze, nie zna Rosjan tak jak ja.

– Znam polską rację stanu, to mi wystarcza.

– Oczywiście – uśmiechnął się Wysokoński. – A teraz – zmienił temat – zobaczymy, co nam nasi serdeczni z Londynu przysłali.

Zawartość skrzyni była istotnie zaskakująca, ale na twarzy Wysokońskiego nie pojawiło się zdziwienie; uśmiechnął się tylko ironicznie. Kobieta w okularach wydobywała z rozpakowanej paczki dewocjonała, a głównie obrazki Matki Boskiej z rosyjskimi i polskimi napisami: „Za cierpiącą pod jarzmem bolszewickim Rosję”.

Kot oglądał obrazki w milczeniu.

– Co to za obłąkańcy stoją za tym?! – wybuchnął wreszcie. – Obłąkańcy – potwierdził

Wysokoński.

Kot spojrział na niego uważnie i, tak się przynajmniej wydawało Radwanowi, niechętnie.

– Ma pan wątpliwości?

– Nie, panie ministrze. Nie mam żadnych wątpliwości. Co zrobić z tymi obrazkami?

– Spalić! – rzucił Kot i wyszedł z pokoju.

Radwan, niemy świadek tej rozmowy, nie spuszczał wzroku z Wysokońskiego.

– Złudzenia – powiedział Wysokoński. – Naiwni ludzie złudzeń.

– Nie rozumiem, panie majorze.

– Nieważne...

W południe Radwan wyszedł z ambasady. Było słonecznie i mroźno. Stefan szedł

szybko ulicą, którą już znał i na której nieodmiennie czuł się jak przybysz z innego świata.

Mijał cierpliwe kolejki po chleb i mleko; nauczył się już podziwiać spokojną wytrwałość rosyjskich kobiet. Zerknął do wnętrza pustej niemal herbaciarni i zobaczył żołnierza z ręką na temblaku i młodą dziewczynę przytuloną do niego. Spojrział na dzieci ciągnące sanki z polanami drewna i pomyślał, że przecież od nich wszystkich, walczących z wrogiem, zimą i głodem, zależy także jego los i że powinien... Co właściwie powinien?

Pawlika i jego siostrę dostrzegł dopiero wówczas, gdy zderzyli się niemal na niezbyt szerokim chodniku.

– Pawlik! – wykrzyknął.

Znowu przypomniał sobie tę noc na zatłoczonej szosie, gdy z plutonu zostało ich jeszcze paru, a Pawlik usiadł na przydrożnym kamieniu, zerwał czapkę z głowy i powiedział:

„Przełajdaczyliście”. Przypomniał sobie także Lwów i gdy zobaczył Anię, poznał ją natychmiast, chociaż była wówczas śmieszna, chuda dziewczynką.

– Pan Radwan – stwierdził Pawlik bez entuzjazmu i podał mu rękę, jakby z pewnym wahaniem, bez uśmiechu. Potem zwrócił się do siostry: – Pamiętasz pana... porucznika?

Mieszkaliśmy w sąsiedztwie we Lwowie.

– Trochę – uśmiechnęła się Ania. – Pamiętam, pamiętam także pana matkę.

– Nie wiem, co się z nią dzieje – powiedział Radwan.

– Nasza nie żyje – rzekł Pawlik. – Tak się zdarzyło – zwracał się ciągle do Ani – że byliśmy we

wrześniu w tym samym plutonie, pan podchorąży... i ja.

– Udało mi się potem dostać do Anglii.

– Widzę. Mnie udało się walczyć pod Moskwą. – Ton głosu Pawlika stawał się coraz bardziej ironiczny, ale Radwan jakby nie chciał tego dostrzegać.

– Cieszę się z tego spotkania – powiedział. – Rodak to przecież kawał ojczyzny.

– Pan porucznik nie skarży się chyba na samotność? – zapytał Pawlik tym samym tonem.

– Mówiliśmy sobie „ty” – stwierdził Radwan.

– Muszę już iść, czekają na mnie – Ania przerwała ten dialog. – Może pan kiedyś wpadnie do nas, Moskiewska sześć.

– Odprowadzę panią – zdecydował natychmiast Radwan i sprawiło mu pewną satysfakcję niechętnie i zdziwione spojrzenie Zygmunta.

Ania szła szybkim krokiem, nie patrząc na Stefana, jakby nie chciała dostrzegać jego obecności.

– Zygmunt był ciężko ranny – powiedziała nagle – bywa nieufny i – dodała zupełnie innym tonem – ma chyba powody do nieufności.

– Nie wiem.

Radwan poczuł, że ogarnia go złość na tę dziewczynę i na Pawlika. Czy można z taką obojętnością, niemal wrogo, traktować na obczyźnie kogoś, z kim mieszkało się w sąsiedztwie, walczyło w tym samym plutonie?

– Chcecie – powiedział – być jak najdalej od Polaków i spraw polskich.

– Nie – rzuciła ostro w przestrzeń – my się tylko różnimy.

– Czym?

– Wszystkim. – Nagle zwolniła kroku. – Losem, myśleniem, pragnieniami.

– Pani żartuje! Można być komunistą i pozostać Polakiem.

– Można nie być komunistą i zacząć myśleć – odparowała.

– Ostro.

– A pan czasem myśli, co będzie potem?

– Polska – powiedział. – Jestem żołnierzem i to mi starcza.

– Niedawno dowiedziono, że nie wystarczy być żołnierzem.

– A jak pani sądzi – zapytał – gdzie miejsce Zygmunta? W armii polskiej czy sowieckiej? A miejsce pani? W naszym szpitalu czy u nich?

– Zygmunt bił się z Niemcami, kiedy was tu jeszcze nie było.

– Bo wielu takich jak ja siedziało na zesłaniu.

– A takich jak ja – szepnęła – nie bierzecie do armii. I pewno nie chcielibyście puścić do waszej Polski.

– To zwykła nieprawda – powiedział Radwan. – Dla kogo pani jest groźna?

Nagle roześmieli się. Dzieci na podwórzu ulepiły wielkiego bałwana, doprawiły mu grzywkę i wąsik á la Hitler. Potem rozpoczęły bombardowanie śnieżkami.

Zbliżali się właśnie do szpitala.

– Kiedy pani kończy ten dyżur?

– Jutro rano.

– Więc może spotkamy się jutro?

– Nie.

– Więc kiedy?

Odbiegła parę kroków. Odwróciła się nagle.

– Jutro. Niech pan przyjdzie tutaj.

Były spacer nad Wołgą, właśnie zaczynało się wczesne przedwiośnie, schodzili wąską ścieżką wydeptaną w śniegu na brzeg rzeki i mieli już tam swoje własne miejsca, które nazywały się rozmaicie: „biegun”, bo na zboczu niewysokiej skarpy kończyła się droga i dalej był tylko śnieg i lodowa tafla, „widokówka”, bo stąd najładniej w chłodnym słońcu wyglądał

Kujbyszew, „matnia”, bo raz zabłądzili w lasu i brnęli potem na przełaj przez grząską łąkę.

Stefan nie Wyobrażał sobie już dnia bez Ani i ta nieustanna, dojmująca potrzeba jej obecności dziwiła go i niepokoiła. Nie zaznawał dotąd pragnień tak silnych, jego doświadczenia miłosne były ubogie i żadne: lwowska prostytutka, dzięki której dokonało się jego wtajemniczenie; studentka architektury – pruderyjna i wstydliva; drobna Francuzka traktująca młodego polskiego oficera bez zbytecznych złudzeń i liryzmów Wyobrażał sobie, że miłość przyjdzie po wojnie, ale to słowo nie zawierało żadnych treści. Dopiero teraz, gdy nie chciał go jeszcze wymawiać, przesłoniło wszystkie inne, bolało i dręczyło. Ania wprowadzała go w inny świat, całkowicie odmienny od ambasadzkiego.

Buntował się i ulegał, czasem dochodziło do ostrych starć, które kończyły się nagle. Chciał jej powiedzieć, co czuje, ale ciągle brakowało mu odwagi, ona jakby obawiała się wszelkich wyznań, umiała nagle, gdy przytuleni do siebie schodzili nad rzekę, stać się oschłą, obojętną, obcą i znaleźć słowa tworzące natychmiast dystans. Mówił jej o sobie, jak nie mówił dotąd nikomu, ale bolała go skąpość jej wyznań. Były tematy, których unikała, choćby o Zygmuncie, a gdy opowiadała o swoim życiu, ciągle odnosił wrażenie, że chce go przekonywać, zmieniać, przekształcać, nawracać...

Gdy pierwszy raz na „biegunie” dała się pocałować i gdy przytulał ją do siebie, zobaczył łzy w jej oczach.

– Czuję się tak – szepnęła – jakbym dokonywała aktu zdrady.

– Aniu! – zawołał. – Ja...

Przerwała mu natychmiast.

– Tylko nic nie mów, wszystko, co powiesz, będzie niepotrzebne... Nie powinnam cię widywać...

– Dlaczego?

Objął ją znowu, ale odsunęła się niecierpliwie.

– Nie powinnam – powtórzyła. – Jakie straszne są odległości między ludźmi.

– Ja cię kocham.

Szła szybkim krokiem ich ścieżką, ale milczała aż do rogu Moskiewskiej, gdzie się zazwyczaj żegnali.

– Nie przyjdę jutro – powiedziała.

Przyszła jednak i była znowu zwyczajna, nawet weselsza i bardziej rozmowna, nie chciała jednak iść nad rzekę. Wstąpili do czajnoj, gdzie można było wypić kieliszek wódki i szklankę herbaty.

– Wiesz – powiedziała nieoczekiwanie – czasami mi się wydaje, że te różnice poglądów, różnice między nami to tylko zewnętrzna warstewka, coś naskórkowego...

– Nic mnie nie obchodzą poglądy – szepnął – ty mnie obchodzisz.

Zesztywniała.

– Jak możesz tak mówić! Czy ty naprawdę nie dostrzegasz, co nas dzieli?

– Sama powiedziałaś...

– Nic nie powiedziałam. Jesteś tylko naiwny...

– Aniu, posłuchaj. Można przecież mieć odmienne poglądy i szanować je nawzajem –

długo myślał nad tą formułką.

– Nie – ucięła.

– To tylko w średniowieczu zdarzały się takie tragedie, ludzie różnych religii...

– Nie myślę o tragedii – powiedziała. – Jakaż to znowu tragedia!

Roześmiała się, potem odwróciła nagle. Pomyślał przez chwilę, że płacze, ale gdy znowu zobaczył jej oczy, były zupełnie suche. Nie rozumiał jej; jakie znaczenie dla nich – dla niego i Ani – mogły mieć poglądy, mądre tezy wygłaszane przez specjalistów od polityki?

Chciał jej wytłumaczyć, że jego myślenie jest proste i zwyczajne: żołnierska służba dla Polski, wierność rozkazom. A jaka będzie ta Polska? Może lepsza od tej, która była, silniejsza, zdolniejsza do obrony? Mówił o tym generał Sikorski. Może trzeba to i owo zmienić. On, Stefan Radwan, nie zna się na tym i zapewne nie weźmie żadnego udziału w przyszłych decyzjach. Sytuacja jest trudna, zamiary radzieckie także niejasne, ale przecież on, pod jej wpływem, na wiele spraw zaczyna patrzeć inaczej...

Słuchała niechętnie. Chodzili ulicami Kujbyszewa i niekiedy odnosił wrażenie, że Ania wstydzi się jego towarzystwa. Może raczej uważa je za nieodpowiednie, niewłaściwe ze względu na inność Radwana, która rzucała się w oczy, którą dostrzegał każdy przechodzień.

A ona była tutejsza, jedna z nich, cierpiących, głodujących, słuchających z lękiem komunikatów. Głośniki powtarzały komunikaty na rogach ulic, ludzie stawali w topniejącym już śniegu, czekali na słowa otuchy i nadziei, a było ich ciągle zbyt mało..

Mgła znad Wołgi przysłaniała słońce, Radwan brał Anię pod rękę, czuł bliskość jej ciała i myślał, że brak mu ciągle odwagi, by zaprosić ją do siebie. Szukał odpowiednich słów, nie mógł ich znaleźć i nękała go boleśnie ta nieosiągalność Ani. „Tafla szklana – powiedział

kiedyś – patrzę na ciebie jak przez, szybę, której nie umiem stłuc”.

W ambasadzie nie nawiązał z nikim oprócz Ewy Kaszelskiej bliższych stosunków; wykonywał zadania zlecane przez Wysokońskiego i ta – najczęściej biurokratyczna –

pisanina wydawała mu się nieinteresująca i mało ważna. Liczył godziny dzielące go od spotkań z Anią i nie chciał dostrzegać ironicznych spojrzeń szefa, gdy prosił o zwolnienie przed południem. Tylko z Ewą czuł się nieco swobodniej. Przyjmował jej zaproszenia na wieczór, gdy Ania miała dyżur. Nawet wówczas, gdy dowiedział się, że będzie także Daniecki, którego nie cierpiał, zjawił się w jej pokoiku przy ambasadzie. Nie było tu zbyt przytulnie: kilka krzeseł, stół jak w biurze, metalowe łóżko. Tylko fotografia oficera w mundurze lotniczym przybita byle jak do ściany nadawała temu pomieszczeniu charakter bardziej osobisty.

Danieckiego jeszcze nie było; Ewa napełniła kieliszki, kazała mu usiąść na łóżku, nie należy się

krępować, bo to właściwie obozowo-wojenna sytuacja i doskonała koleżeńskość.

Stefan siedział dość sztywno, dostrzegła to natychmiast.

– Pan się mnie boi! Czyżbym była naprawdę taką megierą?

Nie oczekiwała zaprzeczeń, paplała dużo i szybko.

– A jak pan z Wysokońskim? – zapytała nagle, przerywając opowieść o jakimś ambasadzkiem skandaliku: pojawiła się czyjaś żona, a mąż właśnie, nasz serdeczny kolega, z kimś zupełnie innym...

– Poprawnie – powiedział Radwan.

– Dużo to nie znaczy – uśmiechnęła się Ewa. – Nalać jeszcze?

– Chętnie.

– Pan mi się podoba, panie Stefanie... Mówię to wprost, bo taka jestem. Zanim tu przyjdzie Daniecki... Co pan o nim myśli?

– Nic właściwie... – Poczul się nagle dość niezręcznie.

– Sądziłam, że pan tak odpowie. Pan go nie lubi, ale to biedna pocziwina i przy tym bardzo zabawny. Więc zanim się zjawi... Co pan tak na mnie spojrział? Podobam się panu?

– Oczywiście.

Wybuchnęła śmiechem.

– Proszę nie kłamać. – Nagle spoważniała. – Powinien pan uważać na siebie.

– Nie rozumiem.

– Jednak bardziej naiwny, niż myślałam. Chociaż jest w panu także coś niepokojącego, pan należy do tych, którzy zdolni są czasem do czynów niepoczytalnych. Ja się znam na ludziach.

– Na co mam uważać, pani Ewo?

– Bardziej niż ktokolwiek z nas. My tu wszyscy żyjemy jak w pociągu na węzłowej stacji, nie wiadomo, kiedy pociąg ruszy, do jakiego przedziału wskoczy i nawet w którym kierunku jechać. Otóż w takiej sytuacji nie należy stawać osobno.

– Pani to bardzo trafnie...

– Ja zawsze trafnie. Pan jest podwójnie podejrzany: człowiek Sikorskiego, ale Kot raczej się panem nie interesuje.

– Nie.

– No właśnie. Więc nie wiadomo, czy pisze pan jakieś raporty.

– Nie piszę.

– Jestem skłonna wierzyć i to mnie jeszcze bardziej niepokoi. Jednocześnie dość naiwna wiara w politykę generała...

Radwan wstał.

– Ja nie wierzę naiwnie, pani Ewo.

– Dobrze, dobrze... I stosunki z komunistami, a raczej z pewną komunistką.

– Skąd pani...

– Ja wiem to, co inni, drogi panie Stefanie, a czasem nieco więcej. Czy pan naprawdę sądzi, że nikt nie dostrzegł, nie zauważył, nie doniósł? Miłość?

– Nie wiem.

– Więc miłość – stwierdziła niechętnie. Napełniła kieliszek i wypła. Potem znowu wypła. – Przynajmniej szczerze. Mam nadzieję, że to minie. Niech pan pamięta: są rzeczy, których tutaj się nie wybaczają. Proszę usiąść obok mnie. Ładna przynajmniej? Nie niech pan nie odpowiada, nie chcę słyszeć. Mówiłam: pan jest z tych nieobliczalnych. – I natychmiast zmieniła temat. – No, dosyć tego, zaraz przyjdzie Daniecki. Był starostą, dlatego go wywieźli, a teraz, u nas, boi się przyznać, że rządził w tej Psiej Wólce czy Biłgoraju. Ale on przynajmniej mnie słucha. Winowajcy klęski wrześniowej, wystąp! – krzyknęła nagle. –

Zobaczy pan, jak on to ładnie robi!

– Nie wiedziałem, że porucznik Daniecki...

– I w dalszym ciągu pan nic nie wie. Przydzielili go tutaj, a Wysokoński lubi posłusznych. Powiedziałam dzisiaj pańskiemu szefowi, za takie pasztety, jak nam bez przerwy fundują, mogą doprowadzić do domu wariatów nawet taką starą intrygantkę jak ja...

Piszemy w naszej „Polsce” o wizycie naczelnego wodza, o przyjaźni i mijają dwa tygodnie, a dostajemy wywiad naszego ministra, miłego pana Raczyńskiego, który opowiada prasie brytyjskiej, że Polska i Czechosłowacja powinny udzielić gwarancji niepodległości Litwie, Estonii i Łotwie, Więc pytam Kota, czy mamy Rosjan złościć, czy mamy się z nimi przyjaźnić? A on na to, że obie strony tak się bawią: uścisk i szpila. Dobrze, pięknie jak w bajce... A tu, nie opodal, cholerny front, ludzie zdychają z głodu, giną na niemieckich szubienicach, a my – fajnie, za stołem.. Wypijemy jeszcze...? Więc my fajnie, za stołem, tu kieliszek, a tu szpila. Nie wiem, po co panu to opowiadam, zalałam się trochę. Wołałabym... –

Pochyliła się ku niemu; poczuł jej oddech i zapach włosów. – Ale, Stefanie, niech pan mi uwierzy, że ta pańska prostolinijność też wydaje fałszywy ton...

Nie wiedział, co odpowiedzieć, jak się zachować, ale wtedy właśnie rozległo się pukanie do drzwi.

– Nasz starosta – powiedziała Ewa.

Daniecki wszedł rozpromieniony i jowialny, nieco toporny, ale przecież giętki. Niósł pokaźnych rozmiarów pudło pod pachą.

– Rączki całuję, pani Ewo, witam pana kolegę.

Wręczył jej pudło.

– Parę drobiazgów pozaprzydziałowych, kochana pani Ewo.

– A, fe! Przekupstwo! Łapownictwo! W jakiej sprawie?

– Niech pani nie żartuje.

– Ja zawsze żartuję i zawsze mówię serio. Idę do kuchni, a wy tu się pobawcie trochę beze mnie.

Oczy miał porucznik Daniecki wąskie i bezbarwne, pulchne palce głąskały butelkę; rozlewał alkohol sprawnie i ostrożnie.

– Razem pracujemy – mówił – ale jakoś się dotychczas nie złożyło... No, to teraz, drogi panie kolego, nasze zdrowie i za naszą wielką sprawę!

– Może wystarczy za zdrowie – powiedział sucho Radwan. Daniecki spojrzał na niego nieco zdziwiony.

– Wypijmy. Właściwie – rzekł po chwili – dawno pana chciałem zapytać: pan jest synem majora Radwana?

– Tak.

– Więc znałem pańskiego ojca. Byłem wtedy szczeniakiem... służyłem w jego pułku.

To były czasy! – Nalał znowu. – Wy jesteście już innym pokoleniem, myśmy byli romantykami.

– Cóż to niby znaczy?

– Mierz siły na zamiary. Okazało się, że zamiary były zbyt duże.

– A może ludzie do nich nie dorośli.

– Teraz, panie kolego, potrzebny nam realizm, ot, na każdym kroku tutaj się tego uczymy. I zaufanie. No, niech pan pomyśli o mnie: czy nie zasługuję w pełni na zaufanie? Że pracowałem na jakimś stanowisku przed wojną? Wszyscy pracowali. Ufam polityce naczelnego wodza... Chciałem panu dawno powiedzieć, że na takich jak ja generał może liczyć.

– Dlaczego mnie?

– Synowi majora Radwana, który był przyjacielem Sikorskiego.

– Ja byłem tylko jednym z oficerów jego gabinetu.

– Oczywiście, oczywiście – potwierdzał bardzo skwapliwie Daniecki. – Wypijemy jeszcze? Czy pan kolega czytał już nasz raport o sytuacji militarnej Rosji? Jak się panu podoba?

– Mam nieco odmienny pogląd niż zawarty w raporcie i zamelduję o tym majorowi Wysokońskiemu. Ale chyba to nie miejsce...

– Oczywiście, oczywiście, chociaż mieszkanie pani Ewy jest całkowicie bezpieczne, ja to gwarantuję... Ja także uważam, że to zbyt pochopne twierdzenie, że kontrofensywa rosyjska nie miała znaczenia strategicznego, że Armia Czerwona wytrzyma jeszcze najwyżej sześć miesięcy. To co stanie się z naszymi dywizjami?

– Generał Sikorski docenia wartość armii rosyjskiej.

– Właśnie, właśnie. – Daniecki aż podskakiwał z zachwytem. I nalewał następny kieliszek, gdy weszła Ewa, niosąc tacę z kanapkami.

– Wychlaliście prawie cały alkohol! I co Danieckiemu udało się wyciągnąć z pana? – zwróciła się do Radwana.

– Ależ pani Ewo! – pospieszył z protestem były starosta. Kaszelska postawiła półmisek na stole.

– Winowajcy klęski wrześnieowej, wystąp! – krzyknęła nagle.

Daniecki wzruszył niechętnie ramionami i wystąpił. Pomaszerował w kierunku okna.

Radwan przypomniał sobie tę scenę następnego dnia, gdy siedzieli we trzech w gabinecie Wysokońskiego. Spoglądał niecierpliwie na zegarek, bo narada przeciągała się, a on był umówiony wczesnym wieczorem z Anią; po raz pierwszy zgodziła się pójść z nim na kolację do kujbyszewskiego Grand Hotelu, jedyne, jak tu mówiono, przyzwoitego lokalu, dostępnego tylko dla personelu ambasad i na podstawie specjalnych przepustek. Gdy rozmawiał z Anią telefonicznie, a pozwalała mu w określonych godzinach dzwonić do szpitala, do jego pokoju wszedł Wysokoński. Stał chwilę na progu, a Stefanowi wydało się nagle, że on i Ania mówią bardzo głośno, tak głośno, że słyszą ich wszyscy w ambasadzie, w mieszkaniu na Moskiewskiej czy gdzieś tam jeszcze, jakby ich rozmowę nadawano przez kujbyszewskie megafony.

Teraz Wysokoński omawiał zastrzeżenia Radwana (raczej ostrożne uwagi) do tekstu raportu ataszatu o sytuacji militarnej Rosji. Oceniał te uwagi jako nieuzasadnione, ale widać niepokoiły go, bo argumentował długo i dość zawile; Stefan pomyślał, że major, podobnie jak Ewa Kaszelska – na początku ich znajomości, oczywiście – jest przeświadczony, iż były oficer gabinetu naczelnego wodza musi pisać osobne raporty i przekazywać je do Londynu.

Do kogo? Może jednak należało pisać? Kietlicz mawiał, iż dzieło historii jest sumą intryg, przypadków i nieporozumień. Wyobraził sobie siatkę intryg plecioną przez Wysokońskich i kapitanów N. i oplątującą Sikorskiego jak gęsta pajęczyna; cóż łatwiejszego niż przeciąć? Żarty, panie poruczniku!

– To oczywiste – mówił tymczasem Wysokoński, uważnie obserwując Radwana – że nie rozporządzamy pełnym materiałem, nasze informacje noszą z natury rzeczy charakter wrywkowy i przypadkowy, ale musimy je przecież uwzględniać. To, co przesyłamy sztabowi generalnemu, musi być zgodne z naszą wiedzą o sytuacji, a zdobywamy tę wiedzę żyjąc tu, będąc tu, no i oczywiście zgodne z naszym sumieniem.

– Ale – zauważył Radwan – raport zawiera sugestie, które mogą, ważyć na decyzjach politycznych.

– Decyzje – uśmiechnął się Wysokoński. – Ci, którzy je podejmują, nie mówiąc już o wodzu naczelnym – znowu spojrzął na Radwana – czerpią informacje z rozmaitych źródeł, nie tylko od nas. Ja osobiście jestem przekonany, że Armia Czerwona zdolna jest jeszcze tylko do działań defensywnych i żadnej ofensywy o znaczeniu strategicznym podjąć nie może.

– Jestem tego samego zdania – wtrącił nagle Daniecki.

– Wczoraj – rzekł bez wahania Radwan, ciągle pamiętając sceną w mieszkaniu Ewy, sceną, która teraz wydała mu się zbyteczna i niesmaczna – mówił pan zupełnie coś innego.

Daniecki poczerwieniał.

– Pan mnie źle zrozumiał – wykrztusił.

„Zafundowałem sobie wroga” – pomyślał Radwan. Major jakby się ucieszył.

– Więc panowie już dyskutowali – powiedział – to świetnie – Dyskusja, proszę panów, jest zresztą czysto akademicka, wystarczy w przybliżeniu obliczyć, biorąc pod uwagę dostępne źródła, jakie straty ponieśli Rosjanie. Wiadomo, że Niemcy przesadzają, ale nawet jeśli przesadzają dwukrotnie, jak długo może trwać opór Rosjan, gdy zacznie się nowa wiosenno-letnia ofensywa? Bądźmy realistami...

– Bądźmy realistami – powtórzył Daniecki.

– Powiedzmy: sześć miesięcy – ciągnął Wysokoński i zwracał się teraz tylko do Radwana. – Pan przecież pamięta, pan widział na własne oczy, jak przepadały we Francji nasze świeżo sformowane pułki. Któż zimą czterdziestego roku spodziewał się klęski? A może należało ją jednak przewidzieć? Pan, panie Radwan, patrzy na mnie jak na kogoś, kto sabotuje umowę. Nie sabotuję, mój drogi, tylko staram się wyobrazić, w miarę moich skromnych możliwości, jakie skutki dla nas pociągnie ich klęska...

– A ich zwycięstwo? – zapytał Radwan.

Wysokoński spojrzął na niego i nic nie powiedział.

Sala restauracyjna w Grand Hotelu niewiele się chyba zmieniła od czasów przedrewolucyjnych – te same sztukaterie na sufitach, nieco wypłowiałe obicia foteli i kanap, niepokalana biel obrusów i całkowicie nietutejsza usługa kelnerów. Można by sądzić, że nie ma wojny. Ale wojna jest, dopada na każdym kroku, nawet ten blichtr, ta obfitość, ta śmieszna, wręcz kelnerska pompa wywodzą się z wojny, jej służą i w niej znajdują usprawiedliwienie istnienia obok kolejek po bochenek chleba, po butelkę mleka, po ochłap mięsa. Mężczyźni w mundurach angielskich, amerykańskich, polskich, zachowujący się tutaj nieco zbyt hałaśliwie, wiedzą, że ten restauracyjny luksus jest gestem przeznaczonym dla nich, gestem w istocie niechętnym i pogardliwym: macie, kochani sojusznicy, nażryjcie się do syta, napełnijcie brzuchy, żeby nas podglądać, badać rozmiary naszego głodu, szybkość upływu naszej krwi. Ale jedzenie było naprawdę znakomite.

Stefan i Ania zajęli stolik pod oknem; jakiś polski kapitan odpowiedział skinieniem głowy na ukłon Radwana, dziewczyna siedząca z angielskim oficerem uważnie przyjrzała się Ani.

– Nie powinnam tu przychodzić – powiedziała Ania – dawno nie czułam się tak obco.

Widziałeś, jak na mnie patrzą? Choćby kelner.

– Wszyscy patrzą tak samo.

– Kobiety, które tu przychodzą z oficerami, wyglądają inaczej niż ja. Spójrz na tę z Anglikiem.

– Ty wyglądasz cudownie – rzekł – i przestań choćby na chwilę myśleć o wojnie, Kujbyszewie, kolejkach czy czymś tam jeszcze. Przyszliśmy na kolację, zrobmy przerwę...

Jak minuta ciszy na froncie, nikt nie strzela.

– Dobrze – roześmiała się. – A z kim bywałeś tu przedtem?

– Z nikim, oczywiście. Jesteś pierwszą dziewczyną...

– Takie rzeczy, Stefku, opowiadaj mojej ciotce.

– Jesteś zazdrosna!

Pomyślał, że jest naprawdę zazdrosna, i pomyślał, że bardzo chce ją teraz pocałować.

– Nie jestem, panie poruczniku. Jestem głodna, mam ochotę na gorącą zupę.

To można było załatwić bez trudu. Bawiło go i radowało także zdziwienie Ani, gdy konferował z kelnerem po angielsku. Zamawiał soliankę, wymawiając to słowo z takim akcentem, że wybuchnęła śmiechem. Dostrzegł spojrzenie kelnera, a ona natychmiast spoważniała. Pomyślał, że Ania się wstydzi, że nie umie w tym kraju zachowywać się jak cudzoziemiec na szczególnych prawach, on zaś przywykł już do tych szczególnych praw.

Dopiero teraz zrozumiał, że te półmiski z rybą, wędliną, kawiozem są w tym kraju czymś niezwykłym, że ta lekkomyślna rozrzutność, z jaką nakłada się na talerz zbyt dużo, próbuje i zostawia,

musi Anię szokować, sprawiać jej ból, a może wywoływać niechęć i wzdargę.

– Właściwie powinnam to zapakować i zabrać do domu...

Chciał powiedzieć, że przecież wszystko, co on posiada... Nagle własna pozycja wydała mu się także nietrwała i tymczasowa, pozorowana, niemal teatralna, jak tutejsza obfitość. Kelner rozlał wódkę, Stefan podniósł kieliszek. Chciał coś powiedzieć, ale właśnie orkiestra wkroczyła na podium i po chwili rozpoznał melodię „Ostatniej niedzieli”.

Piosenkarka śpiewała po rosyjsku. Ta „Ostatnia niedziela” w kujbyszewskiej knajpie wydała im się swojska, śmiesznie i zachwycająco sentymentalna. Tańczyli. Poczul przyływ czułości, gdy spojrzal na niezgrabne, zbyt duże buty Ani, i przytulił ją mocniej do siebie.

Przypomniał sobie scenę, którą wydobył teraz z pamięci jak zapomnianą a niezwykle cenną pamiątkę, tkwiącą w dawno nie otwieranej szufladzie. Biegł szybko w górę po schodach lwowskiej kamienicy, gdy wpadła na niego dziewczyna, chuda jak patyczek, z warkoczami; już w jego, ramionach, podnosząc zarumienioną twarz, powiedziała:

„Przepraszam”... Ania pamiętała to także. I to, że był w mundurze podchorążackim, a czapkę trzymał w rękę. Okazało się natychmiast, że mają mnóstwo wspólnych wspomnień. Szkoła, do której chodziła Ania... Oczywiście, bywał tam pod bramą, a kiedyś na Krowoderskiej... A manifestacja w trzydziestym szóstym? Oczywiście, pamiętał... Nie zagrają tu lwowskich piosenek, ale oni mogliby zaśpiewać...

Niemal zapomnieli lub wydawało się, że zapominają, że patrzyli na świat z różnych okien: on z balkonu na drugim piętrze, ona z parteru, niemal sutereny w oficynie. Ale czy w Kujbyszewie ma jeszcze znaczenie to, co ich dzieliło w ojczyźnie?

Kelner przyniósł lody; światło było przyćmione, grali walca, Anglik tańczył sztywno ze swoją partnerką...

– Wiesz – uśmiechnęła się Ania – przez chwilę czułam się naprawdę dobrze...

Na ulicy było pusto i mroźno. Wyszli na skwerek. Radwan wziął Anię pod rękę i pomyślał, że teraz nie chce się z nią rozstawać, nie może zostać sam.

– Odprowadź mnie do domu – powiedziała.

– Nie chcę! – wybuchnął nagle. – Chodź do mnie, zaparzę ci kawy, wypijesz kieliszek koniaku... – Poczul, że to nie tak, że powinien inaczej.

Ania zeszywniała.

– Przygotowałeś koniak na tę okazję...?

Milczał. Przeklinał własną niezręczność i nieśmiałość.

– Pan porucznik postawił dziewczynie kolację i dziewczyna grzecznie pójdzie do łóżka.

Przecież ty wiesz, że ja tak nie myślę...

– Nie wiem, jak myślisz! – Przyspieszyła kroku. – Ale już wiem, jak to sobie wyobrażałeś... Kolacja była naprawdę wspaniała, panie poruczniku, ale obawiam się, że koszta się nie zwrócą.

– Błagam cię, nie psuj wszystkiego! – Chciał ją znowu przytulić, ale odepchnęła go i pobiegła aleją skwerku.

Powiniennem biec za nią – myślał – powiniennem wytłumaczyć. Co właściwie? Wraciał

do domu powoli; nocny Kujbyszew, pusty i mroźny, wydawał mu się teraz bardziej obcy niż kiedykolwiek. Dlaczego tak się stało? Może nie należało zapraszać Ani do Grand Hotelu, może ten blichtr, ta wydzielana na przepustkę obfitość oddaliła ich od siebie zamiast zbliżyć?

Jakby chciał podkreślić, unaocznic, że są inni, z różnych światów...?

W swoim pokoiku, który był dzisiaj posprzątany i porządny jak łóżko w koszarach przed przeglądem, rzucił płaszcz na krzesło i nie zapalając światła sięgnął po butelkę koniaku przygotowaną na stole. Po co postawił dwa kieliszki? Dureń, pewny siebie dureń! Sam siebie oszukiwał, przecież wiedział, że ona nie przyjdzie. Nie, wierzył, że przyjdzie.

Wypił jednym haustem, znowu nalał; przynajmniej upić się samotnie, niech noc szybciej minie. Ten kraj, pomyślał, jest straszny, a Ania jest już właściwie stąd, dlatego się nie rozumieją, dlatego nic nie jest możliwe. „Pan nie zna Rosji, panie poruczniku” –

powiedział Wysokoński.

Usłyszał pukanie. Minęło parę chwil, zanim otworzył drzwi. Ciągle nie wierzył, nie chciał wierzyć. Na progu stała Ania.

Ani tej nocy, ani nigdy później nie powiedziała mu, co zaszło między nią a Zygmuntem, gdy wróciła do domu. Sądziła, że brat już śpi, ale on czekał na nią; stos niedopałków piętrzył się na podłodze.

– Z randki ze swoim oficerkiem? – zapytał.

– Tak – powiedziała.

Najchętniej przytuliłaby się do Zygmunta i zapłakała. Oczy miała wilgotne i wstydziła się tych łez aż do bólu, jakby działo się z nią coś, czego nie chciała i czemu nie umiała zaradzić.

– Tobie nie wolno wycierać oficerskich łóżek – usłyszała.

– Sypiam w tych, w których mam ochotę – odrzekła natychmiast – i kocham, kogo chcę.

– Kochasz! – Pawlik się roześmiał. – Mam ci powiedzieć, kim jesteś? Co pomyślą o tobie

towarzysze?

– To cię niepokoi?

– Ty mnie niepokoisz – rzekł nieco łagodniej, ale ona nie dostrzegła zmiany tonu. –

Jestem od ciebie tyle lat starszy.

– Jak ojciec! – wybuchnęła. – Teraz sobie przypomniałeś... Posłuchaj, nie masz moralnego prawa, cienia moralnego prawa i cienia racji. Co zrobiłeś z Zosią i własnym synem, co stało się ze Zbyszkciem?

– Przecież... – zaczął.

Ale ona nie chciała już słuchać, wyszła zamykając cicho drzwi za sobą, żeby nie obudzić Jekatieriny Pawłowny...

Do Nowosybirsk nie dojechał. Zatrzymano go na niewielkiej stacyjce, właśnie kilkadziesiąt kilometrów pod Nowosybirskiem, gdy wyskoczył z wagonu ciepłuszki, by dostać trochę ciepłej wody, a może cokolwiek do jedzenia. Była to zwyczajna stacyjka. Jak wzdłuż całej trasy kolejowej z Krasnojarska podczas tej najcięższej wojennej zimy – pełno było na peronie rannych żołnierzy, uchodźców, przeważnie kobiet, starców i dzieci owiniętych szczelnie chustkami. Czekali na transporty, szukali wolnych miejsc w wagonach, stali w długich kolejkach do bufetu stacyjnego, napełniali wodą czajniki. Zanurzył się w tym tłumie, ubrany tak samo jak inni, wyglądający jak inni, a jednak wyróżniający się swą młodością.

Siedemnaście lat kończył w listopadzie. Szedł wzdłuż torów, czujny, napięty, a gdy dostrzegał patrol, starał się być niewidoczny w tłumie. Ta podróż trwała już parę dni, a jej legalność była co najmniej wątpliwa. Powiedzieli, że do wojska za młody, a amnestia nie oznaczała prawa swobodnego poruszania się po kraju. Ale na co miał czekać? Sporo mężczyzn zniknęło z lesopiłki, a on był sam, zupełnie sam, nie wiedział, co stało się z matką.

Ciągle pamiętał tę noc, gdy chorą wynoszono z transportu na jakiejś stacyjce; chciał zostać, szarpał się w drzwiach wagonu, prosił, klęczał przed człowiekiem w szynelu, ale nie puścili.

Potem nie chciał pracować; nie dawali mu jeść, więc nie jadł. Dopiero żona leśnika Janeckiego, wywieziona razem z nimi, wzięła go do siebie, do małej izdebki, którą zajmowała z mężem, i powiedziała: „Będiesz jak syn...” Jakoś się układało, ale on ciągle myślał o matce i dłużej nie mógł czekać. Nie pytając nikogo o pozwolenie, nie mówiąc nawet Janeckiej, wyruszył rankiem z Łuczynki i najpierw przygodną ciężarówką, a potem na piechotę dotarł

do Krasnojarska. Wiedział, że mieści się tutaj delegatura ambasady, długo, głodny i zmęczony, szukał ulicy, której nazwę podał mu mąż zaufania w Prediwiensku, wreszcie zobaczył niewielki domek i tablicę z polskim i rosyjskim napisem „Delegatura Ambasady Rzeczypospolitej”.

Wszedł do wnętrza, minął korytarz i otworzył drzwi do pokoju, w którym urzędowały dwie panie.

Stanął na progu i dopiero po chwili zdjął czapkę. Było tu ciepło i przytulnie.

– Trzeba pukać – odezwała się jedna z pań.

– Przepraszam – odpowiedział – w tajdze nie uczą dobrych manier.

– Skąd pan jest? – Ta, która zadała pytanie, była tłuściutka i dobrze ubrana.

– Z Łuczynki.

– Łuczynka, Łuczynka... – Szukała na jakimś wykazie. – Wy macie męża zaufania w Prediwiensku.

– Wiem – powiedział – ja chcę mówić z delegatem.

– Nie ma go teraz. W jakiej sprawie?

– Jemu powiem.

– Nie jest pan zbyt grzeczny.

– Jechałem sto kilometrów odkrytą ciężarówką, potem szedłem piechotą.

Pani umilkła, przyjrzała mu się dokładnie i rzekła łagodniej:

– Niech pan siada.

Usiadł i oglądał je obie: dobrze ubrane, sympatyczne; na ścianie nad biurkiem wisiał portret generała Sikorskiego.

Urzędniczka włączyła elektryczny czajnik i wydobyła opakowanie z kawą, jakiego nigdy nie widział, zapewne angielskie. Odmierzała łyżeczką kawę do szklanek i czekała na zagotowanie wody. Nie miał nic gorącego w ustach od rana i bardzo chciało mu się pić.

Czekał, może poczęstują. Nie. Wstał.

– A może poczęstuje mnie pani kawą?

Spojrzała.

– Ile... ty właściwie masz lat?

– Siedemnaście.

– Jesteś głodny.

– Jestem.

Starsza urzędniczka otworzyła szufladę biurka, wydobyla chleb i puszkę z mięsem.

Nawet nie podziękował. Z ustami pełnymi już jedzenia zapytał:

– Pani była na zesłaniu?

– Byłam – powiedziała cicho.

– Myślałem, że już pani zapomniała.

Nie usłyszał odpowiedzi, bo właśnie wszedł delegat, mężczyzna w średnim wieku, wyglądający energicznie i sympatycznie.

– Ten młody człowiek... – zaczęła starsza urzędniczka.

– Chce z panem mówić – przerwał jej ostro. – Jechałem sto trzydzieści kilometrów, żeby tu dotrzeć.

– Wejdz.

Gabinet delegata był niewielki, ale urządzone przyzwoicie. Nad biurkiem także wisiał duży portret generała Sikorskiego.

– Ile masz lat? – zapytał delegat. – Skąd jesteś, gdzie są rodzice?

– Nazywam się Zbigniew Trepko, mam siedemnaście lat, jestem z Łuczynki, o rodzicach nic nie wiem.

– Rozumiem. – Delegat milczał chwilę. – Sytuacja jest ciężka dla nas wszystkich.

Czego oczekujesz ode mnie, w czym mogę ci pomóc?

– Chcę wiedzieć, co z matką, i chcę do wojska.

Delegat siadł przy biurku.

– To było tak – zaczął Zbyszek – nie wiem, na jakiej stacji wysadzili matkę z transportu, nie wiem, jak ta stacja się nazywała, potem szukałem na mapie, to mogło być dwieście, trzysta kilometrów przed Nowosybirskiem.

Delegat westchnął.

– Cóż można poradzić, mój chłopcze? – I zapytał po chwili: – A dużo tam Polaków, w tej Łuczynce?

– Kilkanaście rodzin, panie delegacie.

– Jakie warunki?

– Jak wszędzie. Praca w lespunkcie, w spółdzielni, w smołami...

– Trzeba przeczekać – powiedział delegat. – Nic więcej nie mogę ci powiedzieć.

Przeczekać.

Wstał, pochylił się nad Zbyszkciem.

– Powiem ci coś, chłopcze... Oni przegrają tę wojnę i wtedy pogadamy z nimi inaczej, wtedy wszystkie nasze krzywdy, a uzbierało się ich sporo...

– Jak to, oni?

– Rosjanie, oczywiście.

Trepko spojrział ze zdziwieniem na delegata.

– A kto pobije Niemców?

– Anglicy, Amerykanie, my... Przecież ich nie lubisz.

– Tamtych także nie lubię – odparował Zbyszek. – Może mnie pan posłać do wojska?

– Nie.

– Co pan może?

Delegat milczał; wydał się teraz Zbyszkowi bardzo stary, nawet żał mu było tego człowieka.

– Ja nie ustąpię – powiedział – muszę do wojska. I muszę dowiedzieć się, gdzie matka.

Pojadę do naszej ambasady, do Kujbyszewa, nie wiem dokąd. Mówią, że wojsko tworzy się w Buzułuku. Gdzie jest ten Buzułuk?

Delegat wzruszył ramionami.

– Daleko – powiedział i dodał natychmiast: – Nigdzie nie pojedziesz, wiesz, co się dzieje na kolei? Zamkną cię, odeślą z powrotem.

– Ucieknę.

– Takiś twardy? – uśmiechnął się delegat. – Poczekaj, jeszcze rok i pójdziesz do wojska.

– Nie mogę – powtórzył Trepko.

Delegat wyciągnął z szuflady notes, wziął do ręki pióro.

– No, to podaj mi te wszystkie swoje dane. Żebyś choć pamiętał, na jakiej stacyjce wysadzili matkę z transportu.

– Nie wiem.

– A ojciec? Co ty właściwie wiesz o ojcu?

– Nic właściwie.

– Żyje?

– Nie mam pojęcia – odparł sztywno Zbyszek.

– Był w wojsku?

– Także nie wiem. Był komunistą – oświadczył nagle.

– Ach, tak... Delegat myślał chwilę. – Rób, jak chcesz. Napiszę ci, żebyś dostał buty, to przynajmniej mogę zrobić.

– Dziękuję.

I z Krasnojarska pociągiem dotarł do tej stacyjki. Nawet nie wiedział, jak daleko może być stąd do Kujbyszewa. Miał w kieszeni kilkadziesiąt rubli, mógł mieć więc nadzieję, że dostanie coś do jedzenia. Stał w kolejce do stacyjnego bufetu. Jeśli pociąg ruszy, zawsze zdąży wskoczyć. I w tej właśnie chwili zobaczył patrol. Milicjanci szli wzdłuż kolejki, jakby kogoś szukając.

Wylegitymowali młodego mężczyznę. Trepko postanowił nie czekać, wyszedł z kolejki, ale gdy znajdował się już w drzwiach dworca, usłyszał „stój”. Nie odwrócił

się nawet, przeskoczył przez peron między złączami wagonów, i ugrzązł w śniegu. Zobaczył

tuż przed sobą żołnierza, który wyskoczył z pociągu. Nie miał szans. Po chwili stał już bez czapki przed dwoma milicjantami z patrolu. Worek z całym jego majątkiem leżał na śniegu.

– Ty kto? – zapytał milicjant. – Spekulant? Dawaj dokumenty.

– Jakie tam dokumenty?!

– Gadaj!

Milicjant pochylił się nad jego workiem i wysypał na śnieg zawartość: koszula, stare, podarte buty,

bo nowe, te od delegata, miał na sobie, fotografia matki w książce do nabożeństwa i tom poezji. Milicjant obejrzał książki i już nie pytał o dokumenty, widocznie nie po raz pierwszy spotykał się z tym gatunkiem włóczęgów.

– Polak – stwierdził.

– Tak.

– Ile masz lat, skąd jesteś?

– Siedemnaście, z Łuczynki.

– Wiemy, gdzie Łuczynka – mruknął milicjant. – Po co ci to było, znowu tam wrócisz.

Odesłali wygodnie, pociągiem, a potem samochodem. Opiekun osiedla pokiwał głową, podpisał odpowiedni dokument i odprawił milicjantów. Był to człowiek siwy już, przygarbiony i nie lubiący się spieszyć. Trepko usiadł w jego gabinecie, czy raczej izbie, która nazywała się gabinetem, na ławie pod oknem i patrzył sobie na las, smolarnię, śnieg, na ten widok, do którego przywykł już od miesięcy.

– No, i wróciłeś do nas, Zbigniewie Zygmuntowiczu – powiedział wreszcie opiekun osiedla.

– Nie z własnej woli – stwierdził natychmiast Trepko.

– Ale przymusowo tu już nie jesteś, jesteś teraz wolnonajemny.

– Ale byłem przymusowo – powiedział Trepko. – I okazuje się, że nie wolno się stąd ruszyć. To jak to nazwać? Swobodą?

– Jest wojna, bez dokumentów, bez powołania do wojska ruszyć się nie możesz, a na wojsko jesteś za młody.

Trepko milczał. Opiekun osiedla przyglądał mu się uważnie i bez pośpiechu.

– Może zapalić chcesz, Zbigniewie Zygmuntowiczu?

– Nie, dziękuję.

– A może zjesz coś?

– Zjem.

Mężczyzna wydobyl z szafy bochenek chleba i kielbasę owiniętą w papier, a także dwa kubki. Sobie nalał więcej, Zbyszkowi odrobinę mniej.

– Wypij i powiedz coś o sobie, Zbigniewie Zygmuntowiczu.

- Po co?
- Ostry jesteś. Chcę wiedzieć, jako opiekun osiedla, z kim mam do czynienia. Zawsze
- dodał odstawiając kubek – byłem ciekaw ludzi.
- Niby nie wiecie? Nie macie papierów? O czym mam mówić?
- O matce, ojcu. Tu jesteś przecież sam.

Rysy Zbyszka stwardniały.

– Z waszej łaski jestem sam, nie z własnej chęci. Wywieźli nas w czerwcu czterdziestego pierwszego roku, parę dni przed wojną. Matka była nauczycielką w Kaliszu, ale we wrześniu trzydziestego dziewiątego wyjechaliśmy do dziadka, leśniczego pod Pińskiem. Dziadek umarł, a nas wywieźli... niby że rodzina leśniczego.

Opiekun osiedla rozlał znowu samogon i milczał.

- Matka zachorowała podczas transportu, a ja zostałem sam.
- Wojna – powiedział opiekun osiedla.
- Wojna! – zawołał Trepko. – No to puśćcie mnie do wojska. I powiedzcie, co z matką.
- Postaramy się.
- Wszyscy się starają.
- Nie wierzysz nam, Zbigniewie Zygmuntowiczu?
- Nie wierzę – rzucił chłopak. – Ile czasu pracowałem w lespunkcie...? Tyle się prosiłem!
- Dam ci teraz pracę w smołami, będzie lżej.
- Ja nie tęsknię, żeby było lżej.
- Chcesz jeszcze wypić?
- Wypiję.
- A co z ojcem? – pytał dalej przewodniczący, ale Trepko milczał. – Nie chcesz mówić?
- Ojca prawie nie znam – odpowiedział opryskliwie. – Właściwie nawet go nie pamiętam. Rozeszli się, jak miałem sześć lat. Nie pasowali do siebie. Ojciec siedział.
- Za co?

– Za komunizm.

– I co z nim teraz?

– A skąd ja mogę wiedzieć? – Chłopak wzruszył ramionami.

– Pójdiesz pracować do zakładu smołowo-terpentynowego – postanowił opiekun osiedla.

– Wszystko mi jedno, dokąd – odpowiedział Trepko. – Jak nie poślecie do wojska, to i tak stąd ucieknę.

Były to puste dni. Pawlik po raz pierwszy od wielu lat nie miał nic do roboty i nie czuł się potrzebny. Rano, a budził się jak zwykle bardzo wcześnie, siadał przy oknie w pokoiku Ani i widział ludzi śpieszących do roboty, kobiety stojące w kolejce po chleb i po gazety, dzieci wybiegające z tornistrami do szkoły. Wojna określała rytm życia, udział w walce, w fabryce, w szpitalu, na froncie, nadawała sens trudom i cierpieniom, a on odczuwał coraz mocniej swoją samotność i zbyteczność, jakby nie miał tu towarzyszy, przyjaciół, siostry, jakby nie proponowano mu pracy w polskim radiokomitecie. „Uważasz, że to działanie pozorne?” –

zapytał kiedyś Tadeusz. „Ja się do tego nie nadaję – powtarzał Pawlik – ja muszę mieć robotę konkretną, zjada mnie oczekiwanie”. Bo niby na co? Na zwycięstwo, które osiągnięte zostanie bez ich udziału, które otrzymają jak prezent, by wrócić znowu do Polski? Jakiej Polski? Gnębiły go pytania, na które nie umiał znaleźć odpowiedzi, a rozważania Tadeusza wydawały mu się zbyt teoretyczne, odległe od rzeczywistości, nazwał je kiedyś polityczną fantazją, jakiej nie uprawiali nigdy komuniści. Polska Krzywoustego? Demokracja? Jedność w walce z Niemcami? Cóż to właściwie znaczy teraz, gdy wróg stoi ciągle pod Moskwą i Leningradem, a Polskę reprezentuje burżuazyjny rząd Sikorskiego uznawany przez Związek Radziecki? Gdzie jest miejsce Zygmunta Pawlika?

Dotarł do jednego z sekretarzy kujbyszewskiego komitetu partyjnego. Był to starszy mężczyzna, o ruchach powolnych, ostrożnie ważący słowa i traktujący Pawlika bez zniecierpliwienia, ale także bez serdeczności.

– Chcę od was, towarzyszu Frolin, tego, co najprostsze – mówił Pawlik – skierowania do konkretnej roboty. Ludzie wam na tyłach niepotrzebni? Co?

– Potrzebni – stwierdził Frolin.

– Do armii już mnie nie przyjmą. Nie wiem, czy lekarze mają rację, myślę, że nie mają, i nie tylko o zdrowie chodzi.

– Tego nie powinniście mówić – mruknął sekretarz – gorączkujecie się.

– Więc dacie mi skierowanie?

– Nie – powiedział Frolin. – Nie dam. Proponowano wam pracę w polskim radiokomitecie.

– To nie dla mnie.

Frolin wzruszył ramionami.

– Podczas wojny ludzie nie wybierają swego losu.

– Wy przecież wszystko o mnie wiecie. – Pawlik podniósł głos. – Nie ufacie mi?

Sekretarz uśmiechnął się. Był ubrany tak samo jak Stalin na portrecie, w szarą bluzę zapiętą pod szyją.

– Cóż to niby znaczy: ufać? – zapytał.

– Chcieli mnie posłać do strojbatu, wywalczyłem armię, chociaż polskich komunistów najczęściej posyłano właśnie do strojbatów.

– Ludzie wszędzie potrzebni, towarzyszu Pawlik.

– A jeśli pójdę do armii Sikorskiego?

– Wasza wola – uśmiechnął się znowu sekretarz.

– Więc co wy właściwie myślicie o polskich komunistach, że to jakaś rezerwa?

– Jeśli rezerwa – powiedział poważnie Frolin – to wasza, nie nasza.

Po tej rozmowie Zygmunt zrozumiał, że nic nie uzyska.

Wstąpił do pobliskiej herbaciarni na kieliszek wódki. Pił rzadko. Artamienko, działacz lwowski, z którym się kiedyś nieco przyjaźnił, uważał nawet tę wstrzemięźliwość Pawlika za dowód nieszczerości lub szczególną ostrożność. „Ty chitrec – powtarzał – chcesz być trzeźwy, kiedy mnie szumi w głowie. Och, Lach przeklęty”.

Wchodząc do zatłoczonej sali, przypomniał sobie Artamienkę. „Lach przeklęty” –

pomyślał i poczuł, że nagle mu ta setka wódki potrzebna. Niczym się nie różnił, żadną polskością nie wyodrębniał od stojących przy bufecie mężczyzn. Większość, podobnie jak on, była w żołnierskich szynelach; cierpliwie czekali na swoją kolej, z kieszeni płaszczy wyciągali pomięte banknoty i czujnie obserwowali bufetową napełniającą szklaneczki. Za Pawlikiem stał czerwonogwardzista opierający się na kulach.

– Ty skąd? – zapytał, ale Pawlik nie zrozumiał. – Gdzie raniło?

– Pod Jachromą.

Tamten pokiwał głową.

– Mnie stuknęło pod Wołokołamskiem – oświadczył. – parszywe życie! Dwa dni czekam na pociąg do domu, chociaż właściwie mi nie spieszo. Po co babie taki chłop? Ale mnie baba potrzebna. – Sięgnął po swoją setkę i ostrożnie odliczył pieniądze. – Wódkę można

– ciągnął – tylko zakąski nie ma. Dla takich jak ja – dodał – wojna się kończy, a inni umierają, aż strach pomyśleć, jak długo będą jeszcze umierać.

Pawlik wziął swoją szklaneczkę i ruszył w głąb sali, szukając miejsca.

– Zygmunt! – usłyszał.

Przy stoliku w najciemniejszym zakątku herbaciarni zobaczył Tadeusza w towarzystwie mężczyzny, który wydał mu się znajomy.

– Siadaj – powiedział Tadeusz. – Towarzysz Wirski – przedstawił. – Znacie się chyba ze Lwowa.

Teraz sobie przypomniał, Spotykali się jesienią trzydziestego dziewiątego roku u Wojciecha; Wirski przychodził w polskim płaszczu wojskowym. „Powinienem wracać do Warszawy” – powtarzał bez przerwy. Był nauczycielem, skierowano go do pracy do szkoły pod Lwowem, ale nie zagrał tam miejsca. Potem Pawlik widywał go w redakcji „Nowych Widnokręgów”.

Wypił swoją setkę, Tadeusz napełnił jego szklaneczkę z butelki stojącej na stole, wódka szła mu dobrze. Pomyślał, że ostatecznie pójdzie pracować do radiokomitetu. Jak to powiedział Frolin? „Podczas wojny ludzie nie wybierają swego losu”. Jednak wybierają i potem, patrząc z perspektywy paru lat czy nawet paru miesięcy, oceniają własne decyzje i dobrze, gdy mogą sobie powiedzieć: „Inaczej nie można było” albo „Tak właśnie było trzeba”.

– Nie dali mi skierowania – zwrócił się do Tadeusza.

– Tak przypuszczałem.

– Wiedziałaś?

Tadeusz nie odpowiedział.

– Towarzysz Wirski – rzekł po chwili – przyjechał tu z kolchozu, zdecydował się iść do armii.

– Słusznie – stwierdził Pawlik.

– Do armii polskiej – dokończył Tadeusz.

Pawlik przyglądał się Wirskiemu. Były kolchoźnik wydawał się znacznie starszy i od niego, i od Tadeusza – siwiał już, twarz miał pobrużdżoną, w dużych, głęboko osadzonych oczach czaił się niepokój i, tak przynajmniej sądził Pawlik, niepewność.

– I co ty na to? – zwrócił się do Tadeusza. Nie otrzymał odpowiedzi. – No to pięknie!

– wybuchnął. – Może wszyscy pójdziemy do armii Andersa? Może istotnie tam jest nasze miejsce? A wiecie, co z wami zrobią u Andersa? – zwracał się do Wirskiego. – Posadzą.

Dostaniecie wyrok jak się patrzy za agitację komunistyczną i może jeszcze posiedzicie w radzieckim więzieniu.

– To posadzą – powiedział spokojnie Wirski. – Przed wojną też wsadzali, a nie wyjeżdżałem z Zagłębia. Jest armia? Jest. Są tam komuniści wśród żołnierzy? Z pewnością są.

– No i co ty na to? – powtórzył Pawlik, spoglądając na Tadeusza. Nieco się uspokoił.

Tadeusz wzruszył ramionami.

– Ty jesteś potrzebny tutaj – powiedział. – Trzeba dowieść, że troska o los Polaków w Związku nie jest tylko sprawą ambasady.

– Los Polaków roześmiał się nagle Zygmunt – los Polaków!

W domu nie zastał jeszcze Ani. Powinna przed paroma godzinami wrócić z dyżuru, ale nie umiał już wykrzesać z siebie złości równie szczerej i gwałtownej jak niedawno. Nawet z pewną obojętnością, która go zdziwiła i którą natychmiast potępił surowo, pomyślał, że Ania jest z Radwanem. Nie, nie może przecież akceptować jej wyboru; jest zbyt uczciwa, by żyć podwójnym życiem, a nie wyobrażał sobie, aby mogła zrezygnować z tego, co najważniejsze: z walki, z przekonań wyznawanych od najwcześniejszej młodości. Zrezygnować – powtórzył

i sam sobie wydał się bezradny, a nawet śmieszny.

Jekatierina Pawłowna przesuwiała fajerki na kuchni, odstawiała garnki, potem stanęła na progu ich pokoiku i tonem nie znoszącym sprzeciwu oświadczyła:

– Zjecie talerz zupy.

Spoglądała na niego podejrzliwie, gdy zabierał się do jedzenia, ostrożnie poczynając sobie z chlebem.

– A wy, Zygmunco Janowiczu – powiedziała – poszlibyście wieczorem do towarzyszy... zamiast czekać na Anię i martwić się.

– Nie martwię się – burknął.

– Tylko krzyczycie na nią, kiedy późno wraca. Po co? – Usiadła naprzeciw niego przy stole i sama odkroiła mu solidną pajdę chleba. – Po co? – powtórzyła. – Ania jest mądra i uczciwa. Nie wierzycie jej? Takim dziewczętom trzeba wierzyć. A jeśli pisane jej cierpienie, i tak nic nie pomożecie.

Pawlik pomyślał, że w Rosji znacznie częściej niż gdziekolwiek na świecie mówi się wprost, z ową troskliwą bezceremonialnością rozważając najintymniejsze sprawy bliźnich.

– Bo Ania – ciągnęła Jekatierina – jeśli sobie kogoś wybrała, nie cofnie się, choćby inaczej myślał niż ona. Do każdego dotrze prawda. A wam, Zygmuncie Janowiczu, chyba czegoś brak, myślę, że właśnie serdeczności, ciepła...

Pawlik wstał, odsuwając pusty już talerz.

– Że jestem oschły – powiedział – surowy... takie miałem, widzicie, wesołe życie, że mnie nie nauczyli serdeczności. Nie czas dzisiaj na myślenie o sobie.

Spojrzał na Jekatierinę Pawłówną i wydało mu się, że dojrzał w jej oczach niechęć.

Umilkła, wstawiła talerze do zlewu i rozpoczęła energiczne zmywanie.

Radwan czuł, że związek z Anią waży coraz mocniej na jego sytuacji w ambasadzie, nie tylko dlatego, że unikał koleżeńskich pijaństw i z nikim oprócz Ewy Kaszelskiej serdecznie się nie stowarzyszył, ale także, ponieważ coraz nieufniej i niechętniej słuchał

wywodów Wysokońskiego, dowcipów Danieckiego czy wstrząsających opowieści przyjeżdżających z terenu delegatów. Myślał: „Co powiedziałyby Ania?” Ale Ani także nie wierzył, raczej nie wierzył słowom, które były przecież nie jej własne, a jakby przyniesione z innego świata. Najczęściej więc milczał. Czuł, że jego milczenia drażnią Wysokońskiego, że oficjalna sztywność, z którą traktuje go major, staje się z każdym dniem bardziej ostentacyjna, że nawet sekretarki w ataszacie, kobiety stąd, nie ukrywają niechęci. Tylko Ewa... Któregoś pustego wieczoru, gdy Ania miała dyżur w szpitalu, pił z Kaszelską w jej pokoiku, już bez Danieckiego. Przeszli na „ty” i gdy pocałował ją po bruderszafcie, poczuł, że mógłby u niej zostać, że wystarczyłoby jedno słowo, gest... Nie, nawet ten pocałunek po paru kieliszkach wydawał mu się zdradą.

Gdy Ania miała wolny wieczór, przychodziła do niego. Nie zostawała na noc, raz tylko, gdy w szpitalu ktoś ją zastąpił... „Traktujesz brata jak zazdrosnego męża” – wyrzucał

jej. „Nic nie rozumiesz” – odpowiadała. Istotnie, nie rozumiał. Ich miłość miała smak stosunku zakazanego, grzesznego, potępianego. Pomyślał kiedyś, że Wysokoński łatwiej by zrozumiał Zygmunta Pawlika, łatwiej by się z nim dogadał niż on. Powiedział to Ani.

Obraziła się, jakby samo zestawienie: Pawlik – Wysokoński było niedopuszczalne.

„Wysokoński potępiłby ciebie, Zygmunt potępia mnie, ale to nie jest to samo”.

Szczelnie zasłaniał okno, zapalał światło, myślał o kloszu, najchętniej kolorowym; drażniła go nagość żarówki zwisającej nad stołem. Ta żarówka niweczyła wszelką przytulność. Metalowe łóżko i proste drewniane krzesła przypominały koszary. Rozumiał, dlaczego Ania mówiła „zgaś światło”, zanim zaczynała się rozbierać. Nie widział jej, gdy podchodziła do łóżka; myślał wówczas, że ta całkowita ciemność jest jeszcze gorsza niż zbyt jaskrawe światło, ale nie odważyłby się sięgnąć do kontaktu, ciągle bał się ją spłoszyć, a płoszył ją każdy zuchwalszy gest, zastygała, gdy sięgał palcami jej łona, gdy brał jej dłoń w swoją i prowadził po własnym ciele, by poznała najtajniejsze zakamarki. „Uczę się ciebie”.

Dopiero wówczas, gdy została na noc, nie kazała mu gasić światła. Oglądał z czułością jej grubą barchanową bieliznę, a potem leżeli nadzy, przytuleni do siebie; on wstał po papierosy i po raz pierwszy patrzyła na niego tak, by wiedział, że patrzy.

– I co z nami będzie? – zapytała nagle, gdy podał jej także papierosa.

– Jak to? – zdziwił się, choć właściwie nigdy nie myślał o przyszłości. – Będziemy razem, zostaniesz moją żoną – dodał i chciał krzyknąć: „To takie proste, zwyczajne, oczywiste, jak mogłem dotąd...”

Roześmiała się.

– Prosisz mnie o rękę?

– Czy mam to uczynić oficjalnie?

– Nie żartuj. Czy sądzisz, że istnieje miejsce na świecie, gdzie mógłby być nasz dom?

– Polska – powiedział.

– I co będziemy robić?

Wzruszył ramionami. Niesłychanie odległa, wręcz nieprawdopodobna i nie dająca się wyobrazić wydała mu się ta przyszłość. Istniała tylko wojna, Kujbyszew, ambasada, Polacy z tej i z tamtej strony, rosyjska zima, twarz bojca stojącego na posterunku przed poselstwem.

Dlaczego przypomniał sobie tę twarz, szeroką, nieco mongolską, obojętną, niemal nieruchomą? Ilu takich ginie co dzień na frontach wojny?

– I co będziemy robić? – powtórzyła.

– Tysiące rzeczy! – zawołał nagle. – Pracować, meblować mieszkanie, chować dzieci, gotować obiady, chodzić do kina...

– A najważniejsze?

– Najważniejsze? Być razem...

– Boję się – szepnęła.

– Czego?

– Nie wiem. Dotąd się nie bałam, dopiero teraz. Pomyślałam sobie: co właściwie zależy od nas? Ty mnie nie chcesz stracić, ja ciebie nie chcę stracić. I co z tego? Czego możesz wyrzec się dla mnie? Czego ja mogę wyrzec się dla ciebie?

Rano, gdy się żegnali, poprosiła go po raz pierwszy, by odwiedził ją w domu.

„Poznasz” moich przyjaciół i zobaczysz, jak my tutaj żyjemy”.

Przygotowywał, się starannie do tych odwiedzin, rozumiał, jaką wagę przywiązuje do nich Ania. Trochę się bał, czy będzie umiał rozmawiać z tymi ludźmi. Czy powinien rozmawiać? „Na miłość boską, przekonywał sam siebie, przecież Zygmunt Pawlik to mój dawny towarzysz broni”.

Zgromadził prezenty, nieco się wstydził tych puszek i alkoholi, których zdobycie nie było dla niego zbyt trudne. Jak je przyjmą? Może należało zapytać Ani? Ania oczywiście powie: nie. Ale przecież...

Niewiele widział takich wspólnych mieszkań w starych kujbyszewskich kamienicach.

Najpierw był długi, ciemny korytarz, potem stanął na progu sporej kuchni i zobaczył

Zygmunta Pawlika w szynelu, Anię z wypiekami na twarzy i grubawą, sympatyczną Rosjankę nakrywającą do stołu. Dwie przyjaciółki Ani, Jankę i Helenę, dostrzegł dopiero po chwili.

Od razu zorientować się w sytuacji. „Więc Zygmunt chciał wyjść – pomyślał – nawet nie zamierzał ze mną pogadać”.

Ostentacyjnie pocałował Anię, gdy do niego podeszła, pochylił się nad ręką korpulentnej jejmości, która wykrzyknęła „Oj!”, uścisnął dłonie Janki i Heleny.

– Wychodzisz? – zapytał Zygmunt.

– Nie, właśnie wróciłem – burknął Pawlik.

Pokaźne pudło wręczył Jekatierinie Pawłownie, unikając wzroku Ani.

– Dla mnie? – dziwiła się. – A cóż to jest? – Jej śpiewny rosyjski wydał mu się nader sympatyczny.

– Drobiazgi – powiedział.

Były to istotnie drobiazgi, nieczęsto jednak wówczas widywane: szynka, salami, czekolada, kawa, mleko skondensowane, cukier, no i oczywiście whisky. Jekatierina Pawłowna ostrożnie odkładała produkty na stół, spoglądając to na Zygmunta i Anię, to na Jankę i Helenę, niepewna, co z tym bogactwem powinna począć. Przyjąć? Dumnie odmówić?

Jakże by mogła odmówić? Tamci milczeli, podjęła więc decyzję sama.

– To dla dzieci – postanowiła, pakując do pudełka większość produktów – kawa i trochę szynki dla was, a na stół pójdzie – miała niejaki kłopoty z wymówieniem trudnego słowa – whisky.

– Nie jest to chyba – mruknął Pawlik – pajok dla żołnierzy idących na front.

Radwan nie odpowiedział; postanowił nie reagować na złośliwości, patrzył ciągle na Anię, czuł Jej wzrok na sobie, po raz pierwszy byli razem nie sami. Jekatierina Pawłowna poprosiła do stołu, Ania powiedziała „Usiądź obok mnie” i dostrzegł, że się zarumieniła, gdy wymawiała jego imię. Zygmunt

rozlał whisky do szklanek, nałożył na talerze ziemniaki.

Wypili, potem znowu wypili... Radwan czuł, że mówi zbyt dużo, on, nieśmiały zwykle i małowówny. Był przecież dla nich nieco egzotyczny, słuchali, czasem Janka lub Helena przerywały pytaniami. A on opowiadał o Coëtquidan i o francuskiej kampanii, o bojach nad Londynem, o pobycie w Stanach i, oczywiście, o naczelnym wodzu, który przecież rozciął

najtrudniejszy dla Polski węzeł gordyjski. Gdy powiedział: „To była wielka chwila, gdy Sikorski przemawiał do stojącej na mrozie 5 Dywizji”, zapadła cisza.

– Pan – rzekła Helena, akcentując to „pan” – jest zakochany w naczelnym wodzu. To ładnie. – Głos miała nieco schrypnięty, drwiący.

Nie bardzo wiedział, ile w tym stwierdzeniu było kpiny. Bał się dyskursów politycznych, wydawało mu się zresztą, że o żadnej polityce nie mówi, że opowiada własne dzieje, przedstawia się. Może tego właśnie chciała Ania? Ale wódka już działała. Jekatierina Pawłowna zanuciła jakąś rosyjską piosenkę, której nie znał; melodia była tęska, łatwa do zapamiętania. Janka zaśpiewała refren „uchadili kamsamolcy na graždanskuju wajnu”, potem było „ech, put daroga” i jeszcze inne. On chciał zanucić piosenkę z Coëtquidan, ale nagle śmieszne mu się wydało, że oto siedzi u przyjaciół swojej dziewczyny, opowiada o Sikorskim, a oni go częstują rosyjskimi melodiami. Znalazł dłoń Ani na stole, przykrył ją swoją i poczuł na sobie spojrzenie Zygmunta. Pawłowna zaczęła właśnie opowiadać o wojnie domowej, nie wszystko rozumiał, to tylko, że głód był straszny, ludzie jak muchy padali, a ona z mężem i małym synkiem – z jednego frontu na drugi, po chłopskich chatach, gdziekolwiek... Nie zamienił z Zygmuntem jeszcze ani jednego słowa, tylko szkłem się stukali. Teraz Pawlik napełnił znowu kieliszki, wódka mu, widać, uderzyła nieco do głowy, wydawał się skłonniejszy do gadania.

– Nie o ciebie osobiście chodzi – przemówił nagle. – Ty, co tam! We wrześniu nie byłeś zresztą najgorszy. Was nie lubię – podniósł głos i Stefan poczuł, jak skurczyły się palce Ani. – Zawsze byliście i jesteście – szukał odpowiedniego słowa – nawłocia...

– Żeromski ci się przypomniał – rzekł cicho Radwan. – Wy przecież nie lubicie Żeromskiego. Ale Baryka szedł na Belweder, a myśmy razem we wrześniu przeciwko Niemcom...

– Trochę się, rzeczywiście, poplątało – powiedział Zygmunt – ale kto odpowiada za klęskę? Wy, wasze rządy.

Radwan nagle Wybuchnął śmiechem, dłoń Ani wysunęła się spod jego dłoni.

– Nasze? Moje?! – wykrzyknął. – To nic nie znaczy, obaj służyliśmy w tej samej armii. Chcesz powiedzieć, że moja częśćka winy jest większa niż twoja? A jak to się oblicza?

Historia ustali, kto był winien: Rydz, Beck, Francuzi, Anglicy...

– Nic nie rozumiesz! – Pawlik machnął ręką i rozlał do szklanek resztę whisky. – Nic nie rozumiesz – powtórzył – nie umiesz myśleć klasowo. E, tam. Jesteś po prostu burżuazyjnym oficerkiem.

– Jestem polskim oficerem. – Radwan powiedział to nieco zbyt głośno. – Ty...

– Chłopcy, chłopcy!... – zawołała nagle Janka. Nie sądził, że słucha ich rozmowy. –

Bez wielkich słów przy wódce.

– No, tak – szepnął Pawlik, jakby nagle uspokojony.

– Mój ojciec – powiedziała Pawłowna – był najpierw u białych. No i co z tego, że był?

Potem bił się z Denikinem, z biało-Polakami.

– Jego ojciec – rzekł Pawlik – był właśnie białym Polakiem.

– Zygmunt! – wykrzyknęła Ania. Stefan pomyślał, że za chwilę się rozpłacze. – Jakie to ma znaczenie teraz? Dlaczego o tym mówicie? Czy naprawdę myślisz – zwracała się do brata – że jesteście tacy różni, tacy od siebie dalecy: ty i Stefan?

– A jak ty sądzisz?

– Że więcej pozorów... – wybuchnęła.

– Pozorów? – włączyła się Helena. – No, dziewczyno, to się dopiero okaże.

– Dlaczego – wtrącił Stefan – mnie nie przeszkadzają poglądy Ani, a wam przeszkadzają moje?

– To nie tak – rzekła Janka – tu nie chodzi o poglądy, wasze losy są różne.

– Różne? Chcemy tego samego. – Zwrócił się nagle do Pawlika, który siedział

pochylony nad pustą szklanką, głowę podparłszy rękoma. – Chciałbyś wrócić do Lwowa? –

zapytał.

– Chciałbym – przytaknął mechanicznie Pawlik. Ale natychmiast oprzytomniał. – Ja tak – dodał – ale Ukraińcy? Czy oni nas zechcą? – Nie zabrzmiało to zbyt szczerze.

Ania milczała, Radwan przez cały czas, pijąc whisky, która wydała mu się teraz obrzydliwa, zadawał sobie pytanie: jest rozczarowana czy nie? Jak sobie wyobrażała ten wieczór i jego rozmowę z Zygmuntem?

W tłumie gości z Princeton Club w Nowym Jorku poczuł się samotny. Generał opuszczał

właśnie salę, a Raszeński wśród polonijnych tuzów i amerykańskich dostojników szukał

znajomej twarzy, nie kogoś, kto przyjechał z Sikorskim z Londynu, ale kogoś tutejszego, kto by to miasto, które wydało mu się najdziwniejsze ze wszystkich, jakie dotąd widział, Uczynił

bardziej prawdopodobnym i zrozumiałym. Londyn nie zaskoczył go, gdy przyjechał do Anglii odwołany przez Sikorskiego z Rosji. Był zimowy, wojenno-ponury, mglisty, tak sobie zresztą wyobrażał stolicę nad Tamizą. Spotykało się znajomych, Polaków, tak jak on – wygnańców bez domu. Otaczała go ciekawość, była to niekiedy (nawet zbyt często) ciekawość, jak mniemał, niedobra, bo wciąż odnosił wrażenie, że rozczarowują jego opowieści, że oczekują od niego nie chłodnej refleksji i rozsądnego dystansu, ale nienawiści. Przecież na własne oczy widział obozy, głód, śmierć, a tak mało w jego relacjach mrozących krew szczegółów, jakby zapomniał lub chciał zapomnieć. A czy można podporządkować pamięć racjom politycznym, nawet jeśli uznaje się ich zasadność?

Drukowano go jednak. Przydział do redakcji „Orła Białego” zawdzięczał naczelnemu wodzowi. Uważano go za człowieka Sikorskiego, co stwarzało pewną swobodę, ale było także niebezpieczne. Powiedział mu to po pijanemu stary kolega, przyjaciel z Warszawy, rotmistrz Paździecki. „Przekonasz się o tym”. Raszeński nie wątpił, że Paździecki ma rację; było to właśnie wówczas, gdy ukazał się w „Wiadomościach” jego artykuł o myśleniu anachronicznym. „To, co nazywasz anachronicznym – pieklił się Paździecki – jest właśnie polskie. Idziesz dalej niż Sikorski. My nie stawiamy na żadne nowe układy na świecie, przeciwnie, liczymy na powrót starego, i tylko w oczekiwaniu, by móc oczekiwać, dokonujemy takiej wolty, jak przyjaźnienie się z Sowietami. To taktyka i wcale nie wiadomo, czy dobra i skuteczna”.

Delegację do Stanów podczas marcowej wizyty Sikorskiego traktował Raszeński jak wyróżnienie. Może istotnie naczelny wódz chciał, żeby on właśnie opisał tę podróż, drugą podróż Sikorskiego do Ameryki. Jeszcze nie umiał sobie wyobrazić reportaży, które powinny powstać, nie wiedział, jak przekazać inność Ameryki prowadzącej wojnę, i nie żyjącej przecież wojną. Chodził po ulicach Manhattanu, stawał przed wystawami, wstępował do barów, szukał śladów wojennych napięć, niepokojów widocznych na każdym kroku w Londynie czy w Moskwie i nie znajdował; był turystą nie wierzącym, że w roku czterdziestym drugim można gdziekolwiek na świecie uprawiać jeszcze turystykę.

W Princeton Club wśród tych, którzy zgromadzili się tu, by zobaczyć Sikorskiego, posłuchać Sikorskiego, czuł się oczywiście inaczej, choć równie obco. Londyn był jednak domem; natychmiast przypomniał sobie Martę i wydało mu się, że dziewczyna stojąca nie opodal w towarzystwie starszego pana, o którym wiedział, że to senator, jest do niej podobna.

Miała takie same zielonkawe i niespokojne oczy... Że Marta jest w Londynie, w pomocniczej służbie kobiet, dowiedział się właśnie od Paździeckiego tydzień po przyjeździe. Szedł do niej i nie wierzył, że za chwilę ją zobaczy. Żegnali się 25 sierpnia na dworcu w Warszawie; stał na stopniu ruszającego wagonu, ona biegła obok, powiedziała: „Niedługo”. Zaręczyli się w Juracie 6 sierpnia, ślub... tak, ślub miał odbyć się 20 września. Potem pisał do niej z obozu w Rosji listy, które nigdy nie doszły. Dotarła do Londynu z ojcem, inżynierem filii Philipsa w Warszawie. „Jest teraz w Szkocji – opowiadała – i pieklił się na oficerską beczyność, cholernie im brak szeregowych”.

„Wierzyłam – płakała – że żyjesz, że jesteś w niewoli niemieckiej, a ty byłeś w Rosji...” W jego londyńskim pokoiku, który stał się teraz domem, było wąskie łóżko, stolik pod oknem i jeden stary, głęboki fotel. Lubiła, skulona w tym fotelu pod dwoma płaszcami, opowiadać o drodze przez Rumunię i Włochy, o faszycie, który całą noc częstował ją sycylijskim winem. Z Ogromną

dokładnością i znanstwem mówiła, co zrobiłaby na kolację, gdyby... Czy lubi na przykład zupę grzybową ze śmietaną? A zrazy zawijane z kaszą gryczaną? A naleśniki z serem? Natychmiast po wojnie będzie mógł sprawdzić, jak ona, Marta, umie gotować. Miała błyszczące oczy, potem przytuliła się do niego. Pili herbatę i otwierali puszkę konserw.

Obiad w Princeton Club był znakomity. Po wyjściu Sikorskiego atmosfera stała się nieco swobodniejsza; z filiżanką kawy, ze szklaneczką whisky, z kieliszkiem koniaku można było, krążąc po sali, słuchać strzępów rozmów, a także zamienić parę słów z ludźmi, którzy, być może, pojawią się w przyszłym reportażu.

Stał właśnie nie opodal panów zajętych ożywioną rozmową. Jeden niski i bardzo pewny siebie, drugi młodszy, ale z twarzą, na której uśmiech pojawia się nader rzadko...

Widział go już na konferencji prasowej, pisuje do jakiegoś polonijnego pisma.

– Ja wam coś powiem – mówił niski mężczyzna i widać było, że z trudem wyraża myśli po polsku – każdy grojek gra tak, jak może, bez dobrych kart nie da rady. Albo czekasz, albo pasujesz, aby być mało przegrany. Sikorski musi domówić się z Rosją? Musi. Nikt za niego z Moskwą nie będzie gadał, najwyżej go sprzedadzą.

– No, niezupełnie tak – odpowiadał dziennikarz – trzeba podbijać cenę, nikt nie ceni partnerów, którzy łatwo ustępują.

W pobliżu pojawił się wysoki, starszy mężczyzna w ciemnym ubraniu, leżącym na nim jak mundur wojskowy. Spacerował samotnie po sali.

– Generał – ściszył głos młodszy chciał wrócić do wojska, ale Sikorski go nie wziął.

– Jak przegrywasz, to odchodzisz – stwierdził sentencjonalnie niższy jegomość.

Raszeński poszedł dalej. Oficer w mundurze pułkownika z polskiego ataszatu w Waszyngtonie rozmawiał z dostojnym, siwym mężczyzną w ciemnym garniturze i nieco zbyt jaskrawym krawacie.

– Naczelnny wódz – mówił pułkownik – bardzo liczy, na senatorów, którzy nie zapomnieli kraju swego pochodzenia. Poparcie sprawy polskiej tutaj ma ogromne, może decydujące znaczenie.

– Ja pamiętam – stwierdził senator – ale wy też nie zapominajcie, że my mamy wojnę z Japonią, i nikt nie będzie się kłócił z wujkiem Joe, jak żółtki wiszą nam na karku.

– Wy nie rozumiecie Rosji – powiedział pułkownik.

– Ciągłe słyszę – mruknął niechętnie senator – że my nie rozumiemy. Ale Niemcy są pod Moskwą, a wy rozmawiacie z nami tak, jakby Rosjanie stali pod Warszawą.

– Dlaczego samotnie, Raszeński? – zapytał oficer w mundurze kapitana, który właśnie podszedł do niego. Raszeński poznał go w Londynie. Kapitan pracował w gabinecie naczelnego wodza i wydawał się dość sympatyczny. – Może przedstawić pana któregoś z polonijnych piękności?

– Potem – powiedział Raszeński – chciałbym porozmawiać z Matuszewskim i senatorem Byrskim...

– Ciągle ta dziennikarska ciekawość – roześmiał się kapitan – oni i tak nic panu nie powiedzą...

– Dlaczego?

– Bo to jest, proszę pana, kraj złudzeń.

– Nie bardzo rozumiem.

– Dla nas, oczywiście. Naczelny wódz łudzi się, że coś uzyskał. Jego przeciwnicy łudzą się, że Roosevelt generała nie poprze, a tymczasem sprawa Polski staje się tutaj dla nich coraz bardziej egzotyczna. Nawet dla Polonii.

– Chyba pan się myli.

– Może – uśmiechnął się kapitan. – Oczywiście, sporo sentymentu dla starego kraju, ale to nie zwiększa nawet liczby ochotników do naszej armii.

– Polonia jest naprawdę związana z Polską.

– Tak, tak, oczywiście. Ale oni są cholernymi realistami, panie Raszeński.

– To źle?

Kapitan nie odpowiedział, a Raszeński zmienił temat.

– Drogi kapitanie, już dawno chciałem pana zapytać: co to było z tą bombą w samolocie naczelnego wodza?

– Plotki, plotki – mruknął kapitan.

– Pan przecież wie.

– Wiem. Ale pan zaraz to opisze albo...

– Oficerskie słowo honoru – oświadczył Raszeński – że zachowam dla historii.

– Dobrze – mruknął kapitan – lubię pana. W samolocie Sikorskiego podczas lotu nad Atlantykiem znaleziono bombę, przewód do detonatora już dymił. Pułkownik Kleczyński znalazł ją i rozbroił.

– Dziwna historia – mruknął Raszeński.

– Dziwna! Generał ma bardzo wielu wrogów.

– Obcy wywiad? – zapytał Raszeński.

– Jest pan jednak naiwny, panie Andrzeju... A oto i Matuszewski, którego pan podobno szukał.

Istotnie go szukał. Podczas niedawnej konferencji prasowej Matuszewski, znany działacz polonijny, ostro wystąpił przeciwko generałowi Sikorskiemu. Zarzucił mu ukrywanie prawdy o stosunkach polsko-radzieckich. Dlaczego nic nie mówi się o polskich granicach, a w każdym razie nie mówi o nich generał? Gdzie są sowieckie gwarancje, że granice nie zostaną zmienione? Czy układ oparty jest wyłącznie na dobrej woli Kremla?

Matuszewski okazał się jowialnym jegomościami, mówiącym chętnie i dużo.

– Cokolwiek powiem – zaczął – i tak pan mnie obszczeka, panie Raszeński... Niech wam będzie. My, polscy Amerykanie, nie lubimy piasku W oczy, jak to się mówi w kraju.

Czujemy, że generał Sikorski traktuje nas jak dzieci. Przyjaźń z Rosją! Co tu gadać, panie redaktorze, za tę przyjaźń trzeba słono płacić, a o tym generał Sikorski nic nie mówi.

– Wasz prezes, Świetlik, jest innego zdania – powiedział Raszeński – poparł gorąco politykę generała Sikorskiego.

– Też ją popieram – mruknął Matuszewski – ale chciałbym, żeby Sikorski stawiał

sprawę wyraźnie: czy uważa, że wszystko i tak będzie decydować się po wojnie tu, w Waszyngtonie, czy chce płacić za przyjaźń z Rosją?

– A jak pan sądzi?

Matuszewski się uśmiechnął.

– Prawdę mówiąc, sędzę, że nie ma to żadnego znaczenia. O wszystkim, panie Raszeński, po wojnie będzie decydować się tutaj, w Białym Domu.

– A jeśli nie, panie Matuszewski?

Działacz polonijny spojrzał na niego jakby nie rozumiejąc.

– Jeśli nie? No, to wtedy trzeba będzie pomyśleć.

– Może za późno będzie na myślenie?

Samotny mężczyzna w cywilnym czarnym ubraniu przemaszerował nie opodal; Raszeński spojrzał na niego z zainteresowaniem i pomyślał, że warto by może porozmawiać z tym generałem. Ale zobaczył właśnie senatora Byrskiego. Został mu już przedstawiony przed obiadem i teraz nie miał żadnych trudności z prośbą o wywiad.

– Jak pan ocenia, panie senatorze, rezultaty wizyty generała?

– Chce pan to oczywiście napisać?

– Tak.

– Więc bardzo pozytywnie. Bardzo... Generał Sikorski zadziwił wszystkich, także prezydenta, szerokością swoich horyzontów politycznych i trafnością opinii. Ta wizyta wzmocni naszą przyjaźń.

Raszeński nie cierpiał okrągłych frazesów; schował do kieszeni notes.

– A tak prywatnie, panie senatorze?

Byrski wziął go pod rękę.

– Czytałem jakiś pana artykuł, panie redaktorze... bodajże reportaż, już nie pamiętam.

Ja czytuję polską prasę i ona bardzo mnie niepokoi.

– Dlaczego?

– Urodziłem się już w Stanach, panie redaktorze. W kraju byłem raz, w dwudziestym dziewiątym roku, ale sędzę, że rozumiem dużo, może nie wszystko, ale dużo. Brak wam, jak to się mówi... realistycznego, politycznego myślenia. Bo, niech pan sam powie: na co niby liczycie, drażniąc Rosję choćby tą federacją, o której mówił Raczyński, i żądaniem niepodległości państw bałtyckich. Przecież Sikorski nic nie uzyskał od prezydenta, żadnych zapewnień. Powstała zupełnie nowa sytuacja i w tej sytuacji Polska powinna być bardziej łącznikiem między nami i nimi niż przedmiotem przetargu. Politycy nie lubią zbytecznych kłopotów, a bywa... – nie dokończył.

Samotny pan w ciemnym ubraniu przystanął, chwilę się wahał i podszedł do nich.

Senator przywitał się z nim niezbyt chętnie, Raszeński podał swoje nazwisko.

– Przykro mi, panie generale – powiedział sucho Byrski – ale nie będę mógł panu pomóc, nic nie mogę zrobić. Panowie wybaczą... – Ukłonił się i odszedł.

Raszeński pozostał sam na sam ze starszym panem i czuł, że ich obserwują.

– Dobrze, że pana poznałem – rzekł cicho generał. – Nie mam żadnych szans dotarcia do naczelnego wodza, czy mógłby pan napisać o jakiejś rozmowie ze mną albo opublikować mój list?

– Nie sędzę, aby to mogło być możliwe, panie generale – powiedział Raszeński i poczuł się nagle niezbyt zręcznie.

– Tylko dlatego, że byłem senatorem, że dowodziłem okręgiem, że nie zgadzałem się z Sikorskim?

Raszeński milczał.

– To poszukiwanie winnych – ciągnął generał – wygląda mi wyłącznie na akt zemsty.

– Pan tego nie rozumie, panie generale?

– Nie, nie rozumiem.

– I w żadnej mierze nie czuję się pan odpowiedzialny za to, co się stało?

Generał milczał chwilę, patrzył na salę.

– Nie – rzekł wreszcie – nie czuję się odpowiedzialny. Nie mogliśmy postępować inaczej, historia to potwierdzi – dodał.

– Pan jest tego zupełnie pewien?

– Młody człowieku, każdy rząd popełnia błędy, ale ocenić może tylko historia.

– To straszne – rzekł nagle Raszeński.

Generał się roześmiał. Był to śmiech cichy, nie zmieniający wyrazu twarzy. I odszedł.

Generał Sikorski był zmęczony. Raszeński teraz (a będzie to czynił zapewne także później) starał się odtworzyć myśli naczelnego wodza, gdy w hotelowym apartamencie rozważał rezultaty amerykańskiej wizyty i próbował przewidzieć przyszłość. Co generał

myślał o spotkaniu z Rooseveltem? Nie był chyba zbyt zadowolony, choć prezydent wydawał

się serdeczny, chwilami tylko jakby obojętniejący... Teraz, siedząc w fotelu i patrząc, jak córka nalewa kolejną szklankę herbaty, odtwarzał jeszcze raz najważniejsze fragmenty rozmowy. Czy istotnie uzyskał cokolwiek?

Roosevelt wysłuchiwał cierpliwie jego opinii dotyczących sytuacji na frontach, szczególnie na froncie śródziemnomorskim, ale przerywał, gdy Sikorski zaczynał mówić o sprawach, na których naprawdę mu zależało.

– Chodzi mi o poparcie naszego stanowiska – powracał nieustannie do tego tematu – wobec rządu radzieckiego.

– Tak, tak, oczywiście – Roosevelt stawał się jakby nieuważny. – A jakie wrażenie wywarł na panu Stalin? – I nie czekając na odpowiedź: – Bo Stalin wyraża się o panu premierze z dużym uznaniem. Sądzę, że uda się panu wiele od niego uzyskać.

– Mówiłem już Churchillowi – stwierdził Sikorski – że odniosłem wrażenie, iż Stalin szczerze zmierza do zbliżenia polsko-radzieckiego, jednakże... chodzi mi, panie prezydencie, o rozmowy radziecko-brytyjskie. Obawiam się, że rząd brytyjski bliski jest ustąpienia naciskowi rosyjskiemu... Oczywiście, jestem przekonany, że ani rząd Stanów Zjednoczonych, ani rząd brytyjski żadnych spraw dotyczących Polski bez naszego udziału rozważać nie będą...

Roosevelt znowu wydał się roztargniony i bawił się notesem.

– Tak, tak, oczywiście. Sekretarz stanu mówił już, że jeżeli chodzi o Prusy Wschodnie, jesteśmy pewni, iż będziemy popierać wasze żądania. – Nagle jakby się zaniepokoił. – A co stanie się

wówczas z korytarzem?

– Jak to? – zdziwił się Sikorski. – Korytarz, panie prezydencie, przestanie, oczywiście, istnieć.

– Tak, tak, naturalnie. – Roosevelt nie wydawał się przekonany.

– Chodzi mi także o państwa bałtyckie – nastawał dalej Sikorski. – Litwa, panie prezydencie, zawsze bardzo obchodziła Polskę i leżała w domenie jej bezpośrednich interesów. Nie płynie to z megalomanii: opinia publiczna w Polsce nigdy nie pogodzi się z koncesjami terytorialnymi na rzecz Sowieców, podobnie jak zawsze będzie stała na stanowisku, że sprawy o żywotnym znaczeniu dla Polski mogą być rozważane tylko z jej udziałem.

Teraz prezydent wydał się zniecierpliwiony, mówił już nie serdecznie, ale bardzo oficjalnie.

– Rozumiem pana stanowisko, panie premierze, ale nie można zjadać placka, którego się jeszcze nie upiekło. Rząd Stanów jest zdecydowany nie odstępować od zasady, że żadne kwestie terytorialne nie mogą być rozwiązywane przed zakończeniem wojny. Po wojnie przyjdzie czas, by ludność każdego kraju mogła się wypowiedzieć na temat swej przyszłości.

– Odetchnął z ulgą, jakby skończył ze sprawą niezbyt przyjemną, i natychmiast zmienił temat, nie pozwalając już Sikorskiemu powrócić do poprzednich problemów. – A jak pan ocenia, panie premierze – zapytał – siłę radzieckiego oporu? To dla nas bardzo ważne. Ogromnie nas niepokoi możliwość, prawdopodobna lub rzekoma, wyjścia Rosji z wojny.

– Jestem przekonany – odpowiedział Sikorski – że Niemcy nie osiągną swoich celów i że można nie żywić obaw, by Rosja wycofała się z wojny, nie posiada jednak dość siły, by pobić wroga...

Roosevelt uśmiechnął się.

– Nie posiada dość siły – powtórzył. – Tak pan sądzi, panie premierze?

Co więc naprawdę uzyskał?

– Słuchaj – zwrócił się nagle do córki – pomyśl... czy wszystko, co robię, wydaje ci się zawsze konsekwentne, spójne...?

– Oczywiście, ojcze. Jesteś zwyczajnie zmęczony.

– Tak, zapewne tak. Ale widzisz – ciągnął – konsekwencja nie zawsze jest dobra w polityce. Trzeba mieć możliwość rozmaitych rozwiązań. Wybór. A czy ja mam wybór?

Najłatwiej – powiedział – zginąć na posterunku.

I natychmiast przypomniał sobie ten moment z podróży nad Atlantykiem, którego zapewne nie zapomni nigdy. Podpułkownik pilot Kleczyński, klęcząc na podłodze, trzyma dymiący podłużny przedmiot. To detonator bomby, który tli już i dymi. Pułkownicy Mitkiewicz i Protasewicz zrywają się z miejsc, a on tkwi nieruchomo i wydaje się, przynajmniej im mogłoby się wydawać, że niczego

nie dostrzegł.

Kleczyński, operując wprawnie i z zimną krwią, rozbija zapalnik. Sikorski nie pamięta, który z nich, Mitkiewicz czy Protasewicz, powiedział wówczas: „Szatańska myśl, zginęlibyśmy bez śladu”.

Czy naprawdę bez śladu?

„Zginąłbym za wcześnie” – pomyślał nagle i po raz pierwszy, właśnie po rozmowie z prezydentem, postanowił zainteresować się śledztwem prowadzonym w sprawie tego dziwnego zamachu. Pomyślał „dziwnego”, bo powinno go od razu przecieżyć parę faktów: dlaczego nie wykryto bomby podczas przeglądu samolotu przed odlotem, a znalazł ją bez trudu Kleczyński; dlaczego przypadek (przypadek?) sprawił, że znaleziono ją dokładnie w ostatnim momencie i dlaczego tak łatwo było ją rozbroić? „Staję się coraz bardziej podejrzliwy – pomyślał. – A może powinienem?”

Wrócił do tej sprawy podczas rozmowy z Retingerem. Jego nieodłączny cień, jak nazywał tego jegomościa, którego w gruncie rzeczy nie lubił, a którego uznawał za niezastąpionego, referował najpierw reakcje prasy amerykańskiej. Siedział ostrożnie na brzeżku wygodnego fotela, jakby nie chciał w obecności generała korzystać ze zbyt miękkiego oparcia.

– Prasę mamy znakomitą, panie premierze. Gazety amerykańskie określają pana jako jednego z czołowych przywódców demokratycznej Europy. – Oczekiwał reakcji, ale Sikorski milczał. – „New York Sun” – ciągnął dalej – podkreślał doniosłość strategicznych koncepcji pana premiera w artykule „Najpierw Niemcy”.

– Wypowiedziałem wojnę Japonii – powiedział Sikorski i sam spostrzegł, że zabrzmiało to zbyt teatralnie, może nawet śmiesznie. „Ja” i „wypowiedziałem”... – Dobrze...

– urwał nagle. – A o czym chciał pan ze mną mówić naprawdę?

– O rozmowie z podsekretarzem stanu Berle... – powiedział cicho Retinger.

– Mianowicie?

– Poglądy – Retinger ciągnął słowa, jakby się wahał – prezentował ten Berle dość rewelacyjne. Przepowiadał mianowicie, że Rosja będzie po tej wojnie jedną z paru największych potęg świata i że nie unikniemy przyznania takim mocarstwom, nie tylko więc Rosji, specjalnych przywilejów. Wątpił w utrzymanie nieograniczonej suwerenności małych państw.

– Czy to miało dotyczyć także nas? – zapytał sucho Sikorski.

– Tego Berle nie powiedział.

– Berle! Berle! Nie tylko upiekli placek, ale zdążyli go już strawić.

– Nie rozumiem, panie premierze.

– A jakie zajął pan stanowisko, panie Retinger?

– Twarde.

Sikorski się uśmiechnął.

– Podobnie jak Eden?

– Znowu nie rozumiem, panie premierze.

– Bo oto co powiem: odnoszę wrażenie, że Anglicy już wiedzą, że my będziemy musieli ustąpić. Jeszcze tego nie mówią wprost, ale już wiedzą i są pewni, że my ustąpimy.

Tylko oni – zawahał się chwilę – woleliby ustąpić w naszym imieniu, coś na tym wygrać, mieć ten atut w grze. My będziemy twardzi, będziemy twardzi... – Rzucił na stół zapalki. –

Przesunięcie kraju – powiedział – przesunięcie kraju, jakby był wozem na kołach; to straszna operacja, panie Retinger, i to nie może odbyć się bez jego zgody.

Długo trwało ciężkie, niespokojne milczenie.

– Panu premierowi niewątpliwie zameldują – odważył się wreszcie przerwać milczenie Retinger – o wynikach śledztwa w sprawie tego incydentu w samolocie.

– Zameldują – powtórzył, jakby już bez zainteresowania, Sikorski.

– Kleczyński sam przyniósł bombę, panie premierze. Najeży do oficerów

„młodoturków”...

– Czyli – rzekł Sikorski – młode durnie z armii, które chciały mnie przestraszyć. Mnie przestraszyć! Kto za nimi stoi, panie Retinger?

Żadnego już dystansu, żadnej możliwości spojrzenia z zewnątrz na siebie, otoczenie, wojnę.

Tkwi się w środku, nawet tutaj, w ambasadzie, jak w czwórce maszerującego plutonu: nie wyjdiesz z szeregu, jesteś częścią oddziału i razem z nim w błoto, w wodę, na minę lub na złamanie karku, w piekło. To jest zresztą droga przez piekło. Może później nazwiesz to inaczej, jeśli w ogóle my, ty i ja, do tego później dotrzemy.

– Za dużo pijesz – stwierdził Radwan.

Istotnie, Ewa piła nawet w ambasadzie. W szafie, pod papierami miała zawsze butelkę koniaku, kubki do herbaty stały na biurku. Lubił u niej przesiadywać, czuł się w jej towarzystwie niepokojąco swobodnie, może swobodniej niż z Anią. Ania kochała, ale nie akceptowała tego, co myślał. Dla Ewy natomiast jego poglądy lub raczej próby określenia poglądów były przedmiotem niepokoju; czuł, że boi się o niego, i nie była to świadomość niemiała.

– Mam dosyć – powiedziała. – Czy ty już dostrzegasz, że nic się nie da zrobić?

Widzisz tę matnię? Kot usiłuje ciągle coś naprawiać, łątać, koić i zupełnie nie wie, kto mu bez przerwy psuje zabawę. Miodowy miesiąc trwał krótko, a teraz wali się wszystko, ciągle nowe konflikty. O obywatelstwo, o delegatury, o jutro, o wczoraj... Czasami myślę, że tak musi być, że zostało postanowione, ułożone, zatwierdzone. Nic się nie da zrobić, żadnej zgody między nami i nimi nie będzie, oni nie mogą i my nie możemy.

– Co ty wygadujesz!

– Mój miły chłopczyku – szepnęła – tacy jak ty, uczciwi kochani, sympatyczni, nic nigdy nie rozumieją. – Nalała pół szklanki koniaku i popijała powoli jak herbatę. – Myślę niekiedy, że lepiej rozumiem ten kraj niż ci, którzy byli w obozach. Nie dlatego, że ich zaślepia nienawiść, ale dlatego, że oni ciągle myślą, że można grać, naciskać, wymuszać, i dochodzić do kompromisów. Nieprawda.

– Wódz naczelny tak myśli.

– Tak, tak, oczywiście ale to nieprawda – powtórzyła twardo. – Tu toczy się gra pod tytułem „Wszystko albo nic”, żadnych targów. Ustąpić – wtedy ma się jeszcze jakąś szansę, ale trzeba by ustąpić całkowicie, zdać się na łaskę i niełaskę, ulokować tutaj wszystkie nadzieje...

– Naprawdę się upiłaś.

– Oczywiście, że się upiłam. – I nagle zmieniła temat. – O czym tu pisać w naszym cudownym ambasadzkim organie? Nie interesuje cię to? Oczywiście, rozumiem, ciebie interesuje zupełnie coś innego, a właściwie ktoś zupełnie inny... Aha, już wiem, co mam dla ciebie. Nasz cudowny sztab, nie wiem dlaczego trafiło to do mnie, nie życzy sobie, by mu przysyłano tony radzieckich materiałów propagandowych. Bo Sowieci, według rozdzielnika, dostarczają nam broszury, plakaty, pogadanki... tak jak radzieckim dywizjom.

– I co to przeszkadza sztabowi?

Ewa spojrzała teraz na niego z nie ukrywanym niepokojem.

– Widać przeszkadza. A ty tego nie rozumiesz? Może się boją, że przez pomyłkę rozdadzą żołnierzom.

Radwan wzruszył ramionami.

– W każdym razie zamelduj Wysokońskiemu i daj mu ten paperek, niech on to załatwia. – Odstawiła szklankę i odwróciła ją do góry dnem. – Nie będę już piła... Ty się jednak zmieniasz – powiedziała nagle.

– Ja? O czym ty mówisz?

– Zmieniasz się, niedostrzegalnie. Jeszcze sam nie wiesz, jeszcze tylko wzruszenie ramion, ironiczne zdanko i wątpliwości. Żal mi ciebie, boję się o ciebie – powiedziała ciszej.

– Żartujesz.

– Ani mi to w głowie – westchnęła. – Po prostu... – machnęła ręką. – Co słyhać u komunistów?

Zesztywniał. Spojrzał w okno: padał mokry śnieg; wydawało mu się, że przed chwilą świeciło przedwiosenne słońce.

– Nie mam pojęcia. – I dodał, może trochę wbrew sobie: – Ani oni, ani ja nie palimy się do bliższych kontaktów. Sądzę, że im też trudno.

– Też trudno – powtórzyła Ewa. – Więc już znak równości, oni i my, jakby dwie równorzędne propozycje... Słuchaj, Stefan, nie mogłeś zakochać się choćby we mnie?

– Przykro mi.

– Mnie już jest przykro, tobie dopiero będzie.

– Ale...

– Poczekaj... Ja cię nie chcę straszyć, ty naprawdę nic nie rozumiesz. – Wstała i podeszła do niego. – Posłuchaj: napisz raport i proś o przeniesienie, zrób to natychmiast.

– Nie zrobię tego.

– Jesteś – powiedziała bardzo łagodnie – naiwnym chłopakiem, nie masz ani pazurów Wysokońskiego, ani zębów komunistów i sam nie wiesz, co myśleć. Ot, wierność Polsce, wierność rozkazowi...

– Traktujesz mnie jak dziecko.

– Lubię cię – powiedziała miękko. – A ona cię kocha?

– Chyba tak – powiedział poważnie Radwan.

– I ona wie, co myśleć... – Nalała do szklanki koniaku. – Wynoś się, chłopcze, wynoś się z Rosji, z nią albo bez niej, będziesz bezpieczniejszy na froncie. – Wypiła. – Wiem, że cię nie przekonam, ale na jej miejscu...

Szedł powoli, wahając się, po schodach kamienicy, w której mieszkała Ania.

Przystawał, spoglądał przez brudne okienko w dół, na ulicę. Z ogromną niechęcią myślał o konieczności Wejścia do tego mieszkania, ale bardzo chciał Anię zobaczyć. Usłyszał kroki, ktoś schodził z góry, zobaczył Zygmunta. Stanęli naprzeciwko siebie, na wąskich schodach.

– Umówiłem się z Anią, nie przyszła, może jest w domu? – zapytał Radwan.

– Zatrzymano ją pewno w szpitalu – powiedział sucho Pawlik.

Zapadło milczenie.

– Dobrze – mruknął wreszcie Zygmunt – wejdź, jeśli już przyszedłeś, możesz poczekać.

– Dziękuję.

Wprowadził Radwana do pokoiku Ani.

– Siadaj – powiedział, a sam podjął spacer między oknem a drzwiami, jakby nie dostrzegając lub nie chcąc dostrzegać porucznika.

– Chciałeś wyjść, nie będę ci przeszkadzał – odezwał się wreszcie Radwan.

– Nie przeszkadzasz – oświadczył Pawlik i stanął przed nim. – Powinieneś wyrzec się Ani, powinieneś to zrozumieć.

– Nie.

Pawlik pokiwał głową.

– Nie ufam ci, nigdy nie ufałem takim jak ty. Jesteście ukształtowani raz na zawsze, żadne fakty, żadna oczywistość was nie przekonają. Czy dostrzegasz chociaż, że jesteście w ślepym zaułku? Że ty także znalazłeś się w ślepym zaułku i chcesz wciągnąć Anię?

– Nie dostrzegam.

– I nic na ten temat w ambasadzie? Żadnej wątpliwości? Radwan milczał.

– Nie chcesz mówić, zastanów się przynajmniej, co na ten temat myśli Ania.

– Ania mnie kocha.

– To drobnomieszczańskie stawianie sprawy. Kobieta powinna posłusznie iść za swoim mężczyzną, tak?

– A ty uważasz, że powinna go porzucić, bo się różnią poglądami?

– Tu nie chodzi o poglądy.

– A o co?

– O wszystko – powiedział Pawlik. – Rozumiesz? O najważniejsze, co w człowieku...

o całą przeszłość i całą przyszłość, o wszystko, co się z nią stanie i może stać.

– A ty? – rzekł cicho Radwan. – A ty co byś zrobił? porzuciłbyś dziewczynę? Taką, którą traktujesz jak żonę? Porzuciłbyś tylko dlatego, że wam podobno nie po drodze? Pawlik milczał.

– Skąd w tobie ta nienawiść – nacierał teraz Radwan – skąd tyle nienawiści?!

– Nigdy tego nie zrozumiesz, musiałbyś przeżyć inne życie.

– Przecież w końcu ty się możesz mylić, ja się mogę mylić, chodzi o różnice w koncepcjach i dopiero historia powie, kto miał rację.

– Historia już powiedziała – burknął Pawlik. – Ty – dodał twardo – reprezentujesz wszystko, co odrzucam.

– A ty dla mnie – rzekł cicho Radwan – wszystko, co niepokoi, boli, gniewa i...

jednocześnie... – urwał. – Pójdę sobie, może ją spotkam po drodze ze szpitala. To dziwne –

dodał – byliśmy razem we wrześniu i co? Nic, zupełnie nic nas nie łączy... Nie wierzę w to.

Miała przyjść Ksenia, ale Ksenia zachorowała i Ania została na drugą noc. Rano była już bardzo zmęczona, spała nie więcej niż dwie godziny, bo o czwartej przyszedł nowy transport, stawiano łóżka na korytarzu, przewożono ciężej rannych do operacyjnej, gdzie od ośmiu godzin dyżurował stary doktor Fokin, ledwie już trzymający się na nogach. Ania pochylała się nad nowymi, pisała nazwiska na kartach i starała się zapamiętać twarze, nauczyć je odróżniać, ale wszyscy wydawali się identyczni, nawet głosy, prośby, jęki były te same.

– Chodź, siostró, przyjdź, posiedź... powiedz, gdzie jestem?... co ze mną będzie?...

gdzie raniło?... przynieś coś do picia... nic nie widzę... czy tu bardzo ciemno?...

Chodziła między łózkami i zatraciła poczucie czasu. Zbliżała się już chyba pora obiadu, gdy przybiegła młoda sanitariuszka i patrząc na Anię podejrzliwie, jakby zobaczyła ją po raz pierwszy, oświadczyła:

– Czeka na ciebie w dyżurce dama!

– Jaka dama?

– Ja nie wiem – powiedziała sanitariuszka – jakaś zagraniczna, u nas takich nie ma.

W dyżurce oddzielonej od korytarzyka szklanymi drzwiami czekała na Anię Ewa Kaszelska. Przechodzące sanitariuszki spoglądały na nią z nie ukrywaną ciekawością; co zresztą w najmniejszym stopniu nie peszyło pani Ewy. Ona także nie siedziała spokojnie na miejscu, ale wyglądała na korytarz; przez uchylone drzwi widziała wnętrza sal, łóżka stojące wzdłuż ścian na korytarzu... Gdy zjawiała się Ania, Kaszelska rozpoznała ją natychmiast, choć nigdy przedtem się nie widziały.

– Pani Ania, prawda?

– Tak – odpowiedziała ze zdziwieniem.

– Nazywam się Ewa Kaszelska. Czy to nazwisko coś pani mówi?

- Nie.
- Stefan nigdy o mnie nie opowiadał?
- Nie.
- Więc ja opowiem sama. Czy możemy tu usiąść, czy ma pani chwilę czasu?
- Tak, proszę. Chociaż nie bardzo rozumiem...
- Pewno, że pani nie rozumie... Straszne tu macie warunki w tym szpitalu. Człowiek niby wie, ale naprawdę dowiaduje się dopiero wtedy, gdy sam zobaczy... Dużo tu rannych?
- Dużo. Ale nie sądzę, żeby przysłała pani po to, by dowiadywać się o liczby.
- Rezulutna. Nie, nie po to i nie liczę radzieckich rannych. Pracuję razem ze Stefanem w ambasadzie, przyjaźnimy się. Proszę tak na mnie nie patrzeć... raczej ja się z nim przyjaźnię, nie on ze mną. Chodzi mi więc o niego... Bo widzi pani – zawahała się i straciła coś ze zwykłej swady – ja go lubię... – I dodała zwykłym już tonem: – Jest to zresztą uczucie dość jednostronne.
- Ciągle nie rozumiem.
- Bo wstęp był nieco przydługi... Pani jest naprawdę ładna, tak... Czy pani go kocha?
- Nic właściwie pani nie upoważnia...
- Oczywiście, że nic mnie nie upoważnia – przerwała Kaszelska – ale jeśli tak...
- Więc tak.
- Proszę o nim pomyśleć... To świetny chłopak, Sikorski go bardzo lubi, ale tutaj, w sytuacji, w której się znalazł, nie powinien zostać w ambasadzie ani dnia dłużej.
- Dlaczego?
- Bo go, proszę pani, złamią albo zniszczą, albo... wy go złamiecie.
- I Ewa zaczęła mówić ciszej.
- Pani przecież wie równie dobrze jak ja, że on jest bezradny, że się miota...
- Podważyliście jego wiarę, nie dając nic w zamian... Najchętniej powiedziałby: „Skąd ja mogę wiedzieć, co jest dobre i słuszne...”
- To trzeba, proszę pani, przynajmniej na własny użytek wiedzieć, inaczej nie można żyć.
- Pani jest przekonana, że wie?

Milczenie trwało dłuższą chwilę.

– Oczywiście poglądy, które pani wyznaje, można wyznawać także w Londynie? –

zapytała Kaszelska.

– Oczywiście.

– Więc, dziewczyno, niech pani wyjdzie za niego i wyjedźcie z Rosji. To, można jeszcze teraz załatwić... jeszcze teraz. Stefan ma dawnych przyjaciół ojca w dowództwie, a w ostateczności można się zwrócić nawet do generała Sikorskiego... Niech pani go do tego namówi, niech pani go przekona. Pani zresztą także odżyje w Londynie, a on, proszę mi Wierzyć, nie ma tutaj żadnych szans... – Ewa na próżno czekała na odpowiedź. – Teraz jest to także trudne – ciągnęła, ale w jej głosie pojawił się już ton prośby – jednak jeszcze możliwe.

Kto wie, co będzie jutro? Ja sama wykorzystam wszystkie moje wpływy... a mam je, proszę mi wierzyć, mam.

– Ja tego nie mogę zrobić! – wybuchnęła Ania.

– Dlaczego? Boi się pani Rosjan, swoich towarzyszy? Przecież w Londynie też można być komunistką, jeśli pani nią jest. Pani jest bardzo młoda i jeszcze nie rozumie, czym dla kobiety jest męczyzna, jak bardzo trzeba go chronić, żeby go zachować... jaki jest, w gruncie rzeczy, słaby i nieodporny... jak łatwo my rezygnujemy z naszych spraw, naszych wierzeń dla człowieka, którego kochamy!

– Nieprawda!

– Mój Boże, coś pani powiem, moja mała... Mnie tu niełatwo było przyjść, rozumie pani? Sama siebie przymusiłam, bo ja...

– Pani...?

– Tak – mruknęła Kaszelska. – Niestety. Chcę go przynajmniej uratować... Nie dla siebie.

– Ja tego nie zrobię, proszę pani – powiedziała łagodnie Ania – pani tego nigdy nie zrozumie. Gdybym tak postąpiła, czułabym się jak dezenter, jak zdrajca...

Kaszelska milczała chwilę.

– Jesteś chłodna i zimna – stwierdziła. – Właściwie jesteście do siebie podobni. Jak ćmy, które muszą spłonąć. Bierzesz jego los na własne sumienie, pamiętaj o tym, bierzesz na własne sumienie, bo on tutaj zginie.

Ania milczała. Kaszelska wstała.

– Posłuchaj – powiedziała – zrobię wszystko, żeby go od ciebie oderwać... To mi się pewnie nie

uda, ale będą próbowała... Uczynisz, jak zechcesz, ale wolałabym, żebyś o tej rozmowie nie mówiła Stefanowi.

– Nie powiem mu ani słowa, proszę pani – odezwała się wreszcie Ania.

Dopiero następnego dnia po rozmowie z Zygmuntem Radwan umówił się z Anią na wieczór. Miała przyjść o szóstej, czekał już godzinę. Zawsze, gdy się spóźniała, jego pokój wydawał mu się ponury i nieprzytulny. Gdyby choć dywanik na podłogę czy miękki fotelik, a nie tylko żelazne łóżko przykryte kocem; jedyny to właściwie luksus, ten koc, dobry, z prawdziwej angielskiej wełny. Głębokie, miękkie fotele stały w sypialni rodziców. Po puszystym dywanie biegało się boso od szafy z lustrem do drzwi balkonowych. Jaki był ten dywan? Nie bardzo już pamiętał; dużo zieleni, zielone prostokąty i kwadraty ułożone w

zawiłe wzory. Wyobrażał sobie ogród: gęste krzaki wzdłuż wąskiej alei, altana pod starym orzechem. U dziadka Kazimierza w Biłgoraju był taki ogród; przyjeżdżał z matką w lipcu na dwa tygodnie, wstawało się wcześniej i biegło do ogrodu, boso po chłodnej trawie, po rosie.

Gdyby taki ogród wśród rosyjskiej zimy nad Wołgą... Nie, zamieszkamy z Anią w Biłgoraju.

Ja nie mam wielkich ambicji, nie marzę ani o wielkich pieniądzach, ani o władzy. W każdej dziurze potrzebny jest dobry architekt, właściwie przeciwieństwo dziedziczą – myślał – po dziadku Kazimierzu.

Spojrzał na zegarek: już siódma. Dlaczego się spóźnia? Zadzźwięczał dzwonek.

Nareszcie!

Otworzył drzwi i zobaczył głowę porucznika Danieckiego.

– Jeśli nie jest pan bardzo zajęty...?

– Czekam na kogoś – mruknął oschle Radwan.

– To ja... Bo przechodziłem.. i dosłownie na chwilę.

– Proszę, niech pan wejdzie. – Dobrze, myślał, i tak już wszyscy wiedzą. Jak Ania przyjdzie, powiem „narzeczona”, w końcu mam do tego prawo.

Daniecki wydobył z kieszeni płaszcza butelkę. Radwan nie cierpiał tego zwyczaju przynoszenia alkoholu.

– Nie, panie starosto, wypijemy po kieliszku mojego koniaku...

– Właściwie mam do pana prośbę.

– Słucham. – Koniak Stefanowi tego dnia nie smakował, był jak woda. Nie powinienem pić, pomyślał.

Daniecki rozglądał się po pokoju, popatrzył dłużej na porządnie zasłane łóżko, na czystą poduszeczkę na angielskim kocu. Radwan poczuł się tak, jakby oglądano jego bieliznę.

On nie był starostą, ale dwójkarzem, przyszło mu nagle do głowy.

– Więc jakaż to prośba?

– Zazdroszczę panu – powiedział Daniecki.

– Czego niby?.

– Młodości, sytuacji... Bo ja jestem wrak, panie Radwan. Po tym, co przeżyłem... Bo na co ja jeszcze mogę liczyć w życiu, nawet gdy doczekam końca wojny? – Nalał sobie znowu. – W roku osiemnastym byłem młody, młodszy niż pan dziś, i wierzyłem, cholernie wierzyłem. Więc o to chodzi, panie Radwan...

– Słucham.

– Proszę nie gniewać się, drogi kolego, niech pan o mnie wspomni w swoich raportach, że może nadawałbym się gdzie indziej...

– Jakich raportach? Piszę tylko to, co zleca mi nasz wspólny szef, major Wysokoński.

– No tak... Pańskie zdrowie! Pana tu przecież osobiście skierował generał Sikorski.

– To prawda. Ale nic z tego nie wynika.

Daniecki westchnął.

– Ja chcę wyjechać z tego kraju, panie poruczniku, na Bliski Wschód, do Anglii, dokądkolwiek... To straszny kraj, ja się boję.

– I to mówi oficer podczas wojny?

Starosta wstał.

– Oficer, honor... Wy tu mnie macie za szmatę, prawda? Zlecacie mi rozmaite drobne zadanka, jak Wysokoński, albo pokpiwacie sobie ze mnie, jak nasza miła pani Ewa... Ja też miałem kiedyś pełną gębę honoru. A wy teraz jesteście lepsi? Drobne intrygi, podszczuwania, śmieszne spiski, koteryjki, a potem „niech żyje naczelny wódz!”. Sanacja Polskę zgubiła, my nic nie oddamy, a ludzie głodują, marzną, niech pan pojeździ po delegaturach, niech pan zobaczy naszą pomoc, niech pan otworzy w ambasadzie szafę z tysiącami listów, na które nic nie można odpowiedzieć. Pan myśli, że ja jestem tchórzem? Trzeba było na dalekiej północy, w tajdze... umiałem i pracować, i postawić się. A teraz...

– urwał nagle, usiadł i wyciągnął

rękę po kieliszek.

Ania, wbiegając na schody, minęła polskiego oficera, który spojrzął na nią uważnie i zasalutował. Skinęła głową. Koledzy Stefana już mnie znają, pomyślała, już pewno o mnie mówią. Nagle, właściwie dopiero teraz, ogarnął ją niepokój. Może Kaszelska miała rację?

Może powinna pomyśleć o losie Radwana? Poczula się mądrzejsza, bezpieczniejsza niż on.

Tam już wiedzą, że Stefan z komunistką... pracownik ataszatu... Na miłość boską, co mu może grozić?! A jeśli go odeślą do armii lub do Londynu i już nigdy... Nie, on sam musi decydować. Stojąc przed jego drzwiami, spojrzęła na zegarek, spóźniła się prawie półtorej godziny.

Nie mogła wyjść z radiokomitetu, bo przyjechała Wanda i zebrali się tam wszyscy: Janka, Helena, Zygmunt, Tadeusz. Pili, nawet było czym zakąsić i był powód, żeby wnieść parę toastów, niby na oficjalnym przyjęciu. „Niech żyją »Nowe Widnokreگی«!” Wanda uzyskała zezwolenie na wydawanie pisma, mówiła o tym z zapałem i jej zapał udzielił się wszystkim. Trudno było pozostać obojętnym, słowa Wandy znaczyły, były własne, nie brane z katechizmu ani wstępniaka. Ania pomyślała „katechizm”, „wstępniak” i zaraz się zawstydziała, jak zawsze, gdy odnajdywała w sobie nieufność i wątpliwość. Może to jednak wpływ Stefana?

Wanda opowiadała o piśmie, które dotrze do Polaków i będzie krzewiło nowy stosunek do Związku, i przyjaźni, która stanie się podstawą budowy Polski demokratycznej.

Mówiła, że w Londynie coraz mocniejsi są ci, którzy torpedują porozumienie, żyją tamtą wojną, marzeniami o ziemiach wschodnich. Tak, to wszystko prawda, choć... jak to powiedział Zygmunt? „Nasz program też nie jest zbyt jasny...” Tylko polska lewica może stworzyć program, dowodziła Wanda, i w tym właśnie momencie zakomunikowała nowinę najważniejszą: powstała w Polsce partia, Polska Partia Robotnicza..

– Dlaczego nie komunistyczna? – zapytał oczywiście Pawlik. – Czyżbyśmy się bali tego słowa?

– Nowa partia... w nowej sytuacji:..

Ania usiłowała sobie wyobrazić, jak wyglądało to powstanie partii pod okupacją, gdzie się zebrali? W konspiracyjnym mieszkaniu, nocą... Co my zresztą wiemy o kraju? Patrole niemieckie, ciemne ulice, rozstrzeliwani krzyczą „Niech żyje Polska!” Mają zakneblowane usta. Kto to powiedział? Widziała rysunek w „Polsce”, piśmie ambasady. Kraj walczy! Czy partia jest liczna? Organizacja zbrojna w kraju, pisało pismo ambasadzkie, coraz liczniejsza i lepiej przygotowana do działania... Oddziały partyzanckie? Czy partia stworzy własne? Dwie armie, dwa rządy?

Mówi się o programie lewicy i cóż to właściwie za pojęcie „lewica”? Kto do niej należy? Wanda ma mnóstwo zapału, ale o przyszłości mówi jednak najlepiej Tadeusz, wizjoner Tadeusz: chuda, pociągła twarz, okulary... rzadko zdejmuje szkła i właściwie nie wiadomo, jak jego oczy wyglądają bez okularów, co widzi? Jak więc się dokona rewolucji w Polsce? Jeśli się dokona... Może nie należy zadawać takich pytań, może jeszcze nie należy o rewolucji... „Wszyscy uczciwi Polacy w Związku Radzieckim”... Co to właściwie znaczy

„uczciwi”? Na pewno także Stefan. Czy w słówku „wszyscy” jest kłamstwo? Przecież my,

pomyślała, my nie kłamiemy: ani Wanda, ani Tadeusz, ani Zygmunt.

Zygmunt ostatnio się nieco zmienił: jeszcze bardziej małowówny i zamknięty w sobie.

Jest nieszczęśliwy? Nieszczęśliwy, bo nie na swoim miejscu, bo poza wojną, poza głównym nurtem, bo ona z Radwanem. Chciała z nim rozmawiać, któregoś dnia chciała go pocałować, zdziwiony spojrział niechętnie. Po co te czułości? Jak mało wiem, pomyślała, o moim bracie: Porzucił żonę, czy miał jakąś kobietę? A teraz? „My nie bywamy samotni”. On jest przeraźliwie samotny.

Stefan otworzył drzwi dopiero po chwili. Od razu poznała, że pił, może z tym oficerem spotkanym na schodach? Niski, gruby, nie wydawał się zbyt sympatyczny.

– Dlaczego tak późno?

Chciała mu opowiedzieć o spotkaniu w radiokomitecie, ale milczała. Po rozmowie z Kaszelską patrzyła jednak na niego nieco inaczej. A może ta ambasadzka piękność nie ma racji? Może Stefan wcale nie jest taki bezbronny?

– Zamieszkajmy wreszcie razem!

Na stole stały dwa kieliszki, pół butelki koniaku.

– Z kim piłeś? – Usiadła na łóżku owinięta ciepłym szalem, który dostała od Jekatieriny Pawłowny.

– Dlaczego musisz odchodzić? – wybuchnął. – Dlaczego przynajmniej teraz nie możemy być razem? Skąd można wiedzieć, co będzie jutro? Wyjdź za mnie – uczepił się nagle tej myśli – zostań moją żoną...

– A otrzymasz pozwolenie? – przerwała. – Przecież oficerowie muszą uzyskać zezwolenie zwierzchników na małżeństwo. Co o mnie napiszesz w tej prośbie?

Milczał.

Rzuciła szal na krzesło i pozwoliła się całować, ale gdy zaczął rozpinać suknię, jak zwykle niezręcznie, wstała z łóżka.

– Z kim piłeś?

– Z Danieckim. Niezbyt to sympatyczna postać.

– A może z kobietą? Są przecież kobiety w ambasadzie.

– Jesteś zazdrosna?

– Nie ciesz się, pytam o kobiety w ambasadzie.

– Są, oczywiście – odpowiadał niezbyt chętnie.

- No więc wymień.
- Sekretarki, pani Barbara w ataszacie...
- Ile ma lat?
- No, z pięćdziesiąt.
- Nie interesuje mnie... Który to twój kieliszek? – Nalała sobie nieco koniaku i wypła duszkiem. – Inne, młodsze?
- Pani Ewa Kaszelska – rzekł po dłuższej przerwie.
- Ładna?
- Chyba tak.
- Jakoś niezbyt chętnie mówisz o tej pani Kaszelskiej.
- Zdaje ci się.
- Nie, pod tym względem mam dobrego nosa. – Znowu usiadła na łóżku i przytuliła się do Stefana. – Posiedźmy spokojnie. Jakaż jest więc ta Ewa?
- Z temperamentem, taka baba, która lubi rządzić i postawić na swoim.
- Zakochana w tobie?
- Żartujesz!
- Powiedz mi szczerze – szepnęła – gdyby mnie nie było...
- Gdyby ciebie nie było... – powtórzył – ale jesteś, jesteś – prawie krzyknął – i jeśli trzeba będzie, zwrócę się do Wysokońskiego, nawet do Sikorskiego...
- Do nikogo się nie zwrócisz, to niemożliwe... – I natychmiast, jakby chciała przekreślić to słowo, objęła go mocniej. – Chyba...
- Chyba co?

Nie odpowiedziała. Po chwili zresztą zapomnieli o tym, kazała mu zgasić światło.

Nie było zbyt późno, gdy odprowadzał ją do domu. Buntował się oczywiście, ale tłumaczyła, że jutro wcześniej rozpoczyna dyżur, musi się jeszcze przebrać, musi być najpierw u siebie.

– Boisz się Zygmunta – powtarzał.

Ulice były puste, mróz już zelżał, przedwiosenny wiatr przynosił z dalekiego południa łagodniejszy

powiew.

– Więc co z nami będzie? – zapytał nagle Radwan. – Tak, oczywiście – ciągnął, nie czekając na odpowiedź – jest wojna i nikt nie wie, co go czeka jutro, ale przynajmniej powinien wiedzieć, czego chce, a ty jesteś ze mną i boisz się być ze mną.

– Nieprawda!

– Ależ tak, to nie ja ciągle mówię o różnicach między nami.

– Bo różnice są. Czy na twój... romans patrzą przychylnie w ambasadzie?

– A twoi towarzysze? Tylko że ja uważam ambasadzkie niechęci za idiotyzm, a ty... –

urwał nagle. – Widzisz – rzekł innym tonem – ja przecież ciągle o tym myślę. Wtedy, kiedy byłem u was tego wieczoru, zrozumiałem, co nas dzieli, wy jesteście pewni, że macie rację, i odpychacie każdego, kto myśli inaczej.

– Nieprawda!

– Ależ tak. A dlaczego ja, Radwan, mam myśleć, że Sikorski nie chce dobra Rzeczypospolitej i słuszność ma nie naczelny wódz, tylko Zygmunt, mój podoficer z plutonu.

Nie wiem, jaka ma być Polska po wojnie, po prostu nie wiem, zadecyduje sejm.

– Przecież masz jakieś własne zdanie.

– Tak, oczywiście. Jestem żołnierzem, patrzę na to, co tutaj... Słucham Wysokońskiego i czasami się oburzam, słucham ciebie i czasami przyznaję ci rację, ale także się oburzam. Może inaczej – dodał. – Pomyśl, mój ojciec zginął pod Mozyrzem, ja byłem z Sikorskim w czterdziestym i w czterdziestym pierwszym i widziałem, jak grają „Jeszcze Polska” na lotnisku w Kujbyszewie. Nie można mi tego odebrać i nie można tego zapomnieć.

Przecież ty nie chcesz, żebym się wyrzekł... – nie wiedział, jak nazwać to, czego miałby się wyrzec, nie umiał znaleźć odpowiedniego słowa, każde wydawało się zbyt duże lub zbyt małe.

– Mój ty biedny...

Wysoki, chudy mężczyzna w czapce wciśniętej na oczy niemal otarł się o nich na pustym chodniku. Radwan dostrzegł jego wąskie, przenikliwie patrzące oczy.

– Dobry wieczór, towarzyszu Piwsi – powiedziała Ania.

...Wracał potem tą samą drogą. Z szerokiej Gorkiego skręcił w wąską przecznicę i z daleka zobaczył samochód stojący przy chodniku, a po chwili wysokiego mężczyznę, który właśnie wysiadł z wozu, szybko zatrzasnął drzwi za sobą i zniknął w ciemnej bramie. Radwan go poznał; był to ten sam człowiek, którego spotkali niedawno. Samochód ruszył i po chwili przystanął obok niego.

– Niech pan siada, poruczniku – usłyszał Stefan głos Wysokońskiego – pojedziemy do mnie na filiżankę herbaty. – Oczywiście – rzekł, gdy Radwan usiadł obok niego – to spotkanie...

Stefan milczał. Towarzysz Piwski i Wysokoński! Nigdy nie zajmował się sprawami wywiadu, ale zawsze, nawet służąc w gabinecie naczelnego wodza, myślał o tych pracach z niechęcią. Może dlatego kapitan N...Młody, naiwny przyjacielu, mawiał N., wywiad to nerwy, serce wojska”.

Ludzie bez twarzy, bez nazwisk dostarczali informacji, które należało segregować, oceniać, wykorzystywać przy podejmowaniu decyzji... Ale ten Piwski miał twarz. Otarł się o nich na chodniku i mruknął „Jak się macie?” Pracował dla Wysokońskiego? A może na obie strony?

– Przyjechaliśmy – stwierdził major. – Zamyśliliście się, poruczniku.

W gabinecie Wysokońskiego wisiała na ścianie wielka mapa Polski. Radwan lubił tę mapę, bo taka sama wisiała w gabinecie ojczyma, lubił, jak niegdyś palcem po tamtej, jeździć po tej wzrokiem od Lwowa do Biłgoraja, do dziadka Kazimierza. Odbyli kiedyś tę podróż samochodem przez Żółkiew, Rawę Ruską, Bełżec i Tomaszów Lubelski, a potem fatalną szosą, która i na tej mapie zaznaczona była wąską, czarną linijką. A jak będzie wyglądała mapa Polski po wojnie? Taki Pawlik bez zmrużenia powiek gotów jest odstąpić Ukrainę...

Wysokoński sam rozlewał herbatę z imbryka.

– W Anglii – mówił – przywykł pan zapewne do dobrej herbaty, ale ja nie wierzę ich parzeniu, na pewno oszczędzają. Herbata – pouczał – jest napojem rosyjskim i nikt, kto tutaj nie był, nie zrozumie rzeczywistego znaczenia gotującej się wody, czyli kipiłatku, i mocnego naparu. Jak pan ocenia sytuację? – spytał, gdy Radwan pochwalił już gorący napój.

– Trudna.

– To na pewno. Rząd sowiecki coraz bardziej utrudnia działalność delegatur... Są aresztowania, nasze protesty zostają bez odpowiedzi.

– Mają ciężką sytuację na froncie południowym.

– Tego się należało spodziewać i to ich nie tłumaczy.

– Sądzili, że nasze dywizje wezmą udział w walce.

– Pan żartuje, panie poruczniku... Niekiedy – Wysokoński wstał – zaczyna mnie pan niepokoić, ale ciągle wierzę w pańską lojalność... Podobno składał pan bez naszej wiedzy jakieś raporty?

– Nie. Pisałem tylko do generała Żychonia, starego przyjaciela mojego ojca.

– I cóż w tym liście, jeśli wolno zapytać?

– Wyłącznie sprawy osobiste, panie majorze.

Wysokoński milczał chwilę.

– W porządku – stwierdził wreszcie – chodzi o coś innego. Widzi pan, bolszewicy uruchamiają polskich komunistów. To zrozumiałe w obecnej sytuacji, to także należało przewidzieć, bo, panie poruczniku, w tej grze nie ma niespodzianek ani złudzeń. Będą nas więc oskarżać o rozmaite łotrostwo, a my – Wysokoński popatrzył uważnie na Radwana –

musimy wiedzieć, co się w tym kujbyszewskim ośrodku komunistycznym dzieje, jacy to ludzie, jakie plany, jakie możliwości... Pan, panie poruczniku, utrzymuje pewne stosunki z komunistami, prawda? O tym należało mi zameldować, choćby ze zwykłej lojalności.

– Są to stosunki najzupełniej prywatne, panie majorze, dotyczą wyłącznie spraw osobistych.

– Ciągłe sprawy osobiste. – Wysokoński nagle się roześmiał. – Proszę mnie nie traktować jak dwójkarza, półinteligenta, który wszędzie węszy nie wiadomo co. Ja wiem, że nie udziela im pan żadnych informacji, przynajmniej świadomie, ale w końcu nawet z dziewczyną, nawet z jej przyjaciółmi nie zawsze rozmawia się tylko o pogodzie.

– Są to, panie majorze, takie dyskusje, jakie ciągle toczą teraz Polacy o polskich sprawach.

– Polacy?! – Pół ironiczny uśmiech nie schodził z twarzy Wysokońskiego. Rozpostarł płachtę gazety i przysłonił nią Wschodnie tereny Rzeczypospolitej na wielkiej mapie Polski. –
Czy ktokolwiek...? – zapytał.

Radwan nie odpowiedział.

– Ważne jest więc, by pan porucznik zechciał mi pomóc.

– Panie majorze, nic o tych ludziach nie wiem, a w każdym razie nic takiego, co mogłoby dotyczyć moich służbowych obowiązków. Istotnie, powinienem panu zameldować wcześniej, ale zwrócę się do pana z raportem o pozwolenie na małżeństwo.

Wysokoński spojrzał na niego z nie ukrywanym zdziwieniem.

– Brat panny Pawlik, która jest moją narzeczoną, był podoficerem w moim plutonie we wrześniu. Z nikim innym nie utrzymuję żadnych kontaktów i nigdy nie wyobrażałem sobie, że mógłbym pełnić funkcję...

– Proszę nie kończyć – przerwał mu Wysokoński. – Czy ona jest obywatelką radziecką? – zapytał łagodnie. Podszedł do Radwana i nie czekając na odpowiedź, ciągnął: –

Proszę się zastanowić, panie poruczniku, to nie jest rzeka, którą można przepłynąć, można tylko utonąć, a my nie robimy niczego, co byłoby sprzeczne z oficerskim honorem...

Bez pukania wszedł Ariet, sekretarz ambasady; wydawał się bardzo zdenerwowany.

Radwan wstał.

– Tak – rzekł Wysokoński – porozmawiamy jeszcze, może jutro.

Już zamykając drzwi, Stefan usłyszał:

– To fatalne... sowiecki kontrwywiad...

Następnego dnia wieczorem dowiedział się wszystkiego od Ewy, bo dla Kaszelskiej nie istniały żadne tajemnice. Podejrzał nawet, że jeśli Kot prowadził poufną rozmowę w swoim gabinecie, pani Ewa następnego dnia znała jej treść. Przyjaźniła się oczywiście z sekretarką szefa, a Daniecki... Z kim się zresztą nie przyjaźniła! Mówiono jej „ty”, pito z nią wódkę, ale Radwan, odwiedzając ją dość często, wiedział, że była samotna, że nikt nie zajął

miejsca oficera lotnictwa z fotografii. Najczęściej zastawał u niej Danieckiego, ale Ewa wyrzucała bezceremonialnie pana starostę, gdy chciała pogadać ze Stefanem. Tak zdarzyło się również tego wieczoru. Gdy Daniecki poszedł, przygotowała kolację i przebrała się po domowemu.

– Nie przeszkadza ci, że będę w szlafroku? Dostaniesz dzisiaj naleśniki, autentyczne, z serem, moja specjalność, takie robiłam tylko mężowi.

Zjawiła się w długim, cienutkim szlafroku i usiadła obok Stefana, ale on myślał tylko o Ani i sam sobie wydawał się śmieszny, gdy pożerał te naleśniki, starając się nie patrzeć na Ewę.

– Posłuchaj – rzekła pijąc herbatę – możesz na mnie od czasu do czasu spojrzeć, chciałam z tobą porozmawiać poważnie. Sytuacja tutaj staje się napięta. Wysokoński, i nie tylko Wysokoński, będzie szukał ofiary... Wczoraj NKWD aresztowało niejakiego Piwskiego.

– Spojrzała na niego uważnie. – To nazwisko nie jest ci obce?

Nie zaprzeczył, zresztą Ewę, podobnie jak Anię, trudno było oszukać.

– Gdzie go poznałeś? – nacierała.

– Nie poznałem go. Po prostu na ulicy... – I opowiedział, jak było.

– Znaleźli przy nim dostatecznie dużo, by ambasada miała ogromne przykrości.

Sprawa prawdopodobnie dotrze do Londynu i Sikorskiego. Osobiście podejrzewam –

spojrzała nagle na Radwana i zawahała się – podejrzewam – powtórzyła – że nasi z ataszatu prowadzą wywiad po amatorsku i naiwnie. Kot się wścieknie, nie tylko zresztą Kot. A jaką rolę naprawdę odegrał Piwski... teraz tego się nie dowiemy.

– Cóż za bagno! – wykrzyknął szczerze.

Roześmiała się i nagle pocałowała go w usta.

– Mój chłopczyku! To nie jest gra, w której uczestniczą szlachetni rycerze, ale tacy zimni cwaniacy jak Wysokońscy albo takie megieri jak ja... Wyobraź sobie, że ktoś by powiedział, że ty widziałeś Piwskiego rozmawiającego z Wysokońskim...

– Ależ to było tuż przed aresztowaniem!

Spojrzała na niego z prawdziwym niepokojem.

– Więc Wysokoński widział cię?

– Tak.

– Posłuchaj: nie wiem jeszcze, kim naprawdę jest Piwski, ale wiem, że ty możesz się znaleźć w diabelnie nieprzyjemnej sytuacji, u komunistów także.

– Dlaczego?

– Dlaczego, dlaczego! Czy nie pojmujesz, że chodzi tu o kompromitację ambasady, ale przede wszystkim o kompromitację polityki Sikorskiego? A może także wszystkich, którzy chcieliby lub tylko zamierzali, sami jeszcze nie wiedząc, współpracować z komunistami. Nie wykluczam, że chodzi także o kompromitację pewnych tendencji u komunistów; u tamtych zresztą nie brak ludzi, którym to także na rękę. Stefan! Opamiętaj się! Zerwij z nią!

– Więc o to ci naprawdę chodzi?

– Niepotrzebnie to powiedziałam. – I nagle zobaczył, że płacze. – Nie chcę – mówiła przez łzy – być taka cwana, przemądrzała... Czy nie pojmujesz, że mam dosyć tej gęby wstrętnej megieri...

– Nie jesteś wstrętna.

Uśmiechnęła się przez łzy.

– Naprawdę nie jestem? – Wyciągnęła do niego rękę. – Zostań – prosiła – nic od ciebie nie chcę, o nic cię nie proszę, wiem, że kochasz tamtą, ale zostań...

Wstał z krzesła, zawahał się, przytulił ją do siebie; trwali chwilę w milczeniu, a potem Ewa wysunęła się z jego ramion.

– Idź stąd! – zawołała ze śmiechem, powracając do swego stylu. – Zmiataj szybko, chłopcze, póki się nie rozmyślę, bo naprawdę zgubi cię litość dla ambasadzkiej megieri.

Mglista wiosna niewiele różniła się od londyńskiej zimy. Raszeńskiemu marzył się niekiedy prawdziwy śnieg i prawdziwe słońce na przeraźliwie błękitnym, mroźnym niebie. Prawdziwe życie! Nie opuszczało go wciąż wrażenie teatralności, nieautentyczności polskiego Londynu, jakby wszystko, w czym uczestniczył, odbywało się właśnie na scenie oglądanej przez niezbyt dużą liczbę widzów. Był rząd, ministrowie, partie polityczne, opozycja, nawet wywiad i kontrwywiad – ale to wszystko jakby wypreparowane z żywego organizmu, przeniesione do doświadczalnej probówki,

istniejące samo dla siebie... „Znana i zbadana choroba emigrantów – tłumaczył mu generał Węzłak – ale my jesteśmy emigracją dość niezwykłą i dlatego twoje odczucia nie są uzasadnione”.

Węzłak był właściwie jedynym człowiekiem, z którym się w Londynie zaprzyjaźnił.

Oficer sztabu naczelnego wodza, oczekujący ciągle, jak mawiał, „wielkiego przydziału”, był

kuzynem ojca Marty i z tej racji opiekował się Raszeńskim, wprowadzając go (sam tak twierdził) w świat londyński. Owo wprowadzanie ograniczało się właściwie do długich nocnych posiedzeń w pokoiku pana generała. Węzłak, jeden z najzdolniejszych generałów w wojsku przedwrześniowym, był ogromnie ambitny, łaskę Sikorskiego zaskarbił sobie, publikując w latach trzydziestych pracę na temat działań piątej armii w roku 1920. Wiedział

dużo i był dla Raszeńskiego prawdziwie nie wyczerpanym źródłem informacji, których zresztą dziennikarz nie mógł wykorzystać ani w „Orle Białym”, w którym pracował, ani w

„Wiadomościach”, do których od czasu do czasu pisywał.

Po powrocie ze Stanów jego reportaże (drukowane właśnie w „Wiadomościach”) nikomu się w istocie nie podobały: ani zwolennikom generała, bo zbyt mało entuzjastyczne, zbyt dużo miejsca poświęcały sceptycznym politykierom z tamtejszej Polonii, bo pisane z łezką (jak mawiano) o sanacyjnych wspominkach, ani przeciwnikom, bo zbyt dużo o umowie i rosyjskim wkładzie do sojuszniczych zmagani, Andrzej sam uważał te reportaże za mdłe i dość nijakie. Chciał pisać coś innego, inaczej, ciągle powracał do spraw rosyjskich, które uważał za najważniejsze, szukał przyczyn, dla których kryzys stosunków polsko-sowieckich wydawał się nieuchronny. „Twoje artykuły są zanadto wyważone – mawiał Węzłak – trzeba się wypowiedzieć za którymiś racjami, nie zaś sumiennie przedstawiać argumenty obu stron”.

„Nie zgadzam się – polemizował – należało się najpierw poznać i zrozumieć, a potem ostrożnie budować most łączący, ale czy to możliwe?”

Zadawał sobie pytania, na które nie znajdował odpowiedzi. Tak, oczywiście, pomysły niektórych kolegów Węzłaka (nie Węzłaka samego, bo jego oceniał inaczej) były śmieszne w swym anachronizmie, a niechęć do polityki Sikorskiego, nienawiść do wszelkiej próby pojednania z Rosją – niewątpliwe. Ale czy Rosjanie naprawdę pojednania chcieli? Czy byli gotowi zapłacić jakąkolwiek cenę za możliwą po raz pierwszy w historii zgodę obu narodów?

A może każda cena wydawała się im zbyt wysoka?

Udało mu się rozmawiać z ambasadorem Kotem podczas bytności profesora w Londynie i przeżył rozczarowanie. Kot mówił o mafii sanacyjnej utrudniającej działalność generała, a pytania dotyczące Rosji zbywał frazesami. Co naprawdę myśli Sikorski? Czy popełnił błąd, nie podejmując dyskusji ze Stalinem o granicach w najbardziej sprzyjającej sytuacji? A sprawa ewakuacji wojska? Czy dla Rosjan (choć temu przeczą) nie jest to rozwiązanie najwygodniejsze?

Raszeński był dostatecznie wścibski, by, korzystając z popularności swoich pierwszych reportaży z

Rosji, docierać do ministrów rządu, rozmawiać z Mikołajczykiem, Seydą, Strońskim. „Jak pan minister wyobraża sobie przyszłość? Nie chodzi mi o honor, nieustępliwość, historyczne racje, ale dający się przewidzieć rozwój wypadków? Czy bitwa pod Moskwą nie dowodzi wytrzymałości rosyjskiego żołnierza?” – pytał. Żadnej wizji. Tylko Węzłak miał wizję, ale wyraźny brak szansy, by zostać Piłsudskim, a nawet Sikorskim.. No, niewielką szansę... Jak mawiał sam o sobie: „któryś w kolejności następca tronu”. Próbował

nawet obliczyć: który...

Tymczasem w Rosji dywizje polskie zajmowały nowe obszary zakwaterowania w Kirgizji, w Kazachstanie, w Uzbekistanie. Węzłak mówił, że meldunki stamtąd są raczej ponure. W stepach nadwołżańskich mrozy dochodziły do 52°, na obszarach zakaspijskich klimat zupełnie inny, ale także niezdrowy i trudny do zniesienia, a warunki sanitarne... lepiej nie mówić!

Egzotyka, i do tego olbrzymie odległości między jednostkami, nawet dziewięćset kilometrów... Niezadowolenie i zawsze podejrzenia: specjalnie nas tam wepchnęli.

Raszeński lubił wieczorami spacerować po ciemnym Londynie, wstępować do pubów, do średniej klasy knajp i czuć na sobie przychylnie (wierzył w tę przychylność) spojrzenia, gdy był w mundurze, lub też w cywilnym garniturku szytym nie na miarę, ale kupionym w tanim sklepiku, udawać jednego z nich, cierpliwie, bez patetycznych gestów znoszących wojnę, którą po prostu trzeba wygrać. Zazdrościł Anglikom, mówił o tym Marcie.

Widywał ją rzadko, gdy wyrywała się ze swojej podlondyńskiej jednostki, by spędzić z nim parę godzin lub noc kończąca się zbyt wcześnie, męczącą półsnem, w którym nie milknie ani na chwilę cykanie budzika. Najpierw lubili mówić o przyszłości, jak to się urządzi w Warszawie, w mieszkaniu na Saskiej Kępie, które będzie z tarasem, słoneczne, bo ileż słońca u nas w porównaniu z tym mglistym Londynem, potem nagle przestali – koniec wojny oddalał się jak gwiazda z początku doskonale widoczna, potem znikająca w czerni nieba. „My nie wiemy, co dla nas oznacza koniec wojny” – myślał Raszeński. „Zazdroszczę Anglikom –

tłumaczył Marcie – ich zmysłu realizmu i doskonałej wiary w trwałość własnej państwowości. Pewno, nie nasza wina, że takiej wiary nie mamy, ale pomyśl, jak bardzo jesteśmy rozbici i skłóceni w najtrudniejszej chwili naszej historii, jak bardzo patetyczni i wielomówni, gdy rzecz dotyczy honoru i nienaruszalnych praw, a niechętni, gdy trzeba o kompromisach w realnej sytuacji i o nieuniknionych ustępstwach”.

Marta nie lubiła zbyt tych dyskusji, wolała opowiadać o swoich pilotach, o walkach powietrznych, lub po kolacji w kasynie pójść z Andrzejem do kina. „Twórzmy od czasu do czasu złudzenie pokoju i normalności” – mawiała.

Natomiast poznany kiedyś na konferencji prasowej w dowództwie lotnictwa dziennikarz z „Timesa” Stanley Basil wielce interesował się sprawami polskimi. Raszeński, co prawda, podejrzewał, że nie jest to całkowicie bezinteresowne, ale chętnie przyjmował

zaproszenia na obiad (były to skromne obiady) do klubu Basila na Pitt Street.

Dziennikarz był mężczyzną w średnim wieku, wysokim, nieco sztywnym, poruszającym się powoli z powodu choroby nóg, o której zresztą nigdy nie opowiadał.

Raszeński uważał go za typowego Anglika; spostrzegł nawet, że odpowiada mu ów brak wylewności, akcentowania przyjaźni, okazywania prawdziwych lub fałszywych uczuć. Te cechy, jak sądził, nie zaszkodziłyby Polakom, niezmiennie wylewnym i gadatliwym, szczególnie po niewielkiej nawet porcji whisky. Siadywali więc po obiedzie w głębokich fotelach i pijąc kawę, a także przeglądając gazety, rozmawiali niespiesznie i oszczędnie.

Angielszczyzna Raszeńskiego, poprawna i z każdym dniem lepsza, zyskiwała wiele dzięki tym dyskursom.

Basil objął właśnie w „Timesie” sprawy Polski, Czechosłowacji, krajów bałtyckich, ale rzadko o tym wspominał. Rozmowy nosiły charakter teoretyczny (w przyszłości miało się to nieco zmienić); zaczynał je zwykle Anglik, odkładając gazetę i częstując Raszeńskiego papierosem.

– Musi mi pan wytłumaczyć, panie Raszeński – mówił któregoś wiosennego dnia –

dłaczego generał Sikorski nie może, przynajmniej na zewnątrz, doprowadzić do jednolitego stanowiska Polaków w sprawie granic z Rosją. My, Anglicy, rozumiemy: opozycja. Ale teraz jest wojna i istnieją sprawy, które dotyczą zasadniczych interesów państwa, a emigracja polska nie jest przecież tak liczna, żeby reprezentować aż taką różnorodność poglądów. Serwis informacyjny, który otrzymujemy – ciągnął zmęczony nieco tak długą tyradą – zawiera wiadomości; które zakwalifikowałbym, jeśli pan pozwoli, jako dziwne. Na przykład zjazd w Edynburgu... – Raszeński wiedział, że chodziło o zjazd wilnian, lwowian i Wołyniaków. – i uchwała stwierdzająca, że nawet granice traktatu ryskiego są zbyt przesunięte na zachód, i mówiąca o wolnej Łotwie, Litwie, Estonii... A oświadczenie waszej Rady Narodowej, potwierdzające twardą zasadę niezmienności granic?

– Pan chce pisać na ten temat?

Basil nie odpowiadał na takie pytania.

– Przecież Sikorski chce się dogadać z Rosją? – zapytał. – Czy dogadanie się oznacza ustępstwa? – odpowiedział Raszeński. – Odnoszę wrażenie, że Churchill już się zgodził na linię Curzona.

Basil milczał sporą chwilę.

– Nie rozumiem – rzekł. – Można przewidzieć, i chyba premier tak myśli – zawsze mówił o Churchill: premier – dwa warianty: albo Rosja się załamie i wtedy wszelkie dzisiejsze uzgodnienia nie mają wartości, albo zwyciężymy wspólnie, a wtedy Rosjanom do was najbliższej. Trudno więc sobie wyobrazić, żebyście nie musieli ustąpić, a jeśli tak – to lepiej, sądzę, ustalić to teraz, kiedy są w gorszej sytuacji, w niebezpieczeństwie...

– Anglikom łatwo rezygnować z Wilna i Lwowa.

– A możecie bronić tych miast sami? Jeszcze drażnić Stalina Litwą, Łotwą, Estonią! Ja

– ciągnął Basil – przeczytałem historię Polski...

– Jakiś skrót – roześmiał się Raszeński.

– Nie skrót – obraził się – poważne dzieło, i wydaje mi się, że wam parę razy w najważniejszych momentach waszej historii brakowało koncepcji, która dałaby się zrealizować, miałyby szansę powodzenia. No co liczyliście uchwalając Konstytucję 3 Maja?

Że Rosja zrezygnuje, że Prusy pomogą? A jaką koncepcję mieliście w 1830 roku? A w 1920, gdy zajmowaliście Kijów? Że uda wam się utrzymać Ukrainę? A dawniej jeszcze... choćby ten wasz król idący na Wiedeń?

– No, tak – mruknął Raszeński – koncepcji rzeczywiście brakowało.

Miał ją, a przynajmniej sam tak twierdził, tylko Węzlak. Węzlak – myślał Raszeński –

to jednak postać! Jeśli przeżyję, zostanie bohaterem mojej powieści o tych czasach. Bo napiszę powieść. Ciekaw jestem, jak ją będę pisał, wiedząc już, co się stanie. Gdybym pisał

teraz, umiałbym przekazać nieustannie dręczącą świadomość niepokoju, lęku, niepewności...

Co będzie jutro? Jak się rozstrzygnie nie dające się rozstrzygnąć? Książki historyczne zawsze pisano z dystansu, gdy wiadomo już, kto ma być tragiczny, a kto śmieszny, kto potępiony, a komu pomnik, ale moja powieść powstaje dzisiaj. Powiedziałem Węzlakowi: „Stawiam na ciebie, generale. Jeśli zostaniesz bohaterem mojej książki, zmienię ci, oczywiście, nazwisko, ale i tak cię rozpoznają”. Ale czy naprawdę: Węzlak? Może jednak Sikorski wjedzie do wyzwolonej Warszawy? Mógłbym to już dzisiaj opisać. Samolot ląduje na Polu Mokotowskim, nieprzeliczone tłumy stoją wzdłuż trasy, którą przejedzie na Zamek, oczywiście trasa prowadzi przez centrum miasta, Marszałkowską, na której zatrzymano wszelki ruch. Ludzie tłoczą się na chodnikach, w oknach – zbyt wąska Marszałkowska dla tych tłumów. Potem Królewska... Sikorski będzie przemawiał na placu Piłsudskiego: ustawiono już trybunę, szpalery wojska od Ministerstwa Spraw Wojskowych do domu bez kantów... Płacz, gdy zaczniesz mówić. A może to nie będzie on, a właśnie Węzlak lub ktoś zupełnie inny? Pójdziemy z Martą – myślał Raszeński – piechotą Krakowskim i Nowym Światem, może wstąpimy do Bliklego, a potem do małego Cristalu. Dzień wolności powinien obowiązkowo być w lecie, wojna musi skończyć się latem lub wiosną. Mój Boże, co za banał!

– Oczywiście – powiedział Węzlak w czasie jednej z dyskusji – najgroźniejsze są te myślowe łatwizny, te powtarzane formułki i zaklęcia, te marzenia traktowane jak rzeczywistość.

Wydawało się, że brak mu miejsca w małym pokoiku. Wysoki, w rozpiętym mundurze stał między łóżkiem i zbyt delikatną szafą z lustrem, zajmując całą niemal wolną przestrzeń.

– Łatwizny – powtórzył ze złością. – Czy nie dostrzegasz, że Sikorski to, w gruncie rzeczy, mały człowiek, prowincjonalny polityk? Tak, zaczniesz go zaraz bronić! Nie warto. Ja go przecież nawet nie atakuję. Piłsudski go świetnie oceniał: dobry dowódca dywizji, no...

armii. Dlaczego, do diabła, tak się zdarza w historii Polski, że gdy nam potrzeba człowieka wielkiej

miary, otrzymujemy Poniatowskich, Chłopickich, Skrzyneckich, Rydzów... Rosjanie mają Stalina, Anglicy Churchilla, Francuzi de Gaulle'a, a my... Sikorskiego, którego główną troską jest ubezpieczenie się na wszelkie możliwości, czyli na żadną, i który wszystkim teraz przeszkadza: Churchillowi i Stalinowi, bo pcha się między nich jak nieustanna przeszkoda, wyrzut sumienia, tragiczna niemożność...

– Nie przesadzaj, generale.

– I nam przeszkadza, bo cienia konsekwencji, upor... Żeby choć trzaskał pięścią w stół i zamykał mordy, ale to Churchill go namawia, żeby uspokoił polską prasę.

– Ty go nie cierpisz!

– Ależ skąd, ja go bardzo lubię i on wie o tym, bo ma szczególny zmysł rozpoznający stosunek ludzi do siebie. Lubię go, bo postawny, reprezentacyjny, z poczuciem honoru, godności własnej i godności Rzeczypospolitej. Hetman! Wolałbym jednak, żeby co najwyżej polny. – Patrzył na Raszeńskiego uważnie i podejrzliwie. – Ty kiedyś o mnie napiszesz, sam powiedziałeś, napiszesz, że dusiłem się tutaj od początku, jedyny polski generał zdolny do dowodzenia wielkimi jednostkami pancernymi. I po co komu taki generał?! Szansę! Żeby mieć taką szansę jak de Gaulle!

– I co byś zrobił?

Węzłak miał wzrok nieco nieprzytomny; Raszeński nie był nawet pewny, czy go dostrzega i czy do niego się zwraca.

– Co bym zrobił? Założyłbym, mój drogi, że Rosjanie zwyciężą. To już dzisiaj można przewidzieć, jeśli nie jest się fantastą. Impet niemiecki musi osłabnąć, a Rosjanie mogą rzucić na front nowe miliony. Ich produkcja wojenna będzie rosła w nieprawdopodobnym tempie.

Czy wiesz, że w rosyjskim przemyśle lotniczym pracowało przed wojną przeszło dwieście tysięcy ludzi? Hitler nie czytał roczników statystycznych, gdyby czytał, popełniłby samobójstwo...

– Więc?

– Jak uzyskać pełną gwarancję niepodległości po zwycięstwie Rosjan? To jedyna sprawa, która powinna nas interesować. Roosevelt tego nie rozumie, Churchill już rozumie, ale jest bezsilny, a Sikorski żyje złudzeniami.

– Co byś zrobił?

– Pojechałbym do Rosji i tam bym przeniósł rząd. Powiedziałbym Stalinowi: ustąpię w sprawie granic i dam teraz panu na front dywizje, których pan najbardziej potrzebuje, wolę dogadać się z panem niż z Anglikami, ale muszę mieć gwarancje. Przesunięcie granic, jak daleko się uda, na zachód i niewtrącanie się w sprawy polskie.

– Jakie gwarancje, generale?

– Wynikające z jego interesów. Trzeba wiedzieć, co leży w interesie Rosji. Połknąć Polskę można, strawić ją bardzo trudno, wpływy komunistów są niewielkie, Stalin to musi rozumieć, jest realistą. Wolałby dogadać się z polskim generałem, który trzymałby mocno cugle w łapie, niż z polskim komunistą.

– Wierzysz w to?

– Tak. Ale z Sikorskim rozmawiać nie warto i na tym polega tragedia. Już prędzej mówiłby z Beckiem.

– Żartujesz!

– Tak. Beck był z niepodległego państwa, partner i wychowany w szkole trzymania za pysk.

– A jakie byłyby straty polskich dywizji, gdyby dzisiaj poszły na front rosyjski, teraz?

Węzłak długo nie odpowiadał.

– Duże – rzekł wreszcie – może bardzo duże, jednak opłacalne. Ci polegli by się opłacili. Przynajmniej sześć polskich dywizji mogłoby jeszcze w tym roku pójść do walki. I tego już nigdy nikomu nie udałoby się przekreślić.

...Po raz ostatni przed swoim wyjazdem z Londynu rozmawiał Raszeński z Węzłakiem późną wiosną na Dean Street, nieco bardziej o tej porze roku kolorowej i jarmarcznej (choć przecie nie było to przedwojenne Soho). Węzłak był milczący, ponury. Wiadomo już było, że ewakuacja wojska z Rosji jest nieunikniona.

– Tego się nie da naprawić – mruknął generał – tego już nikt nie naprawi.

– A jeśli Rosja się załamie?

Popatrzył na niego i dopiero po długiej chwili powiedział:

– Pomyśl o Sikorskim, pomyśl, jak mu się teraz wszystko łamie i rozpada. Żal mi go, choć żal nie jest żadną kategorią ani w polityce, ani w historii.

I Andrzej Raszeński istotnie myślał o Sikorskim, myślał także o długiej podróży, która go czekała i do której przygotowywał się właściwie od dawna: dotrzeć do armii Andersa jeszcze przed ewakuacją. Specjalny korespondent, wywiady, reportaże, ale przede wszystkim

– wiedza niezbędna potem, jeśli oczywiście dożyje się czasów, w których będzie komukolwiek potrzebna. I wyobrażał sobie teraz, co by napisał o Sikorskim.

Co myślał generał Władysław Sikorski późną wiosną 1942 roku? Czy zdawał sobie sprawę z nieuchronnego kryzysu swojej polityki? Atakowany ze wszystkich stron patrzył w przyszłość ze wzrastającym niepokojem. Nie wierzył już w poparcie Anglików, a nawet wątpić zaczął w dobrą wolę Churchilla. Przecież to Churchill przed podpisaniem traktatu politycznego z Rosją przekonywał

go, że sytuacja Wielkiej Brytanii jest przymusowa, że ta wojna stanowi w istocie dalszy ciąg tamtej, z roku 1914, a Rosja żąda tylko części terytoriów wówczas posiadanych. Co prawda obiecywał, że układ zawaruje interesy polskie, obiecywał

to w Chequers podczas dramatycznej konferencji obu premierów. Sikorski, mówiąc wówczas o ofiarach polskich i roli Polski, po raz pierwszy powiedział: „wiarołomstwo”. Ciężkie słowo!

Ale przecież później mógł być spokojniejszy; w zawartym układzie nie było żadnej wzmianki o sprawach terytorialnych. Czy powinien podejrzewać istnienie jakiegoś dodatkowego układu tajnego? Podejrzewał.

Na posiedzeniu Rady Ministrów mówił o sukcesie, o zakończeniu ważnego etapu, o uwzględnieniu polskich interesów, Jakby sam chciał siebie przekonać, że jednak sytuacja rozwija się pomyślnie. Przecież i Stalin w swej pięknej mowie 5 grudnia na Kremlu mówił o sile, o potędze przyszłej Polski. Przecież układ brytyjsko-sowiecki zobowiązuje Rosję i zabezpiecza nas... Przecież autorytet prezydenta Roosevelta...

Myślał o Warszawie, jadąc ulicami Londynu do hotelu Rubens. Namiastka władzy!

Każdy rząd emigracyjny, urzędujący w obcym, choćby w najbardziej przyjaznym kraju, jest nieco groteskowy, nawet żołnierze strzegący jego siedziby... nawet te honory wojskowe. Nie patrząc na gruzy domów nie opodal parku St. James, myślał, czy wróci do Warszawy? Czy zamieszka w Belwederze? A może jednak na Zamku? Skąd przyjedzie? Czy dotrą do Polski z południa, z zachodu, z Rosji? Pomyślał natychmiast o Andersie; ostatnie jego raporty budziły niepokój, to właśnie chciał powiedzieć Mikołajczykowi i Raczyńskiemu, którzy już na niego czekali. Nie wydawali się zbyt zaskoczeni. Naczelnny wódz odnosił niekiedy wrażenie, że jego ministrowie wiedzą o sytuacji więcej niż on, i wiedzą wcześniej.

– Anders uważa – mówił – że pozostanie w Rosji musi skończyć się dla wszystkich Polaków zupełną zagładą. Zlikwidowano cztery delegatury ambasady, aresztowano współpracowników. Jednocześnie generał Anders przyznaje, iż niewątpliwie zostały uczynione przez ambasadę i ataszaty pewne niezręczne kroki posiadające wszystkie pozory zorganizowanej pracy wywiadowczej. Bardzo to dyplomatyczne określenie – mruknął – ale posłuchajcie dalej, co pisze generał: „Praca wywiadowcza prowadzona przez poszczególnych delegatów ambasady, nie posiadających żadnego pojęcia o organizacji wywiadu i technice...” Po co oni to robili?

Mikołajczyk wzruszył ramionami.

– Kot nie dopilnował.

– A dlaczego Anders komunikuje o tym pierwszy? – Nie doczekał się odpowiedzi.

Przytaczał więc dalsze fragmenty raportu: – „Władze sowieckie, które podejrzewały od dawna istnienie tego rodzaju sieci, uzyskały niezbite dowody w postaci instrukcji dla delegatów i kurierów...” – Cisnął dokument na stół. – Ktoś chce skompromitować także Kota!

– Uspokajał się powoli, – Co panowie myślą o wniosku Andersa wycofania wojsk polskich z ZSRR? Czy panowie zdają sobie sprawę z wagi tej decyzji? – zapytał po chwili tonem już niemal zwykłym.

– W obecnych warunkach nie utrzymamy armii w Rosji. I czy chcemy? I czy oni chcą?

Polityka ustępstw... – powiedział Raczyński.

– Więc? – przerwał mu ostro Sikorski.

– Zgodzić się na propozycje Andersa. Nie należy również zapominać, że sytuacja wojskowa na południu Rosji jest katastrofalna.

– A pan? – zwrócił się Sikorski do Mikołajczyka.

– Propozycja generała Andersa jest chyba przedwczesna. – Mikołajczyk jakby się wahał. – Ambasador Kot, jak wiem, jest też tego zdania. Twierdzi, że Anders realizuje własne koncepcje...

– Trzeba się zastanowić nad doborem ludzi w Rosji – wtrącił Raczyński.

– Nie o to chodzi – odpowiedział Mikołajczyk – a o odmienną koncepcję generała Andersa...

– Istnieje tylko jedna polska polityka – przerwał Sikorski.

Na twarzy Raczyńskiego pojawił się uśmiech, Mikołajczyk pochylił głowę.

– Dlatego – ciągnął Sikorski – jako wódz naczelny w odpowiedzi na raport generała Andersa postanowiłem oświadczyć mu zdecydowanie, że wojsko polskie dla wyższych celów politycznych musi pozostać w Związku Sowieckim.

– Nie byłbym aż tak kategoryczny – stwierdził Raczyński.

– Będę także proponował Radzie Ministrów – Sikorski otworzył teczkę z dokumentami – podjęcie następującej uchwały: „Rząd polski ponownie stwierdza, że pozostawienie na terytorium radzieckim części polskich sił zbrojnych, które następnie walczyłyby na froncie wschodnim ramię przy ramieniu z armią radziecką, byłoby zgodne z interesami polskimi oraz polityką, która znalazła wyraz w porozumieniu zawartym w dniu 30

lipca 1941 roku”.

– Tak – powiedział Raczyński – tak, ale jeśli tam zostaniemy, to musimy się natychmiast bić. A czy my tego chcemy?

Właśnie... Czy my tego chcemy? Raczej – czy on, wódz naczelny, chce. Zapytał o to Węzłak, gdy znalazł się następnego ranka w gabinecie premiera.

– Najważniejsze – pouczył go Sikorski – jest zachowanie armii. W tej fazie wojny nasz udział na froncie rosyjskim powinien być raczej symboliczny, nie możemy angażować zbyt żywych sił.

– Pan generał ciągle myśli o możliwości klęski Rosji?

– Myślę – powiedział Sikorski. – Muszę brać pod uwagę każdą ewentualność.

– Panie generale – rzekł nagle Węźlak – wykonam każdy pana rozkaz... Niech mnie pan tam pośle.

Sikorski zmarszczył brwi.

– Nie rozumiem...

– Z rozkazem, żeby pozostać w Rosji.

– Ja nie podjąłem decyzji ewakuowania armii.

– Ale – nacierał Węźlak – nie podjął pan także decyzji pozostania.

– A uchwała rządu? – Sikorski nie dostrzegł lub dostrzec nie chciał wyczuwalnej drwiny zawartej w słowach Węźlaka.

– To są gesty, panie generale. Mówię z pełną szczerością, prosząc pana generała o wybaczenie i o pozwolenie przedstawienia mojego zdania.

– Ależ proszę, proszę.

Węźlak jakby zeszywniał.

– Być może – rzekł – przeżywamy chwilę decydującą w historii Polski...

Sikorski uśmiechnął się.

– To dopiero po stu latach wiadomo, kiedy są te decydujące chwile.

– Koszty pozostania w Rosji – ciągnął Węźlak nie zrażony – mogą być bardzo wysokie, warto jednak ginąć pod Charkowem czy Carycynem, byle nie stracić szansy.

Zakładam, mam podstawę, tak sądzić, że Rosjanie nas nie chcą i że Anglia chętnie skorzysta z naszych dywizji.

– Jaką podstawę?

– Zamelduję panu generałowi za chwilę. Wyprowadzić armię z Rosji, to znaczy dać Stalinowi wolną rękę w poszukiwaniu wszelkich możliwych rozwiązań, gdy Armia Czerwona stanie nad granicą Polski.

– Daleko pan patrzy, generale – mruknął Sikorski – teraz Niemcy podchodzą do Woroneża.

– Toteż znacznie lepiej dogadać się z nimi w sprawach zasadniczych teraz, nie czekając do jutra.

– W polityce – rzekł Sikorski – nie ma takich alternatyw: albo, albo. Trzeba dużo cierpliwości, a niekiedy lepiej jest sporządzić rejestr spraw nie uzgodnionych i zostawić je na przyszłość.

Węzłak pochylił głowę, może dlatego, by wódz naczelny nie dojrzał w jego oczach pogardy.

– Panie generale – powiedział – pan wie, jak pana podziwiam, jak mu jestem oddany, ale błagam, niech pan podejmie decyzję... wbrew Anglikom i wbrew takim doradcom Stalina, jak Mołotow. A także wbrew naszym politykierom...

– Doceniam pana intencje – stwierdził Sikorski. – Co mi pan chciał zameldować?

– Otrzymałem notatkę z rozmowy Mołotowa i Clarka Kerra.

– Słucham. – Sikorski nie pytał, skąd Węzłak czerpie swoje informacje. Wiedział, że ma jakieś źródła w angielskim MSZ. Parokrotnie już uzyskiwał wiadomości o rozmowach angielsko-rosyjskich toczonych w Moskwie lub w Londynie. – Słucham – powtórzył – o czym więc rozmawiał Mołotow z angielskim ambasadorem w Moskwie.

– O nas – odpowiedział Węzłak i wydobył z teczki notatkę.

Sikorski zmarszczył brwi. Zawsze go bolało, gdy dowiadywał się, że rozważano sprawy polskie, nawet go nie informując.

– Więc?

– Clark Kerr oświadczył, że jego rząd bardzo byłby zadowolony z przeniesienia armii polskiej z Rosji pod dowództwo brytyjskie na Bliskim Wschodzie. Mołotow przyjął to oświadczenie ze zrozumieniem.

– Ze zrozumieniem! – warknął Sikorski.

– I dodał – ciągnął Węzłak – że wie, iż armia brytyjska w północnej Afryce znajduje się w trudnej sytuacji i trzeba przerzucać odwody. Clark Kerr to potwierdził i zapytał, jak Mołotow ocenia działania na froncie rosyjsko-niemieckim. Sowiecki minister przyznał, że jest ciężko, że Niemcy po przełamaniu frontu na kierunku Woroneża grożą przecięciem komunikacji łączącej Moskwę z Kaukazem. Wówczas Clark Kerr: „Ale nie bardzo chcecie Polaków?” „U was będą się bić” miał powiedzieć Mołotow. Powtarzam za sprawozdaniem, które wydaje mi się – dodał Węzłak – dość wierne.

Sikorski milczał. Węzłak nie wiedział, czy wódz naczelny uwierzył, czy zechciał

wziąć pod uwagę...

Od tej rozmowy wzywał Węzłaka rzadziej i spoglądał nań mniej chętnie. Pamiętał

jednak o dostarczonych przezeń informacjach, gdy z Mikołajczykiem, Raczyńskim i Seydą ponownie rozważał sprawę ewakuacji armii polskiej z Rosji.

– Sir Cadogan w rozmowie ze mną – informował Raczyński – podkreślił wczoraj, że rząd brytyjski będzie bardzo rad z takiego rozwiązania.

Słuchając go, Sikorski natychmiast przypomniał sobie relację Węzlaka.

– To już wiem – przerwał niecierpliwie – ale tu chodzi nie tylko o armię, chodzi o całokształt naszych stosunków z Sowiecami.

– Mamy do czynienia z niewątpliwym kryzysem tych stosunków – stwierdził

Raczyński.

– Może należało od początku – wtrącił Seyda – zajmować twarde stanowisko albo...

– I doprowadzić do zerwania? – zniecierpliwiał się Sikorski. – Pan już protestował przeciwko układowi.

– Oni nam nie ufają, my im nie ufamy – sentencjonalnie stwierdził Mikołajczyk.

– Do zerwania – ciągnął swą myśl Sikorski – żeby wśród naszych aliantów pogłębić wrażenie, że Polska jest romantycznym, awanturniczym Don Kichotem, z którym można sympatyzować i któremu można współczuć, ale który nie może być poważnym partnerem.

Zerwanie stosunków z Rosją pozbawiłoby nas pozycji wśród sprzymierzonych.

– Należy więc patrzeć realistycznie – powiedział Mikołajczyk. – Należy rozważyć, na jakie ustępstwa możemy się zgodzić. Sądzę, że trzeba nareszcie spojrzeć prawdzie w twarz i zastanowić się, jakie koncesje terytorialne zadowolą Sowieców.

– Nie biorę tego pod uwagę – uciął Sikorski.

– Więc jaką politykę chce pan premier prowadzić? – zapytał Seyda.

– Jedności sprzymierzonych – odpowiedział krótko.

– Nie dostrzegam tu konsekwencji – stwierdził Seyda.

– Jedności – powtórzył Sikorski. – Brytyjczycy odrzucają terytorialne żądania Sowieców. – Tak powiedział, ale czy sam w to wierzył?

– Nie bardzo odrzucają – mruknął Raczyński. – Churchill oświadczył, że traktat angielsko-sowiecki zabezpiecza Polsce niepodległość, ale nie zapewnia pełnej integralności terytorialnej.

– Odrzucam to stwierdzenie – warknął Sikorski.

– Więc jaką politykę? – Seyda powtórzył pytanie.

– To się okaże. – Sikorski wydał się zmęczony. – Tymczasem wydobędziemy z Rosji żywą siłę ludzką, potwierdzimy nasze niezbywalne prawa, nie ugniemy się.

– I co dalej? – zapytał Mikołajczyk.

– Jeśli armia Andersa zostałaaby na Wschodzie, musiałyby tam Walczyć – powtórzył Raczyński.

– Jaką decyzję podejmie pan premier? – Mikołajczyk patrzył na Sikorskiego.

Twarz naczelnego wodza wydawała się nieruchoma.

W dużej poczekalni w sztabie generała Andersa w Jangi-Jul upał był niemal taki, jak na zewnątrz. Raszeński z zazdrością spoglądał na kapitana, adiutanta dowódcy armii, który tkwił

szttywno za biurkiem w szczelnie zapiętym mundurze, bez kropli potu na twarzy, jakby termometr nie wskazywał trzydziestu paru stopni w cieniu. Dwaj oficerowie wezwani do Andersa upał znosili znacznie gorzej i niecierpliwie spoglądali na zegarki.

„Będę jednak pierwszy, pomyślał Raszeński, i nie będę krótko”. Podszedł do okna i spojrział na białą przestrzeń; taki mu się właśnie wydał Jangi-Jul: białe domy i rozpalone do białości niebo.

– Jak się panu udało tu przyjechać? – usłyszał głos adiutanta.

Właśnie: jak! Pomyślał o gabinetach, które musiał sforsować, o nie kończących się wyczekiwaniach na lotniskach, o niechętnych i sztywnych Anglikach, którzy przeżywali właśnie swe afrykańskie klęski. Czy zatrzymają Rommla? Polski oficer jadący do ZSRR

wydawał im się postacią niemal z innego świata.

– Sam nie wiem. Wiem tylko, że musiałem tu raz jeszcze przyjechać. Trzeba było mieć dobre nogi, żeby to wychodzić.

– I dobre plecy – „roześmiał się kapitan. – Sowieci nie widzą nas zbyt chętnie. No, to się wynosimy – dodał sentencjonalnie.

Raszeński nie odpowiedział.

– Wy, w Londynie, nic nie wiecie – ciągnął dalej kapitan odsuwając papiery –

siedzicie sobie wygodnie, a tu co się dzieje? Niech pań porozmawia z tymi ludźmi, którzy ciągną, diabli wiedzą skąd, do Taszkentu, do Jangi-Jul, żeby tylko zapewnić sobie miejsce w transportach...

– A ci, którzy zostają?

Zadzwieczał dzwonek. Kapitan zerwał się i pobiegł do gabinetu. Wrócił po chwili.

– Generał prosi – powiedział tonem nieco uroczystym.

Generał Anders stał przy oknie. Raszeński wypowiedział słowa meldunku i ten meldunek złożony bardzo sprawnie spodobał się, widać, generałowi.

– W zasadzie nie rozmawiam teraz z dziennikarzami – stwierdził – ale pan jest żołnierzem, i to byłym żołnierzem mojej armii – to „mojej” zostało szczególnie mocno podkreślone – a podobno wódz naczelny pana ceni.

Raszeński ukłonił się w milczeniu.

– Pisze mi Klimecki – ciągnął generał – że zbiera pan także materiały do przyszłej pracy historycznej. No cóż, może za wcześnie jeszcze na historię. Historia, panie poruczniku, dopiero się rodzi. Słucham więc. – Było to powiedziane nieco niecierpliwie, jakby z podkreśleniem, że czasu ma dowódca niezbyt dużo.

– Czy zechciałby pan, panie generale – zaczął Raszeński – powiedzieć coś o przyczynach i o przewidywanych skutkach ewakuacji armii ze Związku Radzieckiego. Dla historii – uśmiechnął się – nie dla prasy.

– Nie mam dużo do powiedzenia. Wy w Londynie lepiej wiecie, co należy pisać teraz, a co trzeba będzie pisać jutro... – Machnął ręką. – Trzeba wyjaśniać polskiej opinii, że ewakuacja następuje za zgodą obu rządów: polskiego i radzieckiego, i że jest to nasz sukces, także mój sukces osobisty: wyprowadzenie stąd osiemdziesiąt tysięcy armii.

– Sukces? – powtórzył Raszeński. – Czy pan generał nie uważa, że odejście armii polskiej ze Związku utrudni, a może nawet zniweczy możliwość polsko-rosyjskiego porozumienia?

– Niech pan siada, panie Raszeński. – Anders zaczął mówić bardziej namiętnie: – Ja wiem, że mam w otoczeniu Sikorskiego ludzi, którzy źle mi życzą... choćby... Nie –

uśmiechnął się nagle – nie będziemy wymieniać nazwisk mam nadzieję, że pan do nich nie należy, pan jest w stanie mnie zrozumieć.

– Pan mi pochlebia, panie generale.

– Nie – rzekł Anders. – Doceniam rolę prasy i historii. Nie wszystko, co mówię, nadaje się dzisiaj do pisania. Ale pan podobno właśnie dla historii... Ja, panie poruczniku, miałem zawsze dobre stosunki z władzami rosyjskimi, nawet bardzo dobre, proszę choćby przeczytać, co o mnie pisali w „Prawdzie”. Ale z każdym miesiącem nabierałem coraz większej pewności, że pozostanie w Rosji Sowieckiej musi skończyć się dla wszystkich Polaków zagładą.

– Dlaczego?

– Dlaczego, dlaczego! Stalin odmawia dalszej rekrutacji, ograniczył racje żywnościowe, ponieważ armia polska nie poszła na front. A jakie hekatombie zapłacilibyśmy na froncie, ilu by nas zginęło? Pisałem w tym duchu do generała Sikorskiego i otrzymałem druzgoczącą odpowiedź: że wojsko musi pozostać w Rosji. Nie mogłem! Prowadziłem długie rozmowy z dowódcami sowieckimi i przekonywałem ich, że w interesie Rosji jest, by armia polska znalazła się na Bliskim Wschodzie. Ponawiałem naciski.

– Tego nie rozumiem.

– A sądzi pan, że oni chętnie widzieli u siebie burżuazyjne wojsko polskie? Mało było szykan? Anglicy też przyznawali mi rację. Wymogłem, że zezwolą na wyjazd polskiej ludności cywilnej, nawet pewnej liczby Żydów... Ja ratowałem tych ludzi. – Nagle zmienił

ton. – Myśli pan, że Rosjanie utrzymają Kaukaz? Churchill pytał mnie o to; powiedziałem, że nie

wierzę, by utrzymali.

– To znaczy, szansa porozumienia, o której tyle pan kiedyś mówił, panie generale, została zaprzepaszczona?

– Osiągnęliśmy maksimum, wyprowadzając armię. – I znowu bardzo namiętnie: – Oni są chorobliwie podejrzliwi, pan tego nie rozumie...

– Ja byłem w obozie.

– Ach, prawda! Ja umiałem z nimi nawiązać poprawne stosunki, ale ambasada! Ci ludzie kompromitowali się na każdym kroku. Te ich instrukcje dla delegatur, które wpadły w ręce Rosjan. Wywiadowcy amatorzy!

– Powiedział pan, generale, „maksimum”. A jeśli przy wyzwaniu Polski zabraknie polskiego wojska, czy historia nie uzna wówczas, że ofiara żołnierska na tym froncie byłaby usprawiedliwiona? Kto wie zresztą, gdzie będzie musiał ginąć polski żołnierz?!

– Przesiąkł pan frazeologią londyńską, panie poruczniku Raszeński, niech pan się z tego wyzwoli, szkoda ludzi z dobrym piórem. Jeśli myśli pan uczciwie i precyzyjnie, przyzna mi pan rację.

– Tylko że moje potwierdzenie, panie generale, będzie miało niewielkie znaczenie.

Chodzi o potwierdzenie historii.

Anders spojrzał na niego ostrzej.

– Ważny jest ostatni rozdział – mruknął i znowu zmienił ton. – Wprawdzie ma pan wszystkie potrzebne zezwolenia, ale radzę zachowywać się ostrożnie, jeśli jedzie pan do Kujbyszewa... A Kota już pan tam nie zastanie. Radzę opuścić Rosję razem z nami.

– Postaram się zdążyć.

...Więc Rosja raz jeszcze, teraz już naprawdę Rosja. I język, i ludzie, i nieufne spojrzenia... tyle się w tym kraju cierpiało, a jednak pozostał sentyment, odczuwany niechętnie, nawet ukrywany przed sobą.

To mniej więcej powiedział pułkownikowi Walickiemu, który czekał na niego przed sztabem, w ostrym słońcu na pustym dziedzińcu.

– Wiesz – rzekł w pewnym momencie – właściwie dopiero teraz czuję, że wszystko jest naprawdę, żadnego teatru, cholerna autentyczność. Gdy mówię: „ważą się nasze losy”, wiem, że tak jest, żaden frazes...

Szli pustą niemal o tej porze i daleką od śródmieścia ulicą; Andrzejowi wydała się ona niezwykle egzotyczna, a gdy nagle skręcili w bok, zobaczył kolorowe, łagodne wzgórza i ruiny, popękane resztki murów, wyglądające stąd jak dekoracje teatralne.

– Chciałbym – westchnął Walicki – przyjechać tu kiedyś po wojnie, połączyć po szczątkach starych imperiów, odnaleźć ślady Timura lub Abdulli-chana...

– I pomyśleć – przerwał Raszeński – o kruchości państw tworzonych przez wielkich zdobywców.

– Nie, nie tak banalnie. Na odwrót, o tym, że nie zapomina się niczego i choćby zamiar ludzki z góry był skazany na niepowodzenie, realizować go warto, jeśli wierzy się w jego słuszość i sprawiedliwość. Większość ludzkich wysiłków i tak kończy się klęską, nie rezultat więc jest ważny.

Raszeński spojrział na niego ze zdziwieniem.

– Takim cię nie znałem, pułkowniku. Fatalizm?

– Nie – zaprotestował Walicki. – Może po prostu rozpacz, ślepy zaulek, w którym znaleźliśmy się wszyscy. Przeraza mnie radość, z jaką większość nas tutaj przygotowuje się do opuszczenia Rosji.

Dookoła ni skrawka cienia, ale słońce jakby nieco łagodniejsze, jakby nadchodził rzeświejszy powiew od wzgórz.

– Zaraz dojdziemy – powiedział Walicki.

Andrzej przypomniał sobie nagle białą przestrzeń i czarną linię lasu, mróz ścinający oddech i Walickiego prowadzonego przez dwóch młodych chłopców z NKWD po jego słynnej ucieczce z obozu. Został w lesie na wyrębie, a że go nie ma w obozie – zauważono dopiero po paru godzinach. „Nie warto gonić – podobno powiedział wówczas komendant obozu. – Sam wróci albo zamrznie”.

Pułkownik niezbyt chętnie opowiadał o tej ucieczce. Szedł całą noc, a nad ranem, gdy był przekonany, że znalazł się już bardzo daleko, okazało się, że jest dwa kilometry od obozu.

Na co właściwie liczył? Że uda się wsiąść do pociągu i dotrzeć... dokąd? Dalej na wschód: do Chin, do Japonii? „Uciekali przecież do Japonii” – powiedział kiedyś o dawnych zesłańcach.

A może uważał po prostu, że próba ucieczki jest konieczna, że ten gest, bo to był właściwie tylko gest, jest niezbędny? Niemłody już człowiek poszedł samotnie brnąć po śniegu bez żadnej nadziei... Wsadzono go na dziesięć dni do bunkra i siedział w celi bez światła, na betonowej podłodze leżał tylko siennik. Potem szpital...

– Ten, kto jak ja nigdy nie przeżył przeniesienia z karceru do szpitala, w którym nagle dostajesz czystą pościel, a rosyjski lekarz i rosyjska pielęgniarka troszczą się o ciebie tak, jakby twoje życie miało naprawdę wartość – nie pojmie tego kraju. Andersa z celi więziennej po krótkiej podróży, a mnie z obozu po nieco, jak wiesz, dłuższej umieszczono w reprezentacyjnym hotelu Moskwy. I nikt nie czuł się nawet zażenowany, rozumiesz? To jest dla nich normalna sytuacja! Dziś więzień, jutro dowódca dywizji lub armii! Ile było takich wypadków?

Gdy usiedli przy stole na kwaterze Walickiego, pułkownik stał się weselszy i rozmowniejszy. Ładna uzbecka dziewczyna nakryła do stołu, gospodarz otworzył butelkę koniaku.

– Nie masz pojęcia – mówił Walicki – jak się cieszę, że jesteś, właściwie nie miałem nadziei już cię zobaczyć.

– Dlaczego?

– Dlaczego? – machnął ręką. – Mów lepiej o sobie.

Andrzej więc patrzył na dziewczynę, która uśmiechała się do niego przynosząc z kuchni talerze, opowiadał o Londynie, Marcie, Węzlaku, Anglikach, a Walicki słuchał

uważnie potakując i przerywając. Okazało się, że Węzlaka zna i nie lubi go.

– To taki polski kandydat na Napoleona – powiedział. – Może przyjąłby się gdzie indziej, nam potrzebny jest zupełnie inny typ przywódcy.

– Jaki?

Nie odpowiedział od razu.

– Myślałem o tym – rzekł wreszcie. – Zastanów się, tyle lat niewoli i potem marszałek Piłsudski... Wielki człowiek, który uwierzył we własną charyzmę i pogardzał wszelkimi instytucjami demokratycznymi. A po tej wojnie powinien być ktoś, kto odważy się wysłuchać suwerennej decyzji Polaków i jednocześnie będzie umiał owładnąć naszą wyobraźnią. –

Roześmiał się nagle. – Powiesz: stary, śmieszny marzyciel.

Bez munduru, w rozpiętej koszuli istotnie wyglądał staro, szyję miał pomarszczoną, worki pod oczyma, a resztki włosów posiwiały na skroniach.

– Wypijmy. – Zmienił temat. – Wiesz, jak tu się mówi? Niech w tym kieliszku zostanie tyle wina, ile krwi w żyłach naszych wrogów. – Spojrzał z żalem, a może Raszeńskiemu tak się wydawało, na uzbecką dziewczynę. – Kończy się mój pobyt tutaj, wyjeżdżam do Krasnowodska, będę w dowództwie bazy ewakuacyjnej.

– Szybko to idzie.

– Szybko – potwierdził Walicki.

– A ja – ciągnął Raszeński – chcę wiedzieć, dlaczego. Po to tu jestem.

– Dla historii?

– Czy można było uniknąć?

– Pewno można było... Jesteśmy zbyt blisko... Ale obawiam się, że jeszcze po wielu latach oskarżenia, fałsze, kłamstwa będą przesłaniać prawdę... Ty sądzisz, że myśl o opuszczeniu Rosji zrodziła się teraz? Pewno nie wiesz, że Stalin proponował Sikorskiemu znacznie korzystniejsze

rejony koncentracji niż Uzbekistan. Proponował Kazachstan, południowe tereny ziemi pałatyńskiej... A Anders wolał tutaj, chociaż przeniesienie nas z surowego klimatu do trudnych warunków higienicznych naraziło ludzi na wszelkie epidemie... Pamiętasz Krzemskiego? Tego, co ciągle szukał łącznika do Warszawy? Umarł na tyfus plamisty.

– Więc dlaczego?

Walicki wzruszył ramionami.

– Każda odpowiedź jest hipotezą, każde twierdzenie będzie kontrowane. Anders żądał

najdalszego południa, bo chciał być bliżej granicy, jakiegokolwiek – Chin, Afganistanu. Mam przyjaciela w szóstej dywizji koło Samarkandy... posłuchaj, co pisze... – Poszperał w szafce i wyciągnął list. – „Rozpoznawaliśmy pod pozorem wycieczek przesmyki i drogi, przez łańcuch gór, odgradzających nas od afgańskiej granicy, lub możliwości opanowania pociągów na Aszchabad, ku perskiej granicy. Badaliśmy położenie najbliższych garnizonów sowieckich, magazynów, składów broni”. Rozumiesz? Bo opanowała ich psychoza ucieczki, to tylko, żeby „uciec z tego diabelskiego kraju, uciec jak najdalej, choćby na piechotę, choćby na noszach”.

– Straszne.

Walicki wzruszył ramionami.

– Trzeba dostrzegać przyczyny – uśmiechnął się smutno – rozmaite... tkwiące także w psychice. Anders myśli, że to on zdecydował o wyjściu wojska, a w rzeczywistości...

– Co?

– Sikorski sądzi – ciągnął pułkownik – że on się przeciwstawiał, ale niezbyt przecież zdecydowanie. Pomyśl o tych sieciach intryg między ambasadą i sztabem, w samym sztabie.

– Podejrzliwość radziecka?

– Tak, są podejrzliwi. I myśmy tę podejrzliwość traktowali trochę z pańska. Gdyby armia poszła na front, gdyby osobiste ambicje, próżność, żale, gorycze zastąpiła wola walki...

Zresztą – dodał rozlewając koniak – nie znam wszystkich faktów, ale jedno wiem: popełniono błąd, zniweczono wielki wysiłek. Czy zastanowiłeś się kiedy, jak na to może patrzeć kraj?

Inny punkt widzenia! Co ich obchodzi nasze swary? Tylko jedno się liczy...

– Tak – rzekł Raszeński – tak. I co teraz?

– Nie wiem. Wiem, co ja zrobię.

Raszeński popatrzył na niego.

– Ty tego nie zrobisz, pułkowniku, a jeśli naprawdę tak postąpisz, zrozumie cię.

Czekał na Anię przed wejściem do szpitala. Rano świeciło słońce, teraz zaczął padać ulewny deszcz, schronił się więc pod daszek nad schodami i patrzył, jak z ciężarówki, która właśnie nadjechała, wynoszą rannych. Ci, którzy mogą chodzić, kuśtykają pod strugami wody, sanitariusze podbiegają z noszami, a na korytarzu, który widział przez otwarte drzwi, ustawiają łóżka wzdłuż ścian. Nie spoglądano na niego zbyt przychylnie. Stał tutaj młody, zdrowy, w dobrze skrojonym mundurze, a w szpitalu brakowało miejsc dla rannych; lekarze i pielęgniarki pracowali bez wytchnienia, co parę godzin słuchając ponurego głosu Lewitana wymieniającego nazwy miast, które „po uporczywych i krwawych walkach, zadając wrogowi ciężkie straty, opuściły nasze wojska”. Majkop, Krasnodar... Mój Boże, dokąd ci Niemcy doszli!

W drzwiach stanął w długim, białym, niezbyt czystym fartuchu doktor Piotr Michajłowicz Karpow. Pochylał się nad niesionymi na noszach, niekiedy wskazywał na korytarz, niekiedy na operacyjną. Dostrzegł Stefana i na jego zmęczonej nie ogolonej twarzy pojawił się uśmiech.

– Czeka pan na Anię?

– Tak, oczywiście.

– Przyjdzie, jak tylko przyjmie transport. – Wytarł duże dłonie o fartuch. – Czuję się jak rzeźnik i jestem potwornie głodny. Miałem profesora w Moskwie, który mawiał: będziesz lekarzem, jeśli natychmiast po sekcji z apetytem zjesz obiad. Ja mogę. – I znowu pochylił się nad rannymi na noszach.

Radwan poznał Karpowa przed paroma tygodniami, gdy przyszedł po Anię do szpitala.

Wstąpili potem we trójkę do jakiejś czajnoj, wypili po jednym i lekarz zaprosił ich do siebie

„na coś lepszego”. Istotnie, była znakomita nalewka, a gdy po paru dniach Karpow ponowił

zaproszenie, Stefan zjawił się z butelką whisky i konserwami, co zostało przyjęte nader przychylnie. Był to właściwie pierwszy Rosjanin, z którym zawarł bliższą znajomość, i pierwszy dom, w którym składał wizytę w towarzystwie Ani. Czuł szczególną satysfakcję, że bywali tu razem, traktowani jak małżeństwo; mieli więc już wspólnych przyjaciół i mogli o nich mówić. Co prawda, rozmowy Stefana i doktora Karpowa niekiedy dziwiły Anię, a niekiedy nawet oburzały. Korpulentna Elżbieta Wasiljewna, żona lekarza, nie przywiązywała natomiast do tego bałakania żadnego znaczenia. Brała Anię do kuchni, by z konserw, które przyniósł Stefan, zmajstrować coś, jak mawiała, sympatycznego do jedzenia.

Karpow lubił z Radwanem rozmawiać po angielsku, ponieważ całkiem nieźle znał ten język, natomiast Stefan dość kiepsko mówił po rosyjsku, a także stwarzało to możliwość rozpatrywania tematów politycznych bez udziału pań. „Jestem staromodny” twierdził, a Radwan odnosił wrażenie (i sprawiało mu to przykrość), że Piotr Michajłowicz boi się Ani.

Lubił ją na pewno bardzo, ale przecież się bał.

Ze szklaneczkami whisky w rękę siedzieli w głębokich fotelach, a panie szeptały na kanapie, oglądając album z fotografiami, który Stefanowi pokazywano już przynajmniej dwukrotnie; była to historia w obrazkach syna doktora Karpowa, Leonida – daty pod każdym zdjęciem, uczeń, student, oficer, z żoną, na dacy, na ulicy i... trzyletnia przerwa od trzydziestego ósmego do czterdziestego pierwszego roku. W czterdziestym pierwszym –

dowódca pułku. O tej przerwie Karpow po raz pierwszy powiedział podczas ostatniego ich spotkania, tym razem po rosyjsku, jakby chciał, żeby Ania jednak wiedziała. Ale najpierw rozmawiali po angielsku.

– Nie boi się pan – zapytał Stefan – gościć burżuazyjnego polskiego oficera z ambasady?

– Trochę tak – przyznał Karpow – ale jest to niejako strach z przyzwyczajenia. Pan tego nie pojmuje. Ja jestem z pokolenia przedrewolucyjnego, mój ojciec był tu lekarzem, a już przed wojną światową miałem niezłą praktykę. Akceptowałem zmiany, ale właściwie nigdy nie przywykłem, nigdy mi się Rosja nie utożsamiła w pełni ze Związkiem Radzieckim.

Dopiero teraz jest rosyjska wojna, ja jestem rosyjskim lekarzem, a ci chłopcy, którzy giną na froncie, umierają dla Rosji. Nieprzypadkowo order Suworowa, wojna za ojczyznę. –

Uśmiechnął się. – Ale to nie znaczy, panie Stefanie, że jestem szowinistą, po prostu rozumiem to, czego wy z Europy nie możecie pojąć i czego – spojrzał na kanapę – pani Ania też by może nie zrozumiała: że dzisiejszy Związek Radziecki wyrasta z historii Rosji, Stalin –

z uświęcenia władzy państwowej przez prawosławie i carat, a wojna z Niemcami jest kolejnym aktem słowiańsko-germańskich zapasów.

– Więc – wtrącił Stefan – stosunek do Polski jest dalszym ciągiem tradycyjnej rosyjskiej polityki.

– Nie. Stosunek do Polski cechowała zawsze ambiwalencja. Zawsze były przynajmniej dwie polskie polityki w Rosji. Proszę przypomnieć sobie czasy Aleksandra I, a nawet Katarzyny. Nasza inteligencja nieodmiennie wyrażała swe sympatie dla niepodległości waszego kraju albo przynajmniej dla szeroko rozumianej autonomii.

– Autonomia nam nie wystarcza.

– Ale widzi pan – ciągnął Karpow – stosunek do sąsiadów w świadomości ludzkiej kształtuje zawsze historia. Przeciętny Rosjanin, nawet inteligent, usłyszy w słowie „Polska” poszum husarskich skrzydeł, a dla was Rosja będzie się kojarzyć z rozbiorowymi planami Katarzyny. A przecież to już dawno anachronizm.

– Zgadza się.

– Tak, ale ten anachronizm działa nie tylko na przeciętnych zjadaczy chleba, działa także na kierowników nawy państwowej. Obawiam się, że oni również myślą kategoriami historycznymi. W naszych głowach drzemie wspomnienie anachronicznych planów Katarzyny, a wam śni się Piłsudski w Kijowie. Ta wojna powinna ostatecznie rozwalić te myślowe konstrukcje.

- O czym wy rozmawiacie? – zapytała podejrzliwie Ania, odsuwając fotografie.
- O anachronizmach – powiedział Stefan – o przyjaznych stosunkach Polaków i Rosjan.
- One są przyjazne.
- Oczywiście – roześmiał się Karpow. I dalej mówił już po rosyjsku. – Po tej wojnie wszystko powinno się zmienić, u nas także.
- Co to znaczy, doktorze? – zapytała Ania.

Karpow spojrzał na nią i podszedł do kredensu, na którym stała w złoconych ramkach duża fotografia Leonida w mundurze z trzema prostokątami na kołnierzu.

- Aresztowano go – powiedział cicho – w styczniu trzydziestego ósmego roku.
- Pietia! – zawołała Elżbieta Wasiljewna.
- Nasi przyjaciele – rzekł sucho doktor – powinni wiedzieć. Ja nie wierzyłem ani przez chwilę w winę Łońki – ciągnął. – Przestałem być dyrektorem szpitala, wysłano mnie do kolchozowego ambulatorium. A Łońka wrócił, teraz dowodzi pułkiem.
- Zdarzają się pomyłki – szepnęła Ania.

Doktor wzruszył ramionami, jakby słowo „pomyłka” wydało mu się nader niewłaściwe.

- Tak, oczywiście – potwierdziła chętnie Elżbieta Wasiljewna – zdarzają się.
- Łońka nic nam nie powiedział – Karpow zwracał się teraz do Stefana – był tylko zresztą półtora dnia w domu, ale jak wyglądał! Niedawno wstąpił do nas jego kolega, akurat przejeżdżał przez Kujbyszew, mówił, że Łońka dostaje stopień generała. Generała – powtórzył. – Bo widzi pan, my, Rosjanie, mamy do Rosji szczególny stosunek, kochamy ją czasami niedobrą miłością...

- Pietia! – zawołała znowu Elżbieta Wasiljewna.
- Niedobrą miłością – powtórzył Karpow – jak kobietę, którą się kocha, wiedząc o niej także najgorsze.
- Rozumiem – powiedział Radwan i istotnie wydawało mu się, że coś zaczyna rozumieć.

Gdy wyszli od Karpowych, Ania długo milczała, potem wzięła Stefana pod rękę i przytuliła się do niego.

Ciężarówka odjechała, Karpow znowu wytarł dłonie o fartuch.

– Chwila przerwy – oświadczył. – Kiedy wstąpicie na herbatkę?

– Obawiam się – rzekł Radwan – że nieprędko. Wyjeżdżam, przyszedłem się pożegnać.

Karpow był naprawdę zmartwiony.

– Ale wróci pan jeszcze?

– Z całą pewnością.

O wyjeździe dowiedział się właściwie przed paroma godzinami. Wezwał go Wysokoński i bez wstępu oświadczył:

– Pojedzie pan do Krasnowodsk, poruczniku, ataszat musi być reprezentowany przy sztabie ewakuacyjnym, ściśle instrukcje otrzyma pan od Danieckiego...

– Tak jest.

– Miałem jechać sam, ale niestety nie mogę. – Spojrzał uważniej na Radwana. – Co pan myśli o ewakuacji naszych wojsk?

– Nie rozumiem przyczyn decyzji – powiedział Radwan – wydaje mi się sprzeczna z koncepcją naczelnego wodza.

– Nie rozumie pan przyczyn czy kulis? – zapytał Wysokoński i nagle zmienił ton.

Radwan zobaczył, że major jest zmęczony, że ma worki pod oczyma i gdy zapala papierosa, drży mu ręka. – Mój drogi... jeszcze za trzydzieści lat historycy będą rozważać, jak to się stało. Jedno panu powiem, Radwan: sądzę, że w tej chwili wszyscy są zadowoleni, czują poniekąd ulgę.

– Wszyscy?

Wysokoński wstał i rozpoczął spacer po pokoju. Zatrzymał się nagle przy Radwanie.

– Każda decyzja, kolego Radwan, jest ryzykiem, każda opiera się na niepełnych przesłankach. Któż z nas może wiedzieć, czy lepiej byłoby umierać pod Woroneżem albo na Kaukazie, czy pod Tobrukiem lub Kairem. – Wyprostował się, jakby dostrzegł, że powiedział

zbyt dużo. – Ewakuacja – stwierdził sucho – była koniecznością.

– A ci, co pozostają? A kraj?

– Któż panu powiedział, że nie przyjdziemy do kraju z południa?

– Daleka droga, panie majorze.

Myślał jeszcze o tej rozmowie z Wysokońskim, gdy dostrzegł Anię na schodach szpitala. Deszcz

przestał właśnie padać, a na dziedziniec wjeżdżała następna ciężarówka z rannymi.

Ania nie ukrywała niepokoju. Rzadko się zdarzało, by Radwan bez zapowiedzi przychodził do szpitala.

– Co się stało?

– Wyjeżdżam.

Więc to, czego się obawiała. Chwyła go za rękę.

– Na długo? Dokąd?

– Chyba na długo, ale wracam. Do Krasnowodska.

– Więc wychodzicie? – spytała po chwili milczenia.

– Wychodzą – potwierdził ponuro Radwan.

Sanitariusze biegli już z noszami; dziewczyna niosąca bieliznę spojrzała niechętnie na Anię, a ona przytuliła się do Stefana. Pocałował ją i zobaczył, że płacze.

– Idź już – szepnęła – idź szybko. I uważaj na siebie.

Świat stał się nagle dla Ani pusty, inny: nieznany i obcy. Przede wszystkim: czas.

Okazało się, że ma inną wartość, niż miał w ciągu ostatnich paru miesięcy. Dotąd każda godzina po wyjściu ze szpitala liczyła się i miała swoją treść: była albo oczekiwaniem, albo pośpiechem, albo szybko mijającą radością. Teraz skończył się dyżur i czas, który należał do niej i który powinien cieszyć, był zbyteczny.

Wracała powoli, choć zawsze się spieszyła. Przystawała na rogach ulic, mijała kolejki, oglądając twarze mężczyzn, jakby mogła mieć nadzieję, że zobaczy twarz Stefana.

Kiedy po raz pierwszy – rozważała – pomyślałam, że to miłość? Czy dopiero tego dnia, gdy wybiegłam z domu i poszłam do niego? Stał na progu, patrzył nie wierząc, potem chwycił mnie w ramiona. A może już wcześniej? Nad Wołgą? Kiedy to się stało, że wszystko inne okazało się nieważne? A teraz przeraża mnie czekanie i noce, właśnie o nocach pomyślała, gdy nie można zasnąć i przychodzą najgorsze myśli. Może trzeba było jednak...

jak radziła Kaszelską?

W kuchni Jekatierina Pawłowna gotowała zupę i ucieszyła się ogromnie na widok Ani.

– Zjesz z nami?

Ucałowała ją i weszła do pokoju.

– Cóż tak wcześnie? – zdziwił się Zygmunt.

– Stefan wyjechał do Krasnowodska – powiedziała siadając na łóżku.

– I bardzo dobrze – mruknął Pawlik.

Zobaczył, że Ania ma łzy w oczach, usiadł obok niej, pogładził ją po włosach i natychmiast cofnął rękę, jakby obawiając się zbyt dużej czułości.

– Powiedziałem bardzo dobrze – mówił łagodnie – i nie gniewaj się na mnie. Musisz się dowiedzieć czegoś bardzo przykrego i musisz sobie z tym poradzić. Wiedziałem, że tak się stanie, ostrzegałem cię.

– Mów! – Nagle ogarnęło ją przerażenie; czuła, że powinna krzyknąć: „Nic nie chcę wiedzieć!”

– Radwan – ciągnął nieubłaganie Zygmunt – jest od dłuższego czasu głównym informatorem ambasady o naszych sprawach, a należy przypuszczać, że to zadanie otrzymał, zanim cię jeszcze spotkał albo też w związku ze spotkaniem.

– To nieprawda! – Nic więcej nie mogła wykrzyknąć, ale była pewna, że to kłamstwo.

– Niestety, nie ulega wątpliwości.

– Mów wszystko. Kto ci to powiedział?

– Nie bardzo mogę.

– Więc nie uwierzę. Mów, jakie masz dowody?

– Dobrze – powiedział po chwili Zygmunt. – Towarzysz Piwski.

– Skąd on wie?! – krzyknęła.

– On wie.

– Pójdę do niego.

– Nie pójdziesz, nie ma go już w Kujbyszewie.

– Ach tak. Zmył się ten główny świadek. Jaka to gra?

– Aniu – mówił – pomyśl, nie zdołasz w sobie zniszczyć tej prawdy. Nawet jeśli nie będziesz chciała uwierzyć, będziesz pamiętała nieustannie, zatruje ci to każdą chwilę. Nie można być szczęśliwą z człowiekiem, który myśli inaczej, czuje inaczej i nienawidzi tego, czego ty pragniesz, a więc twoich najbliższych.

Milczała. Ogarnęła ją nagle przerażająca pustka.

Raszeński dotarł do Kujbyszewa wówczas, gdy z Krasnowodska zaczęły odpływać do Pahlawi polskie transporty wojskowe, a Hitler buńczucznie zapowiadał, że choćby Stalingrad łańcuchami był przywiązany do nieba, zdobędzie go armia niemiecka.

Przed paroma tygodniami opuścił ambasadę Kot, Romer jeszcze nie przyjechał i panował tu, przynajmniej wśród pracowników bliskich dotychczasowemu kierownikowi, nastrój przygnębienia i beznadziejności. Pogoda była natomiast piękna i pomieszczenia ambasady, które Raszeński zwiedzał w towarzystwie Ewy Kaszelskiej, rozświetlone słońcem mogły wydawać się wesołe. Ciasno tu zresztą było i ciasnota rzucała się w oczy. W dużym pokoju, w którym się właśnie znaleźli, stoły ustawiono obok siebie wzdłuż długiego rzędu szaf. Przy stołach siedzieli ludzie, którzy pozornie nie zwracali uwagi na przechodzących, zajęci pracą, paru starszych mężczyzn, parę kobiet, trudno było nie dostrzec niepokoju w oczach, ukradkowych, porozumiewawczych spojrzeń.

– To wyglądało zupełnie inaczej – powiedziała cicho Kaszelska. – Trzeba było zobaczyć ambasadę przed paroma miesiącami albo na początku... Tysiące, co ja mówię, dziesiątki tysięcy listów... Najpierw je po prostu wrzucano do szaf, potem posadzono w tym pokoju kilkanaście osób, często przypadkowych, nie tylko spośród personelu, i odpowiadaliśmy na każdą prośbę, dosłownie na każdą. Ludzie tu przyjeżdżali... Wielu spało na podłodze. Była to zupełnie niezwykła ambasada. Teraz... Piszą do nas coraz rzadziej i zgłaszają się coraz rzadziej.

– Dlaczego?

Kaszelska spojrzała na niego ironicznie.

– Zaufanie, panie Andrzeju, możliwości. No, chodźmy teraz do mnie. Jaki Kot był, taki był – mówiła, gdy usiedli w jej małym pokoiku – ale czegoś chciał, myśmy też chcieli...

choćby Pruszyński, ja... A teraz? Czy pan uwierzy, że decyzja o odejściu armii zaskoczyła nawet ambasadora? I natychmiast spadł nasz autorytet. Ja to widzę choćby po listach do redakcji „Polski”.

Raszeński słuchał, milczał.

– Ale ja tak gadam, gadam... Urządził się pan jakoś, panie Andrzeju?

– Mieszkam w Grand Hotelu.

– Udało się radcy załatwić... I długo chce pan zostać?

– Niezbyt.

– Posiada pan wyjątkowy przywilej patrzenia jakby z boku i z góry.

– Już mnie ten przywilej niepokoi – mruknął Raszeński. – Więc czujecie nadchodzący impas?

– Powstawał przecież nie od dzisiaj. Ja nie jestem naiwną dziewczyną, jeśli pan był w Londynie, musiał pan trochę plotek o mnie słyszeć...

– Słyszałem.

– Właśnie. Nawet ja, doświadczona intrygantka, takiej gmatwaniny intryg nie widziałam nigdy w życiu. Jak Rosjanie muszą na nas patrzeć! My walczymy o każdego polskiego obywatela, niezależnie od pochodzenia, a sztab ogłasza pobór z wyłączeniem mniejszości narodowych. Wyklócamy się o transporty Polaków na południe, Anders zaś twierdzi, że utrudniamy uchodźcom dotarcie do armii polskiej... A przecież chodzi o los Polaków, którzy tutaj są. Co stanie się z nimi po odejściu armii, co będzie, jeśli nasz aparat pomocy ostatecznie się zawali? Po co to zresztą mówię? Czy to nie zabawne, że taka baba jak ja martwi się o takie poważne sprawy?

Raszeński słuchał uważnie. Nie napisał jeszcze żadnego artykułu, żadnego reportażu, tylko notatki dla siebie. Czuł się bezradny, kapitulował przed rzeczywistością, która przytłaczała natłokiem sprzecznych ocen, różnaitością faktów, różnorodnością postaw, prognoz. Czy mogła zostać armia? Czego naprawdę chcą Rosjanie? Jaki będzie los tysięcy i dziesiątków tysięcy Polaków w Związku? Anders mówił „zagłada”, Walicki mówi „rozpacz”.

Jaką rolę odgrywają komuniści? Jakie znaczenie mają drobne intrygi ambasady?

Niemcy parli na południe. Czy Rosjanie zdołają ich powstrzymać? Kraj, który widział

podróżując przez dwa tygodnie, walczył i żył wyłącznie wojną. Czy naprawdę liczyły się polskie dywizje?

Kaszelską rozlewała koniak do szklanek. Jej ironiczny i nieco napastliwy ton niezbyt jednak przekonywająco przysłaniał rozdrażnienie i zniechęcenie.

– Ja gadam, gadam i ciągle nie wiem, w jakim sosie będzie pan pisał albo meldował.

Lirycznie o profesorze, który chciał dobrze i źli ludzie mu przeszkadzali? Po męsku o generale, który ze wspaniałą, równą dawnym wodzom odwagą wyprowadził armię z ziemi zagrożonej? A może...

– Niech pani ze mnie nie kpi, pani Ewo.

– A co nam pozostało? Najbardziej chce mi się śmiać z tych, którzy uważają sprawę polską za pepek świata. Przed paroma dniami był w Moskwie Churchill; przybiega do mnie nasz ukochany radca i mówi: „Niech pani sobie wyobrazi, pani Ewo, że Churchill w rozmowach ze Stalinem nie podniósł w ogóle sprawy Polski. Ani słowem, wiem to z najpewniejszego źródła, bo od angielskiego ambasadora”. A niby nie mieli to dosyć spraw ważnych! Ciągle jesteśmy rozczarowani. No więc?

– Jeszcze nie wiem – powiedział poważnie Raszeński. – Może teraz nie da się nic sensownego napisać, może dopiero w przyszłości.

– Kiedy ci, co mieli zginąć, zginą, a ci, którzy...

Odsunęła szklankę z koniakiem tak gwałtownie, że szklanka się wywróciła. Wstała.

– Przepraszam – powiedziała. Podeszła do okna i nie mógł Widzieć jej twarzy.

– Co się stało, pani Ewo?

– Nic, nic oczywiście. Nie lubię rozlewać alkoholu.

Siadła i wydawała się znowu spokojna.

– Zna pan porucznika Radwana?

– Radwana? Chyba tak. To taki młody oficer, poznałem go w Tatiszczewie, kiedy przyjechał z generałem Sikorskim. Ale dlaczego pani pyta?

– Tak sobie. Istnieje, widzi pan, gatunek ludzi, którzy płacą drogo, istnieją też tacy, którzy wymigują się od wyrównywania rachunków.

– Kogo pani ma na myśli?

– W pierwszym wypadku Radwana, a w drugim...

– Może mnie? – uśmiechnął się Raszeński.

Kaszelska nie odpowiedziała. Dopiero po chwili, po nowej porcji koniaku wyszeptała nie patrząc na niego:

– Jak można uratować człowieka, który nawet nie dostrzega zagrożenia, który nie rozumie nic, dosłownie nic?

– Kobiety na ogół ratują mężczyzn dla siebie.

Znowu mocne pchnięcie szklanki.

– Nie, nie dla siebie. Chciałam go uratować całkowicie bezinteresownie. –

Nieoczekiwanie wybuchnęła śmiechem. – Przepraszam, panie Andrzeju, trochę za dużo wypłam. Nie jest zresztą wykluczone, że będę miała do pana prośbę.

– Słucham.

– To potem. Jakie ma pan plany?

– Chcę rozmawiać z tutejszymi komunistami.

– Nawet? Nie sądzę, by Sokolnicki był tym zachwycony. My oficjalnie nie uznajemy ich istnienia.

– Ale oni jednak istnieją. I teraz...

– Teraz! Teraz! Nie chcę o nich słyszeć, rozumie pan! Co prawda, wydaje się pan doskonale odporny na wszelkie ich argumenty – mówiła teraz cicho i swym zwykłym ironicznym tonem – ale proszę uważać. Może oni zresztą nie będą chcieli z panem rozmawiać?

Chcieli. O propozycji londyńskiego dziennikarza Wanda poinformowała Tadeusza, Jankę i Zygmunta. Stała właśnie przy biurku nad ogromną stertą nie rozpieczętowanych listów, jakby nagle bezradna i pozbawiona odwagi. Na kopertach widniały stemple rozmaitych republik, odległych miast na południu i północy, w Uzbekistanie i Komi.

– Codziennie więcej – powiedziała cicho – aż się boję tych listów.

Zygmunt wzruszył ramionami, Tadeusz starannie przecierał szkła.

– Zabiorę się do nich – powiedziała Janka z właściwym sobie optymizmem – i na wszystkie odpiszę.

Wanda uśmiechnęła się.

– Porozmawiamy z Raszeńskim? – zapytała zwykłym już tonem.

Tadeusz skinął głową.

– Warto, to interesujący facet, czytałem jego reportaże.

– Bądźcie ostrożni, ten interesujący facet będzie notował wasze słowa, a potem je przekręcał. – Pawlik jak zawsze był nieufny.

– Nie bądź taki podejrzliwy – mruknął Tadeusz. – Teraz będziemy mieli do czynienia z ludźmi, którzy nie myślą tak jak my. Musimy nauczyć się im ufać, by oni nam ufali.

– Przede wszystkim należy mówić prawdę – stwierdził Pawlik. I nagle stanęła mu w oczach Ania, która teraz wolne wieczory spędzała w domu, siedząc nieruchomo na łóżku. Nie czytała, nie odzywała się. – Prawdę – powtórzył twardo. – Po co zamieszczacie w „Nowych Widnokręgach” takie dyplomatyczne zdanka, jak choćby to o Kocie, że dołożył niemałych starań w sprawie ułożenia stosunków polsko-radzieckich?

– Bo dołożył – powiedział Tadeusz.

– Masz zamiar bronić Kota? Londyńska polityka demaskuje się ostatecznie i bankrutuje...

Tadeusz stanął przy oknie i bębnił, jak to miał w zwyczaju, palcami o parapet.

– Tak – odezwał się wreszcie – bankrutuje. Czy mam się z tego cieszyć? Szczerze mówię ci – zwracał się do Zygmunta – nie wiem. Że zwalnia się miejsce i że teraz my...?

Tak? Nie przerywaj! Ale przecież została zaprzepaszczonej jakaś ogromna szansa...

– Marzyły ci się rządy Sikorskiego w Warszawie?

– W Warszawie walczylibyśmy z każdym rządem burżuazyjnym, ale tutaj była armia, cała organizacja pomocy, były ogromne pokłady nadziei setek tysięcy ludzi, których los...

- Dziwnie to brzmi w twoich ustach, przecież właśnie ty twierdziłeś, że tylko my jesteśmy zdolni...
- Tak, oczywiście. A nie ogarnia cię czasem lęk, nie boisz się?
- Czego?
- Takie wszystko proste, jasne, oczywiste?
- Komuniści...
- Zostawmy na chwilę duże słowa. Jesteśmy na początku. I co nas czeka? Czy umiemy tym ludziom, rozczarowanym i czekającym, dać nadzieję, dać wizję Polski, w którą uwierzą?

Jeśli weźmiemy na siebie odpowiedzialność... Czy towarzysze radzieccy zrozumieją nasze trudności, naszą odrębność?

- Ty wątpisz? O jakiej odrębności mówisz?

Tadeusz nie odpowiedział; zniechęcony, wzruszył tylko ramionami.

- Bądźmy skromniejsi – wtrąciła nagle Wanda – skromniejsi w myśleniu o naszej roli.

Pamiętajmy o kraju.

Janka nie brała udziału w dyskusji, czytała listy, układała je starannie, segregowała.

- A tu masz pasztet – rzekła zwracając się do Wandy. – Pamiętasz Wirskiego?

- Pamiętam. W trzydziestym siódmym dostał osiem lat więzienia.

– Teraz siedzi w Taszkencie skazany na pięć lat przez polski sąd wojskowy za agitację wśród żołnierzy armii Andersa, a zgodnie z porozumieniem siedzi w więzieniu radzieckim i nie chcą go wypuścić...

- Daj mi ten list, będę interweniowała.

- Masz tych interwencji...

Z Raszeńskim Wanda i Tadeusz spotkali się w Grand Hotelu. Znaleźli stolik – w porze obiadowej było to łatwiejsze niż wieczorem – ukryty za filarem w głębi sali. Kelner serwował

sprawnie, szybko. Wanda w ogóle nie zwracała uwagi na jedzenie, Tadeusz zaś wybierał

potrawy długo i starannie, ale po sali rozglądał się z niechęcią i bez zainteresowania.

- Nie lubię tej knajpy. Byłem tu bodaj raz i najchętniej nie przyszedłbym tu nigdy więcej. Nie bardzo rozumiem, dlaczego zaproponował pan to spotkanie tutaj. Po co ta ostentacja?

– Neutralny teren – roześmiał się Raszeński.

– Nie będzie pan miał przykrości?

– Ciągle mam przykrości.

– Czytaliście – rzekła Wanda – pana reportaże z Rosji. Były uczciwe. Pańskie artykuły o stosunkach polsko-radzieckich zawierały także wiele słuszych myśli.

– Dziękuję. Rzadko słyszę pochwały, a jeśli słyszę, na ogół mnie niepokoją. Mogę się zresztą zrewanżować, czytałem wszystkie numery „Nowych Widnokręgów” i dlatego prosiłem was o rozmowę. Są tam zarysy koncepcji, która może doprowadzić do zawrotu głowy. Czy wy zdajecie sobie sprawę, co to znaczy: przekreślić pięćset lat historii Polski? –

Zwracał się teraz do Wandy. – Usiłowałem wyobrazić sobie Polskę sięgającą, powiedzmy, po Szczecin i opartą na Bugu. Czy jest to do przyjęcia dla Polaków, czy możliwy jest taki zwrot psychologiczny?

– Konieczny – powiedział Tadeusz.

– Ja wiem: nie możemy walczyć na dwa fronty, porozumienie z Rosją jest niezbędne, sztywne trzymanie się traktatu ryskiego – zapewne bzdurą, ale czy nie posuwacie się za daleko? Jak wyobrażacie sobie Polskę, jakie są wasze koncepcje?

– Jesteśmy za Polską demokratyczną – wtrąciła Wanda – decydującą o sobie, jesteśmy za wprowadzeniem koniecznych reform...

– To są słowa, tylko słowa – przerwał Raszeński. – Ale powiedzcie tym ludziom, którzy są w armii, tym z Wołynia, Podola, Wileńszczyzny, że nie wrócą do swoich domów...

– Trzeba mieć odwagę to powiedzieć – rzekła Wanda – i oni muszą to zrozumieć. Nie da szczęścia dom wznoszony na cudzej ziemi.

– Nie twierdzimy, że to łatwe – dodał Tadeusz.

Raszeński patrzył na nich z ogromnym napięciem. Kelner napełniał właśnie kieliszki.

– Niewykluczone – mruknął dziennikarz – że siedzę z ministrami przyszłej Polski.

– Żarty – uśmiechnął się Tadeusz.

– Jak oceniacie obecny impas w stosunkach polsko-radzieckich?

Wanda wzruszyła ramionami.

– Wasz rząd okazał się niezdolny do realizacji porozumienia. Armia wyszła i jest to nieszczęście dla wszystkich Polaków, którzy tu zostali.

– Więc kto? – zapytał Raszeński.

Zapadło milczenie.

– Więc kto? – powtórzył. – Wy sędzicie, że nadszedł wasz czas. Macie dosyć odwagi?

– Nie tylko my. – Wanda pochyliła się w stronę Raszeńskiego. – Także tacy jak pan, rozumiejący sytuację.

– Nie wiem, czy ją rozumiem, nie wiem, dlaczego tak musiało się stać, i nie wiem, czy mógłbym wam zaufać.

– O wszystkim trzeba się przekonać – uśmiechnęła się.

– Tak, oczywiście, bo dla was historia będzie prosta: Anders zdradził...

– A nie zdradził? – zachnęła się Wanda. – Nie zdradził sprzymierzeńca, polskich interesów, Polaków w Rosji?

– Upraszczać.

– Czasem upraszczamy świadomie – podkreślił Tadeusz z naciskiem. – Bo chcemy rzeczy prostej: wrócić do Polski we wspólnej walce z wrogiem.

– I odrodzić Polskę Krzywoustego? Czy nie będzie to jednak Krzywousty pod obcą komendą?

– Te lęki – rzekła Wanda – wynikają z wieloletnich uprzedzeń, kompleksów. Komuż potrzebny Krzywousty pozbawiony siły, wiary, wolności? Nie mógłby nawet unieść miecza.

– Kompleksy są obustronne.

– Pan zresztą pisał już o tym – dorzuciła Wanda – i najśluszniej właśnie o kompleksach.

– Zostawmy tymczasem kompleksy – powiedział Raszeński – porozmawiajmy konkretnie. Wyobraźcie sobie, że armie radzieckie wyzwalają Polskę. Co wówczas może się zdarzyć? Jakie macie szanse uzyskania poparcia kraju?

– W kraju powstała partia.

– Słyszałem. Ale przecież ta partia nie ma możliwości zdobycia władzy.

– Jeśli skupi wokół siebie...

– To są słowa, pani Wando. Jak może być zrealizowany program tego, co wy nazywacie daleko idącymi przemianami demokratycznymi? Jak sobie wyobrażacie przesunięcie Polski, dosłownie przesunięcie, niby na taczkach, kilkaset kilometrów...

- A jeśli będzie to jedyny program umożliwiający niepodległe istnienie?
- Sytuacja bez alternatywy? Chcecie postawić Polskę w sytuacji, że tylko wy i nikt inny? Bez suwerennej zgody narodu nie da się tego zrealizować.
- Nie myślimy tak daleko.
- Teraz pani się wycofuje.
- Nie, staram się być konkretna. Myślimy o Polakach przebywających w Rosji i o usunięciu wszystkich przeszkód w przyjaźni polsko-radzieckiej.
- Na to zgoda, chociaż to bardzo nieprecyzyjne. Przecież pani wie, że jestem przeciw wszelkim anachronizmom w polskim myśleniu politycznym. Ale o jakim ustrojowym modelu myślicie?
- Związek Radziecki jest przeciwny eksportowi rewolucji.
- Na pewno, pani Wando? Na pewno jest przeciwny?
- Na pewno. Uważamy, że naród suwerennie zadecyduje...
- To najważniejsza sprawa, ale takie słowa mają wartość tylko wówczas, gdy się je sprawdza. A jeśli naród suwerennie was odtrąci?
- Nie odtrąci.
- Jest pani bardzo pewna.
- Tak. Zadecyduje parę czynników: rozczarowanie rządami sanacji i rządem londyńskim, powszechna pauperyzacja, powszechne pragnienie tak głębokich reform, na jakie żaden Sikorski nie pójdzie.
- Może ma pani rację.
- Niech więc pan zostanie z nami. – To już powiedział Tadeusz.
- Nie – odrzekł Raszeński – są rzeczy, o których nie wystarczy pisać, a które trzeba potwierdzać własnym życiem. Mnie brak takiej pewności, pewności, którą wy posiadacie. A poza tym... ja jestem za przyjaźnią, ale boję się. Boję się was, że przejmiecie to, co w tym kraju najtrudniejsze do zniesienia.
- Mianowicie? – zapytał sucho Tadeusz.
- Brak możliwości obrony własnego odmiennego zdania i... – zawahał się.
- Niech pan skończy.

– Byłem w obozie i widziałem ludzi skazanych, nie wierzyłem w ich winę. Widziałem deportację dziesiątków tysięcy...

– Sam pan pisał...

– I będę pisał o potrzebie przyjaźni, o potrzebie porozumienia i że to trudne.

Wracając do ambasady czuł dotkliwy niedosyt, jakby zbyt dyplomatyczne było to gadanie, zbyt ogólne, jakby jemu i im nie starczyło odwagi, by poruszyć sprawy najważniejsze. Ale jakie były najważniejsze?

Minął ten sam co poprzednio duży pokój i zastukał do drzwi Ewy Kaszelskiej.

– Więc jednak gadał pan z nimi – powiedziała. Minister Sokolnicki już wie. Sądzę, że uczyni pan słusznie, przekazując mu treść tej rozmowy.

– Ja ją nawet przekażę do druku – roześmiał się Raszeński i spoważniał. – Jeśli, oczywiście, wydrukują.

– Niech pan wreszcie siada. Mam do pana prośbę, ale to potem... Jest list z Londynu, gonili za panem przez pół świata, przywiózł go łącznik z Jangi-Jul – podała mu kopertę.

Raszeński rozdarł ją niecierpliwie i przeczytał szybko pierwszych parę zdań. Zszarzał, zmienił się na twarzy. Rzucił list na biurko i podszedł do okna; Ewa przestraszyła się, że upadnie, bo rękoma szukał ściany, oparł się o nią, a potem kurczowo uchwycił się parapetu.

– Co się stało, na miłość boską?! – zawołała.

Nie odpowiedział.

– Co się stało?! – Szybko nalęła koniak do szklanki i podała Raszeńskiemu. Wypił.

– Dziękuję – mruknął. Spojrzał na nią przytomniej. – Marta, moja narzeczona – rzekł – zginęła w Anglii podczas walki z samolotami niemieckimi.

Ruszył ku drzwiom.

– Niech pan zostanie, niech pan odpocznie, wiem, że...

– Proszę sobie oszczędzić – powiedział – przejdzie mi. – I wyszedł.

Ewa została sama. Usiadła przy biurku i chwilę siedziała zupełnie nieruchomo, potem nagle wybuchnęła śmiechem. Ten śmiech, przerywany kaszlem, mógł być zapewne przez bezstronnego widza uznany także za płacz.

Pił, nie pamiętając, że pije, nie wiedział już, kiedy przyszedł do restauracji Grand Hotelu i co

zamawiał. Stary kelner przyniósł mu znowu setkę koniaku, postąpił chwilę, pokręcił

głową, ale nie odważył się odezwać. Sala wypełniała się, krzykliwe towarzystwo zajmowało sąsiednie stoliki. Zapewne nie dostrzegał tych wszystkich Anglików, Amerykanów, najczęściej w mundurach, którzy czuli się tu znakomicie i pewnie, wykrzykiwali nazwy miejscowości frontowych, a słowo „Stalingrad” odzywało się co chwila na tej sali jak hasło.

Pojawiła się orkiestra. Może muzyka jednak docierała do Raszeńskiego, słowa żołnierskiej piosenki, jakies „Do ciebie mnie dajcie nie lekko, a do śmierci cztery szaga”, jakby go obudziły, jakby się nagle odnalazł na tej sali pełnej wrzawy, dymu i lirycznych tekstów.

Właściwie nie myślał, nie myślał o Marcie, nie mógł jej sobie wyobrazić, chociaż pragnął, gdy przymykał oczy. Ten wieczór, gdy zobaczył ją po raz pierwszy, raut u państwa K... Otrzymał zaproszenie wprowadzające do salonów góry sanacyjnej, nawet go to bawiło; chciał kupić młodego zbuntowanego dziennikarza – myślał. Pani wiceministrowa płynęła w błękitnej sukni, tak, pamiętał błękitną suknię i dekolt, który wydał mu się zbyt głęboki, szczególnie że... A obok w drzwiach oparta o framugę stała Marta. Nie mógł zobaczyć jej twarzy, jakby zaginął obraz, jakby pustka, która w nim powstała, starła rysy Marty.

„Uśmiechałaś się do mnie, a kosmyk włosów opadał ci na oczy”. „Nieprawda, nie uśmiechałam się, bo nie zostałeś mi przedstawiony”.

Tak, oczywiście. Pamiętał głębokość salonu i mundury, które otaczały Martę. Widziała go w lustrze, przedzierającego się w jej kierunku z kieliszkiem w ręku. Ktoś go potrącił, ktoś powiedział „przepraszam” i kieliszek upadł miękko na dywan, schylił się niezręcznie, ale już był lokaj, podnosili to szkło razem... i wtedy Marta wybuchnęła śmiechem.

Śnieg padał na Królewskiej, skręcili w Krakowskie, na Nowym Świecie wzięła go pod rękę. „Mieszkam na ulicy Wilczej, ale chciałabym na Saskiej Kępie”. Nie, to powiedziała znacznie później. Powtarzała w Londynie.

Ogarnął go nagle lęk, sięgnął po kieliszek, pił, koniak był bez smaku. Jak się umiera?

Jak umierała Marta? Jeśli pocisk wybuchł blisko, nic nie czuła, ale przecież nie umiera się tak łatwo, czas umierania ma inną wartość; najpierw jest pewno ból i nadzieja, potem się już wie i trzeba akceptować śmierć, zgodzić się na nią, i to jest najtrudniejsze. Czy umiałbym, pomyślał, teraz akceptować śmierć? Tak, byłem gotów wiele miesięcy i wciąż powtarzałem: miliony i miliardy umierają, ty też będziesz umiał.

Znowu skinął na kelnera.

– Jeszcze raz.

Kelner popatrzył smutno i odszedł. Właśnie w tej chwili pojawił się obok stolika jegomość po cywilnemu, słusznej postury, także nieco zalany. Trzymał w ręku okazałą czarną teczkę.

– Czy szanowny pan porucznik pozwoli? – zapytał. Akcent miał nieco wileński.

– A siadaj pan – mruknął Raszeński.

Może gdyby nie był tak pijany i tak zajęty własnym cierpieniem, dostrzegłby uważne spojrzenie dwóch mężczyzn zajmujących stolik przy drzwiach. Ci mężczyźni nie wyglądali na cudzoziemców.

– Jestem Janecki, delegat z Akminska – przedstawił się jegomość, zajmując miejsce przy stoliku. – Jakoś nie miałem przyjemności...

– Raszeński – burknął nie wstając i sięgnął po kieliszek. Janecki nie wydawał się zrażony.

– A ja przecież szanownego pana znam – zaśpiewał. – Czytało się, oj, czytało...

Kelner! – krzyknął. – Marna tu jednak obsługa, marniutka, gdzie im tam do Europy.

Kelner zjawił się przecież natychmiast. Janecki zamówił kolację i znowu alkohol.

– A pan tu sam, samiutki – martwił się, patrząc na Raszeńskiego. – Mnie też jakaś godziwa damska rozrywka bardzo by się nadała... W Londynie co innego, prawda?

Raszeński podniósł się nieco i spojrzał na delegata takim wzrokiem, że ten zamilkł i trwał nieruchomo z otwartymi ustami.

– Co się stało? – wyjąkał wreszcie.

– Won stąd!, – powiedział Raszeński. – Won...

Janecki wstał.

– Wariat! – krzyknął. – Wariat, jak Boga kocham. Kelner! – zawołał, bo właśnie zobaczył nadciągającą swoją kolację. – Kelner, do tamtego stolika!

Raszeński znowu zamówił koniak. Słuchał rosyjskich piosenek, nie słuchając, i nie dostrzegł nawet, że Janecki znalazł już sobie nowe towarzystwo, oficerów, polskiego i angielskiego. Zjawiła się także kobieta i wkrótce cała czwórka wywędrowała z lokalu.

Restauracja pustoszała już, orkiestra umilkła, Raszeński nie zamawiał koniaków, nawet nieco oprzytomniał.

– Zamykamy – dotarł do niego głos kelnera.

Podniósł się ciężko i dopiero wtedy zauważył czarną teczkę; leżała na krzeselku, tak jak ją zostawił Janecki. Rozejrzał się po sali – ani śladu delegata.

– Ten pan, który siedział z panem – powiedział usłużnie kelner – wyszedł już dawno.

Raszeński wziął czarną teczkę i powlókł się do wyjścia. Gdy podchodził do drzwi, dwóch mężczyzn

zastąpiło mu drogę.

– Proszę z nami – rzekł jeden z nich.

– Jakim prawem, dlaczego?

– Kontrwywiad – wyjaśnił drugi, pokazując legitymację i sięgając po teczkę, którą Raszeński ciągle trzymał w ręku. – Wyjaśnimy u nas.

– Protestuję.

– Zdążycie protestować.

Samochód czekał już przed Grand Hotelem. Raszeński wsiadł posłusznie do wozu i nagle opuściła go wszelka energia, pomyślał, że jest mu doskonale wszystko jedno, że może akceptować każdy los.

...Radziecki pułkownik był grzeczny i tylko chwilami w jego głosie pojawiały się ostrzejsze tony. Raszeński siedział na stołeczku postawionym w pewnej odległości od biurka, już trzeźwy, ale nie ogolony i zmęczony po nocy spędzonej w celi. Wiedział, że jest to pierwsze przesłuchanie, na pierwszym nic mu nie powinno grozić. Odpowiadając na pytania wstępne, a potem na pytania dotyczące tej teczki, rozważał: prowokacja czy przypadek. Jeśli rzecz jest sfabrykowana, komu na tym zależało? Rosjanom, naszemu wywiadowi? Mogę nie wykaraskać się z tego – pomyślał i nie poczuł nawet lęku.

– Może papierosa? – spytał grzecznie pułkownik.

– Chętnie.

Pułkownik podał mu ogień.

– Proszę – rzekł Andrzej – o skontaktowanie mnie z moją ambasadą.

Przesłuchujący jakby nie usłyszał.

– Twierdzi więc pan stanowczo – ciągnął – że nie wiedział, co jest w teczce?

– Nie mam pojęcia. – Raszeński odpowiadał cicho i dość obojętnie.

– Więc proszę się przekonać. – Czarna teczka leżała na stole, pułkownik otworzył ją ostrożnie i wydobył dwa maszynopisy. – Proszę, poruczniku Raszeński.

Andrzej spojrział, przeczytał parę zdań, przerzucił kartki. Nie ulegało wątpliwości: w teczce były materiały wywiadowcze, nawet taki laik jak on mógł zorientować się natychmiast.

– To prowokacja – stwierdził.

– Czyja? – zapytał pułkownik. – Są to starannie przygotowane informacje o przemyśle i urządzeniach

wojskowych. Komu pan miał je dostarczyć? Zawieźć do Londynu?

– Chyba sam pan w to nie wierzy.

– A mam uwierzyć, że ktoś, kogo pan nie zna i spotkał przypadkowo, zapomina w restauracji teczkę z tak ważnymi dokumentami? Jak się nazywał?

– Byłem pijany.

– Nie był pan tak bardzo pijany, a jak się nazywał, mogę panu przypomnieć: Janecki, wasz delegat z Akminska. Ale on jest u nas na statusie dyplomatycznym, a pan nie ma tego statusu...

– Mnie jest wszystko jedno, panie pułkowniku. Możecie robić ze mną, co chcecie, ale podejrzewanie mnie o szpiegostwo... Właśnie mnie – nagle roześmiał się cicho, jakby wbrew sobie – jest zwykłym nonsensem, nie służy... – zamilkł i spojrzał znowu na czarną teczkę.

– Chciał pan powiedzieć: przyjaźni polsko-radzieckiej. A to służy? – Pułkownik uderzył pięścią w maszynopisy leżące na biurku. – Dzisiaj w nocy – powiedział ciszej –

przyniesiono mi pańskie reportaże, są niezłe, przychylne, choć nie wszystko pan rozumie...

– Was trudno zadowolić. Pułkownik spojrzał na niego uważnie.

– Może to i prawda – mruknął – i właśnie dlatego dziwię się, po co wplątał się pan w taką sprawę, właśnie pan. Proszę mi to powiedzieć szczerze.

– Wszystko jak najszczerzej już powiedziałem.

Pułkownik westchnął.

– Szkoda. Może skłoniono pana wbrew jego woli?

– Ja – rzekł Raszeński – jestem pewien, że ten człowiek...

– Janecki – podpowiedział przesłuchujący.

– Właśnie, więc że ten Janecki działał bez zgody i wiedzy ambasady, znam ministra.

Kota.

– Generała Andersa zna pan także?

– Rozmawiałem z nim niedawno. Rozmawiałem również z Wandą Wasilewską.

Pułkownik skinął głową.

– I dziwi się pan temu – wskazał znowu teczkę – a nie dziwi pana wyjście wojsk polskich ze Związku właśnie teraz? Czy to się nie łączy? Czytał pan ostatnie komunikaty?

Niech więc pan powie, co pan właściwie myśli.

– Nie jest to chyba przedmiotem przesłuchania.

Pułkownik pokiwał głową.

– Nie jest – potwierdził. – Nas to wyjście boli – dodał cicho.

– Mnie także – mruknął Raszeński. – Dobrze – rzucił nagle ostrzej – myśmy zawinili, a wy, wy nie macie sobie nic do zarzucenia?

Pułkownik długo nie odpowiadał.

– Nic pan jednak nie rozumie, poruczniku Raszeński – stwierdził wreszcie. – Więc co

– zapytał sucho – nie chce pan nic zmienić w swoich zeznaniach?

– Nie.

– Niczego dodać?

– Nie. Zatrzymacie mnie?

Pułkownik wzruszył ramionami.

– Nie ja podejmuję decyzje. Musimy. A co pan by zrobił na moim miejscu?

Minister Sokolnicki kierujący ambasadą po wyjeździe Kota, a przed przybyciem nowego ambasadora, Romera, wszedł do gabinetu majora Wysokońskiego solidnie zdenerwowany.

– Złożyłem ostry protest w sprawie aresztowania Raszeńskiego – powiedział.

– No i co? – uśmiechnął się Wysokoński. Nie wydawał się zbyt przejęty.

– To potwornie przykra historia nie wiem, jak o tym meldować premierowi.

– Zamelduje pan...

– Powiedziałem w Narkomindziele, że Janeckiego zwalniamy i wysyłamy z Rosji natychmiast, że działał bez naszej zgody, wiedzy i poleceń.

– A oni oczywiście nie uwierzyli.

Sokolnicki skinął głową.

– Oświadczyli, że i tak zażądaliby wyjazdu Janeckiego.

– Poślę go do wojska.

Sokolnicki spojrział na niego uważniej, nawet ostrzej.

– Drażniąc w ten sposób jeszcze bardziej Rosjan – mruknął. – Kto kazał zbierać Janeckiemu materiały?

Wysokoński milczał.

– Kot zabronił delegatom wszelkiej działalności tego rodzaju.

– Tak? – Wysokoński jakby się zdziwił. – Widocznie niezbyt uważnie słuchali pana ministra.

– Pan nie przejmuje się tą sprawą, panie majorze, a w jakim świetle ona nas stawia? I ten idiota zostawiający teczkę w restauracji! Jak to się mogło stać? – Wysokoński wzruszył

ramionami. – Raszeński jest człowiekiem znanym w Londynie – ciągnął Sokolnicki –

niejednokrotnie wypowiadał się za porozumieniem polsko-rosyjskim, tutaj rozmawiał nawet z Wandą Wasilewską, chociaż – dodał – tego nie aprobowałem.

– I takiego człowieka – stwierdził Wysokoński – bolszewicy aresztują. No, niech pan sam powie...

Tadeusz nerwowo zdusił papierosa w popielniczce, Wanda szybkim krokiem spacerowała po pokoju, trzeci tu obecny, którego nazywali Julianem, zachowywał się najspokojniej, nawet się uśmiechnął.

– Sądzę – powiedział – że NKWD samo prędzej czy później zorientuje się, jak sprawy stoją, a my nie mamy zupełnej pewności. – Zdjął okulary, miał oczy krótkowidza, wycierał

starannie szklą szmatką wyjętą z kieszeni.

– Nasze informacje są ściśle, Julianie – zaproponował Tadeusz. – Jestem przekonany, że byli tacy, którzy świadomie chcieli Raszeńskiego podstawić, to kompromitowało wszystko, co kiedykolwiek pisał. I pomyśl, nieprzypadkowo chyba stało się to niemal bezpośrednio po rozmowie z nami...

– Kompromituje się przede wszystkim ambasada – stwierdził Julian.

– Żeby tylko – westchnęła Wanda. – Raszeński – dodała – sprawił na mnie wrażenie szczerego i uczciwego.

– Jesteś pewna? Spojrzała na niego.

– Jeżeli cokolwiek będziemy robili, musimy opierać się nie tylko na komunistach.

– To oczywiste! – Julian znowu nałożył okulary. – Ale pamiętaj, że tu możesz mieć do czynienia z intrygą piętrową. Po co mamy się angażować?

Wanda ponownie rozpoczęła swój spacer.

– To duży talent – rzekła wreszcie – naprawdę duży.

– Miej zaufanie do odpowiednich władz...

– Zaufanie zaufaniem – mruknął Tadeusz – a ludzie mogą się mylić.

Wanda usiadła przy biurku.

– Będę interweniowała, będę prosiła nawet bardzo wysoko, jeżeli okaże się to konieczne. Zaryzykuję.

Jesień przyszła nagle. Radwan wylądował w Kujbyszewie wczesnym rankiem, padał deszcz, na ulicach leżały pożółkłe liście, a gdy z okna samochodu zobaczył fasadę Grand Hotelu, pomyślał, że cieszy go ten powrót, że jest stęskniony i niecierpliwy, że najchętniej kazałby się natychmiast zawieźć do Ani, do szpitala albo do domu, ale, oczywiście, najpierw musiał do siebie i do ambasady.

Zaskoczyły go zmiany. Pierwszą osobą, na którą się natknął, był Daniecki. Pan starosta przywitał go sztywno, oświadczył, że major czeka i że Radwan nie zostanie już w ambasadzie Ewy Kaszelskiej, odwołano ją bowiem do Londynu. Stefan nie sądził nawet, że ta wiadomość dotknie go tak boleśnie. Dopiero teraz pojął, jak bardzo Ewa była mu tutaj potrzebna; myślał o niej i był pewien, że ona pierwsza powita go w ambasadzie. Dlaczego ją odwołano? Daniecki spojrzał na niego ze zdziwieniem: takich pytań się nie zadaje. Prosiła, żeby przekazać Radwanowi pozdrowienia. Nie, nic więcej. Zresztą, Daniecki nieco się rozgadał, Radwan powinien być przygotowany, że wiele się tu zmieniło. Po odejściu Kota i wyjściu Andersa stosunki z Sowietami są gorsze niż kiedykolwiek, musimy być ostrożni, czujni, przygotowani na możliwość prowokacji, świadczy o tym choćby aresztowanie przez NKWD Raszeńskiego. Radwan pamiętał porucznika-dziennikarza, pamiętał rozmowę w Tatiszczewie i nie ukrywał zaskoczenia. Pomyślał, nie po raz pierwszy zresztą w ciągu paru ostatnich dni, że wali się cała koncepcja naczelnego wodza. I znowu usłyszał głos Wicherskiego, zobaczył ulice Krasnowodska, drogę, port i dworzec. Czy powinien zameldować o Wicherskim? Wiedział, że powinien, i wiedział, że tego nie uczyni, ale właśnie o nim myślał wchodząc do gabinetu Wysokońskiego. Major powitał go tak, jakby widzieli się wczoraj.

– Dobrze, że pan jest – spojrzał na zegarek. – Wieczorem oczekuję od pana pisemnego raportu i pomówimy nie tylko o podróży.

Nie wyglądało to zbyt zachęcająco. Radwan zabrał się do pisania tego raportu, choć spieszyło mu się przecież do Ani. Miał przygotowane notatki i praca nie byłaby zbyt trudna, gdyby nie wspomnienie Wicherskiego. Pamiętał jego pokój w Krasnowodsku, z okna widać było zatokę, niemal błękitną w zachodzącym słońcu, ale domy zasłaniały widok na port, skąd odchodziły polskie transporty do Pahlawi.

Pamiętał ten wieczór. Wicherski bez munduru pólleżał na łóżku, on odwrócił się od okna i ciężko usiadł przy stole. Sięgnął po butelkę, nalał do szklanki, wódka była ciepła, pomyślał, że przydałby się lód, choćby niewielki kawałek lodu.

Wicherskiego spotkał, gdy zjawił się w sztabie ewakuacyjnym w Krasnowodsku.

Zameldował się, komu należało, i od razu zrozumiał, że jest tu całkowicie zbyteczny: oficer na statusie obserwatora z ramienia ambasady, która nikogo nie obchodziła... Kręcił się między dworcem i portem, podziwiając sprawność tej ewakuacji. Polskie pociągi szły jedyną linią kolejową z Taszkentu, wszystko odbywało się jak w zegarku, dokładnie według planu przewidującego zakończenie operacji w dniu dwudziestego piątego sierpnia. Opuszczało teraz Rosję przeszło osiemdziesiąt tysięcy ludzi. Radwan na swej trasie dworzec – port przystawał

pod głośnikami, słuchając ostatnich komunikatów o postępie niemieckiej ofensywy – czołgi niemieckie nad Wołgą, pod Stalingradem, na Kaukazie. Czy mogły więc dziwić niechętnie spojrzenia żołnierzy i oficerów radzieckich oglądających te świetnie prezentujące się polskie dywizje wyjeżdżające właśnie do Pahlawi? „Nie chcą się bić, Polacy uciekają z tonącego okrętu”.

– Nie pij już – usłyszał – chcę ci, Stefan, powiedzieć coś ważnego.

– Mów.

– Znam cię mnóstwo lat i bardzo cię lubię, nie chciałbym stracić twojej przyjaźni. –

Wicherski jakby się wahał.

– Sam wypiełeś za dużo. Nie stracisz.

– Nie wiem – powiedział. – Rozmawialiśmy sporo i po pijanemu, i na trzeźwo, ale to, co ci powiem teraz, to już nie słowa. – Wyprostował się nieco. – Słuchaj, poruczniku Radwan, masz do czynienia z dezerterem.

Radwan znieruchomiał, potem odruchowo sięgnął po mundur wiszący na poręczu krzesła.

– Nie rozumiem, kapitanie...

– Z dezerterem – powtórzył Wicherski. – Postanowiłem tu zostać.

– Tu zostać...? – Radwan nie był w stanie ukryć zdumienia i odruchowo drżącymi palcami zapinał guziki munduru. – Jesteś komunistą?

– Nie – pokręcił głową Wicherski – nie będę próbował ci tłumaczyć, chcę po prostu, żebyś wiedział. Zostaję tu z Berlingiem, tak postanowiłem. Wszystko przemyślałem w nocy, a była to, możesz mi uwierzyć, najgorsza noc w moim życiu.

– Ale dlaczego, dlaczego?

– Powiedziałem, nie będę tłumaczył. Jedno ci powiem: stąd dojdziemy do Polski, i tylko stąd.

Radwan milczał.

– Idź już – mruknął Wicherski. Wyrwał kartkę z notesu i napisał parę słów. – Gdyby kiedykolwiek było ci trudno, gdybyś nie miał wyboru...

Radwan zawahał się, ale wziął kartkę, stanął na baczność, zasalutował i wyszedł.

Kończył raport, nie wspominając o rozmowie z Wicherskim, myślał zresztą tylko o Ani. Zdecydował, że najlepiej będzie pójść do szpitala w porze obiadowej; powinien ją zastać, nawet jeśli kończyła dyżur rano. Mógł oczywiście do niej do domu, ale nie chciał

spotkać Pawlika, już wyobrażał sobie ironiczne uśmiechy i złośliwe słowa, na które nie umiałby odpowiedzieć.

Do szpitala szło się przez park. Na skwerze tłum zgromadzony pod megafonem słuchał

komunikatu, często powtarzano słowo „Stalingrad”... Radwan szedł szybko główną aleją (biegłby, gdyby nie był w mundurze) i nagle tuż obok siebie zobaczył Anię. Miała chustkę zarzuconą na głowę, wydawała się zmęczona i całkowicie obojętna na otoczenie. Ogarnęła go ogromna czułość, pragnął natychmiast wziąć ją w ramiona, zabiegł drogę i dopiero wtedy go dostrzegła. Stała, odrzuciła chustkę z włosów. Patrzyła na niego chciwie, potem odwróciła wzrok; chciał ją objąć, odsunęła się gwałtownie.

– Odejdź – szepnęła – nie męcz mnie, ja wiem wszystko...

– Co wiesz, na miłość boską, co się stało, Aniu, nie widzisz, że jestem, że...

– Przestań, to nie ma sensu, nie chciałam z tobą rozmawiać. – Podniosła głos, jakby z trudem zdobywając się na słowa ostateczne. – Pełniłeś obrzydliwą funkcję, może musiałeś...

Czy o nas też pisałeś w swoich raportach?

Znieruchomiał.

– Dziewczyno, ty oszalałaś! – Zdjął czapkę, pot spływał mu po twarzy.

– Informowałeś ambasadę.

– Przecież ty wiesz, że to kłamstwo.

– Nie zaprzeczaj przynajmniej. – Prawie płakała. – Ja dobrze wiem, co to szpiclowanie, prowokacja...

– Opamiętaj się! – krzyknął. – Jak mogłaś w to uwierzyć?! Który z nich ci to powiedział? – Nie panował nad sobą. – Zygmunt? A może ten, który służył obydwu stronom?

I wam, i nam?

– W ten sposób się bronisiz? Idź – podniosła głos – idź do swoich Londynów, Persji, swoich

szpiclów, żandarmów, donosiciele, kokot, łobuzów, sprzedawczyków, zwykłych podłych tchórzy!

Nie słuchał, wcisnął czapkę na głowę i odszedł nie patrząc za siebie. Z megafonów słyszał: „Stalingrad”. Zaczął iść coraz szybciej, coraz szybciej, jakby uciec chciał z tego przeklętego miejsca do innego świata.

W ambasadzie czekał już na niego Wysokoński. Może dziwiła majora obojętność Radwana; porucznik nie reagował ani na widoczną oficjalność zwierzchnika, ani na ostrość tonu; na pytania odpowiadał lakonicznie, jakby z trudem i niechętnie przewyciężając wewnętrzny opór. Równie ściśle, jak to uczynił w raporcie, referował przebieg ewakuacji, podając cyfry, omawiając problemy wyjazdu osób cywilnych. Unikał przy tym wszelkich własnych komentarzy, wspominał jednym zdaniem o grupie Berlinga, używając zresztą słowa

„pozostanie”, nie zaś „dezercja”...

– O tym – rzekł Wysokoński – mieliśmy już meldunek wcześniej. Sądzę, że pan mógłby o tych ludziach nieco więcej...

Radwan milczał.

– No tak – mruknął Wysokoński – w raporcie też pan nie wspominał, nie docenia pan naszych służb, poruczniku. O rozmowie z Wicherskim, raczej o rozmowach z Wicherskim należało zameldować.

– Kapitan Wicherski – powiedział obojętnie Radwan – jest dawnym moim wykładowcą ze szkoły podchorążych i przyjacielem. Do moich obowiązków nie należało relacjonowanie rozmów prywatnych.

– Dziwne są te pańskie rozróżnienia między prywatnym i służbowym – wtrącił cierpko Wysokoński.
– Pan sobie nie zdaje sprawy ze swojej sytuacji. Nasza rozmowa – dodał – nie nosi jeszcze charakteru oficjalnego, ale oficjalnie mogę pana zawiadomić, że w pańskiej sprawie zarządzone śledztwo.

– W mojej sprawie? – W głosie Radwana nie było lęku, tylko niezmierne zdziwienie.

– Tak – rzekł sucho major. – Istnieje domniemanie, powtarzam, domniemanie, że to pan właśnie udzielał tutejszym komunistom informacji dotyczących działań ambasady, które, jak stwierdzono, przekazano władzom sowieckim.

– Jakim prawem! – Radwan zerwał się z krzesła.

– Proszę siadać, poruczniku. Ja nie twierdzę, że pan jest winien, ale pańskie zachowanie z pewnością uzasadnia podejrzenia, zachowanie tym bardziej dziwne, że jest pan oficerem, którym osobiście interesował się generał Sikorski. Bliskie stosunki z komunistami, z ludźmi z grupy Berlinga... Nie wspomnę już o podejrzeniach bardziej przykrych, chodzi mianowicie o pewnego naszego współpracownika i jego aresztowanie.

Radwan zerwał się znowu. Wysokońskiemu zdawało się przez chwilę, że porucznik rzuci się na

niego. Otworzył szufladę biurka i położył dłoń na kolbie pistoletu, ale Stefan stał

na szeroko rozstawionych nogach i ciężko oddychał. Uspokajał się powoli.

– Tak – rzekł wreszcie – powinienem zrozumieć. Ja, panie Wysokoński, nie mam nic wspólnego z komunistami, ale nie chcę mieć także nic wspólnego z panem. – I ruszył ku drzwiom.

– Jeśli pan opuści ten pokój, panie Radwan – powiedział cicho major – wejdzie pan na drogę bez powrotu, drogę donikąd. Nikt panu nie pomoże, nawet wódz naczelny, ale jeszcze jest czas. Cofam moje ostatnie zdanie, uzupełni pan swój raport i napisze mi jeszcze jeden...

Radwan otworzył drzwi i zamknął je za sobą z trzaskiem.

Dokąd powinien pójść? Nie, myślał. Szedł ulicami, które znał najlepiej, i dopiero gdy stanął przed kamienicą, w której mieszkała Ania, zorientował się, gdzie jest. Sam sobie odmówił czasu na podejmowanie decyzji, wbiegł po schodach i zastukał do drzwi. Otworzyła mu Ania i zanim bez słowa zatrzasnęła przed nim drzwi, dojrzał siedzącą pośrodku kuchni zapłakaną Jekatierinę Pawłówną trzymającą w ręku trójkątny list z frontu.

Zbiegł na dół. Teraz już był nieodwołalnie sam i gdy wrócił do domu, pomyślał, że ani po tej, ani po tamtej stronie nie istnieje nikt, kto zechciałby go wysłuchać. Tylko Ewa Kaszelska, tylko ona jedna, traktująca sprawę tego świata ze wspomniałym dystansem, mogłaby go uratować.

Co powinien zrobić? Wyjął z szafki butelkę koniaku i napełnił szklanekę, potem sięgnął po pistolet, pogładził dłonią kolbę...

Wysoki urzędnik MSZ, który ją po długim oczekiwaniu zaprosił do swego gabinetu, był siwy i dostoyny. Jego twarz, gdy zadawał pytania lub słuchał odpowiedzi, wydawała się doskonale nieruchoma i tak pozbawiona wszelkiego wyrazu, wszelkich oznak zainteresowania, negacji lub aprobaty, że Ewa Kaszelska pomyślała o wieloletnim treningu potrzebnym, by taką martwość osiągnąć, i pomyślała także, że nigdy na taki trening by się nie zdobyła.

Od przyjazdu do Londynu wydawało się Ewie, że żyje w innym świecie, niezupełnie rzeczywistym, że nikomu niepotrzebna błąka się po ulicach i korytarzach w oczekiwaniu na wyrok, który zapadnie bez przewodu sądowego. Dlaczego odwołano ją z Kujbyszewa? Komu przeszkadzała? Pytania siwego dygnitarza dowodziły, że wplątano ją w jakąś intrygę. Jaka?

Kto? Pomyślała o Danieckim. Pamiętała ostatni dzień swego pobytu w Kujbyszewie. Na podłodze leżały już walizki, w jej pokoju panował nieprawdopodobny bałagan; rzucała do tych walizek niemal nie patrząc, bez żadnego porządku i logiki wszystko, co miała pod ręką, bezmyślnie przeglądała egzemplarze pisma „Polska”, ciskała je potem na podłogę. Pamiętała śmieszny żal, który ją wówczas ogarnął... Tyle zmarnowanego wysiłku, tyle dni i nocy...

Pomyślała o Radwanie i znowu sięgnęła po słuchawkę telefonu. Nie, przecież dzwoniła już dzisiaj, nie przyjechał i nie przyjedzie, nie zdąży, więc nie zobaczy go już... „Zniszczą go –

pomyślała – zniszczy go ta mała komunistyczna wiedźma”. Wtedy właśnie zapukano i wszedł

Daniecki. Wyglądał źle; może był nieco wstawiony, może po prostu utracił resztę swego dawnego animuszu.

– Dzień dobry, pani Ewo.

Nie odpowiedziała. Pochyliła się nad walizką i rozpoczęła energiczne ściąganie szmat z łóżka.

– Nie chce pani ze mną rozmawiać?

– Radwan wrócił? – rzuciła w przestrzeń.

– Nie, jeszcze nie – pospieszył z odpowiedzią, jakby sam czuł się odpowiedzialny za szybki powrót porucznika. – Ale powinien już niedługo... Czeka pewno na jakiś samolot.

– To wiem i bez pana. – Wyprostowała się nagle i zrezygnowała z pakowania. – Kto załatwił moje odwołanie do Londynu?

– Ja naprawdę nie wiem – wyjąkał Daniecki.

– I Wysokoński też nie wie?

– Minister mówił przecież, że MSZ zażądało...

– „Ma pani okazję, leci pani jutro” – naśladowała głos Sokolnickiego. – Jakie własne świństwa chcielibyście zrzucić na mnie?

– Pani Ewo, przysięgam...

Podeszła do niego.

– Raszeński siedzi, Radwana wykończycie. Kto powiedział, że ja ułatwiłam Raszeńskiemu kontakt z komunistami?

– Ale...

– Niech pań przynajmniej milczy, dosyć już było łajdactw.

– Niektóre – powiedział Daniecki – wykonywałem na pani polecenie.

Odwróciła się od niego i stała nieruchomo, milczała.

– Pani Ewo – zaczął cicho Daniecki – panią na pewno zapytają w Londynie, kto mógł przekazać prasie opozycyjnej, tym od Doboszyńskiego, materiały stąd.

– Jeszcze i to – jęknęła. – Panu przecież, panie starosto, podobają się takie ataki na rząd...

– Ja jestem lojalny – wybuchnął – ja wykonuję tylko polecenia... Niech pani im powie w Londynie, że jestem lojalny.

– Niech pan już idzie – powiedziała – niech pan już nareszcie idzie.

Ruszył powoli ku drzwiom.

– Zazdroszczę pani – mówił – zazdroszczę, że pani już wyjeżdża, że pani już tu nie wróci.

– Gdybym miała odwagę – rzekła raczej do siebie niż do niego – gdybym miała trochę więcej odwagi... Jeszcze pan tu jest?

– Już idę.

– Niech pan powie Radwanowi, że go pozdrawiam.

– I co więcej?

– Nic, zupełnie nic...

A teraz siwy dostojnik spoglądał na nią obojętnie. Przez chwilę nie słuchała, co mówił.

– Ciągle jeszcze nie wiem – powiedziała – czy wrócę do Kujbyszewa.

– Otrzyma pani inne skierowanie – usłyszała.

– Tu, w Londynie, czy...

– Decyzja zostanie podjęta we właściwym czasie... Proszę mi teraz powiedzieć, czy wydział prasowy i redakcja „Polski” korzystały z tajnej dokumentacji ambasady?

– Jeśli istniała taka konieczność, zwracaliśmy się do rady lub nawet ambasadora.

– I pan minister Kot zezwalał?

– Jeśli uznał za stosowne.

– Dużo było takich wypadków?

– Dużo.

– Czy minister Kot poddawał w wątpliwość lojalność któregokolwiek z pracowników ambasady?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Pani jednak dużo powinna wiedzieć o sytuacji w ambasadzie. Przekazywaliście informacje i biuletyny dziennikarzom sowieckim, tak?

- Tak, podobnie jak agencjom zagranicznym.
- A komunistom? Ewa zawahała się.
- Początkowo tak, potem ambasador zabronił.
- Jednakże kontakty z komunistami ciągle trwały. Kto je podtrzymywał?
- Nie wiem.
- Kto skontaktował Raszeńskiego z Wandą Wasilewską?
- Nie wiem – mruknęła Ewa – pewno sam do niej poszedł.
- Uważam, że pani odpowiedzi są niepełne i nieszczerze. – Toń głosu siwego dostojnika nie uległ najdrobniejszej zmianie.
- Źle pan uważa. – Nie umiała jednak zachować powściągliwej grzeczności.
- Ja mam obowiązek ustalić najściślej stosunki między pracownikami ambasady, z pani pomocą. Kto jeszcze kontaktował się z polskimi dziennikarzami? Jakie towarzyskie stosunki łączyły pracowników ambasady z kołami sowieckimi? Czy Wydział prasowy otrzymywał za pośrednictwem ataszatu jakieś informacje z wojska? Chodzi mi także o powiązania niektórych pracowników... porucznika Radwana, porucznika Danieckiego. To sprawa wojska, ale my też się tym interesujemy.
- Czy ma pan jeszcze jakieś pytania? – zapytała cicho Ewa. Ton jej głosu mógł się wydać urzędnikowi niezwykle.
- Tak, lecz potem.
- Podobne?
- Tego samego typu. – Urzędnik był zdziwiony, ale nie okazywał tego.
- Pan był kiedyś w Rosji?
- Nie.

Ewa wstała.

– Więc ja panu powiem: jeśli interesują was tylko personalne rozróby, jeśli pracownika przyjeżdżającego z Kujbyszewa nie pytacie o nic więcej, to... – nie dokończyła. – Ściągacie mnie, żeby dowiedzieć się kto, z kim i dlaczego? Tylko po to byłam wam potrzebna? Nic więcej pana nie obchodzi?! To, co robiliśmy naprawdę? Nic o tej wojnie, o ludziach?! –

Odwróciła się i ruszyła ku drzwiom.

– Dokąd pani idzie, nie skończyliśmy jeszcze.

– Idę – powiedziała – idę dokądkolwiek.

...Istotnie dokądkolwiek. Ciemne uliczki, puste chodniki, nie oświetlony Londyn wydawał się straszny, obcy, nie zamieszkanym jak pustynia. Nie myślała teraz o sobie, myślała o Radwanie. To pytanie urzędnika wydawało się jednak niepokojące: powiązania porucznika Radwana! Oczywiście, zameldował Wysokoński, a może Daniecki? Wiedziała, że tak się stanie, przewidywała, ale jej nie posłuchano. Wszystko, co mogło nastąpić, wydało się teraz Ewie pozbawione sensu. Oczywiście MSZ do żadnej roboty jej nie pošle, może więc zostanie maszynistką w jakimś biurze? Może będzie żyła z renty? A potem... Skończy się wojna i będzie można wrócić do kraju. Do kogo? Po co? Ale wojna się nie skończy, to przecież oczywiste. Pomyślała: wiecznotrwała noc, ludzie nie wiedzą, co to nieskończoność i co to piekło, a przecież to proste – jeśli do końca twojego życia będzie wojna, jeśli do końca będziesz chodziła samotna obcymi ulicami, to właśnie nieskończoność i właśnie piekło...

Mijała znajomą knajpkę, do której uczęszczali Polacy. Poprzedniego dnia spotkała się tu z pułkownikiem Kietliczem tylko dlatego, że kiedyś opowiadał o nim Stefan. Starszy pan okazał się sympatyczny; zapragnęła nagle zobaczyć go znowu, siąść przy stoliku i pijąc whisky rozmawiać tak, jakby ją cokolwiek obchodziło, jakby miała jakąkolwiek nadzieję.

Salka była ciemnawa, nieprzytulna, ktoś nijaki przy fortepianie zaczynał melodię znaną, pamiętaną i urywał nagle, jakby wydała mu się niewłaściwa. Stoliki wszystkie niemal zajęte – paru oficerów w mundurach lotnictwa (pomyślała ze zdziwieniem, że nie chciałyby spotkać nikogo z przyjaciół Włodka), ciche, niemal szare dziewczęta, starsi panowie popijający kiepską kawę.

Kietlicz poprzedniego dnia powiedział: „Tu by się przydał Or-Ot, on wyczuwał takie nastroje, patriotyzm, sentymentalizm i niejako przedwczesny brak nadziei... Jakieś »Piesni o sławie«, stara melodia wieje z pianina, »Lecą ułany, lecą ułany«, »bij w dzwon szpady«.

Żaden poeta na świecie czegoś takiego by nie napisał, tylko Polak”.

Zobaczyła Kietlicza, siedział samotnie przy stoliku, już ją dostrzegł, już wstawał...

– Naraziłam się – powiedziała siadając. – Byłam wzniosła, sentymentalna i odważna.

– To znaczy nagadała im pani w MSZ-cie...

– Żeby to! Niech pan zamówi coś mocniejszego. Bardzo chciałam pana tu spotkać.

Nie, proszę nic nie mówić. To miasto działa na mnie fatalnie.

– Nie tylko na panią.

– Może. Ale zamiast napyskować, wzgardliwie odeszłam, zamiast namotać solidną intrygę, zrezygnowałam. Zachowałam się, panie pułkowniku, właśnie jak dziewczyna od Or-Ota.

Kietlicz roześmiał się.

– Wnosi pani w nasze londyńskie życie wartości niepowtarzalne.

– Tylko nie ten styl, pułkownika. Teraz nie chcę już niczego wzniosłego, żadnej wazeliny, lakieru, uprzejmości.

– Świetnie.

– Wypiłam, proszę o jeszcze jeden. Otóż, zła jestem na siebie, że nie wyciągnęłam od tego dostojnika z MSZ niczego na temat Stefana. A pan ma jakieś chody w gabinecie naczelnego wodza?

– Coś się znajdzie.

– Panie pułkowniku kochany... trzeba Radwana koniecznie wyrwać z Rosji, jeśli już nie jest za późno.

Kietlicz przyglądał się jej uważnie.

– Myśli pani o nim bez przerwy, wczoraj także...

– Spróbuje pan? – przerwała.

Skinął głową.

– Bez przerwy – powtórzył.

Roześmiała się.

– Jeszcze pan nie zauważył? Przecież go kocham.

– Szczęśliwy chłopak i dureń – Kietlicz westchnął. – Boże, co za dureń! Jak to się stało – ciągnął pułkownik – że nie zdołała go pani okręcić wokół małego palca?

– Przegrałam w konkurencji. Wie pan, nie żartujmy – mówiła teraz bardzo poważnie –

ja się naprawdę o niego boję, moje przeczucia, niestety, sprawdzają się zbyt często... Może napisać do Sikorskiego?

Kietlicz milczał. Nie chciał powiedzieć Kaszelskiej tego, co ona sama wiedzieć powinna, że taki list nie dotrze nawet do naczelnego wodza, że w sieci wielkich intryg ta maleńka intryżka...

– Wiem – powiedziała i sięgnęła po kieliszek – rozkleiłam się, chciałam być potrzebna i pojechałam do Rosji, mogłam się przydać mężczyźnie, którego pokochałam, ale on się mną nie interesował.

– Szkoda – mruknął Kietlicz – że nie jestem młodszy.

– Ja też nie jestem już młoda i nie mogę być sama, mam przeczucie klęski, jakby stało się coś

nieodwracalnego, coś, co nas zostawia na pustej ścieżce, na drodze donikąd. I ciągle mi się wydaje, że ta wojna nigdy się dla nas nie skończy, że zostaniemy tu na zawsze...

Ciekaw jestem – myślał Raszeński – czy zabrali moje notatki? Właściwie mogłoby mnie to nic nie obchodzić, szkoda jednak, że nie zostawiłem ich w ambasadzie. Pokój w Grand Hotelu oczywiście przeszukali, teraz ich urzędowy tłumacz przekłada na rosyjski moje niepokoje, wahania, domysły. Znajdą tam dodatkowy materiał obciążający? Niech znajdą... Także ostatni list do Marty, już nie wysłany. „Ten kraj, napisałem, jednocześnie mnie fascynuje i odpycha”.

Oni nie są w stanie pojąć, nie mogą pojąć szaleńczego walca między nadzieją i rozpaczą; teraz jestem bliżej rozpacz, ale mogę już myśleć. Dlaczego od tygodnia mnie nie przesłuchują? Zapomnieli? Oni nie zapominają nigdy, to metoda, niech skruszeje, myślą, w celi, ale ja mam obozowy staż i nawet mi tu dobrze: mrozu jeszcze nie ma, trzy kroki od okna do drzwi, a ja lubię spacerować, nocą budzi mnie czasami krzyk. Najpierw sen: Marta pochyła się nade mną, a ja krzyczę, potem przypominam sobie, gdzie jestem, i zasypiam spokojnie. Mnie nie bili, nawet myślałem, jak bym się zachował – nie mam nic do wyznania.

Naiwniak! Przecież ciągle nie wiem, o co chodzi: może budują jakąś legendę, może to element większej gry, a może przypadek. Nie wiem także, czy stąd wyjdę. I notatki robiłem pewno niepotrzebnie: nigdy nie powstanie z nich żadna książka. Mogę teraz tworzyć scenariusze wyłącznie dla siebie.

Pasjonujące to jednak: jak potoczy się historia? Na paru metrach przestrzeni z oknem, którego nie mogę nawet dosięgnąć, rozgrywam sceny dramatu, szkoda tylko, że statystyce Raszeńskiemu wybrano taką właśnie rolę. A może to i lepiej? Wyłączam siebie samego, nie myślę o Marcie, bo myślenie o niej boleśniejsze jest niż cokolwiek. Kiedy wracałem w obozie z lesopiłki i zastanawiałem się, jak długo jeszcze pociągnę, kiedy umarł Ryszard Dorocki i wywieziono dokądś trupa (nigdy nie dowiedzieliśmy się, gdzie chowają zmarłych), myślałem: może ona jest bezpieczna. Teraz wiem, jej nie ma, więc dobrze, jeśli ogromna, biała, pusta przestrzeń (dlaczego zawsze dodaję: biała) zwięża się do wymiarów celi, jakby ból stawał się mniejszy, jakby część przynajmniej cierpienia pozostawała jednak na wolności.

Rozkładałem więc moje scenariusze, jak rozkłada się talie kart.

Najpierw wyobrazić sobie, co myślą partnerzy, właściwie – to najistotniejsze. Rozwój wypadków może już nie zależeć od nich lub zależeć niezupełnie, ale decyzje i działania, których skutki nie zawsze można przewidzieć, wynikają z ich zamiarów i ich oceny sytuacji.

Sikorski. Zawsze notowałem: chce dojść do porozumienia z Rosją. Jest realistą i gdy przyjeżdżał do Moskwy, był pewien, że dokonuje się dzięki niemu wielki zwrot w historii, ale sądził, że ma dobre karty do gry; ostatnio-musiał się przekonać, że zostały mu w ręku złe.

Czym grać ze Stalinem? Granice? Anglicy nie poprą. Można uzyskać drobne korekty linii istniejącej w chwili wybuchu wojny, ale co powie kraj, co powie emigracja? Jakże więc niewielki obszar działania! Może Węzłak ma rację? Trzeba tu wielkich decyzji nie liczących się z nikim i z niczym. Czy Sikorski to rozumie? Tak. Wyobrażam go sobie w jego londyńskim gabinecie, samotny jak ja

teraz w celi, za drzwiami adiutanci, w drzwiach Judasz, przez który można podglądać naczelnego wodza. Nie, Judasz oczywiście nie ma. Mapa Polski na ścianie. I dręczący nieustannie lęk: nie popełnić błędu. Węzłak powiedziałby, że lepiej popełnić wielki błąd, niż bać się wielkich decyzji, ale Sikorski myśli właśnie o błędach, o stale czyhającej groźbie pomyłki i jej nieobliczalnych skutkach. Czy ewakuacja była błędem? A może pozostanie oznaczałoby zniszczenie armii? Czy można liczyć na alianckie uderzenie w miękkie podbrzusze Europy i z południa do Polski? Trzeba się zabezpieczać na wszystkich frontach, należy też dogadać się ze Stalinem, ale jakie są granice ustępstw? I jakie skutki dającego się wyobrazić zerwania? Dlaczego nie udało się dokonać trwałego zwrotu we wzajemnych stosunkach? Czy on, Sikorski, popełnił błąd, czy popełnia błąd Stalin, żądając zbyt wiele? Stalin mniej ryzykuje, polski naczelny wódz ryzykuje wszystkim. Wyobrażam sobie Sikorskiego podchodzącego do szczelnie zasłoniętego okna, myśli, że nie wolno mu nawet spojrzeć w londyńską noc, myśli, że los Piłsudskiego był jednak łatwiejszy, decyzje bardziej oczywiste albo tak się z dystansu wydaje. Potem powiedzą: „Powinien był w roku czterdziestym drugim...” Co powinien? Zaproponować Stalinowi spotkanie, spróbować raz jeszcze?

A Stalin? Wszystkie portrety Józefa Wissarionowicza są w istocie jednakowe – ten sam dobrotliwy uśmiech i ta sama podejrzliwość w spojrzeniu, w zmrużeniu oczu. Genialny, nieomylny? Czy wierzy we własną nieomylność? Czy także boi się błędów? Jest władcą absolutnym, takim, jakiego nie zna historia Polski, ma do dyspozycji niezmierzoną potęgę Rosji. Nie wolno mu się przyznać do błędów, jeśli je popełnia – przypisuje innym. Nikomu nie ufa: ani Amerykanom, ani Anglikom, oczywiście nie ufa Sikorskiemu. Niemcy stoją nad Wołgą, ale on wie, że wygra tę wojnę, że „będzie święto na naszej ulicy”, że taka jest prawidłowość historii. Już teraz wyobraża sobie świat po zwycięstwie – armie radzieckie pójdą na zachód, dlaczegóż miałyby zatrzymać się na granicy Polski? „Polska, powiedział, powinna być silna i niepodległa”. Ale jaka? Może rozumuje tak: jeśli Sikorski zgodzi się na linię Curzona i rekompensatę na zachodzie, będzie zależał ode mnie, bo tylko ja zagwarantuję Polsce bezpieczeństwo i utrzymanie ziem odebranych Niemcom; jeśli będzie się upierał przy starych granicach, wybiorę inny wariant... Wówczas – komuniści. Byłoby śmieszne traktować ich jako agenturę Moskwy; oni mają własną koncepcję. Czy Stalin ufa polskim komunistom?

Także nie. Może sądzi, że Sikorski będzie jednak lepszym gwarantem spokoju na zachodzie?

Ale czy naprawdę przezwyciężył stare kategorie myślowe rosyjskiej polityki wobec Polski?

Czy zdaje sobie sprawę z nieufności i podejrzliwości Polaków? Mołotow mówił o „bękarcie traktatu wersalskiego...”, tego się łatwo nie zapomina. Przez tyle lat Rosja traktowała priwisliński kraj jako teren swej ekspansji. To prawda, że u nas marzono o Ukrainie, że hodowano koncepcje prometejskie. Ale jakąż dysproporcją sił! Sytuacja się zmienia, anachronizmy myślowe pozostają... Chciałbym wiedzieć, co naprawdę myślał Stalin, gdy przyjmował Sikorskiego na Kremlu. Podobał mu się ten generał, o którym z pewnością wiedział, że w roku 1920 dowodził piątą armią, zrobił na nim wrażenie szczerego, odważnego i traktującego porozumienie poważnie? Pomyślał: dogadamy się. Co się zmieniło potem? Nie chciano z nim mówić w sprawie granic, i to było najważniejsze? Zrozumiał, że Polacy stawiają na klęskę Rosji? Wybrał więc inną możliwą wersję polskiej polityki. Jaką?

Czy istnieje jeszcze szansa uratowania porozumienia?

Raszeński dostrzegał natychmiast, gdy obserwowano go z zewnątrz. Nie denerwował

go judasz, nie przerywał spaceru po celi, trzy kroki od ściany z oknem – do drzwi. Mój Boże, gdybyż chociaż można było spojrzeć przez okno! Najstraszniejsza wieczność! Wieczność śmierci, wieczność więzienia, wieczność gestu, który pozostał i którego do końca czasów nie będzie można zmienić. Znowu powrócił myślami do Sikorskiego, uzupełniając w pamięci swe notatki.

Gabinet naczelnego wodza był oczywiście wielokrotnie większy od celi więziennej, lampa oświetlała tylko biurko i leżące na nim papiery i mapę. Sikorski wydawał się rozgoryczony, ton jego głosu ostrzejszy był i gwałtowniejszy niż zwykle.

– No i co o tym powiesz? – zapytał stojącego obok ministra Kota.

Kot pochylił się nad biurkiem, oglądając uważnie leżącą na nim mapę.

– Churchillowi już ją posłano – mówił Sikorski – możesz być spokojny. Jakże Rosjanie nie wykorzystaliby takiej okazji?!

Kot studiował mapę długo. Wydrukowana w sztabie Andersa, stanowiła swoiste kuriozum. U góry, po lewej stronie widniał napis: „Tylko pod hasłem: Salus Reipublicae suprema lex – zdobędziemy Polskę równą Polsce przedrozbiorowej”. U dołu po lewej: „Z

chaosu wojny i kataklizmów dziejowych wyrośnie Nowa Polska, nie darowana nam, ale zdobytą własnymi rękoma, krwią mężnych i niezłomną wolą całego narodu. To nie będzie Polska pańska, chłopska czy żołnierska. To będzie Polska – matka Wolnych Narodów”.

Oznaczone na mapie granice przyszłej Polski przebiegały na wschód od Dniepru, obejmując Charków, Kijów, Smoleńsk, na zachód od Wielkich Łuk i Pskowa, włączając do Rzeczypospolitej Litwę, Łotwę, Estonię.

– A ty go jeszcze broniłeś – powiedział Sikorski. – To watażka!

– Tego nikt na świecie nie potraktuje poważnie – mruknął były ambasador Polski w Moskwie.

– Rosjanie nigdy nie rozumieją, że takie rzeczy mogą się ukazywać bez wiedzy i woli rządu – wybuchnął Sikorski.

– Pisałem ci już z Kujbyszewa i Bliskiego Wschodu...

– Tak, pisałeś – potwierdził generał. – Na każdym kroku usiłują przeszkadzać. Jak można rządzić takimi ludźmi, takim narodem!

– Mówisz jak Piłsudski – wtrącił Kot.

Sikorski nie usłyszał albo nie chciał usłyszeć.

– Że niby każdy ma prawo krytykować rząd? Dobrze: krytykować, ale nie rujnować.

Rujnować to, co i tak ma teraz niewielkie szanse realizacji... Jak to się mogło stać?

Kot nie zrozumiał.

– Jak to się mogło stać – powtórzył Sikorski – że tekst poufnych not wymienianych z Kreml'em w sprawie obywatelstwa przedostał się do prasy opozycyjnej? – Spojrzał na byłego ambasadora. – Domyślasz się chociaż?

Bardzo zakłopotany Kot poprawił okulary.

– Nie wiem...

– To popatrz jeszcze na ten pasztet... Doboszyński w swym piśmidle „Walka” publikuje nasze i radzieckie noty i twierdzi, że moja polityka jest tylko polityką ustępstw i rezygnacji wobec Sowietów... – Nerwowo przekładał papiery na biurku, znalazł maszynopis i gazetę i nieco się uspokoił. – Posłuchaj: „Niech pan, panie prezydencie – ten bohater z Myślenic zwraca się do Raczkiewicza – stanie na wysokości historycznego zadania i usunie rząd... Niech pan powoła do władzy generała Sosnkowskiego...” – Cisnął papiery na biurko. –

A wiesz, co Sosnkowski napisał? „Wolno każdemu Polakowi analizować metody działania i politykę rządu”. Boże, jak nagle wszyscy stali się liberalni! Zapomnieli nawet, że w Anglii istnieje cenzura wojenna.

– Co masz zamiar zrobić? – zapytał Kot.

– Już zrobiłem. Doboszyńskiego kazałem zamknąć.

– Zawsze cię ostrzegałem przed panowaniem mafii. W wojsku także.

– W wojsku żadnej mafii się nie boję.

– Widziałem – mruknął Kot – jakie wpływy mają w armii na wschodzie oficerowie związani z sanacją. I dwójka...

– Przesadzasz. Z wojskiem zawsze sobie poradzę. – Milczał chwilę. – Oni mi zarzucają, że nie chcę i nie mogę wyrzec się władzy. Od początku, od chwili podpisania paktu mam do czynienia z nienawiścią i oszczerstwem. Nawet udający życzliwych twierdzą, że moja dymisja otwarłaby aliantom oczy na prawdę o stosunkach polsko-sowieckich. A jaka jest ta prawda? Jakie poparcie Roosevelta i Churchilla? Gdybym odszedł – dodał cicho –

byłby to akt najwyższej nieodpowiedzialności. Mój osobisty autorytet jeszcze waży w krajach anglosaskich. I w Rosji także.

– Wiesz, jak trudno było w Rosji – powiedział Kot.

– Wiem. Chciałem, aby się z nami liczone. – Pochylił się nad biurkiem i Kot nie widział już jego twarzy. – Naprawdę chciałem, żeby Polska była partnerem, z którym muszą się liczyć. I nie pozwolono mi na jakąkolwiek konsekwencję. Musiałem się cofać, szukać kompromisów. Bo w Polsce liczą się wielkie słowa, a rzadko skuteczność.

Jednak puścili. W Londynie, po tygodniach podróży, znalazł się Raszeński wczesną wiosną i najpierw, zanim jeszcze złożył wyjaśnienia w ministerstwie, sztabie generalnym, redakcji, zanim spotkał się znowu z Basilem i dowiedział o losie Wężlaka, ustalał w bazie lotniczej szczegóły śmierci Marty, jakby to była reporterska powinność, jakby ważne było, dlaczego wybiegła z pomieszczeń sztabowych, dlaczego nie opodał warsztatów ukryła się w starym rowie przeciwlotniczym i w którym dokładnie miejscu upadła ta bomba, której odłamek precyzyjnie...

Okazało się, że jednak nie chce wiedzieć. „Nie cierpiała, nie wiedziała, że umiera” –

powiedział doktor Koźmiński, stary lekarz z polskiej prowincji, który nie mógł nauczyć się nawet paru słów po angielsku.

Stojąc nad grobem Marty, jednym z wielu lotniczych grobów, dostrzegł nagle wiosnę; wzdłuż ścieżek na cmentarzu nieśmiało kiełkowała trawa, powietrze, nawet w Londynie, wydawało się przezroczyste i łagodne. Pomyślał „jednak wróciłem” i po raz pierwszy od wielu, wielu miesięcy odczuł rzeczywistą chęć zajrzenia do notatek, które jednak mu zwrócono.

Wiosna roku 1943 dla mieszkańców Londynu była już wiosną nadziei. Po Stalingradzie i El Alamejn zwycięstwo nad Niemcami zaczęło się wreszcie wydawać prawdopodobne. Anglicy uwierzyli znowu w siłę brytyjskiego imperium, a polski sojusznik, nieoceniony i jedyny przed dwoma laty, stawał się teraz sprzymierzeńcem trudnym, krnąbrnym i kłopotliwym.

Londyńskim Polakom niosła natomiast czwarta wojenna wiosna niepokoje, rozczarowania i wahania. Los kraju po odległym ciągle zwycięstwie był coraz trudniejszy do przewidzenia. Polska, która pierwsza oparła się Hitlerowi, stawała się elementem przetargowym w wielkiej grze alianckiej.

„Oto do czego doprowadził Sikorski!” Takie zdania słyszał Raszeński i w redakcjach, i w ministerstwie. Naczelnego wodza posądzano jednocześnie i jednym tchem o słabość, uległość, upór i niechęć do jakichkolwiek ustępstw.

Gorycz i niepewność znajdowały ujście w nieustannych swarach, prasowych napaściach na rząd, nie kończących się intrygach.

Raszeńskiego przyjmowano początkowo jak bohatera, któremu udało się cudem wyrwać ze szponów NKWD, później, gdy jego raporty i opowieści wydały się zbyt blade, zaczęto traktować go z rezerwą. Dlaczego udało mu się wyjść z więzienia? Nikt nie formułował zarzutów wprost, ale pytano podejrzliwie: „jak to właściwie było”, a kapitan N.

ze sztabu generalnego bardzo długo i szczegółowo wypytywał Raszeńskiego o przebieg przesłuchań w NKWD, sposób precyzowania oskarżeń, a także o rozmowy nie związane pozornie ze śledztwem. Te ostatnie interesowały go zresztą najbardziej. Chodziło mu głównie, o kim konkretnie, o jakich ludziach była mowa. Czy na przykład o Kocie? A o Berlingu? Nic na temat Radwana? Raszeński nie pojmował, dlaczego sowiecki śledczy miałby go wypytywać o oficera, którego widział raz w życiu, i zgodnie z prawdą oświadczył, że nikogo poza Janeckim nie wymieniało z nazwiska. Janecki nie interesował natomiast kapitana N. Gdy zaś dziennikarz ruszył do ataku, żądając ze swej strony śledztwa na temat działalności pana delegata, kapitan poradził mu niezbyt grzecznie, by nie pchał palca między drzwi i o tej sprawie milczał w swych artykułach. Pytał oczywiście o Wasilewską.

Raszeński nie ukrywał, a nawet o tym napisał, że wstawiennictwo Wandy znacznie przyczyniło się do jego uwolnienia. Miano mu to za złe. Wszelka próba, oświadczył kapitan N., przedstawiania oczywistych agentów sowieckich jako reprezentantów jakiejś odmiennej polskiej koncepcji nie ma żadnego sensu. Raszeński oświadczył natychmiast, że się z tym nie zgadza i że on, dwukrotnie przez bolszewików więziony, ma szczególne prawo mówienia wszelkich gorzkich prawd o stosunkach polsko-radzieckich. N. nie chciał słuchać jego wywodów. Nie opowiedział więc Andrzej o swojej przed wyjazdem z Rosji wizycie u Wasilewskiej. Nie wspomniał też o niej w żadnym reportażu, streścił tylko we własnych notatkach. Było to już w Moskwie, dokąd przeniosła się redakcja „Nowych Widnokręgów”, a ponieważ droga powrotna Raszeńskiego wiodła właśnie przez Moskwę, postanowił podziękować Wasilewskiej za jej wstawiennictwo. Powodowała nim oczywiście także ciekawość, jak zachowują się i co mówią teraz, gdy przystępują do tworzenia własnej organizacji, a stosunki polsko-radzieckie stają się coraz gorsze.

Był zimowy wieczór, mróz w lutym tego roku trzymał tęgi; Raszeński przeszedł

kilkaset metrów od tramwaju i zmarł solidnie w swoim lichym, wojskowym paletku.

– Herbata i coś mocniejszego – powiedziała Wanda, witając go jak starego znajomego.

Chciał dziękować, ale ona nie słuchała, wprowadzając Raszeńskiego do pokoju, w którym przy dużym stole siedziało już parę osób. Znał spośród nich tylko Tadeusza, który przywitał się z nim serdecznie. Pawlika i Juliana nie widział nigdy przedtem, oni zresztą, zajęci ostrą dyskusją, nie dosłyszeli nawet zapewne nazwiska Raszeńskiego. Poczul się niezmiernie dziwnie w tym towarzystwie, niby jeden z nich, tak właściwie traktowany, a przecież zupełnie obcy. Przeraziła go nagle Odległość, która go od nich dzieliła.

– To realne – mówił Pawlik, a Raszeńskiemu ten nieznanemu mężczyzna wydał się od razu niezbyt sympatyczny – i najważniejsze. Musi powstać polska jednostka wojskowa.

– Teraz nie ma żadnych szans – oponował Julian. – Stosunki z rządem Sikorskiego mogą się poprawić...

– Nie poprawią się – mruknął Pawlik. – Oczywiście, stworzenie nowej polskiej organizacji ma wielkie znaczenie, ale ci, którzy pozostali, chcą się przede wszystkim bić...

Wystarczy przejrzeć listy, które otrzymujemy...

– Nie przeczę – stwierdził Julian. Był to mężczyzna wysoki, chudy, o twarzy tak pozbawionej wyrazu, że wydawała się Raszeńskiemu martwa. – Ale pomyślcie o trudnościach. Głębokie rozczarowanie wśród Polaków, brak oficerów...

– Jest Berling i jego grupa – wtrącił Tadeusz. – Wanda rozważała taką możliwość już w roku czterdziestym. Jeszcze przed wojną.

– To była inna sytuacja – znowu Julian. – Chodzi także o stanowisko rządu radzieckiego. Nie będą chcieli tworzyć dodatkowych napięć w stosunkach z Londynem.

Trzeba poczekać...

– Czekać, czekać... – przerwał Pawlik. – Więc może pułki, a nawet bataliony w dywizjach radzieckich?

– Bez orzełka, bez polskich stopni? – wtrącił znowu Tadeusz.

Jak, pomyślał Raszeński, w ogóle rozważać taką możliwość?

– Nie – powiedziała Wanda. – To nie wchodzi w rachubę. Musi powstać polska samodzielna jednostka walcząca u boku Armii Radzieckiej. I ci, którzy do niej wstąpią, muszą wiedzieć, że chodzi o niepodległą i demokratyczną ojczyznę.

– Znowu nazwiecie mnie sekciarzem – mruknął Pawlik – ale te hasła, pod którymi każdy może się podpisać, jednak mnie niepokoją. Dlaczego nie otwarcie? Dlaczego nie o Polskę socjalistyczną?

– Nasza powstająca organizacja – rzekła Wanda – musi nosić szeroki charakter, łączyć wszystkich Polaków w Związku Radzieckim. I nie my będziemy decydować o przyszłym kształcie Polski.

– Jeśli mówimy o froncie narodowym, wierzymy w niego naprawdę. To nie jest gra – dodał Tadeusz.

– Tak, tak – uśmiechnął się Pawlik – ale ja nie bardzo wierzę w pozorowanie. Nasza koncepcja jest przeciwstawna koncepcji Sikorskiego.

– To niezupełnie prawda... – przerwała mu Wanda.

– Ani w kraju, ani tutaj – ciągnął Pawlik – nie przeciągniemy naprawdę na naszą stronę mas, jeśli nie powiemy otwarcie, o co nam chodzi. O Polsce demokratycznej, niepodległej mówi także Sikorski. I nie przeliczujemy go w tym. My dążymy do Polski zupełnie innej.

– Trzeba odróżniać... – zaczął Tadeusz.

– Cele dalsze i bliższe? – zapytał Pawlik. – Będziemy pozorować i to jest najgorsze.

Trzeba powiedzieć, że klasa robotnicza bierze władzę, a nie mówić o konstytucji dwudziestego pierwszego roku, o wolnych wyborach, wiedząc z góry, że ich nie wygramy...

– Daleko patrzysz – rzekł Tadeusz – ale zasadniczo się mylisz. Chodzi nie tylko o koncepcję ustrojową, ale o koncepcję miejsca Polski w świecie powojennym, której Sikorski zaakceptować nie może. Niewykluczone, że byłby w stanie, gdyby nie opór sił, na których się w istocie opiera.

Raszeński uznał, że jednak musi się wtrącić. Dopiero teraz go właściwie dostrzegli.

– Pan ma rację – zwrócił się do Tadeusza. – Najważniejsze w tej chwili są nie koncepcje ustrojowe, ale właśnie określenie miejsca Polski w świecie, obecnego i przyszłego stosunku do Rosji i

aliantów. Wasza koncepcja jest w ogólnych zarysach słuszna i zapewne jedynie możliwa. Jest także trudna i bolesna. Niewykluczone, że Polacy by ją przyjęli, gdyby reprezentował ją Sikorski. Ale czy zaakceptują was? I czy jesteście dostatecznie samodzielny partnerem w rozmowach z Rosją?

– Pan w ogóle nie rozumie, o co chodzi! – zawołał Pawlik.

– Być może – przytaknął Raszeński. – I zgadzam się także z panem, że byłoby prościej i czyściej, gdybyście jasno wyłożyli swój program.

Wanda roześmiała się nagle.

– Panie Andrzeju, właśnie tacy jak pan są nam potrzebni jak powietrze.

– No, no... – mruknął Pawlik.

– Jak powietrze – powtórzyła. – Pan popiera to, co najistotniejsze w naszym myśleniu.

Niech pan z nami zostanie.

– Nie – powiedział Raszeński.

– Rozpoczynamy wydawanie pisma. Tworzymy polską organizację: Związek Patriotów Polskich. Ludzie, którzy rozumieją, że przyszła Polska musi istnieć w przyjaźni z Rosją, w nowych granicach, są z nami.

– Nie – powtórzył. – Mogę bronić tej koncepcji w Londynie, mogę wierzyć, że Sikorski jednak ją przyjmie...

– Akceptuje więc pan – mówiła cicho – naszą koncepcję. Nie nas.

Raszeński milczał.

– To znaczy – rzekł Pawlik – jest pan przeciw. Ponieważ tylko my, obejmując władzę i tylko przez objęcie władzy, możemy zmienić sytuację Polski w Europie. Nic zresztą dziwnego – dodał – jest pan ukształtowany i klasowo, i życiorysowo.

– Głupstwa gadasz – przerwała ostro Wanda. – Mówisz: „objęcie władzy”, „my”... My jesteśmy tylko emigracją i tylko organizujemy Polaków w Związku Radzieckim.. A z panem, panie Andrzeju, spotkamy się kiedyś na pewno. Na pewno – powtórzyła.

Pamiętał tę rozmowę, ale wspominał ją niezbyt chętnie. W notatkach napisał: „Mój stosunek do nich jest ambiwalentny. Zgadzam się z nimi i nie mogę ich zaakceptować. Gdyby przynajmniej byli szczerzy i mówili wprost! Ale każde niemal zdanie, nawet Wasilewskiej, wymaga interpretacji i uzupełnień. Mówią: »niepodległość« i wiem, że to niezupełnie: niepodległość. Mówią: »demokracja« i wiem, że trudno byłoby nam ustalić wspólną definicję tego słowa. A może się jednak mylę? Może oni mają po prostu rację, a ja zbyt tkwię w tradycyjnych kategoriach myślowych, żeby to przyznać?”

Pierwszą osobą, której dokładnie i bez pominięć opowiedział o swych przeżyciach więziennych i o rozmowie z komunistami, była Ewa Kaszelska. Dowiedział się, że jest w Londynie, bo wkrótce po jego powrocie przyszła do redakcji „Wiadomości” i przyniosła tekst, który odłożono do archiwum, chociaż nawet redaktor naczelny przyznał, że jest to pisane z pasją, a także pewnym talentem.

– Niech pani to wyda po wojnie. Niech pani pisze pamiętniki – poradził jej Raszeński.

Była to mianowicie relacja o pracy ambasady z opisem intryg i cytowaniem plotek, a cel, dla którego pani Ewa to spłodziła, stał się dla Raszeńskiego jasny dopiero wtedy, gdy dowiedział się o jej stosunku do Radwana. Młody, uczciwy chłopak zaplątany w sieć intryg, niesłusznie oskarżony, był rzeczywistym bohaterem tego reportażu czy też opowieści nieco beletryzowanej.

– Masz talent – powiedział jej wiele dni później.

Roześmiała się.

– Kobieta, gdy kocha, gotowa nawet stanąć na ringu bokserskim.

Zabolało go. Pomyślał, że ani on, ani ona nigdy już, nie zdobędą się na miłość, jakby wyczerpali wszystkie przydzielone im zasoby możliwości kochania.

Najpierw spotykali się we trójkę, bo Kaszelskiej nie odstępował pułkownik Kietlicz, w niewielkiej knajpce, do której chętnie uczęszczali Polacy. Lubił te spotkania. Właściwie, odkąd zabrakło w Londynie Węzłaka, tylko z nimi mógł mówić szczerze. Może zresztą bardziej z Ewą niż z Kietliczem; powiedział to zresztą otwarcie staremu pułkownikowi.

– Nikt, kto nie był w Rosji, nie jest w stanie zrozumieć naszego szczególnego rozdarcia, naszego podwójnego stosunku do tego kraju. Jednocześnie przyjaźni, gniewu, obcości, bólu, poczucia ścisłego związku, nierozzerwalnej historycznej więzi, przeciw której się nieustannie protestuje – oto te dziwne i sprzeczne uczucia miotające Polakiem „stamtąd”, gdy myśli o Rosji.

Kietlicz kiwał głową, patrzył na panią Ewę, ale nie było pewne, czy rozumie. Odnosił

się do większości spraw wojny Sceptycznie, ale nie stać go było na wielkie koncepcje, na śmiałe plany, jak te, o których marzył Węzłak.

Węzłak! Główny bohater mojej powieści, myślał Raszeński. Może właśnie tragiczne, nagle, całkowicie niespodziewane zakończenie pasuje do tej postaci? Jedyne polski generał, który umiał kierować wielkimi jednostkami pancernymi... Gdzież te jednostki, gdzież teatr wojny, na którym samodzielnie rządziłby polski wódz? Chciał oczywiście dowiedzieć się jak najwięcej o śmierci generała, ale w sztabie generalnym otrzymał tylko lakoniczną informację.

„Po wojnie dowie się pan wszystkiego. Meldunki z kraju nie są zresztą zbyt dokładne”.

Wiadomo było tylko, że Węzłak wylądował gdzieś na Lubelszczyźnie i że tej samej nocy zginął podczas walki oddziału partyzanckiego z Niemcami. Po co Sikorski wysłał go do kraju? Jaką funkcję miał pełnić w Armii Krajowej? Raszeński wyobrażał sobie, że Węzłak sam wymógł na wodzu

naczelnym tę nominację (jaką? miał dowodzić? wykonywał misję specjalną?), albowiem twierdził, że tylko będąc w kraju mógłby prowadzić wielką grę z Rosjanami. Przecież jest niemal oczywiste, że do kraju wejdzie Armia Czerwona! Któż ich powstrzyma po Stalingradzie! Węzłak więc przekonał Sikorskiego, że ludzie od Sosnkowskiego, a także góra AK nie są w stanie rozegrać tej partii. Tylko on. A może było zupełnie inaczej? Może po prostu wódz naczelny wysłał krnąbrnego generała z Londynu?

Kietlicz kiwał głową, milczał, ani nie przeczył, ani potwierdzał. Raszeński podejrzewał, że stary pułkownik jednak coś wie.

Był ciepły wieczór kwietniowy, gdy opowiadał im raz jeszcze o Węzłaku. Wyszli właśnie z knajpki i Londyn wydał im się czysty, bez mgły i wilgoci, księżyc wisiał nad dachami, a Ewa wzięła Raszeńskiego pod rękę i przytuliła się do niego. Stary pułkownik popatrzył na nich smutno.

– Niech pan pamięta, panie Andrzeju – rzekł – że w historii i w życiu nie liczą się możliwości, a tylko spełnienie. Może Węzłak pięknie zginął, bo na to właśnie go było stać i na nic więcej? Jeśli chodzi o mnie – dodał patrząc na nich raz jeszcze – to was tutaj pożegnam. – Poszedł, a oni go nie zatrzymywali.

– Biedny stary – uśmiechnęła się Ewa – domyślił się szybciej niż pan. Do pana czy do mnie?

– Do mnie – odpowiedział Raszeński.

Tak się między nimi zaczęło. W momencie, w którym – jak potem twierdził Raszeński

– Ewa była mu szczególnie potrzebna. Nie mówili o miłości i nie sądzili zresztą, by to, co ich łączyło, mogło być miłością nazwane. Nie zamieszkali także razem, chociaż pokoik Raszeńskiego stał się namiastką domu. Na biurku pod oknem stała wielka fotografia Marty i gdy Ewa przychodziła, Andrzej niby przypadkowo kładł stosik książek tak, by zasłaniał

zdjęcie.

– Jesteś właściwie śmiesznie sentymentalny – mówiła Ewa. – Spodziewałam się więcej sceptycyzmu, więcej dystansu, nawet odrobina cynizmu by się przydała. Boże, jakie ja mam szczęście do pewnego gatunku mężczyzn! Może ich przyciągam? Tylko Daniecki, który kochał się we mnie nieszczęśliwie, był dostatecznie podły, bym w jego towarzystwie mogła się czuć całkowicie swobodna.

Sceptycyzm Ewy, jej, jak mawiał Raszeński, nieznośny rozsądek megiiery z MSZ

przydały się jednak w dniach, które nadeszły. Może ułatwiły Andrzejowi zachowanie niezbędnego dystansu i pracę, jak sam lubił twierdzić, dla historii.

Gdy rano, po ich pierwszej nocy, zjawił się w redakcji, uderzyła go jak kastetem w szczękę wiadomość katyńska. Niemcy ogłosili w nocy komunikat, a polska prasa podała go natychmiast. Potem, gdy przez wiele dni żył w kręgu tej sprawy, przeżywał Katyń tysiące razy, nawiedzały go nocą twarze kolegów, których pamiętał, a o których nawet nie wiedział, czy byli w Kozielsku, budził

się słysząc krzyk i uspokajał, gdy Ewa kładła mu dłoń na czole.

Wówczas, pierwszego dnia, oburzyła go najpierw pochopność polskich reakcji. Z dziką furią i szczególną pasją deptano wszystko, co udało się osiągnąć Sikorskiemu. Wstrząsająca wydała się Raszeńskiemu łatwość, z jaką polska opinia londyńska uwierzyła komunikatom Goebbelsa. Przecież cel Niemców był oczywisty... On sam nie chciał wierzyć, odmawiał

mordercom prawa do rzucania oskarżeń, ale niekiedy ogarniał go potworny lęk, przytłaczający, spychający w beznadziejność. A jeśli to prawda? Starał się myśleć w kategoriach politycznych, a nie emocjonalnych, i w tym właśnie niezmiernie pomagała mu Ewa. „Nic nie wskrzesi umarłych” – powtarzała codziennie. Nie wiedział jeszcze, że to samo powiedział wówczas Churchill.

Gdy niszczące skutki sprawy katyńskiej stały się już oczywiste, wykorzystał wszelkie możliwości, by zbadać, jak reagowali polscy politycy, jak popełniono błąd, bo był

przekonany, że błąd ciężki i nieodwracalny, który musiał doprowadzić do zerwania z trudem nawiązanego porozumienia. Czy nic już nie można naprawić? Była to wiedza, którą gromadził tylko w notatkach bo nie wyobrażał sobie, że uda mu się wydrukować cokolwiek sprzecznego z tonem, który przyjęła cała prasa. Udało mu się dotrzeć do Kota i Raczyńskiego.

Nie chciał go przyjąć Sikorski. (Ani razu nie zgodził się na rozmowę z Raszeńskim, chociaż Andrzej wielokrotnie o to prosił). Żaden polityk brytyjski nie wyraził także zgody na wywiad w sprawie katyńskiej. Istniał jednak doskonale poinformowany Basil; rozmowy z nim były dla Raszeńskiego przykre, nawet bolesne.

– Wiesz – mówił Ewie – czasami, jedząc z nim obiad w klubie, czuję się jak zaproszony do Londynu dzikus z jakiegoś brytyjskiego dominium, któremu tłumaczy się oczywiste prawdy, z góry wiedząc, że dzikus i tak niczego nie jest w stanie pojąć. Basil się ze mną przyjaźni i, w gruncie rzeczy, mną pogardza. Podejrzewam, że Churchill tak samo pogardza Sikorskim, Kotem, Raczyńskim...

Chciał to powiedzieć także Kotowi, gdy minister zechciał go przyjąć, ale zrezygnował.

Pamiętał Kota z Kujbyszewa, profesor wydawał się wtedy rzutki, energiczny, elokwentny.

Teraz siedział przed nim stary, zmęczony mężczyzna; palce pełzały po lakierowanym blacie stołu. Niespokojnie spoglądał na Raszeńskiego, jakby z góry spodziewając się ataku i szykując obronę.

– Przyjąłem pana – powiedział – bo podobno gromadzi pan materiały dla historii.

Cenię historię, ale w nią nie wierzę. Chciałbym natomiast, żeby współcześnie piszący dziennikarze lepiej rozumieli intencje premiera. Zresztą – dodał – za wcześniej jeszcze na jakiegokolwiek oceny... Pan wydaje się tak chłodny, panie Raszeński; jakby nie przeżył pan wstrząsu.

Andrzej oświadczył, że przeżycia osobiste powinny chyba odgrywać niezbyt wielką rolę w polityce, a Kot się wówczas uśmiechnął. Chciałby natomiast zrozumieć, dlaczego tak pośpiesznie zareagowano na komunikat niemiecki? On, Raszeński, stara się unikać ocen przy zadawaniu pytań, ale

pośpiech był przecież oczywisty...

– A co mieliśmy zrobić? – zapytał Kot. – Czy zdaje pan sobie sprawę ze stopnia wzburzenia opinii publicznej? Rada Ministrów musiała się zebrać. Gdybyśmy nie zareagowali dostatecznie ostro, przeciwnicy Sikorskiego wykorzystaliby to natychmiast...

– Ale przecież zwróciliście się natychmiast do Genewy nie po to, żeby wytrącić broń przeciwnikom politycznym!

Kot spojrział na Raszeńskiego niechętnie.

– W każdej sprawie trzeba brać pod uwagę stanowisko opozycji. Nie tylko zresztą opozycji, a rozmaitych mafii czyhających na każde potknięcie generała. Komunikat był

pisany na osobiste polecenie premiera.

– Ale pan go pisał, panie ministrze?

Kot milczał sporą chwilę.

– To nie do publikacji, oczywiście. Tak. Ja z Raczyńskim. Ale Sikorski zatwierdził –

pospieszył natychmiast z uzupełnieniem. – Przypominamy przecież w tym komunikacie o zbrodniach niemieckich, pozbawiamy ich prawa do oskarżania kogokolwiek.

– Komunikat jest jednak oskarżeniem.

– Nie. Jest żądaniem przeprowadzenia śledztwa.

– Gdzie? Kiedy? Na terenach zajętych przez Niemców? Wierzył pan przez chwilę, że umożliwią jakiegokolwiek obiektywne dochodzenia?

– Przecież – powiedział Kot – zwróciliśmy się do międzynarodowej organizacji o ogromnym autorytecie.

– Niemcy się też zwrócili do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. I to nawet o dobę wcześniej!

– Nie mogliśmy o tym wiedzieć – mruknął minister.

– Ale mogliście się domyślać – atakował Raszeński. – Przecież wiedzieliście, że zrobią wszystko, aby to wykorzystać. Dla nich to kolosalna gratka!

– Chodziło nam o słusność i sprawiedliwość!

– Dobrze. Rozumiem. Przed chwilą pan powiedział, że braliście pod uwagę stanowisko opozycji. Że opozycja to wykorzysta. A że Niemcy wykorzystają?

Kot wstał. Szybko i nerwowo zaczął chodzić po pokoju.

– Wiem – rzekł – że teraz zaczną obwiniać mnie. Że ja skłoniłem premiera do podpisania komunikatu. – Stanął. – Gzy pan jest w stanie wyobrazić sobie tę noc? Mówi pan: los Polski! A myśmy musieli reagować na zbrodnię. Dobrze, może zbyt pochopnie. Któż jest w prawie nas winić!

– Będą. Dlaczego nie skonsultowaliście się z Anglikami? Kot wzruszył ramionami.

– Nie jesteśmy dominium. Anglicy są zresztą chłodni. Nie rozumieją naszych problemów.

Raszeński wspominając tę rozmowę pamiętał, że z każdym zdaniem ministra jego rozczarowanie stawało się większe. Kot wypowiadał wielkie słowa, ale dziennikarzowi wydawało się, że te słowa przysłaniają małą grę.

– Po co – atakował – ten komunikat Ministerstwa Obrony Narodowej? Zawiera wyraźne już powtórzenie oskarżeń niemieckich. Przecież musieliście wiedzieć, jaką to wywoła reakcję!

– A co pan myśli, panie Raszeński? I jak pan by postąpił?

Andrzej milczał. Chciał zadać Kotowi wiele jeszcze pytań, ale ogarnęło go nagłe zniechęcenie. Węzłak miał rację: Sikorski i jego najbliżsi nie są ludźmi wielkich decyzji.

Wyobrażał sobie tę noc, gdy siedzieli ważąc słowa komunikatu. Oczywiście myśleli o pomordowanych. Ale pisząc, poszukiwali formułek, które zadowolą opozycję i jednocześnie nieco złagodzą straszliwy ciężar rzuconych oskarżeń. Wiedzieli, że zwracając się do Czerwonego Krzyża, wymierzają policzek Rosji Sowieckiej i narażają całą dotychczasową koncepcję Sikorskiego. Więcej: porozumienie aliantów.

– Nie umiem ich potępić – powiedział Ewie – i nie wiem, jak sam bym postąpił...

– Tak samo – mruknęła Ewa. – Jesteś tak samo niezdecydowany jak Kot. Nie stać cię na to, by powiedzieć: „nic nie wskrzesi umarłych”. Nie stać cię nawet na to, żeby twardo i jasno postawić sprawę: śledztwo po zwycięstwie. Brak ci aktu wiary Niekiedy potrzebny jest akt wiary, by móc istnieć. By mógł istnieć naród.

– A ty? – zapytał.

– Ja – odpowiedziała – jestem cyniczną megierą, którą stać na wszystko. Czasami myślę, że właśnie teraz pojechałabym do Moskwy.

– Żeby wstąpić do organizacji, którą tam stworzą komuniści, albo do ich armii?

Wzruszyła ramionami.

– Chciałabym wiedzieć, co stało się ze Stefanem. Żadnej wiadomości.

Poczuł jednak ukłucie bólu. Nie, nie był przecież zazdrosny; ale jednak był.

Minister Raczyński, do którego dotarł już po zerwaniu stosunków z Rosją, wydał mu się człowiekiem patrzącym nieco szerzej niż Kot.

– Jestem skłonny zgodzić się z panem – powiedział – że komunikat był pochopny, ale zerwania i tak nie dałoby się uniknąć. Może od początku należało prowadzić inną politykę?

Myśmy się zawsze wahali między ustępstwami i twardością. Teraz zemściły się na nas ustępstwa.

– Nie rozumiem.

– Nasz protest, nasze oburzenie są po prostu niewiarygodne. Anglicy przestali nas traktować jak poważnych partnerów. – Uśmiechnął się blado. – To wszystko, oczywiście, do pisania nie na dzisiaj.

– Nie jestem tego pewien – mruknął Raszeński – ale ja naprawdę myślę o historii.

– Boję się – powiedział minister – że historia nam nie wybaczy Jesteśmy znowu osamotnieni. Te ciągłe nasze osamotnienia są tragiczne; może istotnie coś tkwi w polskim charakterze? Anglicy uważają, że popełniliśmy kapitalny błąd. Właściwie przyznają niemal rację sowieckim oskarżeniom... że w praktyce przyłączyliśmy się do akcji Goebbelsa.

Oczywiście tłumaczę, że to kłamstwo, że my tylko żądamy śledztwa i wyjaśnień, ale... Sam pan zresztą wie, że ton naszej prasy nie pozostawia żadnych wątpliwości. I to, że Niemcy zwrócili się o dobę wcześniej do Genewy... Wie pan, panie Raszeński – ściszył głos –

przerazające jest to, że nikogo nie interesuje, kto naprawdę wymordował tych ludzi. Dla Churchilla, Edena, a obawiam się, że także dla wielu spośród nas to już tylko element gry.

Rozpacz, przerażenie...

– Przychodzi czasami, gdy budzą się nocą – wtrącił Raszeński.

– Tak – mruknął minister. I innym już tonem: – Mogę panu powiedzieć parę słów o rozmowie premiera z Edenem. Anglik żądał wycofania naszego wezwania do Genewy i zaprzestania propagandy w prasie. Musztarda po obiedzie! Mówił, żeśmy się znaleźli w ślepych zaułku...

– A jak pan sądzi, panie ministrze: czy to jest ślepy zaułek?

– Może nie nasz – powiedział Raczyński. – Może nie tylko nasz. Trzeba mieć nadzieję, że Roosevelt skłoni Rosjan do ponownego nawiązania z nami stosunków. I że w Waszyngtonie będzie się decydować o przyszłości świata.

– Wierzy pan w to jeszcze?

Raczyński nie odpowiedział.

O wierze Polaków w cuda mówił natomiast Basil. Angielski dziennikarz zaprosił

Andrzeja na obiad po komunikacie o zerwaniu stosunków polsko-rosyjskich. Rozmawiali o pogodzie niezwyklej tej wiosny, bo suchej i zdrowej, a Basil tłumaczył, dlaczego klimatyczne anomalie tak często atakują wyspę. Ożywił się nawet nieco, mówiąc o urokach wiosny w Walii i przewidując rozkosze powojennych wypoczynków. Sądził, że Anglicy ruszą na kontynent i na południe, ale on, Basil, pozostanie tutaj, nad morzem, które jest chłodne i kapryśne, ale w istocie bardzo zdrowe. Dopiero po obiedzie, przy herbacie gdy minął

kwadrans trawienia w milczeniu, Basil, nie patrząc na Andrzeja, oświadczył:

– Zdaje się, że tym razem naraziliście się opinii angielskiej bardziej niż kiedykolwiek.

– Opinia angielska – burknął Raszeński – nie lubi kłopotów.

– Nie boi się ich – sprostował Basil – ale nie cierpi, gdy podważa się prawdy oczywiste, które już zaakceptowała. Każdy Anglik wie, że Moskwa walczy bohatercko i że wujek Joe jest okey, a wy powtarzacie niemieckie oszczerstwa. Nikt nigdy nie słyszał o żadnych polskich oficerach, których Rosjanie rzekomo nie zwolnili, a teraz znalazło się ich martwych coś kilka tysięcy... Dlaczego nie mogliście się zdobyć nawet na odrobinę wstrzeźliwości?

– A jeśli to oni? – zapytał Raszeński.

Basil popatrzył na niego chłodno. Wyjął z pudełka drugie po obiedzie cygaro (zazwyczaj palił jedno), obciął je starannie i długo odkładał zapalenie.

– No tak – powiedział wreszcie. – Toczmy wojnę z Niemcami. Niedawno przeczytałem, że obliczacie liczbę wymordowanych w Polsce na półtora miliona. Półtora miliona – powtórzył – w obozach koncentracyjnych i masowych egzekucjach. Nawet jeśli ta liczba jest przesadzona, macie z Niemcami straszliwy rachunek. Jesteście odważni, ale nieodpowiedzialni. Mieliście naszą sympatię i Churchill musiał bronić waszych interesów także wobec Moskwy, chociaż żaden Anglik nie rozumie, dlaczego musicie posiadać ziemie ukraińskie i białoruskie.

– Należały do nas setki lat. A żaden Polak nie pojmie, dlaczego musicie rządzić w Indiach.

Basil się nie obraził.

– No tak – potwierdził. I kontynuował swoją myśl. – Sądzę, że dla Churchilla to nawet wygodne. Powie, że was nie można bronić. Po prostu nie ma sposobu. Pozostaje wam tylko wiara w cuda.

Raszeński powtórzył tę rozmowę Ewie.

– Nie wiem nawet, czy to notować. Czuję się zupełnie bezradny. Zauważ: już nam nie współczują... i nie to jest ważne, że wiele tysięcy naszych oficerów zginęło w lasu katyńskim, ale to, jak myśmy zareagowali. Że jesteśmy nieodpowiedzialni. A może rzeczywiście nasz narodowy los jest szczególnie parszywy?

Ale Ewa nie słuchała.

– Teraz – rzekła jakby do siebie – po zerwaniu stosunków nie ma już właściwie żadnych szans. Ponieważ nie wrócił, został tam. Jak mógł to zrobić? Jak to się stało, że starczyło mu odwagi i zdecydowania?

– O czym ty mówisz?

– Myślałam głośno. Nie gniewaj się. Wszystko to przeszłość. Czasami mi się zdaje, że należymy wyłącznie do przeszłości.

Andrzej nie odpowiedział. Przypomnił mu się sen, który dręczył go któreś nocy i potem, w nieco zmienionym kształcie, pojawił się po raz drugi. Oto szedł z Martą ciemnymi alejami Łazienek. Widział tylko zarysy drzew i jej profil, po raz pierwszy od wielu miesięcy tak wyraźnie i tak blisko siebie. Czuł się spokojnie i dobrze, chciał ją przytulić, gdy zrozumiał

nagle, że się spieszą, że mają mało czasu, że czekają na nich na dziedzińcu Szkoły Podchorążych. Zobaczył światła i ludzi, czarny, groźny tłum, który wypełniał przestrzeń aż do Agrykoli. Wiedział, że idą na Belweder. Ale nie było to powstanie listopadowe, to także wiedział, i nie miał pojęcia, kto zasiada w Belwederze. Było to zresztą doskonale obojętne.

Zagubiła się gdzieś Marta, widział obok siebie twarze obce i jednocześnie znane, pamiętał je z wyrębu lasów na Syberii, z tyraliery w bitwie pod Gródkiem, z Tatiszczewa, gdy piąta dywizja stała wpatrzona w przemawiającego Sikorskiego. Pięli się żmudnie pod górę, biegli i serce waliło mu jak silnik na wysokich obrotach. Wiedział, że za chwilę staną przed pałacykiem i w swej sennej wyobraźni odnajdywał dobrze pamiętany obraz Baryki i muru piechoty, nawet usłyszał, że ktoś mówi obok „oficer w lansadach”... I oto, gdy doszli do Belwederu, Belwederu nie było. Zobaczyli zrytą ziemię, szczątki metalowego ogrodzenia, a dalej wykopaliska przypominające do złudzenia teren archeologicznych poszukiwań w Jangi-Jul. I wysypisko śmieci, metalowych odpadków, resztek mebli... W drugim śnie do Belwederu dochodził od Marszałkowskiej, a Marta szła na czele tłumy i potem, gdy już dotarli do wysypiska, zobaczył, jak znika, rozpada się wśród śmieci i zbytecznych szczątków.

Obudził się i usłyszał spokojny oddech Ewy. Pomyślał, że rano zjawi się w redakcji, wysłucha – paru poleceń i paru plotek, potem zjem obiad z Basilem, siądzie do pracy, a wieczorem pójdą z Ewą na spacer. Tymczasem trwa wojna, na niebie pojawiają się samoloty wroga, toczą się ostre walki na cyplu kurskim, na południe od Orła, na północ od Charkowa...

Amerykanie i Anglicy nacierają w Tunezji, płoną piece w oświęcimskich krematoriach, na ulicach Warszawy młodzi chłopcy... A on, Andrzej Raszeński, jakby w środku, a jednocześnie z boku od tych wydarzeń, czeka na koniec wojny, która, jak twierdzi Ewa, nigdy się nie skończy. Przynajmniej dla nich.

Notatki Tadeusza przechowane wbrew woli autora przez jego żonę, Ewę

...Rozmowa nie była interesująca. Wolałbym z Raszeńskim pogadać sam na sam.

Może zdołałbym go przekonać, żeby tu został, a sądzę, że gadałbym z nim inaczej niż Pawlik, może nawet inaczej niż Wanda. Bo ten chłopak powinien zrozumieć nieodwracalność tego, co się staje i co nastąpi. Mówię „nieodwracalność”, jakbym chciał zrzucić odpowiedzialność na historię, powiedzieć: „Panie Raszeński, i ty, i ja, i my wszyscy nie zmienimy w polskim losie, o którym już zdecydowano. Zaakceptujmy więc ten los i działajmy tak, jak byśmy go sami tworzyli”. (Nie powinienem był tego napisać. Wyobrażam sobie, co powiedziałyby B., który teraz stał się szczególnie czujny).

To, co się tutaj działo z Raszeńskim, nie jest zresztą pozbawione znaczenia dla spraw polskich. Świadczy o pewnej atmosferze (ogromne są obszary nieufności) i dowodzi, że grożą nam niebezpieczeństwa, których się zawsze szczególnie obawiałem i o których, niestety, nie jestem w stanie z nikim rozmawiać. Nawet z Wandą. Myślę o prowokacjach i intrygach, których taka obfitość w polskich sprawach. (Pogadałbym chętnie z Raszeńskim o mechanice dziania się historii, czytałem jego artykuły, ale to nigdy nie nastąpi). I jakież te intrygi bywają piętrowe! Ktoś chciał skompromitować Raszeńskiego, ośmieszyć jego tak zwaną prorosyjskość, ale jednocześnie miał na uwadze (przecież się nie mylę) cele jeszcze rozleglejsze: ujawnić wywiadowczą (jakże amatorską) działalność ambasady i poddać w ten sposób w wątpliwość rzeczywiste intencje Sikorskiego. Może zresztą temu komuś (z ambasady?) zależało nie tylko na wzroście napięcia w stosunkach polsko-radzieckich? Nie wierzę w przypadki: nikt przypadkowo nie zostawia w knajpie teczki ze szpiegowskimi materiałami i nigdy przypadkowo nie zjawiają się (w odpowiednim momencie) ludzie z kontrwywiadu.

A sprawa Radwana? Komu zależało na oskarżeniu tego oficera, wyraźnie sympatyzującego z polityką Sikorskiego, o penetrację środowiska komunistycznego? Czy to oskarżenie osłaniało inne działanie, znacznie bardziej skomplikowaną intrygę? Domyślam się, że oskarżał Piwski, chociaż nikt mi tego wyraźnie nie powiedział. Jaka była rzeczywista rola Piwskiego? Stawiam zapewne naiwne pytania. Może nie należy zaglądać za te kulisy, może zrezygnują z tego nawet historycy? Wiem zresztą, że sprawa Radwana była także osobistym dramatem Ani Pawlik. (Znacznie bezpieczniejszy teren). Rozmawiałem na ten temat z Zygmuntem, już po spotkaniu z pułkownikiem Z., o którym za chwilę. Przekazałem mu oświadczenie pułkownika, ale Pawlik nie wydał mi się zaskoczony i myślę teraz, że wie o tej sprawie znacznie więcej niż ja. (Może się zresztą mylę).

– Uwierzyłeś od razu, że Radwan pełni funkcję wywiadowczą? – zapytałem. – Był przecież twoim dowódcą we wrześniu.

– To nie jest kwestia wiary. Czy naprawdę sądzisz, że jeśli Radwan czegoś się o nas dowiedział, nie mówił? Nawet jeśli nie przyjął takiego zadania.

– Powiedzmy, że wiemy już, że nie przyjął. Robił to ktoś inny i, być może, grał bardziej skomplikowaną grę.

– To nie ma znaczenia – powiedział Pawlik.

– Z Anią na ten temat nie rozmawiałaś?

– Nie. Ona pracuje nadal w szpitalu w Kujbyszewie i ma spokój. Wie, że musieli się rozstać. Z takiego czy innego powodu. Nie będę z nią rozmawiał – zakończył.

Widywałem tę dziewczynę w Kujbyszewie. Podobała mi się. Jej romans z Radwanem nie był dla nikogo z nas tajemnicą. Czy musiał zakończyć się tragicznie? Jakie zresztą znaczenie mają nasze pojedyncze losy?

O Radwanie rozmawiałem z pułkownikiem Z., który zaprosił mnie do siebie po interwencji Wandy w sprawie Raszeńskiego. (Jestem pewien, że sporo o mnie wiedział). Była to jedna z tych rozmów, których się nie zapomina. Siedzieliśmy w dużym gabinecie umeblowanym nawet z pewnym luksusem. Głębokie skórzane fotele, okrągły metalowy stolik... Pułkownik Z. wskazał mi jednak zwykłe krzesło przed biurkiem. Sam także pozostał

na krześle, położył przed sobą kartkę papieru, ale nic nie notował.

– Wy również jesteście przekonani o niewinności Raszeńskiego? – zapytał.

Skinąłem głową.

– Jego udział w machinacjach szpiegowskich – powiedziałem – jest psychologicznie niezmiernie mało prawdopodobny.

– Psychologicznie – powtórzył Z. – A po co Raszeński chciał rozmawiać z wami? Po co mu było potrzebne to spotkanie w Grand Hotelu? Myślicie, że wywiad z paroma komunistami z Kujbyszewa wydrukowałiby mu w londyńskiej prasie?

Wzruszyłem ramionami.

– Chciał sobie wyrobić własny pogląd. Pisał o nas, o Związku Radzieckim w sposób przychylny i odważny. Jak na londyńskie stosunki, oczywiście.

Z. spojrział na mnie surowiej.

– A jeśli osłaniał w ten sposób swoją prawdziwą działalność?

– Nie wierzę – zaprotestowałem – by się to opłacało jego mocodawcom. Teksty Raszeńskiego świadczą o jego uczciwości.

Z. jakby nieco złagodniał.

– Nigdy nie wiadomo, gdzie kryje się prowokacja. Ja reprezentuję nieufność. –

Pochylił się nad biurkiem. – Nikomu nie ufam. Wam także nie – uśmiechnął się lekko. –

Dlaczego tak bardzo zależy Wam na Raszeńskim?

– Bo jest potrzebny. Jeśli mamy grupować wokół siebie uczciwych patriotów, tacy jak on spełniają ogromną rolę. Jestem przekonany, że to prowokacja ludzi z ambasady...

– No tak, możliwe. Ten, kto nas zawiadomił... – urwał nagle, popatrzył na mnie, ale jestem pewny, że powiedział to, co chciał powiedzieć. (Sam się przestraszyłem, gdyż natychmiast przyszło mi do głowy: „on podejrzewa, że ja...”).

– Czy wyście rozmawiali kiedyś z Piwskim? – zapytał nieoczekiwanie.

– Nie.

– A z Raszeńskim sam na sam?

– Także nie.

– Przypomnijcie sobie: może się zdarzyło?

– Nigdy.

– Trzeba – rzekł, jakby zapominając o tych pytaniach i moich odpowiedziach –

postępować ostrożnie. Bardzo ostrożnie. Wy teraz to powinniście rozumieć. Prowokacja możliwa jest wszędzie, wróg jest chytry i podstępny.

– Nie nam służyła kompromitacja Raszeńskiego – powiedziałem.

– Tak, tak – potwierdził jakby niechętnie. – Nie nam. Ale prowokacja może być piętrowa, skomplikowana. – Rozłożył ręce i wydał mi się przez chwilę podobny do wielkiego pająka rozsnuwającego niewidoczną sieć. – Nie wolno nie doceniać wroga. – I nagle zmienił

temat. – Znacie porucznika Radwana? – zapytał zupełnie innym tonem.

– Wiem, kto to jest.

– On nie ma nic wspólnego ze sprawą Raszeńskiego – powiedział pułkownik i patrzył na mnie, oczekując wyraźnie, że ja zacznę na ten temat...

– Stwierdzono – rzekłem – że informował ambasadę o naszym środowisku.

Pułkownik Z. stuknął palcami o blat biurka, na którym leżała tylko czysta kartka papieru.

– Nieprawda. Możecie wykorzystać moją przyjacielską informację – podkreślił

przymiotnik „przyjacielską”. – Może wam się przyda. Radwan nie był zamieszany w żadne takie świństwo.

Chciałem zapytać „skąd wiecie?”, ale się nie odważyłem.

– Piwski... – zacząłem.

– Zupełnie inna sprawa – przerwał pułkownik. – Dajmy jej spokój.

– Kto więc – zapytałem jednak – przekazał Pawlikowi tę nieprawdziwą wiadomość o Radwanie?

Pułkownik uśmiechnął się.

– A kto to jest Pawlik? – zapytał.

Zrozumiałem, że poważna rozmowa jest skończona.

– Dobrze, dobrze – mruknął. – Czasami nieprawdziwe wiadomości też bywają pożyteczne. To znaczy spełniają jakąś rolę. Nie was muszę o tym przekonywać. – Podniósł

się z krzesła. – Uważajcie. Ogromna odpowiedzialność na was spoczywa.

Długo nie mogłem zasnąć. Dlaczego Z. chciał ze mną rozmawiać? Żeby poinformować o niewinności Radwana? Po co mi ta wiadomość? Przestrzec przed interesowaniem się osobą Piwskiego? Przed prowokacją? Jaką?

Nad ranem zasnąłem wreszcie i obudziłem się z uczuciem dotkliwego lęku; w pokoju było zupełnie ciemno, wiedziałem, że jest ciemno, i bałem się otworzyć oczy. A przecież czekał mnie ciekawy dzień, jeden z tych dni, które nie były już puste...

Nie przywykł jeszcze, że może chodzić, jeszcze czuł się niezbyt pewnie, stąpał ostrożnie, a wszystko, co widział, wydawało mu się oglądane po raz pierwszy: niebo, słońce, szare mury kamienic, tłum na ulicach. Moskwa była wiosenna i spokojna; wojna posiadała swoją codzienność, ludzie przywykli do nieustannego lęku o najbliższych, do troski o to, co włożyć do garnka, do nie kończących się oczekiwań. Front oddalił się od Moskwy, zmieniał się ton komunikatów naczelnego dowództwa, zwycięstwo wydawało się coraz bliższe, chociaż ludzie obawiali się także nadziei, która mogła nieść rozczarowanie. Czy koniec wojny naprawdę kiedyś nadejdzie?

Wicherski popatrzył na Radwana, który właśnie przyspieszył kroku, zapominając widać, że wysiłek fizyczny jest mu jeszcze wzbroniony, i uśmiechnął się.

– Wracasz do siebie, Stefan – powiedział. I po chwili dodał: – Żałujesz?

Radwan nie odpowiedział. Czuł się ciągle jak obudzony z długiego snu i rozglądający się po świecie, który wydawał się odmieniony. Czynił ostrożnie pierwsze kroki, nie będąc pewny, czy ta jawa jest naprawdę jawą i czy nie popełnia błędów; których będzie żałował, gdy się obudzi. Usiłował przypomnieć sobie wszystko, co działo się z nim w ciągu ostatnich paru miesięcy, i to ciągle grzebanie w pamięci męczyło go niemal fizycznie. Pamiętał swój pokój w Kujbyszewie i pistolet leżący na stole obok butelki koniaku. „Jednak się nie zastrzeliłem. Zabrakło mi odwagi”. To była pierwsza myśl, gdy obudził się naprawdę, bo, jak mu mówiono, budził się przedtem wiele razy, ale nie odzyskiwał świadomości. Dowiadywał

się powoli, co z nim się działo, i próbował tę uzyskiwaną od lekarzy i pielęgniarek wiedzę zestawiać z majaczeniami, które pamiętał, ze snami, w których, jak się okazywało, zawarte były strzępy rzeczywistości, docierające do niego niby widoki przez mgnienie sekundy oświetlane wybuchem magnezji. Pamiętał pochyloną nad sobą twarz Wysokońskiego, wykrzywioną i odpływającą po chwili niby balon wypełniony powietrzem. Czy był

Wysokoński? Tak, odwiedził go jeszcze w szpitalu kujbyszewskim. Właściwie nie czyniono wiele nadziei. Ostre zapalenie opon mózgowych (jak się później dowiedział, kwestionowano w Moskwie tę diagnozę), podejrzewano także nowotwór, a leczenie rozpoczęto z opóźnieniem, bo leżał dwa dni nieprzytomny w mieszkaniu, zanim znalazł go wysłany przez ambasadora porucznik Daniecki. Tak, przez dwa dni nikt się nim nie interesował. „Mogło się skończyć znacznie gorzej” uśmiechał się potem lekarz. Z Kujbyszewa, jeszcze nieprzytomnego, przewieziono go do Moskwy. „Profesor D. zainteresował się panem osobiście. W Kujbyszewie nie istniały takie możliwości”. Kto to załatwił? Przecież nie ambasada. Nie zapytał Wicherskiego wprost, ale gdy kapitan zjawił się u niego w szpitalu, był już doskonale o wszystkim poinformowany. Skąd się dowiedział?

– Kto ci właściwie o mnie mówił?

– Przecież sam napisałeś do mnie.

Obudził się zobaczył za oknem drzewa pokryte śniegiem i najpierw pojawiła się ta myśl o nie dokonanym samobójstwie, potem o Ani, a potem natychmiast o Wicherskim. Nie, Ania nie odwiedziła go w szpitalu, ale przecież ją widywał. Te majaczenia (bo to były tylko sny) pamiętał najlepiej: Ania, trzymając go za rękę, prowadziła ich ulubionymi ścieżkami nad Wołgę. Trwała ciągle zima, ale śnieg był ciepły i zanurzali się w nim, leżeli na nim jak na puchowych pościeliach. Ten obszar śniegu był kojący i dobry, a daleko za Wołgą widzieli Wzgórza Lwowskie, Wysoki Zamek, Piaskową, Wronowską... Pamiętał, że kiedyś zjawił się Piwski, tak, poznał Piwskiego, i wówczas strzelił, a Ania zaczęła krzyczeć... Musiało być w tym miejscu jakieś wślizgnięcie się rzeczywistości, bo twarz i potężna postać profesora D.

właśnie w czymś mu Piwskiego przypominały, a profesor D., jak opowiadała potem siostra Nina, przychodził codziennie, siadywał przy łóżku Radwana i wsłuchiwał się w jego mamrotanie, obserwował niespokojne ruchy rąk.

– Co to właściwie było? – zapytał profesora, gdy już siadywał na łóżku i nawet zaczynał czytać.

Profesor uśmiechnął się.

– Czasami – rzekł – ścisłe diagnozy bywają mylące. Było także zapalenie opon mózgowych. – Podkreślił słowo „także”. – Ale przyczyny... Przyczyny, młody człowieku, mogły tkwić w pańskiej psychice, w przeżyciach. Najpierw podejrzewałem nowotwór, a potem zainteresował mnie pan naprawdę. Co to było?

Radwan wahał się sporą chwilę.

– Niemożność podjęcia decyzji – powiedział wreszcie. – Niemożność tak bolesna i tak całkowita, że

należało albo strzelić sobie w łeb, albo... Nie wiem czy pan to rozumie, profesorze?

– Rozumiem. – Profesor pokiwał głową. – Ale, niestety, nikt nigdy za nas żadnej decyzji nie podejmie.

Gdy całkowicie odzyskał przytomność, napisał do Wicherskiego pod adres, który otrzymał od niego w Krasnowodsku. Czy to było podjęciem decyzji?

– Powinienem – stwierdził, gdy pojawił się Wicherski, a pojawił się bardzo szybko – strzelić sobie w łeb. Byłoby to zgodne z honorem i całym dotychczasowym życiem.

– Byłoby to zwykłą tchórzliwą ucieczką.

– Ja przecież uciekłem, chociaż nie uczyniłem tego świadomie. Zastanów się –

wybuchnął nagle – na jakiej podstawie miałem decydować o sobie? Jakim prawem?

– Myśleć...

– Dlaczego niby ja, Stefan Radwan, mam się uważać za mądrzejszego od Sikorskiego, Andersa czy nawet Wysokońskiego... Oni więcej wiedzą, mają więcej przesłanek... Przecież pojęcia nie mam, czy ty masz rację, komuniści czy Wysokoński...

– Ale sam widzisz... że tylko stąd...

– Tak, tak, oczywiście – mówił nerwowo, chaotycznie i Wicherski się przestraszył, że ta rozmowa jest przedwczesna. – Do mnie przemawiają te argumenty. Jeśli wróciłbym do Londynu, stanąłbym zapewne przed sądem. Ale nie tego się boję. Gdybym tam wrócił, nie zobaczyłbym już nigdy Ani. Wiem to.

Wicherski się uśmiechnął.

– Ambasada się mną nie interesuje. Pytałem lekarzy, lekarze mówią, że nawet by nie zezwolili...

– Oni teraz mają zupełnie inne kłopoty.

– Dowiedz się – prosił Radwan – czy nikt więcej...

– Nie, nikt więcej. Chcesz, żebym zawiadomił?

– Nie.

Może Ania nie wiedziała? Był przekonany, że nie wie (chciał być przekonany), ale postanowił czekać. Myślał o niej, powracał do majaczeń, które ciągle wydawały mu się równie rzeczywiste jak rzeczywistość, ale coraz częściej w jego wspomnieniach zaczęła się pojawiać Ewa Kaszelska. Inaczej niż Ania. Ewie mógłby opowiedzieć, co przeżył. Dokładnie, bez przeinaczeń i wstydu.

Właśnie – bez wstydu. Bo Ani nie mógłby o strachu, który nim targnął, gdy wziął do ręki pistolet. „Nawet nie myślałem, że tak trudno zdecydować się na śmierć”. Takie słowa, jak honor, miłość, wierność, stają się nagle mniejsze. Trzeba umierać dla mniejszych słów. Wiedział, że Ania by tego nie zrozumiała. Ewa tak. Ewa wiedziała, co to znaczy bezradność. Ania – potrzebna, niezbędna, pożądana – miała na wszystko gotowe recepty. Człowiek musi decydować. Człowiek nie jest sam. Każdy uczciwy Polak... Co ma robić uczciwy Polak? I to taki stojący w środku? Oskarżony przez jednych i przez drugich.

– Nie jesteś oskarżony – pokajał go Wicherski. – Będziesz nam potrzebny. Pułkownik wie o tobie. – Chodziło oczywiście o Berlinga.

Po pierwszej rozmowie z Wicherskim stał się znacznie spokojniejszy. Podjął więc już decyzję, już jest dezertorem, zdrajcą... Wysokoński będzie usatysfakcjonowany, uzna, że miał

rację, ale on, Radwan, nie będzie się już dręczył ani szukał usprawiedliwień. Niechby tylko powstało to komunistyczne czy jakie tam wojsko. Wicherski twierdził, że z pewnością powstanie. I istotnie: stąd najbliżej.

Któregoś dnia zjawił się w szpitalu oficer NKWD. Nie był niegrzeczny; można nawet uznać, że zbyt ugrzeczny. Powiedział: „to formalność”, ale Radwan po tej rozmowie czuł

się fatalnie. Od tego Rosjanina dowiedział się o zerwaniu stosunków.

– Wiem – powiedział oficer NKWD – że należy pan do uczciwych Polaków, którzy chcą walczyć u boku Armii Czerwonej. Chcielibyśmy jednak usłyszeć od pana o powodach pozostania w Związku Radzieckim.

Dlaczego Radwana to zmroziło? Dlaczego tak niechętnie i z trudem wykrztusił parę frazesów na temat najbliższej drogi do kraju i potrzeby ułożenia wzajemnych stosunków?

Pytania były przecież zasadne i spodziewał się tej rozmowy.

Gdy oficer zapytał jednak o stosunki w ambasadzie, o opinię Radwana o Wysokońskim, Stefan odmówił odpowiedzi.

– To nie ma znaczenia. Moje opinie się nie liczą. Chodzi wyłącznie o mnie.

Rosjanin uśmiechał się i nie protestował. Stefan pomyślał, że oni mają czas, i znowu zamarzył o mundurze, o froncie, o wykonywaniu żołnierskiego rzemiosła, które jest proste i uczciwe.

A teraz szedł obok Wicherskiego ulicą Moskwy, wszystko już się stało i wiedział, że muszą zacząć rozmowę, której nie chcą, ale której nie da się uniknąć.

– Myślisz ciągle o tym? – zapytał Wicherski.

– Tak – potwierdził Radwan.

– Posłuchaj. To zrobili Niemcy. Nie możemy mieć wątpliwości. Nie wolno nam wątpić. Niemcy! – krzyknął. – Oni ich wymordowali!

– I żaden nie zdążył uciec?

– Bo nie zdążył. Czy sądzisz, że to niemożliwe? Całkowicie prawdopodobne. Niby dokąd mieli uciekać? Do Polski – setki kilometrów, a na wschód nie chcieli.

Radwan milczał. Patrzył na Wicherskiego. Na twarzy kapitana gorycz i ból żłobiły coraz głębsze zmarszczki. Pod oczyma pojawiły się czarne worki. Wicherski chciał się uśmiechnąć, ale nie zdołał. Tylko skrzywienie ust...

Skręcili w wąską uliczkę i weszli do kamienicy, w której mieszkał Berling.

Zadzwonili, drzwi otworzył im wysoki mężczyzna z kieliszkiem w ręku i wprowadził do pokoju wypełnionego ludźmi. Żona Berlinga, Maria, stawiała na stole kieliszki. Radwan rozejrzał się, dostrzegł natychmiast pułkownika Walickiego, chciał zameldować się Berlingowi, zapominając o swych cywilnych ciuchach, ale nikt nie zwracał na nich uwagi.

Dopiero Wanda...

– Jest dywizja! – krzyknęła. – I wszystko trzeba robić cholernie szybko, cholernie szybko!

Radwan podniósł kieliszek. Pomyślał o Sikorskim... Co powie naczelny wódz, gdy dowie się, że syn majora Radwana... Nie, nie powinien się cieszyć. Może wstąpić do tej dywizji, może uznać, że tak trzeba, ale nie będzie się cieszył z porażki, bo przecież porażka generała Władysława Sikorskiego, który kiedyś, przed dwudziestoma trzema laty posłał na śmierć jego ojca... Odstawił kieliszek na stół i napotkał zdziwione spojrzenie Wasilewskiej.

Notatki kapitana Zbigniewa Wicherskiego pisane z myślą o wykorzystaniu w przyszłości

...Jest więc Radwan, a ja nie wiem, czy powinienem się cieszyć, choć przecie zależało mi, żeby ten chłopiec był ze mną, i zrobiłem wszystko... Dawno zarzuciłem wędkę, ale nie moją przynętę chwycił. W istocie o jego losach zdecydował przypadek i głupota Wysokońskiego. On sam nie podjął żadnej samodzielnej decyzji. Zresztą... nie jest to konieczne. Będzie teraz ucziwie z nami, jak ucziwie był z Sikorskim. Może nie dostrzeże sprzeczności? Może nie zrozumie, a w każdym razie nie od razu zrozumie, na jakim zakręcie się znalazł? Mogłoby wynikać z tego, co napisałem, że nie cenię Stefana zbyt wysoko...

Przeciwnie. Bardzo go lubię. Jest doskonałym oficerem, dobrym Polakiem, dzielnym, szczerym... W charakterystyce służbowej żadnego minusa. Po prostu przerosła go sytuacja.

Zabawne, że właśnie Radwana oskarżyli komuniści o informowanie ambasady. I że ta jego dziewczyna uwierzyła... A może nie uwierzyła, tylko doszła do wniosku, że musi z niego zrezygnować? Dość okrutna decyzja... Oskarżenia cofnięto, ale Radwana będą akceptowali z pewnym trudem. Jego sprawa (jeśli coś takiego naprawdę istniało) stanie się jednym z tych pozornych problemów, które komuniści niezmiernie lubią roztrząsać. Właśnie – pozornych.

Poznaję ich coraz lepiej, ludzi, z którymi związałem swój los i którzy zapewne (wszystko o tym świadczy) będą decydować lub współdecydować o kształcie Polski. Jestem z nimi, ale nie jestem (i nigdy nie będę) jednym z nich. Zbyt wiele nas różni... Wydaje mi się niekiedy, że Radwan ma szansę przekroczenia pewnej granicy, której ja nie przekroczę.

Należy do tych, którzy umieją wierzyć bez zastrzeżeń i widzą świat w biało-czarnych barwach. Jeśli jeszcze powróci do niego dziewczyna... Nie znaczy to jednak, że stanie się jednym z nich. Inaczej: może być jednym z nich bez osiągnięcia wtajemniczenia (którego i ja, oczywiście, nie posiadam, ale którego się domyślam), polegającego na jednoczesności wiary i wątpliwości, posłuszeństwa i wyzwolenia, ideowości (autentycznej) i cynizmu, a przede wszystkim na dramatycznym poszukiwaniu własnej tożsamości. Wielokrotnie chciałem porozmawiać o tym z Tadeuszem, który jest najinteligentniejszy z nich, i wielokrotnie rezygnowałem. Bo zapewne nie umiałbym precyzyjnie wyjaśnić, o co mi właściwie chodzi. A może bym się nie odważył? Już nie odważył.

Właśnie z poszukiwania tożsamości wynikają te ostre zwarcia między nimi. Te boje o kształt słów w artykule, odezwie, referacie, ulotce... O charakter polskiej organizacji. O to, czy ten „front wszystkich uczciwych patriotów”, ta „Polska demokratyczna” (rzadko używane bywa słowo „socjalizm”) – to tylko taktyka czy zmiana strategii. Dla mnie te boje pozbawione są rzeczywistej treści, dla nich – najważniejsze. Jaki ma być polski orzełek i czy w ogóle orzełek? Jakie stopnie wojskowe? Czy zachować sierżanta, czy zastąpić go przez starszynę? Czy można, czy wolno mówić o jakiegokolwiek rozbieżności, różnicy między interesami Polski i Związku Radzieckiego? Dla niektórych spośród nich samo dopuszczenie takiej myśli równa się świętokradztwu. (Niekiedy zresztą ich oburzenie wydaje mi się zbyt ostentacyjne).

Ja mogę brać udział w dyskusjach, mnie wolno, jestem na szczególnych prawach, mnie poklepuje się po ramieniu i mówi „tak, tak, oczywiście, chodzi przecież o dobro Rzeczypospolitej”. Przedwojennych oficerów (którym się ufa, ale ufa w sposób ograniczony) podejrzewa się jednocześnie o pewien polityczny infantylnizm i ciągoty nacjonalistyczne. Są to ciągoty niejako dozwolone, a nawet traktowane pobłażliwie. Natomiast oskarżenie komunisty o nacjonalizm jest dla podejrzanego niezwykle groźne. Marne to zresztą oskarżenie.

Wyraźnie powstają dwie grupy (choć wszelkie tego rodzaju podziały u komunistów są niezwykle trudno uchwytnie); jedna, którą zapewne w przyszłości (a w pewnym stopniu już teraz) oskarży się o nacjonalizm, a która najzupełniej serio (tak się przynajmniej wydaje) traktuje nową strategię polskiej lewicy, i druga, dla której rzeczywistym miernikiem jest wyłącznie interes Rewolucji. Napisałem to słowo z dużej litery i czuję, że wyrażam się nieprecyzyjnie. Może się zresztą mylę? Może te podziały to złudzenia, przemijające konfiguracje, nieufności (ileż między nimi nieufności) osłaniające rzeczywiste dramaty? Nie, podziały istnieją, ale rzadko lub niechętnie bywają ujawniane i charakteryzowane. Dają o sobie znać przy rozstrzyganiu konkretnych spraw, najczęściej nie zasadniczych, a nigdy nie mówi się o tym, co, moim zdaniem, najważniejsze...

Odważyłem się kiedyś powiedzieć to Tadeuszowi.

– Przecież – powiedziałem – nie wystarczy wam już jako główny drogowskaz wierność rewolucji i Związkowi Radzieckiemu.

– Co przez to rozumiecie? – zapytał podejrzliwie.

– Że tworząc polską organizację i polską armię, uznajecie odmienność polskich interesów.

– One nie są odmienne.

– Ale mogą być – powiedziałem. – Przecież w pewnym sensie chcecie być spadkobiercami tradycji Rzeczypospolitej, a teraz także polityki Sikorskiego, a przynajmniej pewnych jej podstawowych i nie realizowanych konsekwentnie zasad. Jestem z wami, bo nie widzę innego wyjścia niż współdziałanie z Rosją, sądzę, że rzeczywisty interes Polski tego wymaga. Ale jest różnica między współdziałaniem a tożsamością.

Tadeusz milczał. Nie jest to temat, który podjąłby w rozmowie ze mną. Wie, że frazesy nie wystarczą. A może naprawdę ten dylemat nie istnieje dla niego i nie wyobraża sobie, że może zaistnieć? A może podświadomie się lęka, że będzie musiał kiedyś odpowiedzieć na pytanie: komu wierność?...Z kim i z czym utożsamiam się do końca, bez reszty...

Są więc nieszczęśliwi... Bo ja nie. Nie mam kłopotów z tożsamością. I nie przeżywam ich dramatów. Po namyśle podjąłem decyzję, że ta droga jest słuszna. Wiem, że trzeba ją torować w świadomości obu narodów. I wiem, że przyjaźń nie wyklucza różnic, sporów, konfliktów... A jednak (dobrze, napiszę to) zazdroszczę im. Nawet Pawlikowi, którego nie cierpię. Oni mają wizję przyszłości: rozdarci, nieszczęśliwi, wierni i niewierni dostrzegają kształty Jutra... Ja – nie. Nie wiem nawet, jakiej bym chciał Polski. Wolnej, niepodległej, demokratycznej – oczywiście, ale czy sens tych słów jest zupełnie jasny, jednoznaczny?...

Wszyscy je powtarzają...

„Przecież będzie u was socjalizm” – powiedziała mi Maja. Właśnie! Maja to osobny rozdział, muszę o niej napisać i jeśli kiedykolwiek nastąpi czas pokoju, wrócę tutaj, wysiądę na stacji Majakowskaja, pójdę na trzecie piętro starej kamienicy albo wjadę windą na dziesiąte biur Gławstroja, wezmę ją za rękę i powiem: „Jedziemy teraz do Warszawy”. Ona w to oczywiście nie wierzy. Jestem dla niej trochę egzotyczny, wprawdzie „jej mężczyzna”, a jednocześnie ktoś obcy, chciałaby kochać i boi się tej miłości, która może przynieść tylko ból i rozstanie. Jest przecież dostatecznie, odważna, by nie ukrywać tego związku, i dostatecznie mądra, by nie wierzyć w jego trwałość. A ja wierzę... W jej pokoiku we wspólnym mieszkaniu (już nie wiem sam, ile rodzin mieści się w zakamarkach tego apartamentu, który należał kiedyś do bogatego kupca pierwszej gildii) leżymy pod dwoma kocami i ogrzewam ją długo, zanim zacznę całować. Nocą wydaje mi się, że nigdy żadnej kobiety nie pragnąłem tak mocno jak Mai, dniem jej odmienność, jej prostota rażą mnie i niepokoją. „Głodowałaś w pańskiej Polsce? Ale patrzyłeś obojętnie na głodujących! I byłeś oficerem burżuazyjnej armii!

Jak mogło do tego dojść, że ty... w tamtej armii. Strzelałbyś do naszych żołnierzy? Strzelałeś do robotników?” Właściwie trudno zaprzeczyć i trudno cokolwiek Mai wytłumaczyć.

Czasami próbuję i wtedy jest źle. Zresztą próbuję tylko dniem, a dniem nie lubię jej pokoju.

Ze starej szafy obłazi lakier, wypłowiałe obicia dwóch foteli pamiętają chyba czasy carskie, a na stole, na brudnej ceracie stoją dwie szklanki i leży otwarta puszka konserw... Nie, Maju, nie strzelałem do głodujących i nie miałem krwiożerczych przełożonych ani kolegów i Kocham cię, chociaż nic nie rozumiesz i nigdy nie będziesz rozumiała. Właśnie. Czy kiedykolwiek uwierzysz, ile męki kosztowała mnie decyzja pozostania tutaj? Dla ciebie proste to i oczywiste. „Przecież nie mogłeś postąpić inaczej”. Ależ mogłem! A jeśli się myślę?

Jeśli ta droga, z całą pewnością do Polski najkrótsza, prowadzi jednak donikąd? Nie, po stokroć nie. Otaczasz mnie w nocy ramieniem, oddycham ciepłem twojego ciała i chciałbym zapomnieć, ale wiem, że nie zapomnę. I będą mnie dręczyć wątpliwości i lęki, nie te, które dręczą Tadeusza, ale, jak ja je nazywam, zasadnicze, generalne, dotyczące polskiego losu...

Nie znalazł się w pierwszej grupie jadącej do Sielc. Gdy przyjechał, obóz już istniał; napływający codziennie ludzie stawali się wojskiem, a Radwan wiedział ze swoich doświadczeń w Coëtquidan, jak się to „stawanie” odbywa. Tu było zupełnie inaczej, starał się Wicherskiemu wyjaśnić, na czym ta inność polega, ale okazywało się, że nie umiał. Że słyszy się często język rosyjski? Tam słyszano francuski. Że ludzie są nieufni i podejrzliwi? Tam też istniała podejrzliwość. Może ogromne rozczarowanie, jakie przeżyli ci, którzy tu przybywali ze wszystkich najdalszych stron ogromnej Rosji, i strach przed nowym niespełnieniem odgrywały znaczną rolę w kształtowaniu stosunku nowych żołnierzy do tego wojska, w którym kazano nosić orzełek zupełnie nie przypominający dawnego, ale taki sam orzełek nosił ksiądz major, który odprawiał tu mszę świętą.

– Zbyt ni sentymentalizm – powiedział Radwan. – Nie wiedziałem, że komuniści są tak sentymentalni.

– Może to właśnie potrzebne – Wicherski się uśmiechał – żeby powstało wojsko?

Powiedziano Radwanowi, że zostanie dowódcą kompanii, która właśnie się formowała. Był to awans, w trzydziestym dziewiątym dowodził plutonem, przygotowywał się więc starannie, studiował rosyjskie regulaminy, brał udział w ich przekładzie na język polski.

A do obozu każdego dnia przybywali nowi żołnierze. Przy drewnianej bramie, na brzegu Oki, łagodnym i piaszczystym, który istotnie przypominał brzeg wiślany, witał tych mężczyzn, młodych i starych, w łachach, w wyszarganych wojskowych kurtkach, z kuframi i tobołami, dyżurny oficer polityczny. Nieufnie słuchali, gdy mówił: „To nie jest dywizja Armii Czerwonej. Jest to dywizja polska podporządkowana Związkowi Patriotów Polskich. Będzie ona walczyć ramię w ramię z Armią Czerwoną o wyzwolenie Polski, o Polskę – nie o republikę radziecką – ale ze Związkiem Radzieckim zaprzyjaźnioną...” Potem, zanim jeszcze poszli do łaźni, oglądali to miasteczko namiotów, baraków, dawnych domków letniskowych, które wydawało się może nieco zbyt teatralne, ale wzruszało. Bo uliczki nazywały się Marszałkowska albo Nowy Świat, a ze skorup, z drobno tłuczonej cegły, z pokruszonego węgla ułożono przed namiotami pracowite mozaiki, przedstawiające białe orły i napisy „Warszawa”.

W baraku rejestracyjnym przyjmowano nowo przybyłych. Urzędował tam często kapitan Wicherski, a także pułkownik Walicki, który, jak dowiedział się Radwan, był jednym z zastępców Berlinga. Pułkownik Walicki stanowił dla Stefana zagadkę, ale jego obecność uspokajała go jakoś, a zarazem napawała optymizmem. Walicki był przecież jednym z przyjaciół Sikorskiego i jeśli on zdecydował

się na ten krok...

Parę dni po przybyciu do Sielc polecono Radwanowi zameldować się u niego. Cieszył

się na tę rozmowę, chciał Walickiemu zadać wiele pytań, ale zeszywniał, gdy wszedł do izby zajmowanej przez pułkownika w baraku sztabowym. Obok Walickiego, nieco z tyłu, siedział

Zygmunt Pawlik w mundurze porucznika. Radwan zameldował się Walickiemu i z trudem powstrzymał od zadania Pawlikowi pytania: „Skąd te gwiazdki?” Usiadł na krzeselku.

– My się znamy – powiedział Pawlik. – Żeby wszystko było jasne – zwrócił się do Radwana – powiem, że oskarżenie, które na tobie ciążyło, okazało się niesłuszne. Prowokator informował ambasadę o nas – dodał z pewnym trudem.

Radwan chciał natychmiast zapytać: „Czy powiedziałaś Ani?”, ale ogarnęło go nagłe zniechęcenie i rozpacz. Milczał. Z jaką łatwością oskarżano go, o nic nie pytając i nic nie sprawdzając, niszcząc jego miłość i jego życie! A teraz równie łatwo odwołano oskarżenia.

Pawlik i Wysokoński wydali mu się nagle niezmiernie do siebie podobni. „Informowałeś ambasadę!” „Informowałeś komunistów!” A ktoś grający podwójną, a może potrójną grę bez wahań poświęcał Radwanów, których było dostatecznie dużo, by się o nich nie troszczyć.

Rozmowa z Walickim przestała go nagle interesować. Cóż miałby do powiedzenia pułkownikowi? Nic!

– Chcielibyśmy więcej o was wiedzieć, poruczniku Radwan – zaczął Walicki. –

Cieszymy się, że jesteście z nami – dodał nie patrząc na Pawlika, który wyraźnie zeszywniał.

– Powiedzcie nam o powodach, dla których zdecydowaliście się pozostać.

Radwan milczał długo. Mówić o sobie? Tutaj, w obecności Pawlika? Powtarzać zdania, które często wygłaszał Wicherski?

– Powody są chyba jasne – odpowiedział wreszcie sucho – te same, dla których zapewne pan tu pozostał, panie pułkowniku.

Walicki uśmiechnął się, a Pawlik rzucił ostro:

– Jednak chcielibyśmy, żebyś powiedział wyraźnie.

– Zdezerterowałem, złamałem przysięgę. Czy to nie wystarczy, nie mówi samo za siebie? Czy chcesz – zwracał się teraz do Zygmunta – żebym powtarzał okrągłe zdania, które umiesz wygłaszać lepiej ode mnie? Jeśli nie macie do mnie zaufania, powiedzcie.

Pawlik chciał zabrać głos, ale Walicki go uprzedził.

– Nie bądźcie tacy ostrzy, poruczniku, nie ma powodu się denerwować. Rozumiem was. Obaj należymy do tych – wyłączył teraz Pawlika – którym trudno było podjąć decyzję.

Ale jeśli ją podjęliśmy, jeśli wzięliśmy na siebie ryzyko pójścia drogą zupełnie nową, musimy być konsekwentni.

– Staram się.

– Wiem, że był pan oddany Sikorskiemu – ciągnął Walicki. – Ja także. Nie traktuję tego, co zrobiłem, jak zdrady. Jest to wybór polityczny. Być może wódz naczelny zrozumiałby moje argumenty. – Popatrzył przez chwilę na Pawlika. – Jednym z nieszczęść historii Polski był brak elastyczności naszych wodzów. Nie umieli zmienić polityki nawet wówczas, gdy stawało się oczywiste, że kontynuacja dotychczasowej prowadzi do narodowego nieszczęścia. Od Poniatowskiego do Rydza.

„Poszukiwanie argumentów – pomyślał nagle Radwan. – Może on także nie jest zupełnie pewien? A może nigdy nie osiąga się całkowitej pewności?”

– Ja – rzekł – nigdy nie uważałem się za polityka. Uważałem zawsze, że intencją naczelnego wodza było walczyć wspólnie z Rosjanami. I długo nie wiedziałem, jaką powinienem podjąć decyzję. Może w jakiś sposób – dodał nagle szczerze – ta decyzja została podjęta poza mną. Ja przecież naprawdę wiem tak mało...

Walicki spojrzał na niego, a może tak się Radwanowi wydawało, z ojcowską niemal serdecznością.

– Mój chłopcze – powiedział – wierzymy ci. Obejmiesz kompanię...

Zygmunt Pawlik nie mógł przyznać Walickiemu racji. Byłoby jednak błędem podejrzewanie Pawlika o prymitywizm lub tępy dogmatyzm. Pawlik rozumiał (i wielokrotnie to podkreślał) potrzebę elastycznej polityki, a także nowej strategii w sytuacji wojny z Niemcami. Jednakże jego nieufność do Walickiego, Wicherskiego, Radwana (obejmująca również dowódcę dywizji) miała powody głębokie.

– Dobrze – wyjaśniał Wandzie – oni przyznają nam rację w sprawie współdziałania ze Związkiem Radzieckim, ale jutro, pojutrze, rok po zwycięstwie mogą dojść do wniosku, że to przymierze jest już dla Polski nieopłacalne. Oni nas tolerują jako zło konieczne w określonej sytuacji, ale myślisz, że Walicki naprawdę marzy o takiej Polsce, do jakiej my dążymy, o takim wojsku, jakie my chcemy budować? Mówimy: uczciwi patrioci... Pięknie, zachłystujemy się tym patriotyzmem, powołujemy się na Grunwald, kosynierów, gotowi jesteśmy śpiewać legionowe piosenki, służyć do mszy, ale przecież nie przelicytujemy Walickiego, bo dla niego legionowa piosenka to nie żaden kamuflaż, nie żadne udawanie, ale własne życie. On wie, że my wywodzimy się z tych, którzy nawoływali do strajków, gdy Armia Czerwona szła na zachód, a on walczył pod Radzyminem czy Zamościem... Dobrze, teraz nam po drodze, ale nie dajmy im kształtować wojska, mówmy bardziej otwarcie, co myślimy naprawdę. Sikorski chce demokratycznej Polski i my... Niczym się ta Polska nie różni, tylko stosunkiem do Związku Radzieckiego? W tej nacjonalistyczno-patriotycznej frazeologii utracimy naszą odmienność. Czy naprawdę sądzimy, że hasła rewolucyjnych przekształceń nie mogą być atrakcyjne?

Wanda niezbyt chętnie podejmowała te dyskusje. Pawlik zaś wykorzystywał wszystkie możliwe okazje, by zaprezentować swój punkt widzenia.

– Dostrzegam – twierdził – pewną groźną podwójność w naszym myśleniu i działaniu.

Czy naprawdę sądzicie, że nam wierzą, gdy klękamy podczas mszy? Nigdy nie zapomnę, jak Wanda i Janka siedziały całą noc, by usunąć z ornatów, stuły, kielichów, które należało wręczyć księdzu Kubszowi, napisy „Antireligioznej muzeum goroda Moskwy”. Biedny Kubsz...

Popełnił grzech śmiertelny, ale on przynajmniej wierzy, niczego nie udaje i naprawdę przeżywa...

– Przestań – powiedziała niechętnie Wanda.

Było to podczas jednej z jej wizyt w Sielcach. Zebrali się w dużej izbie baraku sztabowego, by omówić aktualne sprawy dywizji. Znaleźli się tu wyżsi oficerowie polityczni, przyszedł Tadeusz, zaproszono również Wicherskiego.

– Czy nie sądzicie – ciągnął Pawlik – że brak szczerości, brak otwartego mówienia tego, co naprawdę myślimy, może się okazać szkodliwy. Boję się cynizmu, dwumyślenia, nawyku pozorowania... Inny program dla wtajemniczonych, inny dla mas...

– Nieprawda! – Wanda prawie krzyknęła. – Mamy jeden program, który uważamy za słuszny. A jeśli wybiegamy w przyszłość...

– To tylko we własnym gronie – przerwał Pawlik.

– Nie ma w tym żadnej sprzeczności. To nie cynizm. Reprezentujemy rzeczywiste interesy Polski.

– Rzeczywiste interesy – powtórzył powoli Zygmunt. – Nie odczuwasz zakłamania tej frazeologii? Jej nacjonalistycznej podszewki?

– Nie oskarżaj o nacjonalizm...

– Mówmy o konkretnych sprawach – Tadeusz uciął tę dyskusję.

– Są także konkretne, które się ściśle wiążą – mruknął Pawlik. – Choćby sprawa porucznika Radwana...

– Wydawało mi się – powiedział Wicherski – że ta sprawa jest już załatwiona.

– Nie – rzekł Zygmunt. – Moim zdaniem, mianowanie go dowódcą kompanii było niesłuszne. Istnieją pewne granice tolerancji. Jakiego właściwie chcemy wojska? To, które zbudują Waliccy i Radwanowie, może się niczym nie różnić od przedwrześniowego. Dobrze: najszersza platforma rekrutacyjna, ale sprawdzony korpus oficerski. O Radwanie można w najlepszym razie powiedzieć to, że jest niezdecydowany. Jak wpłynie na żołnierzy?

– I wystarczy – Wicherski nie krył swej niechęci – aby porucznik Pawlik wygłosił

pogadankę, żeby zmienić ludzi. Pawlik mówi o fikcjach i pozorach, a sam chce tworzyć pozory.

– Słusznie – przytaknęła Wanda. – Zmienianie ludzi to bardzo powolny proces.

– Znam Radwana od lat – kontynuował Wicherski. – Jeśli odrzucimy takich uczciwych chłopców, jak on, kto nam pozostanie?

– Czy uczciwość jest jedynym kryterium w naszej polityce kadrowej? – rzucił Pawlik.

– Tworzymy polską jednostkę wojskową, ale nie partię polityczną – powiedział

Wicherski. – Polską – powtórzył z naciskiem. – Radwan nikogo nie informował w ambasadzie, jak mu niesłusznie zarzucano. Przeszedł głęboki szok. I podjął decyzję, która była dla niego bardzo trudna.

– Jeśli ją podjął samodzielnie – mruknął Pawlik.

– Z taką czujnością daleko nie zajedziecie – zareagował ostro Wicherski.

– To człowiek pochodzący z całkowicie obcego środowiska – Pawlik był uparty. –

Jego ojciec był wysokim oficerem w dwudziestym roku.

– A ja? – zapytała Wanda. – Z jakiego środowiska pochodzę? Wiesz, kim był mój ojciec? Najbliższym przyjacielem marszałka Piłsudskiego. A marszałek – moim ojcem chrzestnym.

– Ty się sprawdziłaś – Pawlik nie kapitulował.

– Wszyscy musimy się sprawdzać. – W głosie Wandy zabrzmiały ostrzejsze tony. –

Nie udajemy nowego programu, jak twierdzi Pawlik. My mamy nowy program. A każde wielkie przedsięwzięcie zakłada wielkie ryzyko. Ryzykiem jest Radwan, ale także, wybaczone, Zygmuncie, ty jesteś ryzykiem. Czy sprawdzisz się w nowej sytuacji?

– To odważne, co mówisz...

– Nie sędzę – uśmiechnęła się Wanda. – Ja po prostu nie udaję. Wszystko można o mnie powiedzieć, ale nie to, że gram. Uważam, że Radwan powinien objąć kompanię i że to nie jest taktyka... My nie pozorujemy jedności, my do niej dążymy... – Spojrzała na Tadeusza.

Nie odezwał się. Wydawało się, że nie słucha, zatopiony we własnych myślach. – A ty? –

zwróciła się do niego. – Jakie jest twoje zdanie?

Tadeusz nie odpowiedział.

– Widzisz – odezwał się natomiast Pawlik – my czujemy się tutaj trochę jak w rodzinie...

– To mnie także niepokoi – przerwała Wanda. – Jakbyśmy za dużo myśleli o sobie...

Tacy wszyscy dobrze znani, związani od lat, razem w trudnych godzinach... Wiadomo: Jurek, Lucek, Włodek, Janka, Wanda, Mietek, Marian, Zygmunt... Potem będziemy o sobie pisać, siebie wspominać. A przecież, moi drodzy, jesteśmy tutaj tylko jak drożdże, właśnie jak drożdże, Zygmunce, które w narodowym cieście dadzą wyrosnąć nowym wartościom. A kogóż obchodzi, co drożdże czują...

– Wanda ma oczywiście rację – włączył się wreszcie Tadeusz – i w praktycznych wnioskach także... myślę o Radwanie, ale tego, co powiedział Pawlik, nie można chyba bagatelizować. Może to sprawy odległej przyszłości. Nie wiem, czy teraz powinniśmy o nich myśleć, ale... wyobraźmy sobie, że partia klasy robotniczej obejmie władzę w kraju. Czy lepiej wówczas ucziwie powiedzieć, że to nie demokracja, ale dyktatura, że nie ogólnonarodowa zgoda, ale walka klas; czy lepiej ustępować, pozorować, na przykład, wolne wybory... Każde udawanie, każda nieszczerłość prowadzi do cynizmu, do nadużyć...

– Daj spokój – przerwała Wanda. – Wszystko zależy od konkretnej sytuacji. Czasami trzeba tak, czasami tak. Elastyczność w polityce zalecał już stary Marks.

– Właśnie tego się boję – powiedział Tadeusz.

Radwan uczestniczył niekiedy w pracach komisji rejestracyjnej, a było to zajęcie ciekawe, bo wiele dowiadywał się o ludziach tu przychodzących i ich życiorysach, niezwykłych często i poplątanych. Dobierał także czasem, jeśli się udawało, żołnierzy do swej kompanii.

Siedzieli przy prostym stole na krzyżakach, furażerki z powodu upału rzucali na blat i orzełek 1 Dywizji na tych furażerkach, szary i przyciężki, od razu zwracał uwagę przychodzących.

Pochylony, twarz pokryta ciemnym zarostem... wydawał się ten mężczyzna, który stanął właśnie przed nim w lekkim rozkroku, niemal starcem.

– Nazywam się Stanisław Grala – powiedział, czujnie badając twarze oficerów.

– Ile macie lat? – zapytał Wicherski.

– Trzydzieści jeden. Rocznik dwunasty.

– Służyliście w wojsku? Powiedźcie o sobie.

Grala zawahał się i Radwan poczuł, że ten człowiek nie wie, czy w tym baraku należy mówić prawdę. Jeszcze nie wie. Tak bywa zresztą z wieloma tu przychodzącymi.

– Służyłem – oświadczył wreszcie – w 30 Pułku Piechoty. W stopniu kaprała. A w ogóle, panie kapitanie zwrócił się do Wicherskiego, najstarszego rangą – jestem gajowym. Z

ojca. Wywieźli mnie jako gajowego w czterdziestym pierwszym roku do Komi. Złapałem tyfus. Nie trafiłem do pierwszego wojska... – urwał, jakby przestraszył się, że źle powiedział.

– Żona tam została. Co będzie z żoną?... – I znowu do Wicherskiego: – Czy pan kapitan z Polski?

– Wykładowca szkoły podchorążych w Modlinie – odpowiedział Wicherski.

Grała odetchnął z ulgą.

Trafił do kompanii Radwana, podobnie jak kilku następnych przyjętych tego dnia.

Znalazł się wśród nich młody chłopak, który mówił po polsku z wyraźnym rosyjskim akcentem, a także mężczyzna nieco od Radwana starszy, bardzo sprawny fizycznie, o twarzy, która wydała się Stefanowi od razu znajoma, chociaż nazwisko nic mu nie mówiło. –

Marzyński. Szukał niespokojnie w pamięci i będzie poszukiwał jeszcze długo.

Młody chłopak nazywał się pięknie – Stanisław Krzepicki.

– Skąd jesteście? – zapytał chorąży Turzyk, zastępca Radwana do spraw politycznych.

– Spod Irkucka.

– A z Polski?

Krzepicki wzruszył ramionami. – Jestem obywatelem radzieckim. Rodzice wyjechali z Polski przed pierwszą wojną. Jaka to będzie armia? Burżuazyjna?

Turzyk miał pewne kłopoty z odpowiedzią.

– Nie, skąd! Nie burżuazyjna, ludowa. Przecież żaden burżuj tu nie siedzi.

Krzepicki wydawał się niespokojny. „To nagłe wzięcie na siebie polskiego losu, pomyślał Radwan, musi być jednak naprawdę trudne”.

Marzyński miał na sobie łańch przypominający marynarkę, związany rzemieniem.

Nawet w tym łańchu prezentował się jednak dobrze.

– Kazimierz Marzyński – zameldował. – Rocznik czternasty.

– Zawód? – zapytał Wicherski.

– Bez zawodu. Po maturze. Urzędnik z Warszawy – wyrecytował jak zadaną lekcję.

– W wojsku?

Dostrzegalna chwila wahania.

– Zwolniony po przeszkoleniu rekruckim. Z powodu stanu zdrowia.

– A jaki stan teraz? – zapytał Wicherski z ledwo dostrzegalnym uśmiechem.

– Dobry. Usiłowałem – dodał – w trzydziestym dziewiątym roku, przekroczyć granicę rumuńsko-radziecką. Schwytany, skazany na zesłanie, potem chorowałem na tyfus...

– Rozumiem – powiedział Wicherski i spojrzał na Radwana. – Do twojej kompanii.

Bez stopnia.

Komisja rejestracyjna przydzieliła Radwanowi tego samego dnia Stefana Kozica, Józefa Szpaka i Stanisława Oporowskiego.

Kozic był młodym chłopcem, z rocznika 1924, o życiorysie, jak Radwan natychmiast pomyślał, typowym. Ojciec – najpierw aresztowany, potem zaginął, chłopak został sam gdzieś w republice Komi i teraz z ogromną nieufnością i nadzieją spoglądał na oficerów, myśląc zapewne bez przerwy: „czy to wojsko na pewno polskie?”.

Józef Szpak, nieco ciężkawy, niezgrabny, w rubaszce, miał twarz okrągłą, chłopską, a spojrzenie świadczące o łagodności i cierpliwości. Nie wyglądał na człowieka, który by się kiedykolwiek przeciwko cemukolwiek buntował; przywykł raczej znosić bez protestu wszystko, co los przyniesie.

– Wieś Rogacze pod Nowogródkiem – meldował. – Siedemnasty rocznik.

– Służył w wojsku?

– Zwolniony przed wojną jako jedyny żywiciel. Matka została na gospodarce.

– Wywieźli was?

– Ta skądże? – zaprotestował Szpak. – Siostra poszła za Sowietą spod Tuły, którego poznała, kiedy z wojskiem do nas przyszedł, a ja do nich pojechałem jak raz w czerwcu czterdziestego pierwszego. I zostałem w kołchozie. Najpierw nie mobilizowali, bo mówili, że słabowity i do roboty się nadawał w polu, a że mężczyzn zostało niewiele...

– Dobrze, dobrze – przerwał Wicherski. – Już wiemy...

– A teraz – ciągnął jednak Szpak – przyszedłem do wojska polskiego, bo powiadają, że z wojskiem można wrócić na swoje. – Spoglądał na oficerów, jakby oczekując potwierdzenia...

Wicherski machnął ręką, chorąży Turzyk chciał zacząć coś wyjaśniać, ale kapitan mu nie zezwolił.

– Potem – rzucił krótko. I dodał: – Ten też do ciebie.

Wreszcie Stanisław Oporowski. Zupełnie inny gatunek; górnik, twarz poorana, chociaż jeszcze młody.

– Skąd jesteście?

– Sosnowiec. Ostatnio w Zagłębiu Kuźnickim. Nie chcieli puścić, reklamowali, nareszcie – uśmiechnął się – puścili.

– Jak dostaliście się do Rosji?

– Byłem w wojsku we wrześniu. Wzięli do niewoli, potem zwolnili, pojechałem do Lwowa, a że nie chciałem zostać pod Niemcem...

– Jaki macie stopień?

– Starszy szeregowy...

Wicherski spojrział na Turzyka, jakby chciał powiedzieć „ten wam się przyda”, a Radwan pomyślał, że zbieranina będzie w tej kompanii, zbieranina...

Zbieranina powoli stawiała się wojskiem. Po łaźni, w mundurach (rozmaicie bywało z dopasowaniem tych mundurów) od razu zaczęli wyglądać inaczej. Marzyński świetnie, Krzepicki poprawnie, a na Józefie Szpaku wisiało wszystko jak ile dopasowana kapota. Gdy rolnik spod Nowogródka oglądał z troską wyfasowaną właśnie garderobę, podszedł do niego młody chłopak, wysoki i smukły, o łobuzerskim wyrazie twarzy.

– Macie co zapalić, ojczulku?

Gdy Szpak wydobył gazetkę i woreczek z tytoniem, wysoki przedstawił się.

– Okoński jestem – powiedział.

– Ja się nazywam Szpak Józef.

Okoński wyglądał na zmartwionego.

– Nietęgo wyglądacie, ojczulku, jak na żołnierza – stwierdził. Skręcił papierosa i przyjrzał się Szpakowej garderobie. – Nie żołnierz z was będzie, ale kompanijna oferma.

Każda kompania musi mieć swoją oferwę.

– Nie gadalibyście byle czego.

– A skąd jesteście?

– Spod Nowogródka.

– No, to nigdy tam nie wrócić – powiedział Okoński. – Nigdy – powtórzył.

Szpak nie zapalił papierosa. Trzymał skręta w ustach i gazetka wilgotniała.

– Jakże to – rzekł. – Co wy gadacie?! Ja tam gospodarzę mam. I matkę.

– A żony nie macie?

– Nieżonaty – odpowiedział poważnie Szpak.

– To i dobrze – uśmiechnął się Okoński. – Bo i żona tam została by.

Marzyński, który stojąc nie opodal przysłuchiwał się rozmowie, podszedł do Okońskiego.

– Daj mu spokój – rzucił ostro.

– A ty co? – Okoński spojrzał na twarz Marzyńskiego i nagle umilkł.

Życie wewnętrzne kompanii oraz to, jak kształtują się stosunki między ludźmi w drużynach i plutonach, bywa najczęściej tajemnicą dla dowódcy. Więcej wiedzą podoficerowie, szef kompanii... ale kogo naprawdę obchodzą przeżycia Szpaka Józefa, który, jak to trafnie przewidział Okoński, awansował na kompanijną ofermę?

Radwan ustalał plan szkolenia wedle poleceń batalionu i sumiennie obserwował, jak plutony ćwiczyły natarcie, obronę, musztrę z kijami imitującymi karabiny. Odróżniał już niektóre twarze, poznawał nazwiska, ale minie jeszcze wiele tygodni, zanim zacznie coś wiedzieć o tych ludziach. Interesował go szczególnie Marzyński; ta twarz była na pewno znajoma, poszukiwał jej w pamięci, ale ciągle jeszcze nie wzywał szeregowca, choć sobie to co dzień postanawiał.

Marzyński, Szpak, Okoński trafili do tej samej drużyny i wspólnie przechodzili wszystkie etapy rekruckiej harówki. Wiadomo było, że gdy młody sierżant nazwiskiem Kamyk (2 pluton w kompanii Radwana nie miał dowódcy oficera) krzyknie podczas musztry

„pluton stój!”, Szpak Józef wyskoczy z czwórki. Wydawało się, że każda wojskowa czynność sprawia rolnikowi spod Nowogródka trudność nie do przewyciężenia. Pocił się i męczył, a ciągle nie mógł pojąć, jaki krok należy uczynić przy „dwuszereg, w prawo zwrot!”

– Oferma! – bezlitośnie dogadywał Okoński. – Po co ci to wojsko, ojczulku, i po co ty nam w wojsku?...

– Ta nie umiem, wciąż nie umiem – denerwował się Szpak.

Naprawdę chciał, naprawdę się starał. Czasem nawet zaszywał się gdzieś w sieleckim lasku albo na łagodnym brzegu Oki, żeby potrenować. No, ale jak samemu wykonać

„dwuszereg, w prawo zwrot”? Z ogromnym podziwem patrzył natomiast Józef na Marzyńskiego. Nic temu, jak mówiono, maturzyście nie sprawiało kłopotu. Nie mieszał się też ani do rozmówek, ani do żartów, żył jakby oddzielnie; na ćwiczeniach, w namiocie, wieczorem rzadko siadał ze wszystkimi, żeby wspólnie pośpiewać, pogadać, a nikt go nie zaczepiał, nawet Okoński, który bywał szczególnie złośliwy. Marzyński bowiem budził

niezrozumiały szacunek. Szpak uważał jednak, że Marzyński przygląda mu się z pewną sympatią i chętnie by do niego częściej zagadał, gdyby miał więcej odwagi.

Na łąkach pod lasem ćwiczyli najczęściej natarcie i obronę plutonu. Pewne letnie piękne południe szczególnie dało się Szpakowi we znaki. Biegli po sfałdowanej łące, kryli się za krzakami, za wybrzuszeniami terenu. Ziemia była sucha, potrzebująca deszczu. Szpak badał ją w dłoniach, rozkruszał, gdy tyraliera zalegała przed następnym skokiem lub gdy czołgali się pracownicy w kierunku pozycji nieprzyjaciela. Leżał właśnie i myślał, jak sobie matka w tym wojennym roku poradzi ze zniwami, gdy usłyszał nad sobą krzyk Kamyka:

– Dawno by ci tyłek przestrelili, ofermo! Nie umiesz przypaść do ziemi? Wstać!

Biegiem! Padnij!

Nie wiedział, ile razy... Serce waliło, krew pulsowała w skroniach, a on biegł, padał, wstawał, czołgał się i znowu biegł przez łąkę, która, wydawało się, szła teraz ostro ku górze i Szpak myślał, że za chwilę stoczy się w dół i legnie jak rozduşzony owad. A pluton odpoczywał. Jak przez sen słyszał Szpak Józef śmiech Okońskiego. Wreszcie Kamyk się zlitował (ile on lat może mieć, ten Kamyk, pomyślał kiedyś, szczeniak zupełny) i krzyknął

„dosyć!”. Szpak znowu zobaczył niebo i płaską łąkę, usiadł na trawie i oddychał otwartymi szeroko ustami. Ale nie był to koniec jego trudów.

– No, Szpak – powiedział sierżant Kamyk Bolesław – wydajcie teraz sami komendę.

Żeby pluton wstał, zebrał się i poszedł znowu w tyralierze w kierunku lasu.

Szpak podniósł się, spojrział na kolegów palących, patrzących w niebo, skubiących trawę; zebrał się w sobie i zobaczył nie opodal, ukrytego nieco za drzewami, porucznika Radwana, dowódcę kompanii. Nikt go poza nim nie widział. Radwan był dla Józefa Szpaka istotą z innego świata, posiadającą władzę nieograniczoną i wszystką dającą wyobrazić się mądrość. Speszył się ostatecznie.

– Ta do natarcia! – zawołał nieco piskliwie i na zbyt wysokim tonie.

Pluton ryknął śmiechem, a Kamyk machnął ręką. Już miał dosyć Szpaka. Już był pewien, że nie będzie z niego żołnierza...

– Wy wydajcie komendę! – rozkazał Marzyńskiemu.

Marzyński zerwał się natychmiast z ziemi, chwilę zawahał i, nagle jakby się zmienił, wydostojniał, w jego głosie zadźwięczały mocne metaliczne nuty. Był to głos nawykły do rozkazywania. Nawet sierżant Kamyk, który nigdy nie grzeszył zbytnią spostrzegawczością, pojął, że Marzyński robi to znacznie lepiej od niego. A żołnierzom wydało się, że na skraju lasu rzeczywiście okopał się wróg.

Radwan, który od dłuższego czasu obserwował ćwiczenia, patrzył tylko na Marzyńskiego. Nie miał już teraz żadnych wątpliwości, był zbyt długo w wojsku, by się mylić; szeregowiec Marzyński nie po raz pierwszy wydawał rozkazy. I z pewnością kiedyś go spotkał.

Po ciężkich ćwiczeniach lub musztrze odpoczynkiem bywały zajęcia oświatowe czy, jak tu mówiono, polityczne. W kompanii Radwana prowadził je chorąży Turzyk. Między nimi panowały stosunki poprawne, ale nacechowane rezerwą. Turzyk, co Radwan dostrzegł

natychmiast, nic nie wiedział o wojsku. Był wątłym, nieśmiałym chłopcem, który głęboko wierzył w powierzoną sobie misję. Pochodził z małego miasteczka pod Lwowem. Jego ojciec był szewcem i zapewne zginął w tamtejszym getcie, a młodemu Turzykowi udało się uciec przed Niemcami i skończyć dziesięciolatkę.

– Ja wiem – rzekł meldując się Radwanowi – że mój stopień oficerski jest trochę na kredyt. Będę się starał wyjaśniać im, o co walczymy.

Radwan mógł mu dodać odwagi, ale nic nie powiedział. O co walczymy? O jaką Polskę? Po prostu o Polskę, do której stąd najbliżej.

Zajęcia odbywały się na łące, a Turzyk po skończonym wykładzie sprawdzał, czy jego słowa docierały do żołnierzy.

– Powiedzieliśmy sobie – mówił – że walczymy o Polskę niepodległą, demokratyczną i parlamentarną... – Wodził wzrokiem po twarzach i natychmiast dostrzegł nieco zadziwioną gębę Szpaka.

– Wy – wskazał.

Szpak wstał.

– Trzeba powiedzieć – pouczył go chorąży (który niezmiernie dbał o przestrzeganie wszystkich znanych mu wojskowych reguł) – strzelec taki a taki. Przedstawić się...

– Strzelec taki a taki, Szpak – powtórzył natychmiast rolnik spod Nowogródka.

Okoński wybuchnął śmiechem. Nawet ponury Marzyński nie mógł się powstrzymać...

– Powiedzcie mi, strzelec – ciągnął chorąży – co to właściwie znaczy: demokratyczna i parlamentarna?

Szpak milczał zawzięcie.

– Nie słuchaliście wykładu?

– Ta demokratyczna – stwierdził Szpak – to demokratyczna.

Kompania znowu wybuchnęła śmiechem.

– A parlamentarna?

– Że rada się zbierze – wyjaśniał Szpak – i będzie radzić.

– Nie słuchacie uważnie – rozżłościł się Turzyk – a ja mówię przecież tak prosto –

naprawdę w to wierzył.

Wskazał Okońskiego.

– Strzelec Okoński! – wyskoczył ten natychmiast jak na sprężynie. – Demokratyczna, obywatelu chorąży, to znaczy rządzona przez lud.

– Bardzo dobrze – ucieszył się oświatowy spod Lwowa.

A Szpak ciągle stał.

– Możecie siadać – powiedział niechętnie Turzyk. – Słyszeliście: rządzona przez takich, jak wy.

– Dopraszam się pana chorążego – Szpak z trudem pokonywał nieśmiałość – a co w tej demokratycznej i parła... mentarnej – nie mógł wymówić tego słowa – będzie ze mną?

– Jak to, z wami? – zdziwił się chorąży.

– Bo ja przecież – zaśpiewał Szpak – jestem spod Nowogródka. Tam mam gospodarkę i matkę.

Tym razem nikt się nie roześmiał. Może tylko Okoński... ale i on spojrzał na twarze i natychmiast umilkł.

– Tam nie wróćcie – powiedział niechętnie Turzyk (bał się tego tematu i ciągle starał się go omijać) – ale krzywda żołnierzowi się nie stanie...

– Jakże to – Szpak mówił w zupełnej ciszy – ta walczymy o ziemię i krew, mówią, krew oddamy, a naszej ziemi nam nie zobaczyć...?

– Otrzymacie – uspokajał Turzyk – gospodarkę gdzie indziej i lepszą.

– Gdzie? – chciał wiedzieć natychmiast Szpak. – I kto nam da?

– Dokładnie opowiem – Turzyk chciał jak najszybciej zakończyć ten temat – na następnej pogadance. A teraz wolno palić!

Zapalili więc. Szpak wstał i poszedł samotnie w las. Poczł się zmęczony i zagubiony.

Czego od niego chcą? Dlaczego nie dadzą człowiekowi spokojnie przeżyć życia? Nic mu więcej nie było potrzebne prócz własnego kawałka ziemi pod Nowogródkiem. Aż tak dużo?

Lasek był niezbyt gęsty, rozświetlony słońcem. Dotarł do sceny żołnierskiego teatrzyku. Odbywała się tu, widać, jakaś próba i zgrabna dziewczyna w mundurze śpiewała piosenkę o Ocie. Szpakowi podobała się nawet ta piosenka, chociaż nigdy wiślanego brzegu nie widział. Właściwie poza

Nowogródek nie wyjeżdżał; tylko raz, wtedy, los przekłety kazał

mu do tej Tuły... Z daleka zobaczył fizylierki biegnące przez las; chciał zawrócić, ale właśnie tuż obok dojrzał siedzącą pod drzewem dziewczynę przewijającą onuce. Spojrzał, stanął, przyglądał się, nie wierzył, aż usta szeroko otworzył ze zdumienia...

– Ta Maryśka! – zawołał.

Dziewczyna podniosła się, nogi miała jeszcze nie obute, z równym zdumieniem przyglądała się Szpakowi.

– Józef! – krzyknęła. – Jak Boga kocham!

Dziewczyna z tych samych Rogaczów pod Nowogródkiem! Czwarta chałupa, licząc od południowego skraju wsi, gospodarka niewielka, ale całkiem porządna. Ojciec Marysi dawno już zmarł, rodzeństwa dziewczyna żadnego nie miała, matka więc Szpaka spoglądała nawet w tym kierunku i zachęcała Józefa.

– Nie wiedziałem, że byłaś w Rosji...

– Wsadził mnie do ciężarówki taki z sielsowieta, który... – urwała i spuściła oczy – zginął potem.

Siedli obok siebie, bardzo szczęśliwi i niezręczni w rozmowie.

– Jak matka? – zapytał.

– Co można wiedzieć, Józefie? Co wy wiecie o swojej? – Spojrzała na niego. – Dobrze wam w mundurze, tylko rękawy trzeba by skrócić, bo za długie. Dawno tu jesteście?

– Ta nie mów mi „wy”, Maryśka. Znamy się od dziecka. Od samego początku tu jestem.

– Mnie – mówiła Marysia – nie chcieli puścić z kołchozu, ale się zaparłam, jak napisali o polskiej dywizji...

– Ładnie wyglądasz – szepnął.

– A co wy... co ty... – rozejrzała się dość niespokojnie.

– Posiedź jeszcze chwilę.

– Na zajęcia się spóźnisz.

– To się spóźnię – powiedział nieoczekiwanie twardo Szpak. – Spóźnię się – powtórzył. – Wiesz, że do Rogaczów nie wrócimy?

Marysia skinęła głową.

– Nie wrócimy – powtórzył. – I co my będziemy robić gdzieś w Polsce? – Wstał. –

Przyjdę do ciebie.

– Przyjdź – roześmiała się dziewczyna – ale uważaj.

Zajęcia już trwały. Szpak stanął za drzewem i obserwował chorążego Turzyka, docierały do niego pojedyncze słowa: ziemie zachodnie... sprawiedliwość... Białoruś i Ukraina... dziedzictwo piastowskie. Słowo „dziedzictwo” przemawiało do niego. Taki powinien być porządek rzeczy: z ojca na syna przechodzi ziemia. On, Szpak, też powinien mieć syna. I pomyślał oczywiście o Marysi. Zwlekał z dołączeniem do oddziału. Wreszcie się zdecydował; obciągnął mundur, pomyślał o zbyt długich rękawach i wkroczył na polanę...

Turzyk przerwał wykład.

– Dlaczego się spóźniliście?

Szpak nie odpowiedział.

– Oferma! – zawołał Okoński. – Żołądek mu wykipiał!

– Cisza! – krzyknął Turzyk (krzyczał dość piskliwie). – Dwie służby poza kolejką –

zwrócił się do Szpaka. – Możecie siadać.

„Tanio – pomyślał Szpak – warto było”.

Obiad mu smakował i wcale się tymi dwoma służbami nie przejął. Lubił zresztą jeść samotnie, powoli, z przerwami, żeby przedłużyć przyjemność obiadu. Tym razem także odszedł z menażką nieco dalej, ale przysiadł się do niego Okoński.

– Smakuje, ojczulku?

Szpak popatrzył na niego swymi niebieskimi oczyma, o których matka mówiła, że są takie jak niebo na wiosnę.

– Czemu ty na mnie napadasz? – zapytał.

– Może nie napadam – powiedział nieoczekiwanie Okoński. – Może mi cię żal?

– Nie żałuj. A sam skąd jesteś?

– Z Włodawy – wyznał wysoki – ale naprawdę to z Kielc. Widać zamyślił się nagle nad tymi Kielcami, bo odłożył łyżkę i posmutniał. Po chwili wrócił jednak do swego stylu.

– Chłop to chłop – oświadczył sentencjonalnie. – Wszystko z takim jak ty można zrobić. Ziemię ci zabierają, milczysz, śmieją się z ciebie, słuchasz... Można cię kopać, a będziesz całował buty.

– Ta ty spróbuj – spokojnie odpowiedział Szpak, sięgając łyżką do menażki. – Spróbuj kopnąć...

Wieczorem bywało najlepiej. Siadali pod jednym z namiotów, żeby albo pośpiewać, albo pogadać, popatrzeć na rzekę, niebo i obóz, spokojnie, bez pośpiechu popalić skręty.

Szpak lubił szczególnie spędzać wieczór wśród chłopaków z 1 plutonu kompanii Radwana.

Był wśród nich Grala, który pochodził spod Łucka, sam miał gospodarkę, choć gajowy, a Szpaka lubił i rozumiał. Grala, który służył przed wojną, nosił kaprałskie naszywki i posługiwał się chłopakami z plutonu bezlitośnie. Szczególnie młodym Kozicem. Co wieczór powtarzała się ta sama scena – Grala zapominał swego woreczka, rozglądał się i mówił:

– Kozic, skocz no po tytoń do namiotu...

– Niby dlaczego ja?

– Bo już przywykłem. Dobrze ten tytoń przynosisz. A mówi się: tak jest, obywatelu kapralu.

Kozic przynosił tytoń, a Grala skręcając ostrożnie i sprawnie, perorował wiedząc, że jest słuchany. Wyglądał staro na swoje lata, ale był krzepki, twardy, a skóra na twarzy tak naciągnięta, jakby miała pęknąć.

– Powiem wam, chociaż na przykład Szpak nic z tego nie zrozumie, bo nie był...

Cholernie czasem jesteśmy wkurzeni, ja także... I na zesłania, i na głód, i na lesopiłkę... A dlaczego ich piosenki śpiewamy? No, dlaczego?

– Bo fajne są nasze piosenki – stwierdził Krzepicki, potomek zesłańców spod Irkucka.

– Mówi się „ich”, człowieku. Naucz się wreszcie. Taki Krzepicki – ciągnął. – Niby Polak, a nie Polak. Nie on jeden zresztą... I czasami nagle – zastanowił się – sam do tej polskości się dogrzebuje i bierze na siebie zapomniany los...

– Ładnie kapral mówi – przytaknął Kozic.

– A ty słuchaj i ucz się. – Zwrócił się do Krzepickiego. – Ty tylko myślisz, bracie, że pod Irkuck wrócisz. Zwali się na ciebie Polska i już jej nie porzucisz. Ja – zawahał się – będę tylko prosił, żeby mnie pochowali pod Łuckiem, ale wiem, że nic z tego...

Dostrzegli zbliżającego się główną alejką Radwana. Dowódca kompanii miał zwyczaj odwiedzać wieczorami kwatery plutonów. Zerwali się z trawy. Grala zaczął meldować, ale Radwan machnął tylko ręką. Siadł obok nich. Pomyślał, że to może tylko gest, że zapewne nie oznacza nawiązania prawdziwego kontaktu, ale przecie potrzebny...

– Wesele jest dzisiaj w kołchozie, panie poruczniku – zaczął Grala. – U nich tam rzadko teraz wesela...

– I co?

– Poszłoby się, panie poruczniku – zagadnął kapral. – Przyjechał bojec z armii. Bez nogi, ale żeni się z dziewczyną...

– Zapraszali was? – zapytał Radwan.

– Prosili. Serdeczni ludzie. Zawsze mówię, że Rosjanie jako tacy są serdeczni, panie poruczniku...

– Pozwolę – rzekł dowódca.

Już go dojrzeli spod innych namiotów kompanii. Dosiadali się co śmielsi Okoński, Marzyński...

– Pan porucznik – zebrał się na odwagę Kozic – znał podobno osobiście Sikorskiego.

– Kto wam mówił?

– Chorąży na pogadance. Że u nas niby w dywizji robotnicy i dawni oficerowie. Jaki to jest człowiek, panie poruczniku? Dlaczego nie dogadał się z Rosjanami?

– Dlaczego się nie dogadał? – powtórzył Radwan. – Nie wiem – przyznał. – Może historia to kiedyś wyjaśni. Chciał. Chyba mu za bardzo przeszkadzali. A może nie za mocno chciał. Ja – dodał, jakby chcąc zatrzeć ostatnie zdanie – uważam go za wielkiego człowieka.

Mój ojciec służył pod nim i zginął w dwudziestym roku.

Zapadła cisza, słychać było tylko śpiew rosyjskich i polskich piosenek. Żołnierze wokół Radwana słuchali w milczeniu. Po chwili Szpak wyciągnął swój woreczek z tytoniem.

– Może pan porucznik zapalą?

– Jaki śmiały! – wybuchnął śmiechem Okoński.

– Zapalę – odpowiedział Radwan. – A wy mojego. – Wyciągnął papierosa, sam skręcił sobie z gazetki. Niezbyt sprawnie mu to szło, ale jednak udało się.

– Ja – powiada Szpak – dopraszam się pana porucznika... Przerwał mu Okoński.

– Będzie znowu pytał o Nowogródek. Ciągle się martwi, jak tam ludzie bez niego sobie poradzą...

Radwan spojrzał na Okońskiego ostro.

– Żarty na ten temat są nie na miejscu. Nikomu z nas nie jest lekko i każdy swoje musi odcierpieć. Ja jestem ze Lwowa... Ale wy – zwrócił się do Szpaka – ziemię od przyszłej Polski dostaniecie.

– Naprawdę?! – zaśpiewał Szpak. – Ale gdzież ta ziemia nie obsadzona, panie poruczniku? Gdzież ta ziemia?!

– Ja wierzę – stwierdził Radwan – że odzyskamy ziemię na zachodzie.

– Taki kawał świata – zadziwił się Szpak. – Ile to będzie od Nowogródka? Czy możliwe, żeby tak ludzi przesadzać?

Nikt mu nie odpowiedział, a Radwan zaczął uważnie przyglądać się Marzyńskiemu.

Ciągle mu się zdawało, że za chwilę sobie przypomni.

– Słyszałem, jak wydawaliście komendy do natarcia – powiedział wreszcie.

– Byłem w PW w gimnazjum – odpowiedział sucho Marzyński.

– Brak mi dowódców drużyn w kompanii. Pomyślałem o was.

– Dziękuję, panie poruczniku. – Ton Marzyńskiego stał się nieco ironiczny. – Sądzę, że za wcześnie jeszcze dla mnie myśleć o podoficerskich funkcjach.

– Pogadamy, kolego Marzyński – uciął Radwan. I to „kolego” zabrzmiało niemal jak groźba.

Dywizja otrzymała broń i ćwiczenia nabrały natychmiast innego charakteru. Oglądali z szacunkiem radzieckie karabiny Mosina i ci, którzy mieli już broń strzelecką w ręku, a było ich przecie sporo, i ci, którzy jak Szpak po raz pierwszy otworzyli zamek i poczuli w dłoniach kolbę. Radwan otrzymał do swej kompanii dwóch oficerów radzieckich, którym kazano włożyć polskie mundury. Byli potrzebni, bo nawet przedwojenni podoficerowie nie znali radzieckiej broni, ale Radwan był zdania, że powinni byli pozostać w mundurach Armii Czerwonej.

– Po co ten teatr? – zapytał Wicherskiego. – Instruktorzy to...

– Ale – przerwał kapitan – oni nie tylko będą uczyć. Będą dowodzić.

Radwan znowu pomyślał o Marzyńskim. Odkładał decydującą rozmowę, ciągle mając nadzieję, że odnajdzie ten argument ostateczny. Często, niewidoczny, przysłuchiwał się zajęciom plutonu. Gdy podporucznik Dymin, przysłany z Armii Czerwonej, rozpoczął

pierwszy wykład o broni, umiejętności Marzyńskiego, których nie umiał czy nie chciał już ukrywać, zostały raz jeszcze potwierdzone.

Dymin (kazano mu się uczyć polskiego) wypisał na kartce polskie nazwy części karabinu, ale w żaden sposób nie potrafił ich wymówić. Choćby słowo „iglica”... Albo całe zdanie: „Po to, żeby rozebrać zamek...” Pocił się i męczył, nie patrząc na twarze żołnierzy, wreszcie machnął ręką...

– Budu gawarit pa ruski.

Wtedy podniósł się Marzyński.

– Czy wolno panu porucznikowi pomóc? – zapytał.

– Kak eto, pomoc? – zdziwił się Dymin.

Marzyński wziął do ręki zamek i rozebrał go szybko i sprawnie.

– Teraz, chłopcy – powiedział – nauczymy się nazw wszystkich części. Iglica... – w tej chwili dostrzegł Radwana, zawahał się, ale kontynuował wykład.

Oferma kompanijna Józef Szpak miał oczywiście z karabinem najwięcej kłopotów.

Zupełnie inaczej wyglądały natarcia i czołgania wykonywane z bronią. Gruby sierżant Małecki, który przed wojną i obecnie był szefem kompanii, lubił przychodzić na ćwiczenia, a upodobał sobie szczególnie pluton, w którym służył Szpak. Miał swoje metody, nawyki i powiedzonka, które słynne były w całej dywizji. Po natarciu plutonu stawał przed szeregiem, kołysząc się na przykrótkich nieco nóżkach, i wygłaszał orację:

– Ja wam mówię, ja, sierżant Małecki, który niejednego taki pluton trzepał po dupie, że żadne z was wojsko. To było czołganie? Wystawicie tyłki na kule nieprzyjaciela! Powtórzyć.

I cały pluton ryczał:

– Wystawiamy tyłki...

Oczywiście najwyraźniej wystawiał Szpak. Ale może z czołganiem jakoś by sobie poradził, gdyby nie musztra. Pluton zawzięcie ćwiczył chwyt bronią, a on ciągle nie nadażał, zawsze spóźniony – i na „prezentuj”, i „do nogi broń”. Na „spocznij” najpierw słychać było mocny krok plutonu, a potem... zupełnie oddzielny Szpaka.

– Ta nie mogę sobie poradzić... – denerwował się i nie opuszczający go lęk jeszcze bardziej utrudniał osiągnięcie sprawności.

Cierpliwość opuściła wreszcie sierżanta Kamyka. Właśnie schrypniętym już nieco głosem podał komendę „prezentuj broń”, gdy spojrzął na pluton i zobaczył, że Szpak stoi ciągle jeszcze z karabinem na ramieniu.

– Na ramię broń! Do nogi broń! – wrzasnął. – Spocznij! – I podszedł do pechowego rolnika. – Wy nie chcecie czy nie możecie? – zapytał ponuro. – Oferma czy leń?

– Ja ojczulka podszkolę – wyrwał się Okoński.

Kamyk nie odpowiedział, jakby nie mógł oderwać wzroku od Szpaka, który stał

nieruchomo i starał się patrzeć sierżantowi w oczy.

– Jeśli pozwolicie, obywatelu sierżancie – odezwał się Marzyński – to ja przygotuję strzelca Szpaka.

– Niech będzie – warknął Kamyk.

Okoński niechętnie, a nawet z pogardą popatrzył na Marzyńskiego.

Po zajęciach albo w przerwie obiadowej usiłował Marzyński przeobrazić chłopca spod Nowogródka w żołnierza. Nie było to zadanie łatwe nawet dla doświadczonego instruktora.

Jakby się w Szpaku coś zacięło, utrudniając opanowanie najprostszycch nawet chwytów.

– To, bracie, wcale nie jest takie trudne – cierpliwie tłumaczył Marzyński. – No, spróbuj jeszcze raz...

I pokazywał po raz setny, wykonując każdy chwyt powoli, to nieszczęsne „prezentuj broń”.

– Prawie, prawie – stwierdzał, gdy Szpak z ogromnym napięciem mięśni powtarzał

ruchy. – Będzie dobrze... – Nigdy chyba Kazimierz Marzyński nie był tak wyrozumiały i cierpliwy.

– Gdybyście zapytali kogokolwiek z mojej wsi – śpiewał były kołchoźnik – to każdy by wam powiedział, że Szpak jest zręczny do wszystkiego. Nawet ciesielki trochę umiałem, zawsze się przydawało. A tu nic.

– To pomyśl sobie – powiedział kiedyś Marzyński – że na złość Okońskiemu to robisz.

– Ta ja muszę. Nie może być, że gorszy od innych – i dodawał: – Bardzo panu dziękuję za tyle pomocy.

– Dlaczego mówisz mi pan? – zapytał Marzyński.

– Nie wiem – zawstydził się Szpak. – Samo się powiedziało. Bo przecie... ty nie z chłopów albo robotników.

Wreszcie wyszło! Nawet nie musiał czekać na potwierdzenie Marzyńskiego. Udawały się te chwyt! Strzelec Szpak sam nie wiedząc, jak to się stało, wykonał bezbłędnie „na ramię broń” i „prezentuj broń”.

Natychmiast inaczej spojrział na karabin. Jakby się w nim, Szpaku, i w karabinie coś zmieniło. Siadł obok Marzyńskiego na trawie i wyjął zamek. Okazało się, że ręce ma co prawda duże, palce grube, ale zręczne. Najpierw z pewnym trudem, a potem sprawnie i szybko złożył i rozłożył zamek. Był teraz niemal szczęśliwy. Wstał, stanął na baczność i zameldował:

– Panie poruczniku, strzelec Szpak jest w porządku.

– Dobra. Spocznij – rzekł Marzyński i dopiero po chwili zorientował się, że przyjął to

„panie poruczniku” bez protestu.

– Dlaczego mówisz do mnie panie poruczniku?

– Ja tak” zamelduję dowódcy – odpowiedział spokojnie Szpak.

Dzień miał istotnie rolnik spod Nowogródka udany. Wieczorem, gdy poszedł samotnie przez las nad brzeg rzeki, spotkał Marysię. Nie było to spotkanie zupełnie przypadkowe, ale przecież mogła nie przyjść. Takiej nabrał zresztą pewności siebie, że przyciągnął ją i pocałował, a ona niezbyt się broniła, choć całował Szpak niezręcznie. Wydawało się im, że nikogo nie ma w pobliżu, że nikt na nich nie patrzy, i nie dostrzegli stojącego nie opodal za drzewem Okońskiego, który z trudem zdławił śmiech i wypluł niedopałek papierosa.

Ten pierwszy pocałunek Józefa Szpaka i Marii Bielak, którzy mogli zostać szczęśliwym małżeństwem we wsi Rogacze pod Nowogródkiem, miał skutki poważne i nie dające się przewidzieć. Okoński bowiem wpadł na pomysł, który mu się natychmiast ogromnie spodobał. Gdy wrócił na teren kompanii, chorąży Turzyk i sierżant Kamyk kończyli właśnie przygotowywanie gazetki pododdziału, która miała być umocowana na słupie przed namiotem. Nazywała się „Nasza kompania”, pisana była ładnym kaligraficznym pismem.

Artykuły nosiły tytuły: „Pierwsi na ćwiczeniach”, „Więcej potu, mniej krwi” „Wrócimy”...

– Brak trochę konkretnych faktów z życia kompanii – powiedział Turzyk.

– Są – zawołał Okoński. – Zaraz wam przygotuję fakt. – I narysował całkiem nawet udane karykatury.

Na pierwszym rysunku Szpak, niezręczny i niezgrabny, wlecze się z tyłu za plutonem i gubi karabin. Na drugim – dogania dziewczynę w mundurze. I podpis: „Ofiermie Szpakowi łatwiej z dziewczyną niż z karabinem”.

– Fajne – ucieszył się sierżant. – Dobrze mu przysolił.

– Krytyka też potrzebna – stwierdził sentencjonalnie chorąży. – I samokrytyka – dodał natychmiast.

Właśnie wtedy pojawił się Szpak i niemal jednocześnie z nim nadciągnął Marzyński.

– Gazetka! – zdziwił się Szpak nastawiony tego wieczora jak najprzychylniej do ludzi i do świata. I natychmiast dostrzegł karykatury.

– Ładne? – zapytał Okoński. – A dziewczyna podobna? Całkiem, całkiem... Aż dziw, że na ciebie poleciała.

– To ty!

Nagle Szpak się zmienił. Potulny zwykle i łagodny, zacisnął teraz pięści. Okoński sądził przez

chwilę, że rzuci się na niego, ale Szpak, zanim zdążyli się zorientować, zerwał

gazetkę i cisnął na ziemię.

– Zerwałeś gazetkę! – wrzasnął Okoński. – Ty zafajdany Białorusinie, ty... – rzucił się na Szpaka, ale zanim zdążył go dosięgnąć, stanął między nimi Marzyński. Wykonał szybki ruch, chwyt, który zobaczyli po raz pierwszy, i... Okoński już leżał na ziemi, bardziej zdziwiony niż przerażony.

– To się nazywa judo – wyjaśnił Marzyński spokojnie.

Zapomnieli, że nie opodal stoi sierżant Kamyk, że obserwuje ich chorąży Turzyk.

Sierżant uznał za stosowne włączyć się. Dłużej nie mógł czekać.

– Podnieście gazetkę – rozkazał, zwracając się do Szpaka – i zawieście na miejscu. A wy wszyscy, we trójkę...

– Nie podniosę – powiedział ponuro Szpak.

W języku wojskowym nazywało się to „niewykonanie rozkazu” i należało do najpoważniejszych przestępstw. Nawet strzelec Józef Szpak powinien o tym pamiętać. Stali więc naprzeciw siebie: Szpak i Kamyk, nie wiedząc jeszcze, co stanie się za chwilę, bo coś musiało się stać, a obserwujący tę scenę chorąży Turzyk wydawał się przeraźliwie bezradny.

Słyszał, że jeśli żołnierz odmawia wykonania rozkazu, można użyć broni, miał przy pasie TT, ale nie mógł sobie nawet wyobrazić siebie grożącego pistoletem.

I znów wkroczył Marzyński. Jego głos, jak wówczas, gdy wydawał rozkazy podczas ćwiczeń, zabrzmiał pewnie i stanowczo.

– Szpak – powiedział – wykonaj oba polecenia sierżanta. Przybij gazetkę, oderwij krzywdzącą żołnierza karykaturę.

– Ja... – zaczął sierżant.

– Z waszego rozkazu – powtórzył Marzyński takim tonem, jakby się nic nie stało –

strzelec Szpak zdjął gazetkę i teraz ją przybije.

Kamyk stracił kontenans, ale ciągle chciał protestować.

– On się z was śmieje, sierżancie! – zawołał Okoński.

– Spokój – powiedział cicho Marzyński i Okoński zamilkł, a Szpak wykonał oba polecenia.

– Złożę raport – powiedział Kamyk.

Istotnie, złożył raport Radwanowi w obecności chorążego Turzyka.

Dowódca wysłuchał uważnie opowieści sierżanta. Potem zwrócił się do chorążego.

– Tak było?

– Tak – potwierdził Turzyk.

– Nie rozumiem – rzekł Radwan. – Strzelec Szpak nie wykonał rozkazu i wyście nie reagowali?

– On potem wykonał – pośpieszył z wyjaśnieniem sierżant. – Ale zniszczył karykaturę, bo to mu kazał Marzyński, a nie ja...

– Więc kto wydawał rozkazy: wy czy Marzyński?

– Ja – zapewnił Kamyk.

– Czyj więc rozkaz wykonał?

Sierżant milczał.

– Karykatura była złośliwa? – zapytał Radwan.

– Złośliwa – potwierdził Turzyk – ale szeregowiec nie ma prawa zrywać gazetki, a drugi szeregowiec przekręcać rozkazów.

Radwan popatrzył sobie na nich obu i uśmiechnął się.

– No tak – rzekł. – Możecie odejść.

– Jak to? – zdziwił się chorąży. – A jakie będą wasze polecenia? Każecie Szpaka do raportu...? A Marzyńskiego...?

– Polecenia? – powtórzył Radwan. – Żadne. Po prostu nic się nie zdarzyło.

– Nie pojmuję...

– W mojej kompanii, w Pierwszej Dywizji, nic takiego nie mogło się zdarzyć –

tłumaczył spokojnie Radwan. – Żeby strzelec nie wykonał rozkazu? Żeby chorąży nie zareagował? Żeby drugi strzelec zastępował oficera w jego obecności? Nie – wzruszył

ramionami. – Nie było żadnego waszego raportu w tej sprawie. – I powtórzył: – Możecie odejść.

Turzyk nareszcie zrozumiał.

– I radźcie sobie na przyszłość sami – dokończył Radwan myśląc, że rozmowy z Marzyńskim odkładać już nie należy, nawet jeśli sobie nie przypomni...

Choraży Turzyk pomyślał natomiast: „Czy wolno nam w ten sposób? Czy tak się wychowuje żołnierzy?” Nie bardzo jednak wiedział, jak ich należy wychowywać.

Do kompanii przybyło nowe uzupełnienie. Wśród mężczyzn, którzy stanęli przed komisją rejestracyjną w Sielcach, znalazł się Zbyszek Trepko z Łuczynki. Skończył nareszcie osiemnaście lat. Przyjechał do polskiej armii, nie wiedząc jeszcze na pewno, czy to polska armia; podejrzliwie spoglądał na oficera, który spisywał jego dane. Ileż już razy odpowiadał

na te same pytania!

– Matka gdzieś przepadła podczas transportu. Nie wiem, co z nią zrobili – stwierdzał opryskliwie.

– Trzeba zapomnieć o osobistych krzywdach, chłopcze – powiedział porucznik.

– Dlaczego zapomnieć? – zapytał Trepko.

Porucznik wydawał się nieco zakłopotany.

– No, bo są sprawy ważniejsze.

– Wszystkie są ważne – rzekł Zbyszek. – Chcecie, żebym nie pamiętał o matce?

– A ojciec? – zmienił temat oficer.

– Nic nie wiem o ojcu – burknął.

– Mam nadzieję – kończył rozmowę porucznik – że będzie z was dobry żołnierz. A większość z nas, w dywizji, ma swoje ciężkie przeżycia...

Trepko nie wydawał się przekonany. Przydzielono go do pierwszego plutonu, do drużyny Grała. Znalazł się wśród chłopców już ze sobą zżytych i nieźle obeznanych z tutejszym wojskowym porządkiem. Radził sobie dobrze; czym zresztą były obozowe trudy dla niego, który przeżył dwie syberyjskie zimy i pracował przy wyrębie lasu! Biegał, skakał, czołgał się, ale marzyła mu się broń pancerna i co dzień postanawiał, że zamelduje się z prośbą u dowódcy kompanii, który rano, w mundurze, zdawało się na niego specjalnie szytym, przyjmował raport. Tak, dowódca kompanii był urodzonym żołnierzem; wyobrażał

sobie, że podobnie mógłby wyglądać jego ojciec.

Ostatnio częściej myślał o ojcu. Kiedyś w Łuczynce Elżbieta zapytała go, czy pamięta ojca. Poznałby go? Siedzieli późnym wieczorem przy piecu, który już wystygł. Pomyślał, że mógłby rozgrzać rękę Elżbietki, gdyby pozwoliła. Pomyślał także, że nigdy by jej nie opuścił

jak ojciec matkę. Pozostało w pamięci parę obrazów; duży mężczyzna wziął go z łóżeczka i podniósł wysoko. Zbyszek widział świat z góry, ale zupełnie się nie bał. Potem objął głowę ojca i zanurzył

twarz w jego włosach. Biegł obok ojca bardzo szerokim trotuarem. Było zielono i świeciło słońce, a ojciec miał ogromne buty. Te buty właśnie pamiętał. Powiedział

to Elżbietce. „Kiedy dostałem nowe od delegata, zaraz pomyślałem o ojcowych”. Roześmiała się. Lubił, kiedy Elżbietka się śmieje. Gdy nauczył się przekraczać normę w lesie, oddawał

przydział matce Elżbietki i rzadziej bywali głodni. Jak sobie teraz radzą? Elżbietka powiedziała: „Ja też będę w wojsku”. Pomyślał, że może naprawdę zobaczy ją kiedyś nad brzegiem Oki.

Kolegom w plutonie nie opowiadał o sobie. Lubił Kozica, nie cierpiał Krzepickiego, cenił starego Grałę, który umiał wszystko i wiedział wszystko.

Po męczącym natarciu, podczas którego poszły w ruch łopatkі saperskie, bo trzeba się było okopywać, dowódca plutonu zarządził przerwę na papierosa. Grała, Krzepicki, Kozic, Trepko stali razem, skręcając papierosy z gazetki, którą miał, jak zwykle, dowódca drużyny.

– U nas – powiedział Krzepicki – mówiło się zawsze, że „Prawda” jest najlepsza do skrętów. A ty, mały – zwrócił się do Trepki – skąd właściwie jesteś?

– Z Syberii, stary – odpowiedział oschle Trepko.

– Z Syberii? – ucieszył się Krzepicki. – A skąd?

– Z takiego rajy, dokąd nas przywozili z Polski, jak żeśmy bardzo się prosili...

– Wy byście tylko o swoich krzywdach – mruknął Krzepicki.

– A ty byś chciał, żeby od razu zapomnieć i dać wszystkim buzi.

– Nie naskakujcie na siebie – wtrącił się stary Grała.

– Ja na nikogo nie naskakuję – stwierdził Zbyszek. – Mówię, co myślę. Jak zapomnę, to zapomnę, a póki pamiętam, to pamiętam...

– Masz taką wielkopańską pamięć o Lwowie i Wilnie – Krzepicki z trudem panował nad sobą. – Matki was nienawiści uczyły.

Trepko uderzył. Może nie chciał zbyt mocno, ale Krzepicki potoczył się na ziemię.

Zerwał się natychmiast i rzucił na Zbyszka, ale między nimi wyrósł chorąży Turzyk. Nawet nie zauważyli, że przysłuchiwał się kłótni.

– Baczość! Wy, Trepko, staniecie do raportu karnego!

Tego dnia zjawił się w kompanii (a przychodził dość często) instruktor wydziału oświatowego dywizji porucznik Pawlik i chorąży Turzyk przedstawił mu obszerny meldunek.

Najpierw więc uczciwie zreferował historię Marzyńskiego i Szpaka oraz wyjawiał swoje wątpliwości co do słuszności decyzji Radwana.

– Tak Radwan postanowił – mruknął Pawlik. – Nie przyjął do wiadomości...

Powiedział, żebyście radzili sobie sami... Bo co musiałby zrobić, gdyby... – Zastanawiał się sporą chwilę. – Pracę polityczną z ludźmi prowadzić! – krzyknął nagle. – Nie drażnić godności żołnierskiej!

– Porucznik Radwan... – zaczął znowu Turzyk.

– Ja o Radwanie wiem wszystko – przerwał mu Pawlik – ale tym razem on miał rację.

Tak: miał rację. – I dodał po chwili: – Powiedzcie mi: kto to jest właściwie ten Marzyński? –

Machnął ręką. – No dobrze, ale najpierw, co macie jeszcze do zameldowania?

Na pytanie dotyczące Marzyńskiego Turzyk nie musiał już odpowiadać, bo przedtem zreferował sprawę Trepki.

– Wroga wypowiedź – powiedział. – Takie wrogie wypowiedzi ciągle się zdarzają.

Dziś właśnie strzelec, który przybył tu niedawno, niejaki Trepko... – Przerwał i spojrzał na zmienioną twarz Pawlika. – Przepraszam, poruczniku, coś się stało?

– Upał straszny... Powiadacie, Trepko. Ile ma lat i jak mu na imię?

– Pewno z osiemnaście – powiedział bardzo zdziwiony Turzyk. – A imienia nie znam, ale zaraz sprawdzę. On chyba pochodzi z obcego nam ideowo środowiska.

– Co wy mi o środowisku! – wrzasnął nagle Pawlik. – Wezwijcie go do mnie, ale najpierw dajcie mi jego kartę.

Gdy został sam, pamiętał przede wszystkim o tym, że musi się opanować. Za wszelką cenę. Może to jednak nie Zbyszek... Nazwisko nie jest znów tak rzadkie. Skąd, na miłość boską, Zbyszek mógłby się wziąć w Rosji?... Stał przy oknie, starając się, by chorąży nie widział jego twarzy, gdy podawał mu kartę.

– Niech wejdzie za pięć minut – powiedział.

Pięć minut! Najchętniej nie zajrzałby do tej karty. Ręka mu drżała, przez chwilę nie widział liter, potem odczytał... Zbigniew, syn Zygmunta i Zofii Trepko, urodzony...

przypomniawszy sobie Anię. „Czy masz moralne prawo... Co się stało z twoją żoną i twoim synem?”

Zapukano. Siadł przy stole, spojrzał na dłonie leżące na blacie i powiedział: Proszę.

– Obywatelu poruczniku, strzelec Zbigniew Trepko melduje się na rozkaz.

Poznałby go wszędzie! Jakież podobny do Zosi... Czy odziedziczył coś po nim? Oczy?

Tak, chyba oczy... I jesteśmy niemal tego samego wzrostu... Trzeba się opanować. Za wszelką cenę!

– Podejź bliżej – powiedział wreszcie. – Co przeskrobałeś?

Trepko milczał. W twarzy tego oficera dostrzegł coś znajomego, na pewno tę twarz pamiętał, kiedyś widział, usiłował sobie przypomnieć i był to wysiłek sprawiający ból.

– Uderzyłem kolegę – rzekł wreszcie – bo mnie obraził Nie powinienem bić, a on nie powinien obrażać.

– Co powiedział?

– To chyba nie ma znaczenia, obywatelu poruczniku. Zresztą chorąży słyszał...

Pawlik nie umiał już dłużej panować nad sobą; wstał, podszedł do Zbyszka, a słowa z trudem przechodziły mu przez gardło:

– Co z twoją matką? Skąd się tu wzięłeś?

– Dlaczego obywatel porucznik...

– Jestem twoim ojcem – rzekł starając się, by zostało to powiedziane spokojnie i sucho.

Długo trwało milczenie... Stali naprzeciw siebie, Pawlik wyciągnął ręce, poczuł, że ma łzy w oczach, i przeraziły go te łzy, bał się spojrzeć na twarz Zbyszka... A Zbyszek nagle odskoczył... Oparł się o ścianę, jakby w obawie, że upadnie.

– To pan jest moim ojcem! A jakie ma to teraz znaczenie? Zawsze byliśmy sami: matka i ja... Miałem matkę. Pana pamiętam... Nieważne, jak pamiętam. Była tylko jedna fotografia. Jedna stara fotografia.

– Odwracał twarz, żeby człowiek w oficerskim mundurze nie zobaczył łez.

– Siadaj – powiedział Pawlik. – Wszystko, co powiesz, będzie prawdą. We wszystkim będziesz miał rację... ale przecież ty i ja... jeśli już żeśmy się odnaleźli, jeśli chcemy się odnaleźć...

– Nie wiem, co to znaczy – powiedział już zupełnie spokojnie Zbyszek – odnaleźć.

Proszę – nie mógł wymówić słowa „ojciec” – postarać się ustalić, gdzie jest matka. A ja prosiłbym o przeniesienie do czołgów. Jestem traktorzystą. Teraz pójdę...

Wstał i wybiegł bez pożegnania, musiał wybiec, bo gdy po chwili znalazł się w lesie, upadł na ziemię, zanurzył twarz w trawie i wybuchnął płaczem, głośnym, nieutulonym płaczem skrzywdzonego dziecka...

Dzień był upalny. Od wczesnego ranka plutony, bataliony, pułki ustawiały się na placu przygotowane do przysięgi. Podoficerowie sprawdzali po raz ostatni wygląd żołnierzy, oficerowie myśleli z niepokojem o defiladzie: jak wypadnie oddział, czy ta lub inna oferta nie zgubi kroku?

Radwan stał na prawym skrzydle swej kompanii. Za chwilę, po raz drugi, złoży przysięgę wojskową... Czy złamał tamtą? Czy po prostu powtarza tamtą nieco innymi słowami? Na pewno jest dywizja... I to, że jest, że czternaście tysięcy polskich chłopców stoi pod bronią – liczy się przede wszystkim. Czy potępiłby go naczelny wódz? Gdy pomyślał o Sikorskim, znowu targnął nim ból, który przeżył po wiadomości o katastrofie gibraltarskiej.

Przez głośniki ogłoszono komunikat. Radwan wyszedł na plac, potem spacerował po lesie nad brzegiem Oki, nic nie widząc i nic nie słysząc... Pamiętał generała w samolocie, gdy kierował ewakuacją resztek armii polskiej z Francji. „Spełnimy do końca nasz żołnierski obowiązek”.

Pamiętał, gdy zameldował się u niego w Coëtquidan... „Jesteś podobny do ojca”. A potem w samolocie do Kujbyszewa, gdy w jego oczach działa się historia. „Czy zdradziłem Sikorskiego?” – myślał Radwan i ogarniał go ból i niepokój, z którym nie umiał sobie poradzić. „Czy podjąłem świadomą decyzję pozostania tutaj? A co powinienem robić?”

Posłuszeństwo wobec naczelnego wodza jest pierwszym żołnierskim obowiązkiem” Ale bywa, że posłuszeństwo musi być złamane...

Był nad brzegiem Oki. Nie opodal odpoczywali żołnierze, usłyszał słowa piosenki...

„Nad nami płynie Orzeł Biały, biało-czerwony sztandar nasz, na pole walki, pole chwały dywizja nasza, naprzód marsz... My, Pierwsza Dywizja...” „Wiecznie polskie” – pomyślał.

Gdy major Kubsz odprawiał następnego dnia mszę na intencję generała Sikorskiego, szukał

na twarzach bliskich sobie ludzi śladów bólów i wahań, które sam przeżył. Co myśli pułkownik Walicki? Twarz niemal nieruchoma, wydaje się, że nie dostrzega ani ołtarza, ani księdza, wspomina? Oczywiście, wspomina, ale czy także, tak jak on, Radwan, myśli o swoim prawie postąpienia wbrew rozkazowi naczelnego wodza... A Wicherski? Nie, nie mógłby o tym rozmawiać nawet z Wicherskim, z nikim... Należało uczynić, co uczynili. Są tutaj wbrew generałowi Sikorskiemu i oddają mu hołd, albowiem służą inaczej tej samej myśli, której służył naczelny wódz...

Spojrzał na zegarek. Pozostało jeszcze kilkanaście minut do raportu. Wśród pododdziałów kręcili się oficerowie sztabowi sprawdzając, czy wszyscy stoją na właściwych miejscach... Dojrzał Pawlika i znowu poczuł ból, ponieważ pomyślał o Ani. Nie zamienili słowa na ten temat. Pawlik umiał usuwać wszelką prywatność, jakby istniał wyłącznie jako instruktor wydziału oświatowego... A Radwan pytać nie chciał. Jeśli Ania wie, że tu jest, powinna ona... Gdyby kochała... Widocznie jednak Pawlik i jego siostra umieli podporządkować sobie całkowicie nakazom ideowym, które akceptowali. Nie mógł w to uwierzyć i wierzył. Chociaż... Przypomniawszy sobie rozmowę z Pawlikiem sprzed czterech czy pięciu tygodni. Była inna niż poprzednie... Chodziło o przybyłego niedawno do kompanii strzelca nazwiskiem Trepko. Miał stanąć do raportu karnego za jakąś bójkę podczas ćwiczeń.

I Pawlik specjalnie przyszedł do Radwana prosić, żeby go nie karać. Powiedział, że chłopak zostanie przeniesiony do czołgów. Dlaczego? – zapytał Radwan. Pawlik coś niewyraźnie zaczął tłumaczyć, że tego chłopca zna, że z nim rozmawiał, jąkał się i denerwował, był po raz pierwszy właśnie prywatny... Radwan odmówił. Mogą go, oczywiście, przenieść do czołgów, ale tu, w jego kompanii, zostanie też ukarany odpowiednio do wykroczenia... Potem zobaczył

kiedyś Pawlika stojącego za drzewem nie opodal placu ćwiczeń oddziałów pancernych.

Czołgiści wskakiwali do maszyn, wśród nich był zapewne ten Trepko...

Pojawił się pułkownik Kieniewicz. Za chwile nastąpi przegląd, a potem raport.

Radwan raz jeszcze zlustrował wzrokiem swą kompanię; wszystko wydawało się w porządku.

Dojrzał blisko prawego skrzydła twarz Marzyńskiego. I nagle sobie przypomniał.

Oczywiście! Cześka! Cześka Marzyńska... Spędzał parę dni w Warszawie u ciotki Marychny i poznał Czeškę. To było... zaraz... jesienią trzydziestego ósmego. Mały pokoiczek na Wilczej, fotografia... Oczywiście pamiętał tę fotografię. „Mój brat jest oficerem w Centrum Wyszkolenia Piechoty”. Sympatyczna twarz, dwie gwiazdki na naramiennikach. Pewno przed wrześniem dostał trzecią...

Już! Słowa komendy, maszeruje poczet sztandarowy, żołnierze z szablami u boku.

Grają „Jeszcze Polska...” Spojrzał na zegarek: punkt dziesiąta, jak w planie. Na wielki plac wyszedł Berling w towarzystwie Wasilewskiej. Co myśli Berling? On ma swoją dywizję, a Sikorski nie żyje. On będzie miał rację i wkroczy do Polski. Kieniewicz wydaje komendę, dywizja zamiera. Potężny pułkownik, ale ile sprężystości w tym wielkim ciele; składa raport...

– Obywatelu pułkowniku, oddziały Pierwszej Dywizji Piechoty imienia Tadeusza Kościuszki gotowe do złożenia przysięgi...

Na maszt wspina się biało-czerwona flaga. Radwan zna na pamięć cały ten ceremoniał; wraz z innymi ryczy: „czołem, obywatelu pułkowniku”, gdy Berling wita się z pierwszym pułkiem, a potem w ciszy słucha przemówienia Wandy Wasilewskiej.

– Jesteśmy, istniejemy. Wszędzie tam, gdzie nasze zbrojne oddziały, nasze orły –

kawałek Polski...

Pierwszy składa przysięgę dowódca dywizji. Podchodzi do pocztu sztandarowego i staje na baczność przed księdzem majorem Franciszkiem Kubszem, który czeka na niego w komży, stule, z brewiarzem w rękę. Zdejmuje czapkę z głowy, umieszcza ją w lewej dłoni, dwa palce prawej ręki podnosi do góry i powtarza za Kubszem: „Składam uroczystą przysięgę ziemi polskiej...”

Za chwilę rotę przysięgi będą powtarzali wszyscy... Radwan, patrząc na trybunę, na której stoją teraz Berling i Kubsz, kątem oka widzi profil Marzyńskiego. Strzelec (kapitan?) trzyma regulaminowo dwa palce w górze i powtarza jak wszyscy:

„Przysięgam ziemi polskiej i narodowi polskiemu rzetelnie pełnić obowiązki żołnierza w obozie, w pochodzie, w boju, w każdej chwili i na każdym miejscu, strzec tajemnicy wojskowej... Przysięgam dochowac wierności sojuszniczej Związki Radzieckiej, który mi dał do ręki broń do walki ze wspólnym wrogiem... Przysięgam wierność sztandarowi mojej dywizji i hasłu ojców naszych, które na nim widnieje: za naszą wolność i waszą...” Wieczorem tego dnia postanowił rozmawiać z Marzyńskim. Nie wzywał go do siebie, znalazł po uroczystym obiedzie przed namiotem.

– Chodźcie ze mną – powiedział.

Gdy znaleźli się nad brzegiem rzeki, usiadł na pniu drzewa i wskazał Marzyńskiemu miejsce obok siebie. Poczęstował go papierosem.

– Dawno chciałem z panem pogadać – powiedział i to „pan” obudziło natychmiast czujność Marzyńskiego. – Pamiętam Cześć – ciągnął. – Przypomniałem sobie właściwie dopiero dzisiaj. Odwiedzałem ją na Wilczej przynajmniej, dwukrotnie. Nie, nic między nami nie było... przelotny flirt... Na etażerce stała pana fotografia w mundurze. Nie ma pan oczywiście żadnych wiadomości o Czeście?

– Nie – powiedział Marzyński – widziałem ją ostatni raz w sierpniu. Więc pan wie, panie poruczniku?

– Tak. Otrzymał pan awans przed wrześniem?

– Nie.

– Więc... panie poruczniku. Dlaczego pan to zrobił?

– Muszę panu tłumaczyć? Sądzę, że niełatwo się nam będzie porozumieć. Pan tu jest z własnej woli. Ja jestem, bo nie zdążyłem, bo tak chciał los... Nigdy, ani wówczas, gdy mnie złapali na granicy rumuńskiej, ani potem, nie podałem władzom radzieckim swego stopnia...

– To przeszłość – rzekł Radwan. – Widzi pan, jak bardzo są tu potrzebni oficerowie...

Sądzę, że można będzie pogadać z pułkownikiem Walickim, może nawet z Berlingiem i nie będzie pan miał żadnych przykrości. Powinien pan objąć kompanię, a może nawet batalion.

– Nie – zaprotestował Marzyński.

– Dlaczego?

– Widzi pan... Oczywiście, nie zmuszę pana do milczenia, można mnie aresztować, ukarać...

– Przecież nie o to chodzi! Tu są ludzie będący w stanie zrozumieć naszą nieufność!

– Naszą?! – powtórzył nieco ironicznie Marzyński. – To prawda – mówił – że wygląda tu nieco inaczej, niż myślałem... Jest polska dywizja, nawet hejnał mariacki, ksiądz Franciszek Kubsz, orzełki, nieco przycięte, ale orzełki... Jednakże... – zawahał się – ja tym ludziom nie ufam. Wydają mi się

niekiedy zbyt teatralni, by mogli być prawdziwi. Nie wiem, czy pan mnie rozumie? Nie mówią wprost... Legalny rząd Rzeczypospolitej nie udzielił zgody na powstanie tej dywizji i ja, zawodowy oficer, nie mogę dowodzić żołnierzami w tej sytuacji... Gdybym był Berlingiem, takiemu jak ja nie powierzyłbym ani kompanii, ani batalionu... Natomiast szeregowiec Marzyński jest w prawie ze sobą samym robić, co mu się żywnie podoba...

– Pan udaje sam przed sobą – stwierdził Radwan. – Pan wie równie dobrze jak ja, że na tym froncie musi stanąć polski żołnierz, ponieważ tylko tędy wiedzie droga do Polski.

– Może – odpowiedział Marzyński – toteż wezmę w tym udział z karabinem w rękę.

Ale nie jestem dostatecznie pewny, by dowodzić ludźmi i ponosić za nich odpowiedzialność.

Nie tylko za siebie...

Radwan westchnął..

– Jest to myślenie niekonsekwentne i jakby podwójne...

– Zamelduje pan, że jestem oficerem? – zapytał Marzyński.

Radwan wahał się sporą chwilę.

– Jeśli pan sobie tego nie życzy – rzekł wreszcie głucho – nie zamelduję.

– Widzi pan – powiedział Marzyński wstając z pnia – to też jest niekonsekwentne.

Jeśli jest pan całkowicie z nimi, powinien pan zameldować... Ale pan także nie ma pewności.

– To nieprawda – zachnął się Radwan – mam pewność...

Andrzej Raszeński sądził, że śmierć Sikorskiego będzie ostatnim rozdziałem jego notatek.

Powiedział to także Ewie.

– Zanotuję wszystko, co teraz wiem albo domyślam się o Gibraltarze. Nie wierzę w spiski, ale wierzę w szczególną logikę historii, która odnajduje rozwiązania niespodziewane, a przecież niesprzeczne z rozwojem wydarzeń, z ludzkimi życiorysami i postawami. Mówimy, że śmierć Sikorskiego jest wielką klęską dla Polski. Tak. Ale przecież ciągle odnoszę wrażenie, że jednocześnie odeszła w przeszłość epoka w naszych dziejach, w której śnili nam się jeszcze hetmani i wierzyliśmy, że po wojnie zastaniemy Warszawę i Polskę takimi, jakimi je opuściliśmy we wrześniu...

Wyobrażał więc sobie Raszeński ostatnie godziny życia generała Sikorskiego...

Ostatnim człowiekiem, który zameldował się u Sikorskiego na Gibraltarze, był kurier z Polski Gralewski-Pankowski. Rozmawiali w niewielkim saloniku apartamentu, który oddał do dyspozycji

naczelnego wodza przyjmujący go uroczyście gubernator Gibraltaru. (A miał ten Anglik nie lada kłopot, bo jednocześnie wylądował tu, lecący z Londynu, ambasador Majski i chodziło o to, by obaj goście się nie spotkali).

Gralewski-Pankowski przywiózł Sikorskiemu meldunki Grota. Siedział teraz na brzeżku krzesła i oczekiwał na pytania.

– Kiedy pan ostatni raz widział Grota? – zapytał generał.

– Na początku czerwca – zameldował Pankowski.

– Pisze mi Kalina, że liczą się z wkroczeniem Armii Czerwonej na nasze ziemie pod koniec roku lub w ciągu najbliższej zimy. Nie sędzę, żeby to było możliwe, ale z całą pewnością moje dotychczasowe instrukcje o ścisłym współdziałaniu w walce z Niemcami z oddziałami radzieckimi są już nieaktualne... Jak trzeba będzie postępować? To zależy od wielu czynników. Okazać spoistość, godność, sprawność organizacyjną – oto co ważne... –

Nagle zmienił temat. – Jakie są nastroje w kraju?

– Pełne nadziei, panie generale. Po stalingradzkim zwycięstwie wszyscy są pewni, że wojna nie potrwa zbyt długo... Pan generał cieszy się ogromnym zaufaniem i podziwem...

Tylko rozwój stosunków z Sowietami napawa niepokojem. To wieczny temat rozmów...

Sikorski wstał.

– Stosunki z Sowietami – powiedział – zostaną nawiązane. Muszą zostać nawiązane.

Mam w tym względzie pełne poparcie Anglików i Amerykanów. Stalin w istocie nie traktuje poważnie polskich komunistów; nigdy ich zresztą nie traktował z sympatią. Wie, że mój rząd reprezentuje Polskę i że ze mną musi się dogadać...

– Tak jest, panie generale! – zawołał Pankowski.

– A tylko do pana wiadomości – ciągnął Sikorski – powiem, że wariant bałkański także nie spadł z porządku dziennego. Uderzenie sprzymierzonych na Grecję i Jugosławię otworzyłoby drogę do Warszawy i powstania w całym kraju...

Gralewski-Pankowski spojrzał na generała ze zdziwieniem.

– A gdzie bazy wyjściowe? Czy sojusznicy myślą o uderzeniu przez góry bałkańskie?

– To nie jest przeszkoda nie do przebycia. Chodzi o to, panie Gralewski, byśmy byli obecni na każdym kierunku...

– Na jednym na pewno nas nie ma...

Wydaje się, że tego ostatniego zdania Sikorski nie usłyszał.

– Poleci pan ze mną do Londynu, panie Gralewski – zdecydował. – Łubieński ustąpi panu miejsca.

– Tak jest, panie generale. – Łącznik z Polski był zachwycony perspektywą wspólnego lotu z naczelnym wodzem. – Czy wolno się odmeldować?

– Do widzenia. Lecimy więc razem.

W drzwiach stanął właśnie pułkownik Marecki; grubą teczkę położył na stole.

– Co tam? – zapytał Sikorski.

– Informacje z Londynu. Minister Kot ostrzega przed intrygami i wrzeniem.

– Znowu bije na alarm...

– W postaci jawnej, niekonspiracyjnej – ciągnął Marecki – oficerowie...

Ale Sikorski mu przerwał.

– Niech pan już tego nie powtarza. Nawet nie chcę słuchać. Kot wszędzie węszy spiski. Ja z mojej inspekcji odniosłem jak najlepsze wrażenie. W armii panuje jedność...

Marecki stał wyprostowany i nie uśmiechał się.

– Jedność – powtórzył generał. – Ja wyciągam rękę do wszystkich, także do piłsudczyków... Żołnierz z żołnierzem zawsze się dogada...

Przymknął oczy i zobaczył salę kasyna w Bejrucie; siedzieli przy długim stole, obok niego Anders, oficerowie w galowych mundurach. Sikorski skończył właśnie przemówienie, oficerowie gorąco go oklaskują. Zadowolony, wzruszony naczelną wódz powtórzył raz jeszcze:

– Z prawdziwymi żołnierzami zawsze dojdę do porozumienia. – I dodał: – Aby dać temu wyraz, proponuję, by orkiestra zagrała „Pierwszą Brygadę”!

Zagrali. Sikorski słyszał jeszcze tę melodię, gdy odsunął niechętnie teczkę Mareckiego i oświadczył, że nie będzie czytał.

Może tę scenę w Bejrucie wspominał także, wsiadając do samolotu? Był pogodny.

Żegnał się serdecznie ze wszystkimi, a na końcu z porucznikiem Łubieńskim, któremu powierzył trudną misję wydobycia z Rumunii ministra Becka, by nie wpadł w niemieckie ręce.

– No, panie poruczniku – powiedział – dziękuję za wszystko i do zobaczenia za parę dni w Londynie. Niech pan tylko nie zwleka z przyjazdem. Do widzenia i z Bogiem.

Liberator AL 523 kilkanaście sekund po starcie uderzył o morze i zniknął. Pustą płytą lotniska, z której przed chwilą wystartował samolot, biegł młody oficer, lotnik...

– Finis Poloniael – krzyczał.

W Nikołajewce rozlokował się sztab dywizji. Radziecka ciężarówka, w której przyjechała Ania, z trudem pokonywała wyboistą drogę; koła tonęły w nigdy nie wysychającej mazi, silnik wył na najwyższych obrotach.

– Przyjechaliśmy – oznajmił kierowca. – Tu już Polacy, Polacy otwierają drugi front.

Ania wyskoczyła prosto w kałużę i uciekła pod najbliższą chałupę. Drogą ciągnęły furmanki, działa, ciężarówki. Chłopcy w polskich mundurach stali w kolejce do kuchni polowej na obszernym dziedzińcu. „Najpierw do sanbatu – pomyślała – a potem znajdę Zygmunta”. Zobaczyła paru oficerów wychodzących ze sporego budynekczku. Podbiegła. Nie od razu poznała Zygmunta; widziała go zresztą po raz pierwszy w mundurze. Zawołała:

– Obywatelu poruczniku! – Chciała zapytać o sanbat i dopiero po chwili krzyknęła: –

Zygmunt!

– Ania! Skąd ty tutaj? – przytulił ją i oglądał. – Świetnie wyglądasz w mundurze! Jak to załatwiłaś?

– Szpital puścił mnie dopiero przed dziesięcioma dniami... A przydział? Poszłam do Wandy i zagroziłam, że od niej nie wyjdę. Gdzie jest ten sanbat?

– Poczekaj... Mikułko odjeżdża ze sztabu do sanbatu, to cię zabierze. Chcę pogadać...

Chodźmy do mnie...

W czystej wiejskiej izbie pojawiła się natychmiast na stole butelka wódki. Ania była głodna, zmęczona; jednym haustem wypila pół szklaneczki i poczuła się bardzo dobrze.

– Wiesz, jednak to coś znaczy... nareszcie we własnej armii. Jak zobaczyłam pierwsze polskie ciężarówki w tym cholernym błocie, chciało mi się płakać ze szczęścia. I od razu napatoczyłam się na ciebie...

– Przyjechałaś na sam początek. Dzisiaj już gotowość bojowa... To nie będzie zwykła bitwa. Przygotowujemy każdy szczegół, bez przerwy odprawy w sztabie, ludzie... – nagle umilkł. Patrzył na Anię, która połykała właśnie chleb z tuszonką.

– No – zachęcała – powiedz coś o sobie. Czemu nagle zamilkłeś?

– Słuchaj, Aniu, musisz wiedzieć... może istotnie powinienem ci napisać wcześniej...

tu jest Radwan...

Znieruchomiła.

– Coś ty powiedział?!

– Tu jest Radwan – powtórzył i zrozumiał, że ona mu tego wielomiesięcznego milczenia nigdy nie wybaczy. – Dowodzi kompanią w pierwszym batalionie.

– I ty nie napisałeś?! Nikt mi nie powiedział! – Wybuchnęła płaczem i płakała nie osłaniając twarzy, jak robią to niekiedy zawodowe wiejskie płaczki. – Więc kłamstwo było wtedy w Kujbyszewie...

– To oskarżenie – potwierdził Pawlik – okazało się nieprawdziwe.

Ania zerwała się z krzesła.

– Ale ty nie zmieniłeś zdania, ty, twardy, nieustępliwy... A ja, durna, idiotka, przekłeta idiotka, dałam się oszukać, przekonać, przecierpiałam, przepłakałam... A on co? Nigdy o mnie nie pytał? Pytał, oczywiście, ale ty milczałeś, ty drewniana makieto, ty okrutny sztywniaku! Nie daj Boże, byśmy tacy byli... Lepiej nam wszystkim zginąć, lepiej, żeby nas wyrznęli...

– Aniu. Aniu!

– Gdzie on jest, idę do niego...

– Zobaczysz go po bitwie, nikt cię nie puści na pierwszą linię... Jest gotowość bojowa, jutro nacieramy przez Miereję.

– A jeśli go nie zobaczę? On jest w okopach, a ty?!...

– Ja będę – powiedział spokojnie Pawlik. – Tam jest także mój syn...

– Twój syn?! – Na chwilę znieruchomiła ze zdziwienia. – Zbyszek tutaj? I pewno mówi do ciebie „obywatelu poruczniku”... – Chwyciła swój worek i ruszyła ku drzwiom.

– Poczekaj, odprowadzę cię do Mikułki.

– Sama znajdę. Zostaw mnie, Zygmunt. Może później. Może nigdy. Teraz chcę być sama, a w każdym razie – nie z tobą.

Z okopów widać niewiele, noc jest czarna, jutro będzie bitwa, żołnierze nie śpią, wsłuchują się w ciszę, bo trwa właśnie cisza, myślą z lękiem, nadzieją, wzruszeniem o natarciu. Wyobrażają sobie natarcie – przestrzeń przestrzeliwaną ogniem. Czy boli, gdy dosięga cię kula? Podobno dopiero później. Najgorsze, bracie, jest ranienie w brzuch. Nie żryj więc przed bitwą. A jeśli już – to nażryj się tak, żeby sobie nie żałować. Pewno – chwila jest historyczna, a tobie przypadł taki los, że musisz płacić cenę tej historyczności. Ciekawe, kto pójdzie pierwszy? Oczywiście: pierwszy pułk i pierwszy batalion...

W okopach kompanii Radwana kapral Grala skręcał właśnie papierosa.

– Boisz się? – pyta siedzącego obok Kozica.

– Czego?

– Jak człowiek ma dwadzieścia lat, nie myśli o śmierci. A ja myślę o żonie.

– Najlepiej – wtrąca Krzepicki – przespać do natarcia.

– Ja ta wierzę – odzywa się Szpak – że przeżyjemy. Coś czuję. Musi być jakaś sprawiedliwość na świecie...

Ktoś wybucha śmiechem.

– A księdzu się pomodliłeś? – pyta Okoński bez złośliwości.

– Pomodliłem się – odpowiedział poważnie Szpak – i oczyściłem duszę swoją...

...Gdy Wicherski wszedł do jego schronu, Radwan oglądał właśnie fotografię Ani.

Schował ją szybko do kieszeni.

– Ty oficjalnie jako oficer sztabu – zapytał – czy prywatnie?

– Raczej prywatnie. – Usiadł i wyjął z kieszeni płaską piersiówkę. – Wiesz, jak to wygląda. Dziesięć razy operacyjny pisał projekt rozkazu...

– Berling chce, żeby dobrze wypadł ten chrzest...

– Tak. Nacieramy na wąskim odcinku Lenino-Sysojewo, ale, o ile można się zorientować, nieprzyjaciel ma głęboko rozbudowaną obronę... Dane nie są ścisłe.

– Ścisłe dane – Radwan był nieco sarkastyczny – będą mieli historycy. I oni wam powiedzą, co sknociliście. A obronę Niemcy mają tu solidną. I ciekaw jestem – dodał – jak czołgi przejdą przez tę bagnistą rzeczułkę...

– Jakoś przejdą...

– Jakoś, jakoś – przedrzeźniał. – W szkole podchorążych mówiłeś inaczej.

– Dowódca bardzo dokładnie wszystko omówił... A czy możesz przewidzieć przebieg bitwy?

– A jednak – rzekł Radwan, spoglądając w kierunku niemieckich okopów – dobrze pomyśleć, że oni tam siedzą i boją się. Wiedzą, że my będziemy nacierać, tylko nie wiedzą, kiedy. Nie są już ani bezkarni, ani pewni zwycięstwa jak w trzydziestym dziewiątym.

Pojmujesz: we wrześniu byli dla mnie właściwie nieosiągalni. Teraz czuję, że się do nich mogę dostać. Że nie jestem gorszy.

– Mógłbyś właściwie – Wicherski uśmiechnął się blade – wygłosić to jako pogadankę przed natarciem. Prześpij się, mamy jeszcze parę godzin.

Bitwa dla kompanii Radwana miała się jednak zacząć wcześniej niż dla innych oddziałów dywizji. Początek przygotowania artyleryjskiego wyznaczono na godzinę 8.20, ale przed szóstą dowódca batalionu, major Lachowicz, otrzymał rozkaz rozpoznania walką.

W przyszłości ci, którzy zostaną, i ci, którzy tu nigdy nie byli, będą oceniać przebieg bitwy, zasadność rozkazów, słusność podejmowanych decyzji, precyzję wykonania. 12

października wczesnym świtem można było tylko ważyć trudność podejmowanych zadań.

Rozpoznanie walką oznaczało, że trzeba ruszyć do natarcia po krótkim, pięciominutowym przygotowaniu artyleryjskim i utrzymać się do początku właściwego uderzenia. Lachowicz powiedział coś w rodzaju „rozpieprzą mi batalion”, może dodał, co myśli o tym rozkazie, i zdecydował, która kompania... Instruktor oddziału oświatowego Pawlik, nazwany niedawno nie bez racji „drewnianą makietą”, postanowił wziąć udział w natarciu, a Radwan, gdy rozpoczęła się ta pięciominutowa praca artylerii, poderwał kompanię. Oznaczało to, że wyskoczył pierwszy z okopu w mgłę i krzyknął: „Naprzód!” Serce łomotało mu w piersiach, żołądek podjeżdżał do gardła, ale to nie był strach. Chwycił go atak ostrego kaszlu, który minął nagle, powietrze i mgła weszły do płuc. Kilkadziesiąt metrów szli wyprostowani jak na defiladzie, potem wyprysnęły rakiety i pokrył ich huraganowy ogień niemieckiej broni maszynowej. No, przynajmniej wiadomo, jaką tu mają obronę! Wleźli w bagno, szli przez bród na Mierei, nie czując chłodu, a nawet nie słysząc niemieckich maszynek. Ci, którzy wydali rozkaz rozpoznania walką, wyobrażali to sobie teoretycznie, oni zaś szli nie po mapie, tylko brnęli przez grząską maź w kierunku niemieckich okopów. Padali w bagno. Pawlik biegł obok Radwana i teraz go podziwiał; porucznik szedł jak po placu koszarowym.

W pierwszych okopach Niemcy nie wytrzymali. W szarym przedświcie zobaczyli ich sylwetki w garnczastych hełmach, zrywające się z ziemi i uciekające w kierunku wzgórz.

Wskakiwali do okopów wroga. Tu właśnie po raz pierwszy, biegnąc za porucznikiem Radwanem, Szpak zobaczył żywego Niemca, który, widać, nie zdążył odskoczyć ze swoimi i teraz strzelił jeszcze z pistoletu, nie trafił, chciał po raz drugi, ale bagnet Szpaka wszedł w jego ciało; rolnik z Nowogródka dojrzał wytrzeszczone oczy i otwarte usta wroga i zrozumiał, że zabił. Zabijało się łatwo i ginęło się równie łatwo. Badowski, strzelec z drugiego plutonu, dostał odłamkiem w skroń i leżał bez twarzy jak worek z piaskiem na dnie okopu.

– Tu zostaniemy – zdecydował Radwan.

Zajęli niemieckie rowy strzeleckie i już po kilkunastu minutach zobaczyli we mgle kontratakujących fizylierów wroga. Otworzyły ogień niemieckie moździerze. Widzieli tyralierę zbliżającą się nieustępliwie; nieprzyjacielscy fizylierzy pojawili się od strony rzeczki. Chcieli ich odciąć od polskich pozycji.

Radwan zobaczył obok siebie Marzyńskiego. Był instruktor centrum wyszkolenia był

napięty, ale spokojny.

– Okrążają nas – powiedział.

Radwan spojrział na zegarek. Jeszcze kilkanaście minut do początku przygotowania artyleryjskiego.

– Wytrzymamy.

– Nie zawsze można liczyć na punktualność podczas wojny – mruknął Marzyński.

Radwan zobaczył go po chwili obok pozycji erkaemu.

– Jak na ćwiczeniach – instruował Marzyński – jak na ćwiczeniach. Podpuścić bliżej, nie spieszyć się, teraz...

Na jak długo starczy amunicji? Są niby wyspa wewnątrz niemieckiej obrony, która teraz zwarła się wokół nich. Wreszcie: ósma dwadzieścia... Ale cisza trwa, nie rozpoczyna pracy polska artyleria.

Początek przygotowania, ze względu na panującą mgłę, przesunięto o godzinę. Co myśli o oddziałach z pierwszego batalionu generał Berling? Co myśli Lachowicz, patrząc we mgłę i słuchając terkotu broni maszynowej?

Radwan obserwował zbliżającą się powoli tyralierę. Więc tak to się skończy?

Dlaczego nie zaczynają? Rozejrzał się, popatrzył na twarze swoich chłopców i skinął na Krzepickiego. Z bloku meldunkowego wyrwał kartkę.

– Spróbujesz dobiec do batalionu, oddasz dowódcy...

Krzepicki wyskoczył z okopu i pochylony ruszył przez ostrzeliwane pole. Mgła rzedła, było już niemal jasno. Pomyślał, że jest doskonale widoczny, usłyszał świst pocisku, runął na ziemię i poszukał wzrokiem krzaczka, fałdy terenu, by wykonać następny skok. Pole wydało mu się puste i nagie; jeszcze czekał, skoczył i już wiedział, że trafili, chociaż nie czuł bólu.

Nie mógł wstać, czołgał się, czołgał się pracowicie w kierunku batalionu, a każdy ruch wydawał się trudniejszy, ciało cięższe, jakby przywaliała go betonowa płyta. Jednak zdążył

jeszcze usłyszeć huk artylerii, świst pocisków z katusz. Pociski ryły ziemię, rozrywały ją tonami żelaza.

Erkaemiści Radwana mieli już tylko puste dyski, gdy odezwała się artyleria.

– Zdążyli – odetchnął Radwan.

A strzelec Szpak patrzył w kierunku niemieckich pozycji, które pokrywała teraz nawała metalu. Chmury czarnego dymu unosiły się coraz wyżej i przysłaniały horyzont.

Wydawało mu się, że dostrzega w tym dymie wlatujące w górę ludzkie ciała, ludzkie skrwawione szczątki, strzępy twarzy, nóg, rąk...

– Ludzie... – powiedział.

– Cóż to, ojczulku – mruknął skrwawiony, w podartym mundurze Okoński. – Nie cieszysz się? Jeszcze żyjemy...

Za nawałą ognia poszło natarcie. Ci, którzy patrzyli na nie przez lornety z punktów dowodzenia, zobaczyli żołnierzy pierwszego batalionu idących do Mierei i przez Miereję.

Rąbali butami w bagnistą łąkę, błoto osiadało na twarzach, dotarli do kompanii rozpoznania, a Radwan z tymi, co zostali, dołączył do nacierających plutonów. Wdarli się do drugiej linii niemieckich okopów i oto przed nimi – pole ostrzeliwane przez broń maszynową, a w głębi zabudowania wioski. To Trygubowa.

Bitwa składa się z drobnych epizodów, w każdym epizodzie giną ludzie, a dowódcy składają meldunki zawierające parę stereotypowych zwrotów: nacieramy na Trygubową, wzięliśmy Połzuchy, silny nacisk n-pla z prawej flanki; proszę o łączność, proszę o czołgi.

Nacieramy, to znaczy podrywamy co chwila ludzi z ziemi, by przebiegli parę kroków w ogniu, padali znowu i wstali raz jeszcze, ci oczywiście, których pociski nie trafiły w brzuch, szyję czy pierś... Major Lachowicz krzyknął: „Chłopcy, orły za mną!” i wtedy pocisk przeciwpancerny uderzył go w pierś. Dowództwo objął Paziński i po chwili, gestem takim samym jak poległy dowódca batalionu, poderwał żołnierzy.

Niemcy przechodzili do kontrnatarcia.

W kompanii Radwana oficer radziecki, porucznik Dymin (ten, który wykładał o karabinie Mosina), padł przeszyty seria niemieckiego kaemu... Radwan wezwał

Marzyńskiego.

– Obejmiesz pluton...

– Tak jest.

Po chwili usłyszał go już wydającego rozkazy: Uwaga, podaj po linii... „Jesteś na swoim miejscu” – pomyślał.

Nacierali na wioskę Trygubową, walczyli w wiosce Połzuchy. W Połzuchach kapitan Wicherski wziął udział w natarciu batalionów z drugiego pułku. „W człowieku tkwi instynkt walki – myślał obserwując żołnierzy kryjących się za zabudowaniami, wyskakujących na drogę, by rzucić granat i zniknąć, pokrywających skutecznym ogniem niemieckie punkty oporu. – Oni przecież po raz pierwszy...”

Zajęli Połzuchy, ale daleko, na polach za wsią zobaczyli oddziały niemieckie przygotowujące się do

natarcia... Do zabudowań wioski docierały ferdynandy.

– Gdzie są nasze czołgi? – spytał Wicherski.

– Gdzie czołgi? – spytał także Radwan Pawlika, gdy zalegli przed Trygubową i ciągle jeszcze szmat ostrzeliwanego pola dzielił ich od tej przeklętej wioski.

Na niebie ukazały się samoloty niemieckie, pikowały, polskie linie pokrył czarny dym...

Czołgi ugrzęzły. „Bitwa składa się zwykle ze zdarzeń, których nie sposób przewidzieć” – powtarzał zawsze pułkownik Walicki. Istotnie: nie sposób było przewidzieć, że pierwszy czołg, który wjechał na mostek na Mierei (mostek powinien wytrzymać 60 ton), zwali się i ugrzęźnie w bagnie. Zbyszek Trecko patrzący na to ze swojej maszyny pomyślał, że on by przejechał, ale drugi czołg także osiadł, a gdy trzeci znalazł się na mostku, wybuchły wokół pociski artyleryjskie. Niemcy ostrzeliwali przeprawę. Pokazały się także samoloty.

Zbyszek uzmysłowił sobie, że jest już w ogniu i że zupełnie się nie boi; widział dymy nad Połzuchami i Trygubową, tam walczył jego ojciec, ale on nie chciał o tym pamiętać, chociaż ciągle pamiętał. Widywał tego człowieka z daleka; tak właśnie myślał: „tego człowieka”...

Nie chciał sam sobie przyznać się, że było mu przyjemnie, gdy zobaczył go po raz pierwszy podczas ćwiczeń w Sielcach. Potem przychodził często... Po przysiedze spotkali się w lasku i stanęli naprzeciwko siebie. Ojciec podał mu rękę i poczęstował papierosem. Należało... Jak mógł „ten człowiek” przez tyle lat... przez tyle lat...

Ziemia wybuchła nie opodal czołgu. Tontanna dymu, czarny odwrócony stożek, uniosła się w górę... I znowu – ani cienia strachu. Kiedy człowiek zaczyna się właściwie bać?

Nadjechał gazikiem zziębnięty kapitan.

– Czołgi przez most pod Lenino! – krzyczał. – Przez most pod Lenino...

Były gajowy, kapral Grala, zginął, gdy wbiegli do płonącej Trygubowej. Wskoczył

właśnie zza domu, gdy dojrzało go dwóch niemieckich fizylierów broniących się jeszcze w sąsiednim budynku. On ich zobaczył za późno. Strzelił, ale tamci byli szybsi; nie poczuł

nawet uderzenia, tylko nagle niebo i ziemia zamieniły się miejscami. „Dostałem” – pomyślał i od razu wiedział, że to koniec. Postanowił ułożyć się porządnie do umierania i pomyślał o papierosie. Zobaczył Kozica, który także wskoczył zza domu i cisnął granat. Poszarpanych odłamkami niemieckich fizylierów już nie widział. Kozic pochylił się nad nim.

– Daj zapalić – powiedział Grala. – Przynieś tytoń z namiotu.

Kozic skręcał papierosa i ciągle mu się tytoń rozsypywał, aż kapral Grala się rozzłościł.

– Nawet papierosa porządnie nie umie skręcić.

– Wezwę sanitariuszy – mamrotał Kożic.

Grala uśmiechnął się i zastygł z papierosem w ustach.

Strzelec Okoński zginął także w Trygubowej, gdy do wsi podchodziły już czołgi niemieckie. Ukryci za stodołą, on i Szpak, zobaczyli zbliżającego się ferdynanda. Po raz pierwszy tak blisko. Uczyli, żeby granatem, Szpak więc, nie myśląc, rzucił granat, to samo uczynił Okoński. Z boku odezwała się rusznica. Czołg zakręcił się w miejscu jak bąk, potem dym i pasmo ognia buchnęły spod gąsienic. Okoński podniósł się, chciał coś krzyknąć, tak przynajmniej Szpakowi się zdawało, i natychmiast trafił go pocisk Czołgiści niemieccy wyskakiwali z maszyny, Szpak, leżąc ciągle, wystrzelił trzykrotnie, usłyszał terkot maszyny z boku. Celował do ludzi uważnie i z namysłem: nieco poniżej głowy, w klatkę piersiową, bo w głowę łatwo chybić. Ale nadciągał już drugi niemiecki czołg, broń maszynowa cięła powietrze, zajął się więc Okońskim, pochylił nad nim i postanowił odciągnąć jak najdalej od tego miejsca, żeby oddać sanitariuszom. Nie był zbyt ciężki ten chłopak z Włodawy, Szpak zresztą do ułomków nie należał. Ale Okoński już nie żył, pocisk przeorał mu szyję i pewno nawet się nie męczył, bo nie wiedział, że umiera.

Kapitan Wicherski zginął w Połzuchach podczas kontrnatarcia niemieckiego. Wraz z paroma żołnierzami bronił się w dużym budynku miejscowej szkoły. Oddziały drugiego pułku już się wycofały za wioskę, a oni zostali tutaj i z każdą chwilą zmniejszały się ich szanse przebicia do swoich. Niemcy otworzyli ogień z moździerzy. Pozostało jeszcze trzech żołnierzy i Wicherski, ale kończyła się amunicja i kapitan był ranny w nogę. Ta przekłeta rana, która zapewne nie była nawet zbyt groźna, decydowała o życiu. Usiadł na podłodze, zarepetował tetenkę.

– Wskoczycie – rozkazał tym trzem – tylnym wyjściem do ogrodu i spróbujecie się przedrzeć.

– A pan kapitan!?

– Ja tu zostanę – powiedział Wicherski. – To rozkaz! Już!

Żołnierze wyskoczyli, a on został sam. Czekał. Tak więc to się kończy, myślał, tak się umiera. Nie boję się, nie boję się – powtarzał – ale mi żal tego, czego już nie zobaczę. Jak cholernie dużo stanie się po mojej śmierci Zazdrozczę temu facetowi, który po wojnie w mundurze pójdzie sobie zwyczajnie Nowym Światem lub Marszałkowską...

Usłyszał niemieckie głosy za drzwiami... Pchnięte butem otwierają się drzwi.

Wystrzelił raz, drugi, potem przycisnął lufę do skroni...

Choraży Turzyk umarł w sanbacie. Nawet był zupełnie przytomny, gdy go przywieźli; tylko nie pamiętał, gdzie go raniło: przed Trygubową czy już jak wbiegli do wioski. Chyba w wiosce, bo pamiętał płonący budynek i czarnych Niemców wyskakujących z ognia. Potem pękło słońce. Leżał w namiocie i widział obok siebie długi rząd leżących. Pomyślał: „dużo”, pomyślał: „ile ludzkich flaków naszpikowanych ołowiem”. Lekarz i pielęgniarka szli wzdłuż szeregu; pochylali się nad każdym. Pielęgniarka bardzo uważnie oglądała twarze, jakby kogoś szukając. Turzyka lekarz badał krótko.

– Na operacyjną – zdecydował.

Pielęgniarka nakładała mu na twarz maskę narkozy. Podobała mu się twarz tej dziewczyny, pomyślał o dziewczynie, którą kochał i która zapewne zginęła w getcie lub obozie. I to była ostatnia jego myśl. Nie słyszał już wybuchu bomby niemieckiej, która upadła nie opodal, a silny podmuch rozwarł płachty namiotu.

Młody sanitariusz wygrażał niebu pięścią:

– Nie widzisz, sukinsynie, że Czerwony Krzyż?

Czołgi przejechały przez most pod Lenino. Zobaczyli je nareszcie, gdy po raz drugi nacierali na Trygubową. Szli w tyralierze za polskimi T 34. Pawlik ciągle obok Radwana na czele topniejącej kompanii; żołnierze nabrali już frontowego doświadczenia, poruszali się pewniej i spokojniej. Podnosiła zresztą ducha obecność czołgów. Po raz czternasty pojawiły się niemieckie samoloty. Pawlik zobaczył pikujący w dół i potem, w drgającym powietrzu, ujrzał płonący polski czołg. Ludzie w kombinezonach wyskakiwali z maszyny... Jeden zdołał

odbiec parę kroków, zanim dosięgną go niemiecki pocisk, drugi runął obok gąsienic, trzeci płonął jak czarna pochodnia... Przez ułamek sekundy Pawlik zobaczył jego twarz. To był

Zbyszek! Nie pamiętając o prawach pierwszej linii, skoczył, rzucił się na niego, obalił na ziemię, dławiał płomień sobą i własnymi rękami. A Zbyszek leżał na ziemi i nic go już nie bolało. Najpierw dostrzegł nad sobą puste niebo, bo samoloty już odleciały, a potem twarz Pawlika.

– Ojciec – powiedział. I powtórzył. Po raz pierwszy nazwał go ojcem, jakby pogodzony z losem swoim i Zygmunta.

Pawlik zarzucił go sobie na plecy i popęzł w tył. Przed nim i za nim była przestrzeliwana przestrzeń pokryta fontannami wybuchów. Zobaczył wreszcie dwóch sanitariuszy. Podeszli.

– Człowieku – powiedział wyższy, nie dostrzegając gwiazdek Pawlika przysłoniętych błotem – przecież targasz trupa.

Zygmunt Pawlik zginął po trzydziestu minutach w następnym natarciu na Trygubową.

Biegł przez pole z pistoletem w dłoni, w kierunku pozycji niemieckich fizylierów, za nim poszli bez rozkazu żołnierze.

Niemieccy fizylierzy nie wytrzymali, cofnęli się na zachodni skraj wsi, ale Pawlik otrzymał dwa postrzały: w brzuch i piersi. Umierał przytomnie. Radwan klęczał obok niego i Pawlik trzymał go za rękę. Ten uścisk był mu widać, potrzebny.

Stefan Radwan został ranny na zachodnim skraju Trygubowej. Stracił przytomność i odwieziono go do sanbatu. Nie widział już wprowadzenia do walki drugiego rzutu dywizji i wspólnego natarcia polskich i radzieckich oddziałów na Trygubową. Dowództwo kompanii przejął strzelec (porucznik?) Marzyński.

Ci, którzy zostali, pójdą dalej. Wiele jeszcze dni dzieli ich od kresu drogi. I może niewielu z nich rozumie, że ten oczekiwany kres, który musi nadejść, będzie dopiero początkiem.